



Maria Dunkel

# Piesń węży



# Spis treści

Prolog

Część pierwsza - ZIELONY

Część druga - CZERWONY

Część trzecia - BIAŁY

**Pieśń węży**  
Copyright © Maria Dunkel  
Copyright © Wydawnictwo Inanna  
Copyright © for the cover art by Olga Koc  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-042-3  
epub ISBN 978-83-7995-043-0  
mobi ISBN 978-83-7995-044-7

Redakcja: Aleksandra Ślósarek  
Korekta: Katarzyna Koćma  
Ilustracja i projekt okładki: Olga Koc  
Skład i typografia: Studio Grafpa, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Inanna  
Żurawnica 82  
22-470 Zwierzyniec  
[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)  
[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

# Prolog

Maghar dobrze pamiętał dzień, w którym Kerin Zmiennoskóra pojawiła się w królewskim pałacu. Strugi jesiennego deszczu siekły pałacowe ogrody, kiedy straż przeprowadzała ją przez bramę. Mężczyzna obserwował to z okna samotni Radirzjana Geshwanka, wtedy jeszcze marszałka Rady Stanu.

– Po co ci ona? – spytał. – Jest niebezpieczna, powinna zgnić w lochach.

Kerin ujęto na trakcie wiodącym przez Wilczy Bór. Maghar przypuszczał, że patrol żołnierzy zaczepił ją dla rozrywki. Wędrująca samotnie kobieta zawsze prowokuje takie sytuacje. Tym razem trzech ludzi przypłaciło zabawę życiem.

– Bezpieczna broń na nic się nie przydaje – zauważył kpiąco Geshwank.

Kerin niewątpliwie się przydała.

\*

Była martwa. Ta szokująca wieść szybko obiegnęła pałac. Maghar porzucił przeglądanie raportów otrzymanych dzień wcześniej od szpiegów i udał się do jej komnat.

Ciała jeszcze nie usunięto. Wejścia do sypialni Kerin strzegli milicjanci w czarnych uniformach. Grupka ciekawskich służących stłoczyła się za rogiem. Rozmawiały przyciszonymi głosami, chyba w szczerzej wierze, że nikt nie zauważy, jak zaniedbują obowiązki.

Maghar zatrzymał się przed drzwiami. Jeden z milicjantów obrzucił go uważnym spojrzeniem. O nic nie zapytał, po prostu usunął się na bok.

Mężczyzna przestąpił próg. *Nigdy tu nie byłem*, pomyślał przelotnie, rozglądając się z uwagą. Po pomieszczeniu kręciło się kilku funkcjonariuszy milicji. Jeden, zgięty w pół jak pokurcz, chodził po grubym, ciemnoniebieskim dywanie. Inny przeglądał zawartość wielkiej skrzyni stojącej w kącie, a czynił to tak ostrożnie, jakby poruszenie jednej rzeczy kosztowało go długotrwałą walkę z samym sobą. Ostatni milicjant pochylał się nad prostą, elegancką toaletką. Przy otwartym szeroko oknie, przez które wpadały podmuchy zimnego powietrza, komendant milicji Ederyk Kasharp rozmawiał z Geshwankiem ubranym w biały mundur komendanta.

Bardziej niż to wszystko, Maghara zainteresowało rozgrzebane łoże i spoczywające na nim ciało. Ruszył w jego kierunku, uważając, by nie zdeptać dywanu.

Kerin leżała bezwładnie, z rozrzuconymi rękami i złączonymi nogami. Poza

krótką, haftowaną w barwne kwiaty koszulą, nie miała na sobie nic. Bładozłote włosy rozsypały się wokół jej głowy. Młodą twarz o delikatnych rysach wykrzywił grymas gniewu i strachu. Wielkie, szeroko rozwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Spomiędzy rozchylnych sinych warg wyglądały równe zęby. Na pościeli nie było śladu krwi, za to okrągły stolik przy łożu szpeciły ciemne smugi. O krok od mebla leżały na podłodze dwa bure ciała górskich szczurów, ukochanych pupilków Kerin. Wokół ich rozbitych czaszek utworzyły się małe kałuże stępszej krwi.

Maghar powstrzymał się przed chwyceniem za skraj kołdry i okryciem martwego ciała. Odwrócił wzrok. Powoli podszedł do Kasharpa i króla, którzy na jego widok przerwali rozmowę.

– Została... – zaczął.

– ...uduszona – dokończył Kasharp. Uniósł brew w ironicznym wyrazie. – Wiem.

Maghar skinął głową. Dobrze pamiętał, że kiedy pracował w milicji, niczego nie znosił bardziej od wtrącających się w jego pracę ważniaków. Poczł się stary i zmęczony. Zdał sobie sprawę, że aż do tej chwili nie wierzył w śmierć Kerin.

Odwrócił się do króla.

Na smagłej, pokrytej płytkimi bruzdami twarzy Radirzjana Geshwanka nie malowały się żadne emocje. Patrzył na ciało Kerin – swojej kochanki – jak dziecko na ulubioną zabawkę, którą ktoś przez przypadek zepsuł. Poprzetykane pasmami siwizny włosy opadały mu na twarz.

– Wasza Wysokość? – rzucił Maghar.

– Znajdą go – zapewnił Geshwank obojętnym tonem. Odgarnął do tyłu niesforne kosmyki. – Znajdą skurwysyna, a wtedy każę obdzierać go ze skóry, kawałek po kawałku.

Lodowaty gniew mężczyzny był tak różny od ssącego żalu, który odczuwał Maghar, że ten przez moment nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Znajdą go – przytaknął po chwili krępującego milczenia.

Geshwank jakby go nie usłyszał.

– Trzeba zorganizować pogrzeb – stwierdził.

Po czym szybko wyszedł z pomieszczenia. Maghar spojrzał pytająco na Kasharpa, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

\*

Ciało Kerin Zmiennoskórej spalono na pogrzebowym stosie nazajutrz po jej śmierci. Maghar stał obok króla i obaj patrzyli, jak służba polewała stos oliwą, a potem kapłan w białej masce boga śmierci podłożył ogień. Starali się nie wdychać smrodu palonego ciała i milczeli zgodnie z kahrańskim obyczajem aż do końca kameralnej ceremonii.

Przez następne dwa dni Maghar prawie nie rozmawiał z władcą, chcąc dać mu trochę czasu na żałobę. Wciąż jednak dręczyły go pewne sprawy związane z morderstwem, więc ostatecznie zdecydował się odwiedzić Geshwanka w jego samotni.

Niezbyt duże, kwadratowe pomieszczenie odstręczało surowym, bezosobowym wystrojem. Od nagiej posadzki ciągnęło chłodem. Masywne, mahoniowe meble o prostych liniach zostały ustawione w doskonałej symetrii – szeroki stół pośrodku, dwa identyczne regały po lewej i prawej, królewskie krzesło naprzeciwko drzwi. Wszystko tutaj było czyste i równe. Nawet sterty dokumentów na półkach leżały jak od linijki, a Maghar wiedział, że sprzątająca samotnię służąca odkurza je regularnie.

Król był zajęty czytaniem jakiegoś pisma. Zgarbiony nad arkuszem papieru, zmęczony i znudzony, przez dłuższą chwilę nawet nie spojrział na Maghara. Ten przez jakiś czas nie odzywał się, stojąc niemal na baczność tuż przy drzwiach. Nie lubił tego przesadnie schludnego pomieszczenia.

Cisza się przedłużała. Wreszcie Maghar nie wytrzymał:

– Przykro mi z powodu jej śmierci – powiedział. – To wielka tragedia.

Monarcha uniósł złote oczy, podkrążone z niewyspania. Przyglądał się przybyszowi, jakby chciał przewiercić go spojrzeniem na wylot. Marszałek nie odwrócił wzroku.

– Tak – przyznał cicho Geshwank. W jego głosie nie było emocji, tylko pustka. – Bardzo nam się przysłużyła.

Maghar nie wiedział, czy ma większą ochotę wrzasnąć z frustracji, czy uderzyć siedzącego przed nim człowieka w twarz. Mówili o Kerin, kobiecie, z którą nie tylko przez ostatnie trzy lata Geshwank sypiał, ale z którą dzielił się wszystkim. Brudnymi sekretami, żalami, obawami, planami. Tymczasem w Geshwanku nie było nic: ani smutku, ani gniewu, tylko zimna, obojętna pustka. Zdawało się, że w ogóle nie ma już ochoty słuchać o Kerin.

– Tak... – wymamrotał Maghar. *Jeżeli mamy rozmawiać w ten sposób, lepiej nie rozmawiajmy w ogóle*, pomyślał. Pchany narastającą irytacją, wypalił: – Ostatecznie to jej zawdzięczasz tron.

Geshwank oderwał oczy od papieru i wpatrzył się w jakiś nieokreślony punkt przestrzeni. Mięśnie jego twarzy zadrgały lekko. Nic nie powiedział, przygryzł tylko wargi.

Kerin – korzystając ze swojej zdolności przejmowania cudzych ciał – usunęła poprzedniego władcę. Wraz z Magharem zafałszowała też wyniki śledztwa, by odwrócić wszelkie podejrzenia od Geshwanka. Dlatego Rada Stanu wybrała go na

nowego króla, a Maghar z kolei zajął jego miejsce.

– Bez Kerin będzie nam dużo trudniej – ciągnął Maghar. *Cholera, kompletnie nie o tym chciałem z nim rozmawiać*, zdał sobie sprawę. – Jak dotąd nie musieliśmy aż tak bardzo przejmować się politycznymi przeciwnikami. Usuwała ich z dziecinną łatwością.

– Czy naprawdę musimy o tym mówić? – spytał z irytacją Geshwank. – O pewnych sprawach lepiej nie wspominać zbyt głośno, Ren.

– Masz rację – przyznał niechętnie Maghar. – Po prostu... nie mogę się jakoś pozbierać. Cholera, lubiłem ją. Jeszcze kilka dni temu rozmawialiśmy... wspominała o swoich planach.

– Chciała wyjechać – powiedział ponuro Geshwank.

W jego głosie po raz pierwszy pojawił się ślad uczuć. Zbyt nikły, by Maghar mógł je zinterpretować.

– Tak, napomknęła mi o tym – przyznał. – Dwór trochę ją męczył. Chciała na jakiś czas odetchnąć od wszystkiego.

Geshwank pochylił głowę, jakby nagle rozbudziło się w nim zainteresowanie pismem, nad którym pracował.

– Przychodzisz z czymś konkretnym? – spytał.

Maghar przyszedł tutaj, żeby porozmawiać z królem na temat mordercy, który być może ciągle grasował w pałacu. Wiedział, że gwardia jest przygotowana na możliwość ponownego ataku, którego celem mógł być sam Geshwank.

Teraz, po krótkiej, ostrożnej wymianie zdań, tak innej od ich przyjacielskich rozmów, zwątpił, by Geshwank chciał z nim dyskutować na temat bezpieczeństwa. Dręczyła go jednak jeszcze jedna sprawa i wiedział, że jeżeli nie zapyta teraz, może stracić jedyną okazję.

– Wiesz co z trzecim szczurem?

Geshwank gwałtownie poderwał głowę i obrzucił Maghara taksującym spojrzeniem. Gniewnie zmarszczył brwi.

– Trzecim szczurem? – powtórzył.

– Z Zero, ulubionym szczurem górskim Kerin – wyjaśnił Maghar. – Zabójca dorwał dwa pozostałe, ale jego nie widziałem w sypialni.

Geshwank zamyślił się. Maghar był pewien, że król zauważył brak ukochanego pupilka Kerin i jedynie zastanawia się, co odpowiedzieć.

– Musiał uciec, gdy morderca... – zaczął król.

– To niepodobne do niego, zawsze był przy Zmiennoskórej – przypomniał Maghar. – I był najodważniejszy z całej trójki.

– Nie wiem, Ren – powiedział ze znużeniem Geshwank. – Proszę, idź już. Nie

chcę myśleć o Kerin. Muszę zająć się królestwem.

Maghar uklonił się, odwrócił i wyszedł.

Niepokój nie opuszczał go, odkąd Kerin została zamordowana, a po rozmowie z Geshwankiem zaczął narastać.

\*

Maghar siedział w sypialni przy zgaszonym świetle i otwartym oknie. Delikatny chłód letniej nocy rozjaśniał jego znużony umysł. W pałacowych ogrodach koncertowały świerszcze i rechotały żaby.

Wspominał Radirzjana Geshwanka takiego, jakim znał go dawniej. Człowieka, pod którego rozkazami służył od szesnastego roku życia, kiedy został przyjęty w szeregi milicji.

Początkowo nie byli przyjaciółmi. Oficerowie nie bratają się ze szczyłami, którzy ledwo co włożyli mundury. Ale to się szybko zmieniło. Maghar był zdolny, a tacy w kahrańskim wojsku szybko awansują. Po dziesięciu latach służby dostał stopień obersztera. Po trzynastu – komendanta. Geshwank osobiście mianował go swoim następcą, kiedy sam został marszałkiem Rady Stanu.

Dla młodego milicjanta ta pozycja była szczytem marzeń. Czasami nawet żałował, że udało się mu zrealizować je tak szybko.

Geshwanka natomiast nie zadowalało stanowisko marszałka. Jego apetyt rósł cały czas. Nikt – z Magharemem na czele – nie miał wątpliwości, że byłby dobrym władcą. A na pewno lepszym niż jego poprzednik, Dydaskan Roseulus, który ostatnie lata swego panowania spędził zamknięty we własnych komnatach, powoli zżerany obłędem.

Początkowo Geshwank, mając na uwadze dobro państwa, radził sobie z szaleństwem króla zgodnie z prawem. Poprosił nadwornego medyka o potwierdzenie choroby umysłowej władcy, a po jej uzyskaniu zwołał Radę Stanu i rządził krajem wraz z nią.

Ale tylko, dopóki jej członkowie nie zaczęli wymykać się mu spod kontroli i wykorzystywać władzy do własnych interesów.

W tych nielicznych historycznych okresach, kiedy Kahrem kierowała Rada Stanu, problemem zawsze były podziały między jej członkami, tworzenie zwalczających się stronnictw, skupionych wokół co ważniejszych person. Tym razem nic takiego nie miało miejsca. Geshwank zauważył niebezpieczeństwo, nim jeszcze korupcja i prywata ostatecznie wyparły z Rady Stanu troskę o los królestwa. I zrobił jedyne, co mógł zrobić.

Przejął władzę.

Oczywiście, jak i w wielu innych rzeczach, pomogła mu Kerin. Zawładnęła



ciałem służącej, która mieszała uspokajające leki dla szalonego Roseulusa i jej rękami dosypała do ziół trucizny.

W tamtym czasie jedynym logicznym kandydatem na miejsce zmarłego króla był Geshwank. Nawet zwalczający się nawzajem członkowie Rady w tym jednym się zgadzali. W ich oczach był politycznym geniuszem, lud od dawna w nim właśnie widział przywódcę Kahru.

Maghar osobiście poprowadził śledztwo w sprawie śmierci Roseulusa. Przesłuchał medyka i służącą. Ułatwiły mu to tortury, które za czasów Geshwanka stały się nieodłączną częścią prawie każdego dochodzenia. Medyk powiedział o sonej wysypce na przedramionach zmarłego, objawie przedawkowania senniczki, stanowiącej składnik królewskich leków. Był przekonany, że sam się pomylił. Służąca natomiast zdawała się nic nie pamiętać, a Maghar z wielką chęcią położyłby to na karb szoku.

Nie mógł, ponieważ zrozumiał, co wydarzyło się naprawdę.

– Niech bogowie mi wybaczą – wyszeptał w ciemną noc ponad rok później.

Poświęcił życie, by służyć Kahrowi najlepiej jak potrafił. Zawsze uważał, że polega to przede wszystkim na wierności prawdzie. Starał się żyć w zgodzie z tym przekonaniem. Musiał uczciwie przyznać, że nie udawało mu się tak dobrze, jakby sobie tego życzył. Od pewnego momentu w swojej karierze po prostu musiał zacząć kłamać, jeżeli chciał utrzymać się na szczycie. Nigdy jednak nie nagiął prawdy tak mocno, jak w przypadku śmierci Roseulusa.

Siedział w ciemnej sypialni przy otwartym oknie i coś dławilo go w gardle. Nie łzy – to było znacznie gorsze, bo nie mogło wypłynąć na zewnątrz.

Tamtą służącą stracono za zabójstwo, a medyka za niedopełnienie obowiązków. To właśnie Maghar poświadczył ich winę.

Mógł zdradzić swojego dowódcę i przyjaciela albo prawdę. Wybrał to drugie.

Nie potrafił jednak pozbyć się wrażenia, że to nie lojalność wobec Geshwanka nim kierowała, ale strach. Brzydził się sobą, gdy o tym myślał.

I wciąż nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie: Czy gdyby nie bał się, że pewnego dnia poczuje na karku oddech Zmiennekórej, wybrałby wtedy inaczej?

\*

Upłynął tydzień, a śledztwo wciąż tkwiło w martwym punkcie. Maghar nie rozumiał, jak milicja może pozwalać sobie na podobną zwłokę. W jakiś sposób do pałacu dostał się morderca, i to bardzo biegły w swoim fachu. Ostatecznie Kerin potrafiła o siebie zadbać i trzeba było naprawdę żelaznej woli, by oprzeć się jej mocy przejmowania ciała. Mogła skutecznie obronić się przed prawie każdym. To dlatego nigdy nie chciała strażnicy przed swoją sypialnią, chociaż Geshwank

wielokrotnie proponował jej ochronę.

– Pałac to mój dom, kurwa mać – odpowiedziała mu kiedyś, zirytowana nagabywaniami. – Nie będę łaźniła po własnych komnatach z kordonem straży.

Zapłaciła za swoją arogancję. Maghar również czuł się winny. Nie było w tym logiki. Po prostu przytłaczał go ciężar straty. Z Kerin łączyła go tylko przyjaźń, ale to wciąż więcej niż nic.

Poza tym źle znosił bezczynność. Irytowała go opieszałość milicji oraz to, że nie bierze czynnego udziału w śledztwie.

W końcu pewnego deszczowego dnia, po nudnym posiedzeniu Rady Stanu, Maghar stwierdził, że nie może już dłużej czekać. Kazał przygotować ulubionego deresza i wkrótce, nawet się nie przebrawszy, wyjechał przez pałacową bramę z czterema służącymi jako eskortą. Mimo wilgoci w powietrzu czuć było ciepło gasnącego lata.

Gdy jechali przez wyłożone świeżym brukiem ulice, Maghar rozglądał się na wszystkie strony. Za panowania Geshwanka Kahr rozkwitał i stolica zmieniała się niemal z dnia na dzień. Restaurowano budynki, burzono rudery, wytyczano nowe ulice i odnawiano stare. Na niektórych placach pojawiły się fontanny, na kolejnych skwery. Także prywatni właściciele dbali o lepszą prezencję; a przynajmniej ci, których było stać na remont. Skończyła się wojna celna z Półwyspem Kupieckim, dzięki czemu rozkwitał handel nawet najbardziej egzotycznymi produktami. Bezwzględność Geshwanka w tłumieniu buntów zapewniała ład i porządek.

W Radzie Komendantów, z której wybierano króla po śmierci poprzedniego władcy, nie było nikogo godnego zastąpić Geshwanka na tronie. Maghar, jako marszałek, mógłby pretendować do korony, ale nie czuł się zdolny do przejęcia obowiązków władcy w razie śmierci króla. A myślał o niej coraz częściej, patrząc na pogłębiające się bruzdy na twarzy przyjaciela i na jego siwiejące włosy.

Gdy dotarli wreszcie do głównej komendy milicji, marszałek poczuł ukłucie żalu. Kiedyś na piętrze tego dużego, klockowatego budynku mieściły się jego kwatery. Teraz zajmował je ktoś inny. Oczywiście nie powinien narzekać: awansował na zaszczytne stanowisko. Mimo to często cniło mu się za dawną pracę. Polityki nie lubił i do niej się nie nadawał. To Dashja Lenar, komendantka łuczniczek w czasach, kiedy on dowodził milicją, powinna nosić złoty płaszcz. Ze swoim zdecydowaniem, doskonałą organizacją i ogólnym szacunkiem, jakim cieszyła się wśród wysokich rangą wojskowych, doskonale się do tego nadawała. Geshwank podjął jednak taką, a nie inną decyzję, robiąc z Lenar poważnego wroga... który to problem Kerin szybko rozwiązała.

Maghar zeskoczył z wierzchowca i rzucił wodze wysokiemu, barczystemu

służącemu, wyglądającemu, jakby do pałacu ściągnięto go wprost z areny gladiatorów.

– Czekajcie tu na mnie – rzucił.

Po ukruszonych przez czas stopniach wspiał się do masywnych, drewnianych drzwi. Pchnął je mocno.

W siedzibie milicji zawsze panował chaos. Każdy gdzieś biegł, każdy coś robił. Szukano akt w archiwach, spisywano protokoły przesłuchań, analizowano doniesienia szpiegów z kraju i spoza niego. Przez ogromne pomieszczenie, zajmujące prawie cały parter, ciągle przechodziły tabuny mężczyzn i kobiet w czarnych mundurach. Przy stołach wymęczeni funkcjonariusze przeglądali stopy dokumentów, niektórych świeżo dostarczonych przez szpiegów, innych rozsypujących się ze starości.

Maghar pomyślał tęsknie o czasach, kiedy sam był częścią tej wielkiej maszyny, podpory królewskiej władzy i stabilności Kahru. Przedostał się do wiodących na piętro schodów. Złoty płaszcz wystarczył, by torować drogę. Ludzie, których mijał, salutowali lub kłaniali się lekko. Wszedł na piętro i skierował się prosto do izby dowódcy – niegdyś jego własnej. Pamiętał, że zawsze panował w niej swoisty ład, który lubił nazywać „kontrolowanym chaosem”. Wszędzie, nawet na parapetach, piętrzyły się papiery. Marszałek rzadko wietrzył pomieszczenie, co sprawiało, że powietrze przesyciła przedziwna mieszanka zapachów: kurzu, papieru, tytoniowego dymu i potu.

Pod rządami nowego gospodarza pomieszczenie zmieniło się nie do poznania. Na ścianie wisiał koślawy akt, sztywne krzesła zastąpiły skórzane fotele, a na stole, kredensie i regale z papierami kurzyły się bibeloty. Kasharp rozparł się wygodnie za stołem, a na jego kolanach siedziała młoda służąca. Całując szyję komendanta, przytulała się do jego włochatej piersi, widocznej między połami rozpiętej koszuli.

Maghar odchrząknął.

Kasharp podskoczył jak oparzony i zrzucił dziewczynę. Upadła na podłogę. Spojrzała na nieznajomego, który mimowolnie zerknął na jej wielkie piersi. Okryła je pospiesznie materiałem prostej, brązowej sukienki.

– Wynocha – warknął Kasharp.

Służąca pozbierała się na nogi i uciekła. Kasharp zapinał pospiesznie koszulę, łypiąc na gościa z zażenowaniem.

– Zapraszam, panie marszałku, niech pan spocznie – powiedział cicho.

Maghar opadł na fotel.

– Dobra jest? – spytał, wskazując drzwi.

– Całkiem... całkiem miła.

– To dobrze. W przeciwnym razie uznałbym, że marnujesz czas na pierdoły, zamiast szukać mordercy Zmiennoskórej.

Komendant zeszywniał. Na jego szyi zaczęła pulsować ciemna żyłka.

– Robię wszystko, co...

– Pierdolenie – warknął Maghar.

Po minie Kasharpa poznał, że nie stracił wprawy w zastraszaniu ludzi. Komendant zerkał nerwowo na wszystkie strony, jakby bardzo chciał rzucić się do ucieczki.

– Nie bardzo rozumiem, w czym problem – powiedział wreszcie.

– W tym, że pracujesz w takim tempie, jakbyś zatęsknił za stryczkiem.

Tym razem na twarzy Kasharpa odbiło się autentyczne zaskoczenie.

– Postępuję zgodnie ze wskazówkami Jego Wysokości – wypalił.

Maghar poczuł, że traci grunt pod nogami. Zaciśnął palce na krawędzi stołu, aż zbieleły mu kostki.

– Jego Wysokość kazał ci grać na zwłokę? – upewnił się.

Kasharp patrzył na niego uważnie. Znalazł się między młotem a kowadłem. Królewski adiutant mógł go zdegradować i postawić przed sądem, a władca jednym rozkazem pozbawić głowy. Za długo jednak obracał się wśród ważnych osobistości Kahru, by przegapić sygnał słabości, który właśnie wysłał mu Maghar.

– Sądziłem, że pan wie, panie marszałku – rzekł z chytrym uśmiechem.

Maghar potarł gładko ogoloną brodę. Przygryzł na chwilę dolną wargę. Żelazna wola, przypomniał sobie. *Czy Kerin nie wspominała mi kiedyś, że nigdy nie zdołała wślizgnąć się w skórę Radirzjana?*

– Proszę zachować naszą rozmowę w tajemnicy – powiedział w końcu. – Tak jak i polecenie Jego Wysokości.

– Co mam dalej robić? – spytał Kasharp.

Maghar wstał i spojrzał z góry na komendanta.

– To, co my wszyscy – odrzekł cicho. – Służyć Kahrowi. Wypełniać królewską wolę.

\*

Po powrocie Maghar zastał Geshwanka w komnatach jego jedyne dziecko, nieślubnej córki o imieniu Rekhe. Siedzieli w saloniku wyścielanym białym dywanem i zastawionym przez pełne ksiąg regały. Rekhe grała na klawesynie jakąś skoczną melodię. Król zajął skórzany fotel i obserwował dziewczynę, paląc fajkę z prostym cybuchem. Na widok Maghara ledwo dostrzegalnie skinął głową, w odpowiedzi marszałek uklonił się lekko. Rekhe przestała grać i poderwała się ze stołka. Zerknęła szybko na ojca i dygnęła uprzejmie. Maghar odpowiedział

zdawkowym skinięciem głowy, przyglądając się dziewczynie spod oka. Odkąd, zgodnie z ustaleniami sojuszu, została narzeczoną księcia Królestwa Ognia, ubierała się staranniej niż kiedyś. Dziś porządnie uczesała krótkie, ciemne włosy, lekko przypudrowała policzki i uczerwiała usta. W zwiewnej białej sukience wyglądała jak ucieleśnienie niewinności. W jej szerokim nosie i wąskich wargach łatwo było dostrzec podobieństwo do Geshwanka, ale owalem twarzy, kształtem wielkich, niebieskich oczu, zgrabną sylwetką i, przede wszystkim, zniewalającą urodą przypominała matkę. Kobietę z Gór Białoszczytu o jasnych włosach i pojedynczym, lśniącym zimnym błękitem oku. Wiedźmę.

– O co chodzi, Ren? – spytał Geshwank.

Maghar drgnął lekko i przygryzł mocno wargi. Wspomniał, że jeszcze kilka dni wcześniej czuł się okropnie, jak najgorszy skurwysyn, gdy późną nocą potajemnie opuszczał komnaty Rekhe. Sypiał z nią od dwóch lat, kiedy to stała się pociągającą szesnastolatką i przez cały ten czas brzemień tajemnicy ciążyło mu na sercu.

Teraz był prawie pewien, że może rozmawiać z Geshwankiem jak skurwysyn ze skurwysynem.

– Byłem dzisiaj u komendanta Kasharpa – rzucił od niechcienia. – Dowiedziałem się od niego kilku ciekawych rzeczy.

Geshwank westchnął ciężko i wypuścił z ust dym. Wstał, przeszedł do pełnego ksiąg regału i sięgnął po jedną.

– Ren... – zaczął.

Urwał niemal natychmiast i zamarł. Maghar zbliżył się o krok, by zobaczyć, co go tak przeraziło.

Na grzbietach równo ustawionych tomów przycupnął Zero, najukochańszy z górskich szcurek Kerin. Jego czarne oczy błyszczały. Nastroszył srebrzystą sierść, najwyraźniej równie zaskoczony, jak Geshwank. Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

Gryzoń ocknął się pierwszy. Skoczył z regału na podłogę i popędził na ukos przez komnatę, szybko przebierając długimi łapkami. Zakończony kitką ogon wyciągnął do tyłu. Sprężony w niewiarygodnie szybkich susach niczym nie przypominał puszystej kulki, którą był jeszcze chwilę temu.

Geshwank wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Rekhe wrzasnęła piskliwie, gdy jej ojciec chwycił grubą księgę i cisnął nią w Zero. Tomisko trafiło w grzbiet, a straszliwy cios przetrzącił kręgosłup. Szcurek miotał się na dywanie, skrzecząc z bólu. Jego agonálny krzyk wydawał się niemal ludzki.

Marszałek nie zastanawiał się zbyt długo. W głowie kołatały mu wspomnienia Kerin bawiącej się z tym zwierzęciem, tulącej je do piersi jak dziecko, karmiącej je z

ręki. W dwóch krokach zbliżył się do cierpiącego gryzonia. Uniósł nogę i z całej siły spuścił ciężki bucior na drobne ciało. Pod jego stopą chrupnęły kości, a jednocześnie rozległ się ohydny, młasczący dźwięk. Kiedy Maghar się cofnął, Zero leżał na dywanie martwy, ze świeżą krwią schnącą na pyszczku.

Rekhe zachwiała się i uniosła dłoń do ust. W jej oczach wezbrały łzy, które spłynęły po policzkach i dalej, na brodę. Geshwank oparł się ciężko o regał. Wciągnął w usta tytoniowy dym i wydmuchał cały kłęb.

– Rekhe – powiedział Maghar. W gardle miał sucho, jego głos brzmiał ochryple. W każdej innej sytuacji Rekhe byłaby ostatnią osobą, którą poprosiłby o zabranie truchła, ale teraz musiał rozmówić się z jej ojcem sam na sam. – Weźmiesz go?

Dziewczyna gorliwie pokiwała głową. Zbliżyła się i uniosła Zero w złączonych dłoniach, jak kruchy skarb. Maghar spodziewał się raczej, że z obrzydzeniem chwyci gryzonia za ogon. Nie rozumiał też łez dziewczyny, chociaż on również czuł się dziwnie pusto. *Uwielbiała go, myślał tępo. Uwielbiała.*

– Wbrew temu, co sądzisz, nie oszalałem – powiedział Geshwank, kiedy Rekhe wyszła. – Zawsze węszyłeś, Ren. Musiałeś rozwiązać nici wszystkich spisków i rozgryźć każdą intrygę. Wystarczyło podsunąć ci trop, żebyś rzucił się na niego jak ogar. – Westchnął ciężko. – Służyłeś Kahrowi szczerze i z oddaniem. Byłeś chyba najwierniejszym, najbardziej lojalnym żołnierzem w jego historii. Ale to już przeszłość – dodał. – Powinieneś to zauważyć, gdy Kerin wykończyła mojego poprzednika. Wiedziałeś, że to ona, a mimo to oskarżyłeś kogoś innego, tę niewinną służącą...

– Z lojalności wobec ciebie – warknął Maghar. – Bo byłeś najlepszym, co mogło spotkać Kahr.

– Wciąż jestem – przypomniał Geshwank. – Ale wysłuchaj mnie uważnie, Ren. Czas zerwać z dawnymi zwyczajami. Nie wiesz wokół śmierci Zmiennoskórej.

– To twoja sprawka?

Geshwank milczał przez chwilę, pykając fajkę.

– Chciała nas opuścić. Nie na trochę, jak twierdziła. Nie zamierzała wrócić. – Przygryzł wargę. – Planowała umknąć ze wszystkimi tajemnicami, z wiedzą o moich intrygach, zleconych zabójstwach, planach. Być może czekał już na nią gdzieś stosik złotych monet i ludzie chętni, by kupić tę wiedzę.

– Czy to ty stoisz za tym morderstwem? – spytał twardo Maghar. – Odpowiedz mi.

Geshwank spojrział na niego beznamiętnie. Maghar dziwił się, że przegapił moment, gdy jego przyjaciel, ten pełen zapału patriota, stał się ślepy na wszystko poza interesem kraju, zdolny mordować w oparciu o kilka niejasnych przesłanek.

– Jeżeli wciąż jesteś wobec mnie lojalny, chcę żebyś nie wtrącał się w tę sprawę i zachował w kwestii Kerin milczenie – powiedział powoli król. – Rozumiesz?

Maghar zacisnął wargi w wąską kreskę i potakująco skinął głową.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odrzekł oschle. – Proszę wybaczyć, że ośmieliłem się przeszkadzać.

Geshwank obojętnie machnął ręką, głuchy na ironię w jego głosie.

\*

Maghar umówił się z Rekhe w jej sypialni o dziesiątej w nocy. Przeszedł ciemnym korytarzem wiodącym do komnat dziewczyny. Nie pukał do drzwi, by uniknąć nawet najcichszego hałasu. Pchnął je, wszedł do środka i zamarł, oślepiiony światłem świecy. Rekhe leżała pod kołdrą w grubej nocnej koszuli, czytając jakąś książkę. Obok niej, na skraju ogromnego łóża z purpurowym baldachimem, przysiadł Geshwank. Odwrócił się. Na widok gościa na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

Przez jedną krótką chwilę Maghar pomyślał, że Geshwank rżnie własną córkę.

– Co ty tu robisz? – jęknął.

Geshwank się podniósł, a Magharowi wróciła przytomność umysłu.

Szok na twarzy króla ustąpił miejsca zrozumieniu, a następnie wściekłości.

– Ja? – wycedził. – Co ja tu robię? Ty... – Głos uwiązł mu w gardle. – Kurwa! – wydusił wreszcie, krótko i szczekliwie.

Cały gniew skoncentrował na Magharze. Rekhe, chociaż pochodziła z nieprawego łóża, była jego oczkiem w głowie. Maghar nie obawiał się o jej bezpieczeństwo. O swoje – jak najbardziej.

– Wysłuchaj mnie – poprosił, cofając się o krok.

Usłyszał, jak Rekhe wstaje z łóżka, zapewne chcąc uspokoić gniew ojca. Nie popatrzył na nią, skoncentrowany na wściekłym królu.

– Czego mam słuchać? – warknął Geshwank. – Spójrz na siebie! Jesteś od niej starszy dwa razy!

– Nie zrobiłem nic wbrew jej woli – bronił się rozpaczliwie Maghar.

– Jak długo to trwa?

– Radirzjan, proszę.

– Zabiję cię! – ryknął Geshwank. – Po prostu cię...

Wyciągnął przed siebie ręce, wyginając palce w szpony. Jego twarz wykrzywił paskudny grymas. Oczy rozwarły się szeroko, z gardła dobiegł charkot. Z rozwartych ust wypłynęła cienka, ciemna strużka. Maghar patrzył na to bez zrozumienia, dopóki Geshwank nie jęknął cicho i nie osunął się bezwładnie na podłogę.

Rekhe obejrzała myśliwski nóż, który trzymała w ręce. Wysunęła język i ostrożnie zlizwała z ostrza trochę krwi, należącej do jej ojca. Maghar spojrział w jasnoniebieskie oczy dziewczyny. Czaiła się w nich nienawiść. Cofnął się o krok. Zrozumienie uderzyło go z siłą gromu.

– Ale dlaczego Rekhe? – wyszeptał zbielełymi wargami.

Dziewczyna roześmiała się. Tego śmiechu nie dało się pomylić z jakimkolwiek innym. Donośny, niski, głęboki, zdawał się płynąć z głębi krtani. Chociaż szczery, pozbawiony był cienia serdeczności. Brzmiała w nim tylko kpina.

– Wielki Radirzjan Geshwank zabity ręką własnej słodkiej córeczki – powiedziała cicho, uspokoiwszy się, wciąż uśmiechnięta od ucha do ucha. – Jaka zemsta mogłaby być piękniejsza? Przyznam, Ren, że to, co znalazłam w głowce tej głupiej kozy, cholernie mnie zaskoczyło. Sam fakt, że ją dymałeś, i to dymałeś jak dziki... No, nie spodziewałam się tego po tobie. Wejdz, proszę i zamknij drzwi. Nie ściągnęłam cię tu po to, żebyś zaczął wzywać straż, kiedy już i tak jest na to za późno.

Maghar zaczął się trząść. *Straż?*, pomyślał histerycznie. Rzeczywiście, kiedy tu szedł, za zakrętem korytarza widział pałacowego gwardzistę, ale teraz wezwanie kogokolwiek nie przyszło mu do głowy. Czuł się otępiaty, jakby szok zupełnie zaćmił mu rozum. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, spełnił polecenie dziewczyny.

– Jak to się stało? – spytał. Szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło, ale rozpaczliwie potrzebował czasu, żeby choć trochę się opanować. – Jakim cudem... przetrwałaś? I kto cię zabił? – Rekhe znowu się roześmiała, tym razem inaczej, jak człowiek, który stanął nad przepaścią i szykuje się do ostatecznego skoku. – Kerin?

Przechyliła głowę.

– Stoimy nad zwłokami króla, a ty dalej swoje „jak?”, „dlaczego?”, „kto?”. Zawsze i wszędzie, rzetelny milicjant. – Westchnęła, poważniejąc. – Jak to się stało? Uciekłam. Ten skurwysyn przyszedł do mnie w nocy, na dymanko. – Wskazała Geshwanka. – Początkowo było jak zwykle. Położył się przy mnie i chwilę rozmawialiśmy, potem znalazł się na mnie. Nagle przycisnął mi do twarzy poduszkę. Walczyłam, jednak on był silniejszy. Poza tym zaskoczył mnie. Po krótkiej szarpaninie wiedziałam, że nie wygram. Wyrwałam się z własnego ciała i ukryłam w Zero. Przewidział, że mogę zrobić coś takiego. Kiedy ze mną skończył, zabrał się za moje szczury. – Mięśnie jej twarzy drgnęły. – Uciekłam w Zero. Włazłam w siennik na łóżku. Słyszałam, jak walił Lodem i Demonem o stół. Ich śmierć... jakby ktoś mi wrywał serce! – Jej głos wzniósł się do krzyku. Maghar drgnął, jakby go uderzyła. Dziewczyna dyszała przez chwilę i przełknęła z trudem



ślinę. – Moje ciało znalazła pokojowa. – Zaczęła mówić szybko, głosem łamiącym się z emocji. – Ukrywałam się w pałacu, korzystając z ciała Zero. Wtedy, w komnatach Rekhe, było tak blisko. Wślizgnęłam się w nią tak zgrabnie, że nie podejrzewaliście. Widziałam, jak ten pierdolony duppek dostrzega Zero, widziałam, jak łamie mu kręgosłup, widziałam... – Łzy stanęły jej w oczach. – Lód i Demon boleli, ale to było... to było...

Oddychała chrapliwie. Maghar postąpił niepewnie do przodu. Ręka, w której Kerin zaciskała broń, drgnęła lekko, więc natychmiast się zatrzymał.

– Nie chciałem, by się męczył – wychrypiał.

– Wiem – odrzekła, spojrzała gdzieś w bok, raz jeszcze odgarnęła włosy.

Maghar odetchnął głęboko. Musiał działać, póki ona była rozbita. Wiedział, że jeśli powróci jej gniew, nie będzie miał żadnych szans, by przemówić kobiecie do rozsądku.

– Posłuchaj mnie, Kerin – powiedział. – Zrób ze mną, co zechcesz, ale zostaw Rekhe. Ona nie jest winna twojej śmierci. Nie wiedziała o niczym.

– A ty? – spytała Zmienioskóra. – Wiedziałaś? Wiem, że tak. Pytanie brzmi: od kiedy?

Maghar zdał sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi.

– Ja... bogowie! Nic nie mogłem zrobić. Nic bym nie zmienił. Zostaw ją. – Błękitne oczy Rekhe zwróciły się na niego. Nie mógł rozpoznać ich wyrazu. *I to wcale nie Rekhe na mnie patrzy.* – Rozumiem twój ból, ale dokonałaś zemsty. Rekhe nie ponosi winy przez to, że jest jego córką. Zostaw ją – prosił gorączkowo. – Błagam cię, Kerin. Zrób ze mną, co zechcesz, ale nie krzywdź...

– Wystarczy! – wrzasnęła.

Jej wściekła świadomość wbiła się w Maghara jak pocisk.

Kiedyś poprosił Kerin, by włożyła jego skórę, z czystej ciekawości, jakie to uczucie. Gdy się w niego wślizgnęła, nie zauważył nic. Później przejęła kontrolę nad jego ciałem. Wówczas umysł Maghara zawisł w dziwnym letargu. Mógł tylko tępo obserwować, jak obca wola porusza jego rękami, palcami, nogami. Dziwne uczucie. Nie nieprzyjemne: po prostu dziwne.

Tym razem było inaczej. Kerin zaatakowała jego umysł, wrywając z niego myśli, wspomnienia, wszystko. Zmiażdżyła wolę Maghara, wybebeszyła najbardziej intymne miejsca świadomości. Uderzenie pozbawiło go przytomności, niczym cios obuchem w głowę.

\*

Leżał na korytarzu, na policzku czuł chłód kamiennej posadzki. Otaczał go wianuszek ciekawskich służących. Przy nim przykucnął gwardzista, łatwy do

rozpoznania po jasnoszarym uniformie. Wszystko zdawało się kołysać, jakby znajdowali się na pełnym morzu.

Zył.

Usiadł powoli.

– Co się stało, panie marszałku? – spytał gwardzista. – Panienska Rekhe wybiegła od siebie, wrzeszcząc jak szalona. Król ponoć nie żyje. Co się stało?

Maghar uświadomił sobie, że Zmiennoskóra może być w każdym z tych ludzi otaczających go ciasnym kręgiem, a potencjalnie w każdym, kogo kiedykolwiek spotka. Może nawet tkwiła w nim, przyczajona na granicy świadomości, gotowa w razie czego przejąć kontrolę.

Jęknął cicho.

Dostrzegł za plecami ludzi w czarnych mundurach. Dwóch z nich odpędziło służących, którzy cofnęli się w popłochu, i stanęło nad Magharem. Oparł się ciężko o ścianę. Obawiał się, że w przeciwnym razie upadnie.

– Kapitan Neresh, z milicji – przedstawił się jeden z mężczyzn w czerni. – W sprawie śmierci Jego Wysokości.

Maghar zdał sobie sprawę, że nie wie, jak powinien postąpić. Obmyślał jakąś prawdopodobną wersję wydarzeń, kiedy go olśniło. Nie wiedział, czy wyszło od niego, czy od ukrytej w nim Zmiennoskórej. Rozwiązanie wydawało się proste i kiedyś – w czasach, które ostatnio przypominał mu Geshwank, również należący już do przeszłości – wpadłby na nie od razu.

Musiał jedynie powiedzieć, jak było naprawdę.

# Część pierwsza

## ZIELONY

### I

Ren Maghar wracał do domu wczesnym rankiem, z głową pełną tłuczonego szkła, skołowaciałym językiem i podbitym w niewyjaśnionych okolicznościach okiem. Zimny wiatr szarpał jego steranym płaszczem, a mżawka przyklejała długie, ciemne włosy do czoła. Wyszedł zza zakrętu w wąską uliczkę z koślawo położonym brukiem i serce zamarło mu w piersi.

Przed jego domem, na wiodących do drzwi schodkach, siedzieli milicjanci ubrani w czarne mundury i płaszcze. Z ich żarzących się fajek buchały kłęby tytoniowego dymu. Wszyscy mieli długie, ciemne włosy, schludnie związane na karkach. Rozmawiali cicho, korzystając z ochrony niewielkiego daszku nad wejściem.

Maghar zacisnął dłonie w pięści i ruszył ku nim szybkim krokiem. Przez mgłę bólu przebiło się do jego świadomości dławiące poczucie końca, nieprzyjemnie podobne do rozpacz. Domy, w których zagościła milicja, zawsze były naznaczone jej piętnem.

Dostrzeżono go. Żołnierze powstali niechętnie, łypiąc na niego pogardliwie i wrogo. Gdy przechodził, jeden chwycił go za ramię, ale Maghar strącił gniewnie rękę, otworzył drzwi i wszedł w wąski, ciemny korytarz.

– W kuchni – powiedział któryś z żołnierzy.

Łomocząc ciężkimi buciorami po drewnianej podłodze, Maghar dotarł do odpowiednich drzwi i otworzył je szarpnięciem.

Przez wielkie, przeszklone okno sączyło się szare światło dnia. Pod sufitem zwisały pęki ziół, sznury kiełbas oraz kosze z warzywami. Dwóch żołnierzy w czarnych płaszczach grzebało w przepastnym kredensie i stojących na palenisku garnkach. Za ogromnym, brzozowym stołem siedziała siostra Maghara, Baria, tuląc córkę. Jej mąż stał pod ścianą, pilnowany przez kolejnego żołnierza. Ederyk Kasharp, w srebrnym płaszczu komendanta, rozparł się na ławie naprzeciw Bari. Obok posadził czteroletniego Radirzjana. Obejmował chłopca jednym ramieniem, a w drugiej ręce obracał wojskowy nóż. Niema, ale bardzo czytelna groźba.

– Miło cię widzieć, Ren – powiedział na powitanie. – Usiądź. Musimy porozmawiać.

– Nakaz – wycedził ochryple Maghar.

Z gniewu ledwie był w stanie rozewrzeć szczękę, mięśnie policzków drgały pod

smagłą skórą. Sądził, że głowa nie może boleć go bardziej. Mylił się. Czuł, jak w jego czaszkę wbijają się kolejne szpilki bólu.

– Słucham? – Komendant uniósł krzaczaste, smolście czarne brwi.

– Nakaz przeszukania domu mojej siostry.

– Jestem komendantem, Ren. Nie potrzebuję nakazów.

– Nie potrzebujesz – zgodził się opornie Maghar.

Usiadł na ławie obok Barii. Kasharp z zadowoleniem skinął głową. Schował nóż do pochwy u pasa.

– Zostawcie nas – powiedział. – Wszyscy. – Gdy Radirzjan chciał zeskoczyć z ławy, przytrzymał go. – Ty zostajesz, kochany.

– Zbyteczne i podłe – uznał marszałek, kiedy pozostali ruszyli do drzwi.

Baria posłała mu pełne rozpaczycy spojrzenie. Było w nim wszystko, czego nie mogła wypowiedzieć – prośba o ocalenie dziecka, ufność, rozpacz matki. Maghar nie ośmielił się wykonać żadnego uspokajającego ruchu. Milicjanci woleli, gdy ich ofiary nie czuły się zbyt pewnie, nie zamierzał więc prowokować intruzów. Po krótkiej chwili wahania mąż objął Barię ramieniem i wyprowadził z kuchni.

– Nie proponujesz mi nic do picia? – spytał Kasharp.

– Nie – odrzekł Maghar. Przeniósł na niego wzrok i przy okazji dostrzegł, że chociaż Radirzjan siedział prosto i dumnie, jak małemu Kahrańczykowi przystało, w jego oczach błyszczały łzy strachu. – Czego chcesz? Jakim prawem nachodzisz moją rodzinę, grozisz mojemu siostrzeńcowi i...

Kasharp wyciągnął z rękawa czarnej koszuli rulon papieru i rzucił go na stół.

– Czytaj – zachęcił.

Maghar nieufnie sięgnął po pismo, rozwinął je i przebiegł wzrokiem. Dwa razy. Litery rozjeżdżały mu się przed oczami. Tętniący pod czaszką ból nie pozwalał skupić się na treści.

– Nintan Itonoka... – zaczął, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

– Tak, uciekł z Lochów Trolli. To potwierdzona informacja.

– Jak to możliwe?

– Zabawne – powiedział cierpko Kasharp. – Król zadał mi to samo pytanie. – Wstał od stołu, otworzył stary kredens i wyciągnął z niego kielich oraz butelkę wina. – Najważniejszy więzień w najlepiej strzeżonym więzieniu Kahru, które samo w sobie jest fortecą. A jednak ktoś wdarł się do wnętrza, pozabijał strażników i uwolnił Itonokę. – Nalał i wypił duszkiem zawartość naczynia. – Kto? – mruknął ochryple. – Jak? Po co? Kogo obarczyć winą? Muszę znaleźć odpowiedzi, zanim król postanowi pozbawić mnie głowy.

Maghar uśmiechnął się kpiąco.

– Mam ci współczuć? – prychnął. Radirzjan zeskoczył z ławy i podbiegł przytulić się do niego. Maghar objął go ramieniem, chcąc nieco uspokoić chłopca, wciąż jednak patrzył na Kasharpa. – Dzięki mnie zostałeś komendantem. Kiedy przyszło co do czego, spłaciłeś dług, odbierając mi wszystko...

– Zostałeś oskarżony o królobójstwo – przypomniał Kasharp. – Nie mogłeś dalej sprawować funkcji marszałka Rady Stanu.

– Nie o funkcję mi chodzi – wycedził gniewnie Maghar. – O mój stopień, moje dokonania i moje życie. Nie znalazłeś na mnie dowodów.

– Twoje wyjaśnienia nie były przekonujące – odrzekł Kasharp, znów napełniając sobie kielich. – To wszystko jest nieistotne – dodał. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Potrzebujesz jelenia do odwalenia roboty, z którą sobie nie radzisz – warknął Maghar. – To chciałeś powiedzieć?

– Chodzi o dobro twojej siostry i jej rodziny. – Kasharp wyraźnie wolał grozić, niż odpowiadać na pytania.

Wypił ponownie i spojrzał na Maghara. Ten mierzył go przeciągłym spojrzeniem ciemnozielonych oczu. Tulił do siebie Radirzjana, bezwiednie głaszcząc jego czarne włosy. Walczył z fizycznym bólem, tłumionym strachem, zmęczeniem i przytłaczającym go przez ostatni rok rozżaleniem. A ten drań stał sobie, sączył wino i groził ludziom, których jedynym związkiem z milicją było pokrewieństwo.

– Jesteś gnojem – wycedził Maghar.

– Ja też mam życie i pozycję, których nie chcę stracić – odrzekł Kasharp. – Moi ludzie szukają, ale nie mają żadnego tropu. Ty coś znajdziesz.

– Masz pod rozkazami doborowych żołnierzy – warknął Maghar. – Najbardziej elitarną formację w całej armii. Uważasz, że mogę znaleźć coś, co oni przeoczyli?

– Musisz znaleźć coś, co oni przeoczyli – sprostował Kasharp. – Albo pożegnaj się z siostrzeńcem.

Mięśnie w szczękach Maghara zadrgały, gdy w bezsilnym gniewie zacisnął zęby.

– Wynoś się stąd – wycedził. – Wynoś się z domu mojej siostry i nie waż się więcej postawić tu stopy.

– Daję ci miesiąc, Ren – powiedział z powagą Kasharp. – Przez ten czas dowiedz się czegokolwiek. W przeciwnym razie porozmawiamy inaczej.

Komendant wysączył ostatni kielich wina i wyszedł z kuchni, zamiatając podłogę srebrnym płaszczem. Za nim wymaszerowali żołnierze.

Chwilę później przez drzwi wpadła Baria. Rzuciła się do Radirzjana, który natychmiast przestał tulić Maghara i skoczył w ramiona matki. Kobieta uklękła na podłodze. Przyciskała dziecko do piersi, a z jej oczu spływały łzy. Zadygotała,

targana szlochem.

Jej mąż, Poderyn, dwoma wielkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od Maghara. Chwycił go za przód płaszcza i poderwał na nogi.

– Ty! – wycedził. – Wiedziałem, że będą z tobą pieprzone kłopoty!

Maghar odepchnął jego ręce i uderzył Poderyna w pierś, aż ten zatoczył się do tyłu i zahaczył biodrem w blat. Baria rozchyliła lekko usta, zapominając o łzach. Stojąca w progu sześćioletnia Nimro krzyknęła cicho.

– Żołnierze – wycedził Poderyn, masując obite miejsce. – Elita Kahru. Nieskalane uczciwą pracą nieroby, wszyscy, bez wyjątku, tak samo arogancy. Popełniłem błąd, przyjmując cię pod swój dach.

– Nic straconego – zapewnił Maghar. Wciąż buzował w nim gniew, podsycony kaczem i świadomością, że teraz los wszystkich obecnych w kuchni zależy od niego. Czuł się, jakby na barkach spoczął mu nagle ciężar całego świata. – Wychodzę.

Ruszył do drzwi. Siostra skoczyła na nogi i chwyciła go za ramię. Mąż próbował ją powstrzymać, ale odtrąciła jego rękę. Patrzyła na Maghara, a na jej delikatnej, pociągłej twarzy malowało się napięcie.

– Wróć – zapewnił Maghar z czułością. – Gdy tylko znajdę coś dla tego skurwysyna.

Zdjął dłoń siostry z ramienia, pocałował jej wierzch, pogłaskał po głowie stojącą w progu Nimro i po chwili był już na zewnątrz.

Padało jeszcze mocniej niż przed chwilą. Chłód przeniknął Maghara do szpiku kości. Owinął się szczelniej płaszczem. Wcisnął zmarznięte ręce pod pachy, żeby trochę rozgrzać zgrabiące palce. Głowa wciąż pękała z bólu; z niewyspania dwoiło mu się w oczach, ale przynajmniej wiedział, dokąd powinien iść.

\*

Pod murami Domu Pierwszych Zdobywców rozciągały się dzielnice nędzy. Przyklejone do siebie lepianki, szafasy ze szmat, rozwalone domy i zabłocone ulice zamieszkiwało miejskie robactwo. Żebracy, biedota, imigranci i złodzieje zakładali tam cuchnące gniazda, by nocami rozpełzać się na resztę miasta. Kiedyś panował tu względny porządek, ale królewski skarb przez ostatnie dwa lata cienko prządl i nie starczało już pieniędzy na finansowanie licznej straży miejskiej.

Maghar szedł przez śmierdzące zaułki, w których wrzało jak w ulu. Czuł się otępiały, jakby ktoś wypchał mu czaszkę watą. Wszystko było odrealnione, on sam reagował powoli. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio spał, prawdziwie, dla wypoczynku, a nie dlatego, że wychylił o dzban za dużo. Nie dziś, nie wczoraj, chyba nawet nie przedwczoraj. Minał kilku mężczyzn w brudnych szmatach na grzbietach, którzy obsiedli skrzynie przed nędzną speluną z czerwoną latarnią nad

wejściem. Kobieta z umorusaną twarzą i brudną chustą na włosach potrąciła go, prawie upuszczając pranie. Maghar wymamrotał przeprosiny i ruszył dalej. Banda dzieciaków, goniąc za skamłącym szczeniakiem, przewróciła jednookiego żebraka i popędziła dalej, ignorując ścigające ją przekleństwa.

Stanął przed starym, zrujnowanym zakładem lichwiarskim. Resztką szyldu pokrytego złotą emalią kołysała się niemrawo na jedynym ocalałym zawiasie. W oknach zostały strzaskane resztki szyb, dodatkowo zabito je od wewnątrz deskami. Na zniszczonych schodkach przed odrapanymi drzwiami siedział młokos z ciemnymi kłaczkami zarostu na twarzy i bawił się wielkim, zardzewiałym nożem.

– Chcę widzieć się ze Ślepcem – powiedział do niego Maghar.

– Chuja tam – odrzekł chłopak. – Jest zajęty.

Wyszczерzył w uśmiechu wybrakowane zęby i podrzucił nóż przed nosem przybysza, który złapał broń w locie, a chłopaka chwycił za ubranie i podniósł na nogi. Chamskie odpowiedzi były ostatnim, czego szukał.

– Chcę widzieć się ze Ślepcem – powtórzył łagodnie, przykładając smarkaczowi nóż do szyi. – Powiedz mu, że Ren Maghar przyszedł.

Chłopak wyrwał się gwałtownie, zostawiając mu w palcach strzęp brudnej, poprzecieranej koszuli, i wszedł chwiejnie po schodach. Utykał mocno, brakowało mu lewej stopy. Drzwi się zamknęły. Maghar obejrzał nóż i wsadził go do wysokiego, sznurowanego buta. Już dawno nauczył się, że broń zawsze się przydaje. Chociaż na nocne popijawy jej nie nosił, bo oskarżenie o morderstwo po pijaku byłoby ostatnim gwoździem do trumny jego zszarganej reputacji.

Wkrótce pojawiła się może dwunastoletnia dziewczynka, blondyneczka o słodkiej twarzy, ubrana w bardzo prostą, poplamioną i wyraźnie zszarganą sukienkę z burej wełny.

– Ślepiec cię przyjmie – oznajmiła wysokim głosem.

Maghar wszedł za nią do zakurzonego korytarza, cuchnącego kocim moczem i myszami. Zza uchylonych drzwi straszyły brudne, zagracone pomieszczenia, ale dziewczynka poprowadziła go do klapy w podłodze i po spiralnych schodach w dół, do piwnicy.

Tutaj wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na parterze. W długim korytarzu z bielonymi ścianami wisały wyblakłe obrazy i podniszczone arrasy. Za jedyne źródło światła służyła samotna lampa pod sufitem. Blondyneczka otworzyła boczne drzwi i przepuściła Maghara w progu.

Duże pomieszczenie urządzone starannie i komfortowo. Miękkie leżanki, rzeźbione meble, krzesła z wysokimi poręczami, skóra pustynnego lwa – wszystko byłoby piękne, gdyby nie brud oraz ptaki. Te ostatnie wypełniały całą przestrzeń

swą rozwrzeszczaną obecnością. Skakały na oparciu sofy, kreśliły koła pod sufitem, tłukły o ściany, dziobały meble, wrzeszczały, świergotały, pożerały rozsypane w licznych, otwartych klatkach nasiona. Ich odchody znaczyły bielą każdy skrawek mebli, pierze zalegało na podłodze. Był tutaj przerażony młokos bez stopy oraz dwóch osiłków o jasnej karnacji obcokrajowców, z krótkimi mieczami u pasów i puszystymi blond włosami. Wszyscy siedzieli na ziemi lub niskich pufach wokół ustawionego pod wielkim żyrandolem krzesła o połączonych poręczach, na którym rozparł się chuderławy starzec, pomarszczony i niemal zupełnie łysy. Ptaki skakały po nim i podstawiały się pod pieszczotę wykręconych dłoni Starzec zwrócił na Maghara ślepe, błękitne oczy.

– Witaj, panie marszałku – zaskrzeczał.

Zaczął rechotać. Jego świta roześmiała się spolegliwie. Maghar jedynie uśmiechnął się pod nosem, pomimo bólu głowy, w który ten śmiech wbijał się jak taran. Nie zamierzał dać się sprowokować w tak prymitywny sposób. Wyciągnął z buta nóż i cisnął nim w Ślepcę.

Ostrze wbiło się w oparcie krzesła dość daleko od głowy starca. Ten umilkł natychmiast. Jego przybocznicy dobyli broni. Dziewczynka za plecami Maghara chwyciła opartą o ścianę kuszę.

– Tracisz celność – stwierdził Ślepiec. Wymacał nóż i wyszarpnął go zdecydowanym ruchem z aksamitnej poduszczyki w oparciu. – Była częścią twojego oficerskiego patentu? – Założył nogę na nogę. Spod otulających go koców wyjrzało blade, kościste kolano. Zleciała na nie ogromna, barwna papuga. – Co cię do mnie sprowadza? Zatęskniłeś za grobem?

– Uważaj. Mam jeszcze kilka noży lepiej wyważonych niż ten – skłamał były marszałek. – Straciłem stopień, ale działam na polecenie milicji i...

– Na pewno powiedziałeś wszystkim, gdzie się wybierasz – stwierdził Ślepiec, uśmiechając się paskudnie.

– Zostawiłem w sejfie list do komendanta Kasharpa, mojego starego przyjaciela. Wyjawiłem w nim wszystkie twoje tajemnice. Gdy wrócę cało do domu, spalę go w kominku. W przeciwnym razie moja siostra go znajdzie. – Maghar dalej łął jak z nut. Otepienie nie pozwalało mu się za bardzo skupić, nie był więc pewien, czy wszystko, co mówi, trzyma się kupy. – Zawsze chętnie mi pomagałeś.

– Tak – przyznał Ślepiec. Pogłaskał papugę, która w odpowiedzi dziobnęła go w dłoń. – Gdy byłeś komendantem, zjawiałeś się otoczony najwierniejszymi ludźmi, miałeś władzę i moc sprawczą. – Wysunął z bezzębnych ust język i oblizał wargi. – Oddawałem ci mój towar w zamian za milczące pozwolenie na dalszy handel i cóż z tego mam? Straciłeś władzę, twój szantaż już nic nie znaczy. Nasz mały układ



nigdy nie wyszedł na jaw. I już nie wyjdzie – dodał. – Nie jesteś głupcem. Nie zostawiłeś listu. Takie pismo zgubiłoby cię ostatecznie. Gdyby odkryto, że komendant milicji posiłkował się w czasie swojej pracy wiadomościami kupionymi od złodziei, morderców i ladacznic...

– Od Ślepcy – sprostował Maghar. Pragnął paść na ziemię i wyć, a zamiast tego zmusił wypełniającą jego czaszkę watę do kolejnego wysiłku, zaś wyschnięte gardło do artykułowania racjonalnych wypowiedzi – który wyciąga te wiadomości ze złodziei, morderców i ladacznic, używając do tego watahy siepaczy. – Rozejrzył się za jakimś miejscem do siedzenia. Wreszcie wybrał niską pufę, poznaczoną, oczywiście, odchodami ptaków. – Obawiam się, że mnie nie doceniasz, staruszk. Moja reputacja legła w gruzach, gdy oskarżono mnie o królobójstwo. Nie mam nic do stracenia. Każ mnie zabić, a znajdą mój list. Wyrzuć mnie na bruk, a podam cię na tacy straży miejskiej i sędziom, którzy dobrze pamiętają o twoich dawnych morderstwach.

– Informacje za święty spokój, jak zwykle. – Ślepiec pokiwał łysą głową. – Jesteś okrutnym człowiekiem. Za bezcen wywlekasz ze mnie owoce ciężkiej pracy. – Westchnął ciężko. – Co chcesz wiedzieć?

Nareszcie do czegoś dochodzili. Maghar przymknął z ulgą oczy i wyrzucił z siebie dwa kluczowe słowa:

– Lochy Trolli.

– Ogromne więzienie – stwierdził skwapliwie Ślepiec. – Doprawdy, paskudne miejsce. Nie chciałbym tam skończyć.

– Nie udawaj durnia. Musisz wiedzieć, co tam się stało.

Ślepiec zachichotał.

– Itonoka, tak... ten człowiek spędzał dostojnikom sen z powiek, dopóki nie rozprawił się z nim Geshwank. Miał taką charyzmę, że w kilku słowach zjednywał sobie ludzi. Był świetnym komendantem, jeszcze lepszym marszałkiem Rady Stanu... i byłby doskonałym królem.

– Znałem go lepiej niż ty – przerwał Maghar. Chciał wrócić do domu, położyć się, pomyśleć, chociaż wtedy zacząłby wspominać ten straszny rok, a żal znów pchnąłby go w kierunku alkoholu. Sam nie wiedział, czego pragnie. – Mów do rzeczy.

Ślepiec westchnął ciężko.

– Itonoka uciekł – dodał bardziej rzeczowym tonem. Wyprostował się na swoim krześle, jakby nagle odmłodził o kilka lat. – Uciekł i nikt tak naprawdę nie wie, w jaki sposób. Z pewnością miał pomoc z zewnątrz. Ktoś musiał pozabijać strażników, otworzyć drzwi jego celi i wyprowadzić go. – Ślepiec uniósł znacząco

palec. – Pamiętaj, że to Lochy Trolli. Tamtejsi więźniowie nie grzeszą dobrą kondycją. Wątpię, czy Itonoka był w stanie przejść na własnych nogach więcej niż kilkanaście kroków.

– Czy muszę ciągnąć cię za język? – zniecierpliwiał się Maghar. – Kto?

Ślepiec przez chwilę mlaskał, obracając językiem w bezzębnych ustach.

– Nie wiem – odrzekł wreszcie. – Żaden złodziejski cech nie chce się przyznać do włamania. Moi donosiciele nic nie wiedzą. Mówią tylko, że kurwa komendanta Lochów słyszała w czasie ataku strzały.

– Strzały? – powtórzył z ożywieniem były marszałek. To było coś. Trop, początek nici, rzecz, wobec której dojmujący ból głowy słabł. – Dlaczego milicja nic o tym nie wie?

Ślepiec podrapał się po spiczastym podbródku.

– Nie wie? – powtórzył. – Zastanów się, przyjacielu. Nasz najjaśniejszy król popełnia błąd za błędem. Brak mu dobrych doradców, a ci których ma prawdopodobnie chcą jego rychłej śmierci. To pijak. Odmawia Królestwu Ognia pomocy w przejściu Półwyspu Kupieckiego. Odrzuca rękę panny Vashay Morweny, jednej z najszlachetniejszych dam spokrewnionej z dynastią Viseriyów. Nasi zachodni sąsiedzi i tak wykazali się godną podziwu cierpliwością. Jak odebraliby oskarżenie o uwolnienie więźnia politycznego? – Zawiesił głos. – No, ale ostatecznie wojsko Dzieci Ognia to nie jedyne oddziały na świecie mające dostęp do broni palnej – dodał.

– Nie?

– Nie – potwierdził Ślepiec. – Jest jeszcze Czerwona Żmija.

– Ten banita?

– Polityczny wyrzutek, taki sam jak Itonoka – sprostował Ślepiec. – On również dysponuje licznymi siłami. Rozbójnikami, nie regularnym wojskiem, ale jednak ludźmi steranymi w bojach. Mówią, że Czerwona Żmija ma ogromne wpływy wśród bogaczy Królestwa. Dlatego dysponuje karabinami, których tajemnicy Dzieci Ognia tak pilnie strzegą. Płaci za to słono, niemniej dzięki temu wyrósł przez lata na kogoś znajdującego się ponad prawem.

Kilka ptaków wszczęło bójkę nad rozsypanym na podłodze ziarnem. Wśród nich prym wiódł wielki kruk, wściekle dziobiąc barwne, egzotyczne papugi, które usiłowały odebrać mu łup. Skrzeki zwierząt wypełniły pomieszczenie.

– Oskarżasz Czerwoną Żmiję? – spytał wreszcie Maghar, stwierdziwszy, że w obecnym stanie nie wyciągnie żadnych sensownych wniosków z wypowiedzi Ślepca.

– Powinieneś nauczyć się czegoś o pochopnych sądach – zauważył starzec. –

Czerwona Żmija dysponuje bronią palną, być może jako jedyny poza regularnym wojskiem Królestwa Ognia. Jest ambitny i całkiem prawdopodobne, że chciałby przejąć władzę w Królestwie. Jeżeli dobrze pamiętam, Itonoka miał podobne cele, zanim został skazany.

– To przez nie został skazany – przypomniał Maghar.

Ślepiec uśmiechnął się.

– Tak brzmi nieoficjalna wersja – potwierdził. – Przyznasz, że ci dwaj mają ze sobą wiele wspólnego. Z drugiej strony Itonoka nie jest głupcem. Wątpię, by jego jedynymi poplecznikami byli siepacze Żmii. Tylko dureń by im zaufał.

– Sądzisz, że Itonoka zaplanował własną ucieczkę? – spytał przybysz.

– Czy powiedziałem coś takiego?

– Wydajesz się przekonany, że ma jakiś konkretny plan działania.

Ślepiec westchnął ciężko.

– Wiesz, panie Maghar, że bez pana milicja się stoczyła? – zagadnął.

– Zauważyłem.

– Są głusi. Nic nie wiedzą. Rozumiem, że ty przez ostatni rok nie interesowałeś się zbieraniem wieści na własną rękę.

Maghar uśmiechnął się krzywo.

– Przez ostatni rok byłem przesłuchiwany, torturowany i zachęcany do przyznania się do czynu, którego nie popełniłem – odrzekł. – Zniosłem to wszystko tylko po to, żeby zostać okrzyknięty mordercą, którego nie powieszono z braku dowodów.

– Królobójcą – poprawił Ślepiec.

– Owszem.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby zbierać i sprzedawać informacje? Nie przeżyłbyś długo, pozostawiony na pastwę losu. – Ślepiec zachichotał. – Utrzymuje cię rodzina siostry, prawda? Jak ona zareagowała na wieść o ucieczce Itonoki?

Gdyby Maghar rzeczywiście miał nóż, użyłby go teraz. *Jak on śmiał, ten nędznik, ten kaleka, jak śmiał narwiążywać do wydarzeń tak bolesnych...*

– Nie zmieniaj tematu – warknął.

Starzec zaśmiał się.

– Strzałka, kochanie, wciąż celujesz do niego z kuszy? – spytał. – Znam ten ton i wolałbym przeżyć. – Odchrząknął. Stado małych, biało-niebieskich ptaków zleciało mu na ramię, po którym zaczęły skakać, trelując głośno. Ślepiec nie zwrócił na nie uwagi. – Znasz Brunera Tartoka, prawda? Dwa czy trzy miesiące temu była u niego kobieta nazywana Szczurzą Panią. Ten szmaciarz nie chciał mi powiedzieć, o czym rozmawiali. Idź, spytaj go o nią – zachęcił. – Milicja chyba o niej jeszcze nie

słyszała.

– Co z tą kobietą?

– Spytaj Tartoka. On ci powie – powiedział ze znużeniem Ślepiec. – Ja mam już dosyć, poza tym nie wiem o niej zbyt wiele.

Maghar westchnął.

– Bruner Tartok? – powtórzył. – Wiesz, co on porabia?

– Wiem, że mieszka tam, gdzie dawniej – odrzekł starzec. – Idź już. Daj odpocząć biednemu kalece. Strzałka odprowadzi cię do drzwi.

\*

Następnego dnia wyjechał na koniu wypożyczonym za kilka srebrnych poza miejskie bramy. Po ostatnich ulewach wreszcie pokazało się słońce. Wiał przenikliwy wiatr, tchnący już zimą. Na zachodzie, północy i południu jaśniały masywy Gór Białoszczytu, tworzące wokół Domu Pierwszych Zdobywców zaśnieżone półkole. Maghar skierował jednak konia na północny-wschód i ruszył przez porośnięte niskimi roślinami wzgórze. Rozsiane chaotycznie domki rolników idealnie wpisywały się w malowniczy krajobraz. Na polach oczyszczano zagony z resztek, zbierano rozpunkę, kalarepę i pomidory. W sadach sadzono młode drzewka, zbierano jabłka oraz gruszki. Pożółkłe trawy kołysały się na opustoszałych łąkach, gdzie nie wypasano już bydła.

Maghar bezlitośnie poganiał wierzchowca. Czuł się o wiele lepiej niż poprzedniego dnia. Cały czas był świadomy groźby wiszącej nad jego rodziną, ale mimo wszystko cieszył się, że wreszcie może coś zrobić i nie jest zupełnie bezużyteczny.

Już koło południa dojrzał posiadłość Brunera Tartoka. Wysoki parkan ogradzał ogromny teren, na którym wzniesiono malowniczy dworek.

Maghar przejechał po mostku przerzuconym nad niewielkim strumieniem i wydeptaną dróżką przez tylną bramę, otwartą na oścież. Przyjrzał się domostwu. Ogromny budynek, kryty gontem, miał dwa kominy i mnóstwo przeszklonych okien. Po jego ścianach wspinały się winorośl oraz pnące róże. Jakaś służąca, idąca z praniem, rzuciła za Magharem zdziwione spojrzenie, gdy mijał zabudowania gospodarskie. Z psiarni wybiegły psy, trzy spore wyżły o ciemnobrązowej sierści. Obszczały przybysza, szybko jednak dały sobie spokój i zawróciły. Na ganku, między okrągłymi filarami, leżał wielki, czarny kundel o ciężkiej, szerokiej głowie i małych, klapniętych uszach. Na widok gościa usiadł. Ważył co najmniej osiem kamieni i sprawiał wrażenie zdolnego do urwania komuś ręki.

Przybysz zatrzymał konia przed frontem domu i zeskoczył na ziemię. Czarny pies szczeknął basem, po czym skoczył ku niemu. Zarył łapami w ziemię o krok od

Maghara. Jego białe zębiska zgrzytały z każdym kłapnięciem paszczy, rozsiewając wokół ślinę.

Na ganek wyszedł służący, sądząc po jasnej karnacji, pochodzący z Półwyspu Kupieckiego. Zmierzył całą scenę pogardliwym spojrzeniem i krzyknął:

– Czego tu szukasz, żebraku?

W porównaniu z nim, wystrojonym w wełnianą koszulę i ciepłe spodnie, owiniętym dodatkowo czystą, brązową opończę, Maghar rzeczywiście wyglądał jak nędzarz. Zignorował obraźliwy ton służącego i odrzekł:

– Chcę się widzieć z Brunerem Tartokiem.

– Jasne, a ja chcę zostać królem Kahru – zarechotał służący.

Maghar był lepiej przygotowany do rozmowy z Brunerem niż na spotkanie Ślepcy, myślał też o wiele sprawniej. Sięgnął pod płaszcz, namacał rękojeść wojskowego miecza i jednym płynnym ruchem wydobył broń.

Czarny pies warknął krótko i skoczył. Uderzył potężnym cielskiem w Maghara, który upadł na plecy, aż zaparło mu dech. Wpakował między szczęki zwierzęcia przedramię i jednocześnie pchnął mieczem w miękki brzuch. Przygniotło go ciężkie cielsko. Pies jeszcze żył, a Maghar zepchnął go z siebie. Chwiejnie podniósł się na nogi i wyrwał z trudem zwierzęciu, które upadło na bok. Próbowало jeszcze wstać, warcząc głucho, ale tylne łapy rozjeżdżały się mu na boki. Spomiędzy rozwartych szczęk wysunął się różowy język.

Służący z wrzaskiem rzucił się ku drzwiom i znikł w domu. Lewe przedramię Maghara pulsowało bólem. Krew sączyła się przez rękaw spłowiałej koszuli. Przestraszony koń kłusem zmierzał ku stajniom.

Maghar wyrwał miecz z trzewi konającego psa, opierając stopę na jego boku. Służący powrócił. Za nim biegło dwóch strażników, uzbrojonych w miecze i kusze. Jeden zatrzymał się na ganku, by naładować broń. Drugi ruszył prosto na Maghara, który czekał, dysząc ciężko. Nie spodziewał się miłego powitania, ale nie chciał zaczynać pogawędki od rozlewu krwi. Zwłaszcza swojej.

Strażnik zaatakował cięciem z góry. Maghar skontrował, ale wrogie ostrze skaleczyło go w ramię. Podciął przeciwnikowi nogi, tamten zwalił się na plecy. Z tej pozycji strażnik kopnął Maghara w krocze. Trafiony kwiknął, zwinął się i upadł na kolana. Zacisnął zęby oraz powieki, przycisnął czoło do wydeptanej ścieżki i czekał cierpliwie, aż przeminie najgorsze cierpienie.

Poczuł, że go podnoszą. Zdołał ustać na nogach. W tej chwili zza węgła dworku wypadło z tętentem czterech konnych otoczonych kłębami kurzu. W ślad za nimi biegła sfora wyźłów oraz łaciatych gończych.

Pierwszy jeździec osadził siwka tuż przed strażnikami. Był wysokim, otyłym

mężczyzną, owiniętym w futro z rudych lisów. Ciemne włosy układały się w loczki wokół wysokiego czoła. Schludny, opadający na kark kucyk zdobiła żółta kokarda. Miał garbaty nos, wyłupiaste, małe oczy i mięsiste wargi.

– Ren Maghar! – krzyknął tubalnie. – Co ty tu robisz? W dodatku w takim stanie?

Maghar uśmiechnął się cierpko.

– Wpadłem w odwiedziny – odrzekł. – Stęskniłem się, Brunerze.

– Może nawet bym się ucieszył, gdyby twoje odwiedziny kiedykolwiek przyniosły coś dobrego – stwierdził Bruner Tartok. – Zabierzcie go do środka, niech doprowadzi się do ładu, na litość wszystkich bogów.

Strażnicy spojrzeli na siebie, a jeden zerknął gniewnie w kierunku mężczyzny, który rozpoczął całą aferę. Później dwaj mężczyźni poprowadzili Maghara na ganek. Służący otrząsnął się ze zdumienia na tyle, by otworzyć przed nimi drzwi.

Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu. Na podłodze leżał wielki, okrągły dywan w kwieciste wzory. Obciągnięte białą skórą leżanki i fotele, jak również pomalowane bladożółtą emalią stoliki i krzesła, miały pięknie rzeźbione nogi. Pomieszczenie urządzone w sposób zupełnie chaotyczny. W rozstawieniu mebli nie było nawet krztyny porządku czy sensu.

Służąca w sukience z brązowej wełny i ramionami okrytymi burym szalem klęczała przed ogromnym kominkiem, w którym jasno płonął ogień.

– Czarna, zajmij się gościem – warknął na nią jeden ze strażników.

Kobieta uniosła głowę. Miała może trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Jej skóra rzeczywiście była czarna, a włosy i oczy ciemne. Wstała, aż strzyknęło jej w kolanach.

– Proszę – wymamrotała po kahańsku, po czym ruszyła ku schodom przyklejonym do jednej ze ścian. Maghar zerknął na swoją obstawę. Wciąż był niepewny sytuacji. Tartok nie miał powodów, by przyjmować go miło i jowialnie, ale też nie był mu wrogiem. Tak czy inaczej, musiał z nim porozmawiać. Ostatecznie przełamał się i poszedł za służącą.

Zabrała go do niewielkiej, ale czystej izby. W pomieszczeniu znajdowała się malowana skrzynia, na oko dość twarde łóżko i kwadratowy stolik. Czarna przyniosła Magharowi miednicę z gorącą wodą, bandaż oraz świeże ubranie, zabierając stare. W pierwszej kolejności były marszałek obmył i opatrzył ranę zadaną przez psa. Wyjrzawszy przez niewielkie okienko, dostrzegł jeszcze służących sprzątających zwłoki zwierzęcia. Pospiesznie się obmył i wciągnął brązowe spodnie, jedwabną koszulę oraz ciepły, pomarańczowy kaftan. Czuł się w tym stroju jak pstrokata papuga. Mimo to zapiął na biodrach pas z pustą pochwą i wyszedł z

izdebki.

Czarna czekała na niego za drzwiami.

– Proszę – powiedziała znowu.

Poszedł za kobietą z powrotem na schody i do saloniku.

Bruner Tartok siedział wygodnie na jednej z leżanek, a jakiś chłopak stał za nim z dzbanem wina. Gospodarz podsunął mu swój kielich, a potem podniósł z podłogi miecz Maghara.

– To chyba twoje – powiedział.

Maghar podszedł i wyjął broń z jego ręki. Ostrze było czyste, więc od razu wsunął miecz do pochwy. Może była to ze strony gospodarza jedynie sprytna, psychologiczna zagrywka, ale poczuł się dzięki temu o wiele pewniej. Bruner wskazał stojący na najbliższym stoliku kielich z winem.

– Porzeczkowe – powiedział. – Prosto z Cesarstwa. Od Czarnej pewnie nie wyciągnąłeś za wiele, co? Kiepsko mówi po kahańsku.

– Grunt, że rozumie polecenia, prawda? – zauważył Maghar, biorąc naczynie.

Bruner zmarszczył podejrzliwie brwi, ale uśmiechnął się oszczędnie w odpowiedzi.

– Tak. Odejdź, kobieto – rozkazał, a Czarna ukloniła się i wyszła. – Co u ciebie, stary lisie?

– Nie jestem jeszcze taki stary – zwrócił mu uwagę Maghar, odpinając pas z mieczem, który oparł o najbliższy fotel.

– Kiepsko wyglądasz.

– Zbyt częste rozmowy z milicją nie wpływają dobrze na kondycję. – Usiadł. – Sam dobrze wiesz.

Bruner pociągnął łyk wina.

– Oczywiście wiem, o co cię oskarżono – przyznał. – I że wydalono cię z milicji. A jednak tu jesteś. Po co?

– Ile wiesz o ucieczce Itonoki? – spytał gość prosto z mostu.

– Nic.

– Stary kłamca.

Bruner uśmiechnął się.

– Znowu nic na mnie nie masz. Jak za dawnych, dobrych lat, pamiętasz? Kiedy oskarżyłeś mnie o szmugłowanie broni palnej dla zbuntowanej biedoty. Ja mam pieniądze, tobie brakuje dowodów. W dodatku twoja wiarygodność po aferze ze śmiercią Jego Wysokości jest raczej...

– Nie przyszedłem tu zrehabilitować się w oczach milicji, jeżeli do tego dążysz – przerwał Ren. – Szczerze mówiąc, nie jestem też zainteresowany oskarżaniem cię o

cokolwiek. Ślepiec powiedział, że znasz Szczurzą Panią.

– Stary, wredny plotkarz – warknął Bruner. – Pij, Ren. Po co ci te informacje?

Maghar wypił duszkiem połowę kielicha. Wino smakowało przednio. Odsunął naczynie od ust dopiero, gdy strużka trunku spłynęła mu po brodzie. Otarł wargi i rzucił:

– To sprawa między mną a tym skurwysynem, komendantem Kasharpem.

– Czyli jednak to praca dla milicji?

– Nie robię tego z własnej woli.

Bruner zawahał się.

– Czy jeśli ci pomogę, zataisz, skąd posiadasz te informacje?

Maghar skinął głową. Nie miał interesu we wsypywaniu Tartoka. Dopił wino.

– Mogę prosić...? – mruknął ochryple, unosząc kielich.

Chłopak za plecami Brunera zrobił krok, ale ten go zatrzymał.

– Nie będziesz poił gościa resztkami z dna dzbana – powiedział ostro. – Dolej mnie i przynieś panu Magharowi sammańskiego.

Służący pospiesznie nalał Brunerowi i znikł w kuchni. Tartok napił się i pochylił lekko w przód.

– Szczurza Pani – powiedział cicho – zyskała sobie już pewną sławę w niektórych kręgach. Banici, rozbójnicy, łowcy nagród, cała ta wyjęta spod prawa gromada suczych synów całkiem nieźle kojarzy jej imię.

– Czym ona się zajmuje?

– Przede wszystkim zabijaniem ludzi w mniej lub bardziej skryty sposób. Dla innych albo na własny rachunek.

– To prawda, że milicja nic o niej nie wie?

– A czy milicja kiedykolwiek interesowała się bezpieczeństwem na zadupiach? Chyba przegapiłem moment, w którym przestała być tak strasznie zajęta podpieraniem królewskiego stołka. Wielu takich, jak Szczurza Pani się pojawiło i wszyscy zdechli prędzej niż później, może z wyjątkiem Czerwonej Żmii – powiedział obojętnie Bruner. – Nawet jeżeli milicja coś słyszała, nikomu nie chciało się grzebać głębiej.

– Była tutaj, prawda?

– Ja zabiję tego starucha – warknął Bruner. – Tak, była.

– I?

– Młoda. Ta twarz... piękna. Trochę za wąska w biodrach i niezbyt piersiasta, ale mimo to...

– Czego od ciebie chciała? – spytał Maghar. Musiał przyznać, że postać Szczurzej Pani intryguje go coraz mocniej. Przypominała Kerin, ale Zmiennoskóra



nie żyła, a przynajmniej nie miała ciała.

Służący przyniósł nowy dzban. Napełnił kielich Maghara, który skosztował wina. Było słodsze niż poprzedni trunek, z lekko ziołowym aromatem, którego nie mógł zidentyfikować.

Bruner wzruszył ramionami. Osuszył swój kielich i odstawił naczynie. Gdy służący podszedł, nakrył naczynie dłonią.

– Potrzebowała pomocy w sprowadzeniu pewnego towaru – wyjaśnił Bruner. – Piłeś kiedyś sammańskie?

Maghar pociągnął kolejny łyk wina, oszczędniejszy od poprzedniego. Nagła wstrzeźliwość gospodarza wydała mu się podejrzana.

– Piłem, ale złote, nie czerwone – mruknął niezobowiązująco, by zyskać chwilę na przeanalizowanie sytuacji.

– Co sądzisz?

– Jest...

Chciał powiedzieć „dziwne”, ale zamiast tego uniósł kielich i pociągnął jeszcze jeden drobny łyk.

Wreszcie rozpoznał ten aromat. Zgiął się w pół i wykaszlał na dywan wszystko, czego nie zdążył połknąć. Odstawił naczynie na stolik.

– Skurwysyn – wycedził.

Wstał na nogi i złapał za miecz. Wydobył z pochwy ostrze. Bruner poderwał się gwałtownie z leżanki. Maghar skoczył w jego kierunku, ale potknął się na dywanie i wyłożył jak długi. Próbował wstać, jednak mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Łydki i uda miał jak z waty, przez ramiona przebiegały silne dreszcze.

– Za mała dawka – powiedział Bruner, stając nad nim. Jego uprzejmy, przyjacielski ton zniknął jak sen złoty. – Powinien zwalić się jak kłoda po dwóch łykach.

– Tak, panie – przytaknął pokornie służący.

– Daj kielich i otwórz mu usta.

Maghar zdołał odzyskać na chwilę władzę w lewej nodze. Pchany wściekłością i goryczą porażki, kopnął Brunera w goleń. Na nogach miał wojskowe buty o czubkach obitych stalą i twardej podeszwie. Bruner stęknął, zrobił krok w tył i opadł bezsilnie na stolik, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

– Suczy syn... – stęknął.

To przekleństwo było niczym w porównaniu z tymi, które w duchu miotał na niego przybysz.

Służący przyszedł z kielichem. Kucnął, otworzył Magharowi usta i wlał w nie płyn.

Nalało mu się do gardła i nosa. Wierzgnął rozpaczliwie, a wtedy trunek chlapnął do oczu, piekąc okrutnie. Kaszlał i krztusił się, szarpany drgawkami. Głos Brunera dotarł do niego jak przez mgłę:

– Dość.

Maghar zwinął się w kłębek. Szczekał zębami, szarpały nim niekontrolowane skurcze. Drgawki trwały nadal, gdy tracił przytomność.

## II

Ostatni dzień Wojny Królów, w którym Kerosh Enerys osobiście ściął człowieka nazywanego Wściekłym Psem, przeszedł do historii Królestwa Ognia jako moment przełomowy. Tłumy zebrały się, aby obejrzeć egzekucję. Wściekły Pies nie był jedynie najwierniejszym i najokrutniejszym sługą pokonanego władcy. Jego kariera stanowiła oszałamiający przykład tego, jak łamiąc wszelkie zasady i nie przebierając w środkach, można przywrócić świetność zubożałemu rodowi, zostać wielkim hetmanem, zdobyć ziemię, chwałę, bogactwo i przyjaźń monarchy, a nawet rękę księżniczki.

W dniu swojej śmierci Wściekły Pies wszedł na szafot dumnym krokiem, ze wzgardliwym uśmiechem na twarzy. Nie skorzystał z prawa błagania o łaskę, ale, zgodnie z przysługującym mu przywilejem, wybrał kata. Chciał, aby wyrok wykonał ten, który go wydał. Kiedy Enerys, świeżo koronowany na króla, stanął przed skazańcem z mieczem w dłoni, Wściekły Pies powiedział:

– Będę do zgonnie wdzięczny za czyste cięcie, zdrajco.

Po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej. Grymas znikł z jego twarzy dopiero, gdy klęknął nad pniakiem i odszukał w tłumie gapiów żonę oraz dwójkę dzieci.

Wiele lat później syn Wściekłego Psa stał w samotni Enerysa, oddzielony od króla tylko blatem szerokiego stołu. Z wyglądu przypominał ojca, miał jego bladobłękitne oczy, czerwone włosy oraz smagłą skórę wszystkich Dzieci Ognia, ozdobioną migotliwym wzorem, który w świetle płomieni połyskiwał czerwienią. W czasie buntu, który podniósł w wieku siedemnastu lat i później, gdy bezlitośnie pustoszył granice jako banita, dowiódł, że przypomina Wściekłego Psa także w kwestii okrucieństwa. Był wysokim mężczyzną, nawet jak na Syna Ognia, a przy tym dobrze zbudowanym. Życie banity wytopiło z jego ciała wszelki zbędny tłuszcz, kształtując mięśnie, przez co stał się zarazem silny i żyłasty. Poruszał się płynnie, pewnie. Nosił starą kurtkę z czarnej skóry, połataną barwnymi skrawkami materiału, a pod nią czysty kubrak i koszulę. Ciepłe, wełniane spodnie wcisnął w wysokie buty z cholewami. Nie miał żadnej broni, ale jego obecność i tak wywoływała poczucie zagrożenia.

– Twój syn bardzo wyrósł – rzucił, uśmiechając się wzgardliwie, dokładnie jak

ojciec.

Książę Kerosh Karey, siedzący na krześle w kącie, zmarszczył gniewnie brwi i otworzył usta. Enerys posłał mu znaczące spojrzenie, więc chłopak natychmiast je zamknął i naburmuszył się. Nie lubił, gdy wydawano mu rozkazy, jednak nigdy nie ośmielił się sprzeciwić ojcu.

– Daruj sobie, Shavok – powiedział łagodnie Enerys. – Słyszałeś, co wydarzyło się w królestwie Kahru?

Shavok cmoknął i pokręcił głową.

– Niby skąd? – spytał. – Byłem w Varmondii. Na twój rozkaz zresztą, Wasza Wysokość. – Zabrał kielich króla z winem, oparł się o stół i napił. – Co takiego? Ich zidiociały król znów odjechał jakąś interesującą kaszanę?

Postawił kielich przed Enerysa, który spojrzał na niego z obrzydzeniem.

– Teraz już to wypij – mruknął. – Nintan Itonoka uciekł z więzienia.

Shavok przechylił głowę.

– Itonoka? – powtórzył. – Myślmy o tym samym Itonoce?

– Czy myślisz o człowieku, który został najmłodszym marszałkiem Rady Stanu w historii Kahru i z pewnością zdobyłby tron, gdyby nie oskarżono go o zamordowanie żony i własnej córki, a następnie nie zamknięto na zawsze w Lochach Trolli? – zagadnął Enerys. – Bo ja właśnie o nim myślę.

– To on – zgodził się Shavok, unosząc znów kielich do ust. – Ale słyszałem, że z tego więzienia nie da się spierdolić. To sprawdzona informacja?

– Cały Kahr o tym mówi – odrzekł Enerys. – Biedny Jego Wysokość Lekthry odwołał wszystkie wizyty i zabarykadował się w pałacu, drżąc ze strachu przed Itonoką. Krążą już plotki, że Itonoka zbiera armię, by uderzyć na Dom Pierwszych Zdobywców. Inni mówią, że ma już sto dwadzieścia tysięcy ludzi, a jeszcze inni, że po wszystkich wsiach i miastach krążą emisariusze, którzy zebrali dla niego oddziały. – Skrzywił się. – Cokolwiek planuje, nie wątpię, że będzie chciał przejąć władzę w Kahrze. Przez całe życie do tego dążył. Po cóż innego miałby uciekać z więzienia? Co gorsza, w przeszłości popierały go niższe stany Kahru. Jestem pewien, że zdoła do nich trafić także teraz, a poparcie prostaczków zawsze jest niebezpieczne w przypadku rewolty.

– W zasadzie, dlaczego nie chcesz, żeby przejął władzę? – spytał Shavok.

– Nie twoja sprawa.

– To po cholerę ściągasz mnie z tak daleka? – dociekał Czerwona Żmija.

– Itonoka nie miał dość czasu, żeby zebrać armię. Ukrywa się diabli wiedzą, gdzie. Musisz go znaleźć i zabić. Pozbądź się jego popleczników, a jego głowę przywieź mi w prezencie.

– Oczywiście – odrzekł Shavok.

Energys westchnął ciężko i przymknął oczy. Przeczesał palcami sięgające brody, siwe włosy.

– Karey – powiedział.

Syn wstał, przyciągnął krzesło naprzeciw króla i ponownie usiadł.

– Ojczy – powiedział cicho.

Energys spojrzał z miłością na chłopaka. Jego syn miał dziewiętnaście lat, przystojną twarz, białe włosy matki i ciemne, brązowe oczy, po ojcu. Dumnie zaciął usta, krzyżując ramiona na piersi. Nie podobała mu się cała ta sytuacja, być może bał się Czerwonej Ziemi bardziej od starego króla.

– Viseriya Shavok jest nam potrzebny – powiedział łagodnie Energys.

– To nędzna, wyjęta spod prawa kreatura – zaprotestował Karey.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł i zgarbił ramiona pod surowym spojrzeniem Energysa.

– Król czasem musi pobrudzić sobie ręce, Karey. On jest nam potrzebny. Obiecałem mu amnestię za dekadę wiernej służby. Zostało siedem lat, a do tego czasu na pewno umrę. Wtedy zrobisz z nim, co zechcesz. Czy wiesz, dlaczego Nintan Itonoka jest dla nas niebezpieczny?

Karey wpatrzył się w sufit i przygryzł wargi.

– Ponieważ Lekthry jest głupcem, który doprowadza Kahr do ruiny, a Itonoka mógłby go odbudować – powiedział wreszcie. – Chcemy, żeby nasi sąsiedzi osłabli, by zagarnąć ich ziemie.

– Bardzo dobrze – pochwalił Energys.

– Co z sojuszem, ojczy? – spytał niepewnie Karey. – To dzięki niemu z Kahrem mogliśmy zbudować Imperium Stali i Ognia.

– Do Imperium jeszcze daleko, chociaż bez wątpienia tak to nazywają – powiedział Energys. – Na razie zdobyliśmy Błotne Ziemie oraz po skrawku Państwa Sinych Wzgórz i Varmondii, reszta ziem podlega pod jurysdykcję Kahrańczyków. Mogliśmy mieć Półwysep Kupiecki, gdyby nie odmówili nam pomocy. – Zajrzał do kielicha, który zostawił Shavok i odstawił go z niechęcią. – Powiedz mi, z kim prowadzimy wojnę? Do przejęcia jakich terenów dążymy? Od śmierci Jego Wysokości Geshwanka wszystko szlag trafił. Stańliśmy w miejscu. Kahr słabnie, a ponieważ dzielimy z nim władzę nad Imperium, my również słabniemy. Musimy pożreć naszych drogich sąsiadów, scentralizować władzę i kontynuować ekspansję. Współpraca między naszymi krajami na polu zarządzania Imperium miała sens, gdy jako partnera do rozmów mieliśmy Geshwanka.

– Może Itonoka też byłby dobrym partnerem?

– Może. Ale chyba lepiej rządzić, niż zgadzać się na kompromisy?

Karey zawahał się, ale skinął głową.

– Oczywiście masz rację, ojcze.

Energys uznał tę sprawę za zakończoną. Przeszedł do innej, która również zaprzętała jego myśli i wzbudzała niepokój.

– Jak układa ci się z żoną?

Chłopak skrzywił się, jakby połknął łyżkę octu.

– Jest ponura, milcząca i zgorzkniała – mruknął. – Nie znoszę tej jej skrzywionej miny.

– Widziała, jak zamordowano jej ojca. Weź na to poprawkę – poprosił Energys. – To dobra partia. Wasze dziecko będzie miało w żyłach krew Keroshów i Geshwanków. Mam nadzieję, że pracujesz nad dzieckiem?

– Oczywiście, że tak – zapewnił Karey. – Codziennie. Jest ładna, ale mimo wszystko... – Znow się skrzywił. – Tu nie chodzi o to, że widziała, jak zamordowano Geshwanka. Ona po prostu... Mówiłem ci, że nie była dziewicą.

*Zupełnie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał Energys. Naiwna młodości...*

– W Królestwie Ognia mało która jest dziewicą w dniu ślubu – stwierdził obojętnie.

– Nie chce powiedzieć, kto pozbawił ją cnoty, ale chyba nadal go kocha.

– I co? – spytał Energys. – On został w Kahrze, Kareyu. Nieważne, kogo kocha. Nieważne, kogo ty kochasz. Jesteście parą książęcą, wkrótce zostaniesz królem. Małżeństwo to nie miejsce na miłość. Nie dla takich jak my.

– Wiem to wszystko, ojcze – powiedział nieśmiało Karey.

– Spróbuj zastosować tę wiedzę w praktyce – poradził Energys. – Możesz odejść.

Karey wstał i uklonił się lekko. Wyszedł z samotni ojca. Na korytarzu, poza gwardzistami, czekali jego osobiści strażnicy, których sam wybrał spośród licznych kandydatów.

– Idziemy – powiedział do ich dowódcy, ponurego typu z twarzą przeciętą paskudną blizną.

\*

Viseriya Shavok, nazywany niekiedy Czerwoną Żmiją, opuścił królewski zamek boczną furtą. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś wiedział o jego układach z Keroshami, zwłaszcza dla nich. Jaką opinię wystawia sobie król paktujący z banitą?

Ruszył przez uśpione miasto, naciągając na głowę kaptur. O północy Serpina sprawiała ponure wrażenie. Ulice opustoszały niemal zupełnie. W niektórych tawernach paliły się światła, ale ze względu na przenikliwy ziąb rozbawiona

gawiedź pozostawała wewnątrz budynków. Mgła snuła się po zaułkach. Żółtawe światło latarni nie rozrzedzało nocnych ciemności.

Shavok potknął się o nierówność bruku i zaklął. Im bardziej oddalał się od pałacu, tym paskudniejsze były ulice. Wszedł pod łuk starej bramy w środkowym murze, ciągle otwartej, odkąd miasto rozrosło się poza jego obręb. Ukryty w głębokim cieniu czekał tam na niego ktoś, kogo się nie spodziewał.

– Keytari? – szepnął, a z jego ust uleciał biały obłoczek pary.

Dosiadająca smukłego, długonogiego gniadosza kobieta rzuciła mu karabin, który Shavok wprawnie złapał. Spod czarnego płaszcza wystawały tylko czubki jej czarnych butów i dłonie w skórzanych rękawicach.

– Odesłałam twoich ludzi, żeby napili się czegoś, zamiast tu marznąć – powiedziała.

– I posłuchali cię?

– Ty byś nie posłuchał?

– W życiu.

– Nie wszyscy są permanentnymi głupcami jak ty. – Podała mu wodze osiodłanego karosza. – Przejazdzka?

Shavok przerzucił karabin przez plecy i wskoczył na siodło wierzchowca.

– Jedźmy – zachęcił.

Keytari uśmiechnęła się do niego spod kaptura. Skórę miała białą jak śnieg, a jej twarz cechowała przejmująca, nieludzka wręcz uroda. Spięła wierzchowca. Gniadosz ruszył spokojnym, równym krokiem. Klatka przymocowana z tyłu siodła podskakiwała lekko. Z jej wnętrza błysnęły czarne paciorki oczu należących do śpiącego wśród siana zwierzęcia.

– Czego chciał Kerosh? – spytała Keytari.

– Pozbyć się Itonoki – odrzekł Shavok.

– Kolejny wróg na liście – westchnęła kobieta.

– Pierdolony, koronowany głupiec – sprostował Czerwona Żmija. – Co go w ogóle obchodzi Itonoka?

Keytari wydobyła z wewnętrznej kieszeni płaszcza metalowe pudełko z kilkoma długimi, cienkimi cygarami. Poczęstowała jednym Shavoka. Zapalili, w powietrzu rozniósł się gryzący zapach mocnego tytoniu.

– A jak poszło z Varmondczykami? – spytała kobieta.

– To tępe pojeby. Agresywne i niezłe w walce, przyznaję, ale mimo wszystko tępe. Nie tylko nienawidzą Kahrańczyków: oni nienawidzą wszystkich, którzy nie są nimi. Na trzynaście grup, które spotkaliśmy, z trzema udało nam się porozmawiać, a gościnność zawsze szlag trafiał w momencie wspomnienia o

jakiegokolwiek współpracy.

– Siebie nawzajem też nienawidzą? – mruknęła ironicznie Keytari.

– Żebyś wiedziała.

Skręcili w szeroką, ale brudną i zapuszczoną uliczkę biegnącą równoległe do widocznych już stąd murów.

– A co z Itonoką? – zainteresował się Shavok.

– Zbiera się do kupy – odrzekła Keytari.

– Trudno uwierzyć, co te pieprzone lochy robią z ludźmi.

– Łatwiej uwierzmy, gdy się tam znajdziemy, co najprawdopodobniej nastąpi wkrótce – zauważyła spokojnie.

Shavok popatrzył na nią znacząco. Mogła mówić, co chciała, ale on nie dopuszczał do siebie myśli o porażce.

– Nie pozwolę na to – stwierdził, a gdy kobieta w odpowiedzi roześmiała się kpiąco, dorzucił: – Przez dwadzieścia sześć lat czekałem na zemstę, Keytari.

– Cierpliwości – mruknęła.

– Powtarzasz mi to od miesięcy – powiedział ze złością. – Nie uważasz, że czekałem już dość długo?

– Uważam, że powinieneś myśleć głową, a nie jajami – warknęła. – Pracowałam nad uwolnieniem Itonoki zbyt długo i zbyt intensywnie, żebyś teraz wszystko spieprzył.

Przez chwilę jechali w całkowitym milczeniu. Czerwona Żmija tłumiał swój gniew. Bezczelna dziwka sprawiała wrażenie, jakby cała ta sprawa i wszystkie ich plany stanowiły jedynie przednią zabawę o niepewnym końcu. Dla niego były ziszczeniem snu o zemście i niczego nie pragnął tak, jak ich zrealizowania.

– Jaki on ma plan? – spytał, gdy ponownie skręcili.

– Nie mogę ci go zdradzić.

– Dzięki mnie jest na wolności.

Wypuściła mu w twarz kłęb dymu.

– Może ty jesteś wolnym człowiekiem, ale ja służę, Shavoku. Nie zdradzę ci jego tajemnic. – Zatrzymała wierzchowca. – Tu mają na ciebie czekać.

Wskazała tawernę na końcu ulicy. Pomarańczowy blask światła padał na dziurawy bruk. Z wnętrza dobiegały pijackie śmiechy.

Kobieta zawróciła gniadosza, by odjechać, ale Shavok kopnął w boki swojego wierzchowca i zastąpił jej drogę. Złapał Keyari za ramię, a do twarzy przysunął wydobyty z rękawa nóż. Nie pozwoli jej odejść w spokoju, nie po tym, co dziś od niej usłyszał.

– Uważaj, Keytari – rzucił cicho. – Ja jestem wężem, a ty tylko nędznym

szczurem i tanią kurwą. Nie próbuj ograbić mnie z tego, co moje. To ci się nie uda.

Nie widział wyrazu jej twarzy, skrytej w cieniu kaptura, ale Keytari skinęła lekko głową.

– Dobrze – powiedziała nieco drżącym głosem. – Wiem, do czego jesteś zdolny. Zapewniam, że nie masz we mnie wroga.

– Jeżeli mam, to już niedługo.

Schował nóż i popędził konia w kierunku tawerny. Keytari patrzyła za nim chwilę, a potem stępem ruszyła w drogę powrotną. Uśmiechnęła się szeroko spod kaptura i pognąła konia do galopu.

\*

Kerosh Karey stanął przed sypialnią żony i po raz ostatni westchnął w duchu. Jako księżę miał pewne obowiązki – jak choćby przebywanie ze swoją nudną, ponurą żoną, której spojrzenie sugerowało, że obwinią go o wszystkie złe rzeczy, jakie spotkały ją w życiu.

Zapukał do drzwi i wszedł, gdy z wnętrza odpowiedziało mu ciche „proszę”.

Kerosh Rekhe stała przy oknie, przez które sączyło się światło poranka i czytała jakiś list. Wciąż była ubrana w długą, jedwabną koszulę nocną i ciężki szlafrok. Brązowe włosy nosiła krótko obcięte. Rysy twarzy miała regularne, jeśli nie liczyć trochę zbyt szerokiego nosa. Mimo ciemnej karnacji, jej oczy płonęły jasnym, zimnym błękitem.

– Nie było cię wieczorem – powiedziała, nie odrywając wzroku od listu.

– Jego Wysokość mnie wezwał – wyjaśnił Karey. – Długo czekałaś?

Spojrzała na niego przelotnie.

– Nie – zapewniła. – Pomyślałam, że powiem ci dzisiaj. – Złożyła list i rzuciła go na łóżko. – Jestem w ciąży.

Jej ton był tak beznamiętny, że do Kareya przez chwilę nie dotarł sens słów.

– W...? – zaczął.

A potem krzyknął z radości, przyskoczył do dziewczyny, złapał ją w pasie, uniósł nad ziemię i okręcił się wkoło jak bąk. Gdy postawił Rekhe na podłodze, oswobodziła się łagodnie z jego uścisku i cofnęła kilka kroków.

– Idź już lepiej – powiedziała cicho. – Wyglądasz na zmęczonego.

Spojrzał uważnie na jej twarz.

– Nie cieszy cię to – mruknął. Czuł jak w gardle wzbiera mu niechęć do tej ponurej, obojętnej kobiety. Pomyślałby kto, że nawet jeśli nie pokocha jego, będzie zdolna przynajmniej do matczynych uczuć. – Prawda?

– Nie cieszy – odrzekła Rekhe. – Zostaw mnie, proszę.

– Przyszedłem tutaj...



– ...niepotrzebnie – dokończyła ostro. – Jestem brzemienna. Tego ode mnie chciałeś. Proszę tylko o spokój, na który zasłużyłam.

Karey spojrział w jej jasne oczy, którymi wpatrywała się w niego ponuro. *Jest smutną, szarą skorupką, bez niczego wewnątrz*, pomyślał.

– Oczywiście – wycedził.

Odwrócił się i wyszedł z jej sypialni, trzaskając drzwiami.

Na korytarzu czekało kilku jego osobistych gwardzistów.

– Znajdź Krazera – zwrócił się do jednego z nich. – Powiedz, że ma przyprowadzić mi dziewczynę. Jakąkolwiek, byle sprawdzoną. – Zadżganie przez dziwkę, ostatni rodzaj śmierci, o jakim marzył. – Będę w sypialni.

Gwardzista strzelił obcasami i odszedł. Karey skinął na pozostałych, po czym powlókł się przez ciemne, ponure korytarze zamku do swoich komnat.

Jego sypialnia mieściła się o piętro nad sypialnią Rekhe, blisko baszty, którą na własne życzenie zajmował król. W przeciwieństwie do ojca, Karey lubił wygodę i splendor. Dlatego podłogę w jego komnatach okrywał gruby, włochaty dywan, na ścianach wisiały drogocenne obrazy, a łoże było małym dziełem sztuki, rzeźbionym ręką największego artysty Królestwa, Barnabash Koiny.

Karey zwałił się na pościel w butach i ubraniu. Ziewnął szeroko. Zmęczyła go nocna narada z ojcem, odwiedziny Viseriyi Shavoka i humory Rekhe. Nagle pożałował rozkazu, który wydał gwardziście. Potrzebował snu, a nie towarzystwa. *Dam jej trochę złota i odeślę*, pomyślał mgliście. *Ucieszy się tak czy inaczej*. Oczywiście same się mu zamknęły.

Obudziła go Perła, dziewczyna z luksusowego burdelu, który Karey bardzo lubił. Miała gibkie, zwinne ciało, bladobłękitne oczy i czarne włosy, które układały się we wspaniałe pukle. Klęczała nad Kareyem, całując go długo i namiętnie.

– Książę jest zmęczony? – spytała cichym, zmysłowo schrypniętym głosem, gdy zauważyła, że się obudził.

*Niech cię szlag trafi, Krazer, zawsze wiesz, czego mi trzeba.*

– Zmęczony i smutny – sprostował.

– Chcesz, żebym cię pocieszyła?

– Chcę, żebyś pomogła mi zapomnieć.

Uśmiechnęła się słodko.

– Niech będzie – szepnęła i znów go pocałowała.

### III

Gdy Maghar ocknął się za pierwszym razem, świat pogrążony był w ciemności i chłodzie nocy. Wokół kręcili się ludzie, mroczne sylwetki o niewyraźnych konturach. On leżał na cienkim sienniku, nakryty stertą koców i futer. Kilka

metrów dalej płonęło nędzne ognisko.

Ktoś przykucnął obok. Twarz była rozmazaną, pomarańczowo-czarną plamą.

– Pić – wychrypiał rozpaczliwie ranny.

Zamiast wody, której rozpaczliwie pożądał, do jego ust trafiła metalowa łyżka z lepka, rozgotowaną kaszą. Przełknął tylko po to, by znów poprosić o picie, ale oprawca pchał mu w usta kolejną porcję ohydnej brei. Później następną. I jeszcze jedną.

Nie wiedział, ile zjadł, ale koniec przymusowego karmienia powitał z ulgą. Przy jego ustach znalazł się kubek z rozcieńczonym winem. Maghar wypił całą zawartość naczynia, ignorując ziołowy posmak.

Dopiero, gdy jego mięśniami targnęły znajome skurcze, zrozumiał, że znów spojono go trucizną księżycowego kwiatu. Przeklinał własną głupotę aż do chwili, w której stracił przytomność.

\*

Następne przebudzenie również nie należało do najprzyjemniejszych doświadczeń. Magharowi kręciło się w głowie. Leżał na plecach i słońce raziło go w oczy. W skroniach pulsował tępy ból. Zesztywniałe ciało drżało z wysiłku przy próbie wykonania najlżejszego ruchu.

Przez długą chwilę Maghar nawet nie drgnął. Poddał się telepaniu odkrytego wozu, na którym jechał. Wciągał w nozdrza stęchły zapach leżących wokół koców i futer. Wreszcie wykrzesał z siebie nędzne resztki sił i usiadł, stęknąwszy głucho. Zawirowało mu w głowie tak mocno, że musiał zamknąć oczy.

– Obudził się! – zawołał ochryply, męski głos.

*Dzięki za fanfary. Mogłyby być cichsze,* pomyślał Maghar. Głośny dźwięk sprawił, że głowa rozbolała go jeszcze bardziej.

Wóz stanął, czemu towarzyszyło szarpnięcie, od którego Magharowi zwinął się żołądek. Otworzył w końcu oczy i znów olśniła go jasność dnia. Jakiś mężczyzna w połatanym płaszczu wlaź na wóz, niosąc drewniany kubek. Łyżką wygrzebał z niego trochę rozmoczonego w sosie chleba i próbował wcisnąć go do ust chorego. Ten odepchnął jego rękę.

– Wody – zażądał słabo.

Wóz otoczyło kilku jeźdźców, wszyscy zarośnięci i ubrani w nędzne, połatanie szmaty. Jeden podprowadził konia bliżej i podał więźniowi bukłak. Maghar skosztował ostrożnie, ale nie wyczuł trucizny. Napił się chciwie, oblewając hojnie brodę i przód koszuli.

Nadjechał Bruner Tartok, w swoim lisim futrze i czapie nasuniętej na czoło. Obrzucił Maghara krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Większa dawka – poinstruował.

– Są skuteczniejsze sposoby, by zabić człowieka – powiedział Maghar, oddając bukłak właścicielowi. – Daj mi miecz, to pokażę ci kilka.

– Nie chcę cię zabić – rzucił pogardliwie Bruner.

*Wiem, przytaknął w myślach Maghar. Nie rozumiem tylko, dlaczego.*

Dwóch jeźdźców ostrożnie zeskoczyło z koni i wspięło się na wóz. Widząc ich niepewne ruchy, Maghar uznał, że dałby sobie z nimi radę nawet bez broni, gdyby tylko był w lepszym stanie. Teraz, chociaż nie czuł się zupełnie otępiały jak zaraz po przebudzeniu, nie miał nawet siły, aby wstać. Nie wiedział, gdzie i po co go wiozą. Ciągłe też nie docierały do niego w pełni konsekwencje takiego obrotu spraw.

Jeden mężczyzna wykręcił mu ręce w tył, a drugi szarpnął za włosy, odchylając głowę. Zębami odkorkował blaszaną manierkę i wlał do gardła trochę płynu. Spojony w ten sposób, zakrztusił się i zaczął kaszleć. Wyszarpał się z uchwytu drabów i pochylił w przód, bliski uduszenia.

– Daj mi to, kurwa – warknął, wrywając swojemu oprawcy manierkę.

Zaczął pić. Bruner Tartok obserwował go spod zmarszczonych brwi, aż wreszcie wykrzyknął:

– Na litość bogów, zabierzcie mu to!

Ktoś wyrwał Magharowi manierkę. Chciał powiedzieć otaczającym go gnojom, co o nich myśli, ale dostał potwornego szczękościsku. Przed oczami zrobiło mu się ciemno, nogami szarpnęły skurcze i wreszcie padł ponownie na wóz.

Pod wieloma względami trucizna była lepsza nawet od wina. Ofiarowywała całkowite zapomnienie.

\*

Jak przez mgłę słyszał głosy. Wóz stał. Bruner Tartok głośno wyjaśniał komuś, że wiezie towar na targ w Spalonym Mieście. Odpowiedzią było mrukliwe potwierdzenie i stukot kopyt na trakcie. Żołnierze z przydrożnego garnizonu, pomyślał Maghar. *Jesteśmy na trakcie do Spalonego Miasta.* Próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, co robią tak daleko na południu, ale nie zdołał. Był otępiały, głodny, spragniony i wyczerpany długotrwałym działaniem trucizny. Otaczał go stęchły odór dawno martwych zwierząt. Przewrócił się na bok i zwinął w kłębek.

Ktoś odsunął mu z twarzy skóry. Światło poraziło Maghara. Zamknął niechętnie oczy i wtulił twarz w futra. Szarpnięto nim i posadzono do pionu. Niechętnie uniósł powieki. Na wozie przykucnął Bruner Tartok, który spoglądał na niego z troską.

– Musisz coś zjeść – uznał.

– Muszę wrócić do Domu Pierwszych Zdobywców – odrzekł Maghar i w tej samej chwili przywalił go ogromny ciężar tych słów.

– To niemożliwe.

Maghar odetchnął, starając się zachować spokój.

– Nic nie rozumiesz. Oni mają mojego siostrzeńca.

– Kto?

– Milicja – warknął Maghar. – Dali mi miesiąc.

Żywił nikłą nadzieję, że zostanie zrozumiany. Nie miał do czynienia z człowiekiem, którego wzrusza cudze cierpienie.

– Nic nie mogę zrobić – powiedział martwym głosem Bruner.

– Nieprawda. Po prostu gówno cię to obchodzi.

Maghar nawet nie był wściekły. Czuł tylko przytłaczającą rezygnację. Po raz kolejny zawiódł. Nadawał się tylko do zapijania na śmierć.

Jeden z drabów w połatanym stroju podjechał z drewnianą miską pełną jakiejś papki. Podał Tartokowi naczynie, a ten wcisnął je w ręce Maghara.

– Jedz – nakazał.

Maghar wyłowił z miski łyżkę i chwilę grzebał w posiłku. Był to rozmoczony w tłuszczu chleb. Zaczął jeść, jednocześnie rozglądając się dookoła. Jak podejrzewał, jechali traktem – kilka wyładowanych wozów, Tartok i może czterdziestu uzbrojonych drabów w zniszczonych ubraniach. Za nimi mała drewniana stanica, stojąca przy drodze. Po lewej i prawej rozciągały się rdzawe równiny. Siąpił zimny deszcz.

Maghar nie miał już woli walki. Czuł się wyczerpany z sił. Gdyby próbował teraz wstać, zatoczyłby się i upadł. Zjadł całą zawartość miski, po czym przyjął dobrze znaną manierkę.

– Do dna – powiedział mu Tartok.

– Niech cię szlag – odrzekł zrezygnowany Maghar.

Przycisnął naczynie do ust i posłusznie wypił całą zawartość. Nim przełknął ostatni łyk, stracił przytomność.

\*

Było ciemno i straszliwie zimno.

Maghar leżał na wypchanym sienniku, nakryty grubym futrem jakiegoś zwierzęcia. Obok siebie ujrzał pustą miskę. Sięgnął rozpaczliwie ku niej, przyciągnął i zwymiotował. Usta wypełnił mu smak kwasu i żółci, wymiociny bryzgnęły nawet nosem. Trząśnięcie chwilę, pochylony nad naczyniem, a potem powoli dźwignął się na klęczki. Usłyszał szelest, kiedy coś przemknęło obok jego ręki. *Szczur*, uznał. *Lochy*? Myśl była bzdurna. Ściany, które go otaczały,

wzniesiono z jasnego płótna, nie z solidnych kamieni.

Maghar zacisnął zęby i spróbował podnieść się na nogi. Lewe kolano zgięło się samo z siebie, w efekcie czego upadł twarzą w piasek. Splunął, odetchnął głęboko i raz jeszcze zebrał się na nogi. Ustał, chociaż łydki mu drżały.

Coś żywego i miękkiego otarło się o jego stopę. Wzrok na tyle przywykł już do ciemności, że ujrzał przemykające po piasku drobne sylwetki kilku gryzoni. Nie miał butów ani płaszcza. Na pogryzionym przedramieniu wymacał bandaż, chyba całkiem świeży.

Odnalazł połę namiotu, odgarnął ją gwałtownym ruchem i chwiejnie wyszedł w noc.

Wszędzie wokół bieleły namioty. Za źródło światła służyły wbite w ziemię pochodnie. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się piaszczysta pustynia. Gdzieś w ciemności parskaly konie. Wokół namiotu Maghara stał kordon zakutych w zbroje wojowników. Jeden z nich podszedł do niego. Pod pachą niósł hełm. Jego pancerz znaczyły wgniecenia, rysy i rdzawe ślady krwi, ale, sądząc po przyszczatej twarzy, był jeszcze bardzo młody.

– On chce cię widzieć – rzucił.

Maghar aż podskoczył. *Na litość bogów, kobieta!*, pomyślał. Nigdy nie domyśliłby się tego po kwadratowej szczęce, wielokrotnie złamanym nosie i małych, krzywych oczkach. Poza tym babsztyl musiał być naprawdę dobrze zbudowany, bo w zbroi wyglądał bardziej muskularnie od niejednego mężczyzny.

– Kto? – spytał Maghar, jeszcze bardziej skonfundowany nagłym odkryciem dotyczącym płci rozmawiającego z nim zjawiska.

– Nie gadać – warknęła kobieta, szarpnęła go za ramię i pchnęła mocno.

Maghar wypatrzył największy namiot, stojący mniej więcej w centrum obozowiska. Nie było to trudne – przez białe ściany bił blask jaśniejszy od światła pochodni.

Nogi nie do końca go słuchały, a piach usypywał się spod stóp, w związku z czym potykał się co chwilę. Odwracały się za nim głowy siedzących przed namiotami kobiet i mężczyzn. Wśród nich byli siepacze Tartoka. *Może setka ludzi*, ocenił, próbując za wszelką cenę zorientować się w sytuacji, odnaleźć sens ostatnich wydarzeń.

Przed jasno oświetlonym namiotem straż pełniły uzbrojone w karabiny Dzieci Ognia. *A jednak*, pomyślał kpiąco. *Ktoś tu nie dotrzymuje warunków sojuszu.*

*Kobieta z fioletowymi włosami związanymi w ciasny kucyk zastąpiła mu drogę. Od stóp do głowy ubrana w skóry, u pasa miała krótki miecz, a na plecach karabin. Chociaż owinęła się płaszczem ze skrawków wielobarwnej tkaniny, drżała od nocnego chłodu.*

– Po co go tu prowadzisz? – spytała.

– Jakiś tajemniczy „on” chce mnie widzieć – wyjaśnił jej Maghar, nim jego przewodniczka zdążyła otworzyć usta. – Domyślam się, że chodzi o Itonokę – dodał.

– Zamknij mordę i oszczędź nam swoich mądrości – warknęła strzyga w zbroi, popychając go naprzód. Cios prawie zwałił Maghara z nóg. Posłusznie przeszedł kilka kroków, które dzieliło go od wnętrza namiotu i wszedł do środka. Usłyszał, że strzyga ruszyła za nim. Wnętrze namiotu urządzone skromnie, chociaż wygodnie. Obszerne posłanie oddzielone od reszty pomieszczenia dwoma zasłonami z delikatnej tkaniny, niski stół i kilka poduch do siedzenia służyło za cały wystrój. Kilka ogromnych lamp paliło się jasnym światłem. Najbardziej okazała stała na stole, wśród cynowych półmisek i talerzy. Maghar dostrzegł wielkiego, tłustego szczura, który zażerał się kromką ciemnego chleba. Kilka mniejszych zwierząt myszkowało wśród kawałków kurczaka, obranego jabłka, owsa i rozgniecionych ziemniaków. Widział je także Bruner Tartok, siedzący przy stole z niepewną miną. Maghar mu się nie dziwił. Wszędobylstwo tych szkodników wzbudzało obrzydzenie nawet w nim, a nie należał do najwrażliwszych.

Nintan Itonoka siedział na posłaniu naprzeciw wejścia, z kielichem w dłoni, a o jego kolano ocierał się czarny szczur z pogryzionymi uszami, domagając się smakołyków ukrytych w garści mężczyzny. W Magharze wezbrała fala nienawiści, jednak niemal natychmiast opadła. Pamiętał Itonokę jako bardzo wysokiego, muskularnego mężczyznę o przystojnej twarzy i melodyjnym tenorze, który budził w kobietach dreszcz podniecenia. Teraz siedział przed nim żywy trup, wychudły strzęp człowieka o zapadłych ślepiach i bladej, cienkiej skórze opinającej kości. Zdawało się, że ledwo jest w stanie utrzymać naczynie z winem. Suche, połamane, całkiem siwe włosy okalały jego straszliwą twarz. Koszula i spodnie luźno zwisały na ciele. Zapłacił za swoje uczynki, Maghar widział to aż zbyt wyraźnie. Poza tym wszystko, co ich podzieliło, miało miejsce bardzo dawno temu.

Dlatego to nie Itonokę zaatakował tak szybko, jak tylko był w stanie, ale Tartoka. Prawie go dopadł, kiedy poczuł palce strzygi, zaciskające się na jego karku. Szarpnęła Maghara w tył, aż się zatoczył i dobyła miecza.

– Dość tego! – rozległ się ochryply, zgrzytliwy głos.

– Schowaj broń – powiedziała do strzygi kobieta o fioletowych włosach, stojąca w wejściu do namiotu z gotowym do strzału karabinem. W świetle lamp misterny wzór zdobiący jej skórę mienił się żółcią, pomarańczem i czerwienią. – Już, Khale.

Strzyga usłuchała, splunęła na piasek i wymaszerowała z namiotu. Fioletowowłosa opuściła karabin i oparła go o nogę.

– Zostanę – powiedziała.

– Proszę cię bardzo – odrzekł Nintan.

Chudymi, wykręconymi palcami podał szczurowi kęs pokarmu.

– Siadaj, Renie Magharze – powiedział zbieg zgrzytliwym głosem. – Należy sobie wina czy coś w tym rodzaju. Jak się miewa siostra?

Błąd. Nienawiść powróciła potężną falą, tak szybko, jak chwilę temu zdołał się jej wyrzec.

– Jak śmiesz o niej wspominać, skurwysynu? – wycedził.

Itonoka napił się.

– Wiele nas podzieliło, Ren – zauważył. – Mimo to staram się być uprzejmy i oczekiwałbym tego samego. Teraz nalegam, abyś usiadł na dupie i napił się wina.

Chociaż Lochy Trolli wyniszczyły go w przerażającym stopniu, Itonoka nie stracił nic ze swojej dawnej charyzmy. Najmłodszy marszałek Rady Stanu w historii Kahru, zdolny dowódca i komendant, za którym żołnierze szli na śmierć chętniej niż za kimkolwiek innym, przemawiał tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem, co kiedyś. Magharowi pozostało usiąść na jednej z poduch i przyciągnąć sobie dzban oraz pusty kielich. O jego rękę otarł się piaskowy szczuroskoczek, na co Maghar wzdrygnął się i odepchnął niechętnie gryzonia. Nalał sobie wina i zauważył, że dłonie mu się trzęsą. Upił łyk i chwilę smakował płyn na języku.

– Wino zawdzięczamy uprzejmości pana Tartoka – powiedział oschle Itonoka.

Maghar przełknął.

– Bardzo dobrze znam smak jego wina – zapewnił ironicznie.

Bruner posłał mu złe spojrzenie.

– Mówiłem panu, ten człowiek jest niebezpieczny – powiedział do Itonoki.

– A ja mówiłem, że znam go lepiej niż pan – uciał ten. – Niech pan zaufa drogiej Rivie i jej karabinowi. – Przepił do stojącej w wejściu kobiety.

– Po co mnie tu ściągnąłeś? – warknął Maghar.

– Nie mogę jednak liczyć na uprzejmość? – westchnął Itonoka. – W porządku, Ren. To nie ja cię tu ściągnąłem.

Tartok wessał głośno powietrze. Riva poruszyła się niespokojnie, skrzypiąc skórzanym strojem.

– Uważaj na słowa – powiedziała cicho.

Maghar chciał odpowiedzieć, ale ku jego zdumieniu, zrobił to Itonoka:

– Mówić jeszcze mi wolno. Keytari jest teraz kawał drogi stąd, a Ren Maghar nie jest aż tak wielkim głupcem, by w czasie gościny tutaj nie zorientować się, kto jest panem, a kto zakładnikiem. – Zwrócił na Maghara niepokojące, bursztynowe oczy, zdające się przewiercać go na wskroś. – Szczurza Pani cię tu ściągnęła, a raczej,

jeżeli mamy być konkretni, zamówiła cię jak towar.

Maghar popatrzył ze wstrętem na Tartoka, który wzdrygnął się i otarł pot z czoła.

– To prawda – powiedział niechętnie. – Miałem cię tutaj dostarczyć i zacząłem już szukać ludzi, ale, na szczęście, wpadłeś mi w ręce. Ogromne szczęście...

– Szczęście, że nie jesteś w mojej mocy – przerwał mu Itonoka, wciąż wpijając spojrzenie w Maghara. – Kazałbym cię powiesić na miejscu.

– Uprzejmość przede wszystkim – stwierdził cierpko Maghar, bardziej zainteresowany bliskością wina niż pustymi groźbami. Zamierzał ciągnąć tę rozmowę przynajmniej, dopóki nie skończy się alkohol. – Czego chce ode mnie Szczurza Pani?

– Kobiety są po to, by je ruchać, nie po to, by rozumieć – powiedział obojętnie Itonoka. – Nie mam pojęcia, po co cię tu ściągnęła.

– Ile ci zapłaciła? – Maghar zwrócił się do Brunera. – Chcę wiedzieć, za jaką kwotę przehandlowałeś życie mojej rodziny.

– Zapłaciła? – powtórzył Bruner i prychnął pogardliwie. – Pozwoliła mi żyć.

Maghar dopił resztkę wina i cisnął w niego kielichem. Grubas nie zdołał się uchylić. Naczynie grzmotnęło go w środek czoła. Zaklął szpetnie, przyciskając dłonie do miejsca uderzenia. Maghar usłyszał szczęk odbezpieczonego karabinu, ale było mu wszystko jedno. Stał już na nogach.

– Uważaj – rzucił Itonoka. – Jestem cenniejszy. – Maghar obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Obszedł chwiejnie stół, bo w głowie mu wirowało i podniósł swój kielich. – Zostaw nas samych – dodał Itonoka, skinąwszy ręką Tartokowi, który raczej uciekł niż wyszedł z namiotu.

Maghar nalał sobie wina i wypił je duszkiem. Później usiadł przy stole, odgonił od półmiska z kawałkami kurczaka dwa żerujące szczury i zaczął jeść.

– Co z twoją rodziną? – spytał Itonoka, karmiąc swojego gryzonia kawałkami chleba.

– Co cię to obchodzi? – warknął Maghar z pełnymi ustami, starając się nie wypluć przeżutego mięsa na brodę. – W co ty, kurwa, pogrywasz? Odpierdol się ode mnie, od mojej rodziny, od... Dlaczego tu jest tyle tych małych chujów? – wrzasnął, gdy jakiś szczuroskoczek uwiesił się jego kielicha, by zajrzeć do środka i w efekcie przewrócił naczynie.

Chwycił za nóż i chciał przebić zwierzę, ale Itonoka rzucił:

– Nie radzę.

Maghar wbił nóż w stół. Chwilę spoglądał na chłepczącego wina gryzonia i ten widok jakoś go uspokoił, pomógł opanować wezbraną furie. To zwierzę chciało



tylko napić się alkoholu, a on znakomicie rozumiał tę potrzebę. Już opanowanym głosem powiedział:

– Też racja.

Przypomniawszy sobie o Szczurzej Pani. Tak, bez wątpienia dostrzegawszy w tym obozowisku piętno jej władzy, a przynajmniej zaczynał rozumieć, skąd wzięła pseudonim. Jeżeli instynkt go nie zwodził, rozsądniej było się wstrzymać od wybijania jej pupilków.

– W nic nie pogrywam – ciągnął cicho Itonoka. – Straciłem rodzinę i własne życie. Ostatnie dziewięć lat spędziłem w Lochach Trolli, będąc niewinnym, o czym dobrze wiesz. Życie we mnie zgasło. Wiesz, o co zapytałem, gdy byłem już w stanie mówić?

Maghar popatrzył na niego ponuro.

– O Geshwanka – powiedział z niezachwianą pewnością. – Też bym tak zrobił.

Itonoka skinął głową.

– I usłyszałem, że go zabiłeś.

– Nie jestem królobójcą.

– Wierzę. Znam cię, Ren. Nie zdradziłbyś go, o zabójstwie nie wspominając. To co w końcu z twoją cholerną rodziną? – spytał.

– Pierdol się – wycedził Maghar.

– Mogę im pomóc.

– Baria dość wycierpiała przez ciebie.

– Mniej niż ja dzięki tobie.

– Nic nie mogłem zrobić!

Itonoka mierzył go uważnym spojrzeniem bursztynowych oczu.

– Mogłeś – odrzekł. – Zginałbyś za to, ale nie to przesądziło o twojej decyzji. – Napił się. – Kiedy oskarżono mnie o zamordowanie żony i dziecka, milczałeś, chociaż znałeś prawdę. Po pierwsze, dlatego, że zawsze byłeś tak cholernie lojalny wobec Geshwanka. Po drugie, ze względu na to, co zrobiłem Barii.

Maghar zupełnie stracił apetyt. Znów nalał sobie wina. Stracił rachubę, ale po narastających zawrotach głowy i nieco bełkotliwym brzmieniu własnego głosu ocenił, że wypił więcej niż mu się zdawało. Osuszył kielich i odstawił go na stół. Zauważył, że ciągle drży mu dłoń. Przyglądał się jej przez chwilę, a wreszcie powiedział:

– Postąpiłem podle. Ty również.

– Brałeś w tym udział?

Maghar poczuł dreszcz biegnący mu wzdłuż kręgosłupa. Sięgnął po dzban i znów nalał sobie wina, chociaż poprzedni kielich miał być ostatnim. Tym razem pił

powoli, łyk za łykiem, próbując zebrać myśli.

– Nie znam nazwisk ludzi, którzy zasiekli Cerenę i Totankę, wiem natomiast, że wielu z nich już nie żyje. Wiedziałem, po co pojechali do twojego domu. Dostałem rozkaz, żeby cię aresztować. – Oblizał wargi. – Tak, brałem w tym udział, chociaż nie zabiłem żadnej z nich. – Zajrzał do pustego kielicha. Miał dość tej rozmowy, która z każdym zdaniem zdawała się wymagać coraz większego intelektualnego wysiłku. Chętnie by już sobie poszedł, najlepiej przygarnąwszy dzban. – Może jednak ukręcisz mi sznur?

– Zemsta byłaby cudowna – stwierdził Itonoka głosem ociekającym słodyczą trucizny. – Gdyby istniał choć cień nadziei, że przyniesie mi ukojenie – dodał i podał liżącemu go po palcu szczurowi ostatni kąsek chleba. – Co grozi Barii?

– Komendant Kasharp.

– Milicja?

Maghar skinął głową.

– Dał mi miesiąc na dostarczenie informacji na temat twojej ucieczki z Lochów Trolli – wyjaśnił.

– Nieudacznik.

– Ale jeżeli się nie pojawię lub pojawię z niczym, zajmie się moim siostrzeńcem.

– Baria ma dzieci? – spytał Itonoka z ożywieniem.

Maghar przyglądał mu się przez chwilę. Zastanawiał się, jak wiele powinien powiedzieć akurat temu człowiekowi. Dość szybko uznał, że i tak nie jest w stanie myśleć zbyt jasno, więc tylko skinął głową.

– Córkę i syna.

– Kto...? – zaczął Itonoka, a potem wściekle machnął ręką. – Nieważne. Nie obchodzi mnie to. – Odstawił kielich. – Wyjdźcie. Wszyscy. Muszę pomyśleć.

Kobieta wreszcie opuściła swoje stanowisko z pełnym dezaprobaty prychnięciem. Maghar podniósł się powoli. Wino uderzyło mu do głowy mocniej niż początkowo sądził. Zachwiał się na nogach i prawie przewrócił. Potrzebował solidnego odpoczynku. Mimo to niechętnie wyszedł z namiotu.

Nocny chłód przeniknął go do szpiku kości. Bosy i zmarznięty ruszył przez obozowisko. Nikt mu nie towarzyszył, ale wszystkie głowy obracały się czujnie, kiedy przechodził. *Nie mam szans stąd uciec*, uświadomił sobie. *A nawet jeśli, to niewiele mi to da*. Wiedział tylko, że znajduje się gdzieś na Pustyni Żywych Piasków, zapewne w pobliżu Spalonego Miasta, daleko na południe od Domu Pierwszych Zdobywców. Bez dokładnego określenia kierunku mógł błędzić wśród tych wydm do śmierci.

Strzyga imieniem Khale czekała przed jego namiotem.

- Włóż do środka – warknęła.
- Włóżę – odrzekł niechętnie. – Odpuść trochę, mała.

Wargi kobiety zadrgały wściekle, a dłonie zacisnęły się w pięści. Maghar po prostu ją wyminął i wszedł do namiotu. Stał chwilę w oczekiwaniu, aż wzrok przyzwyczai się do zupełnych ciemności. Rozejrzał się uważnie. Na wygodnym, wypchanym sienniku zwinęło się do snu kilka szczuroskoczków o piaskowej sierści. Miskę z wymiocinami wyniesiono. Dostrzegł za to niewielki, niski stolik, na którym stały wygaszona lampa, pusty dzban i cynowy kielich. Były ustawione w sposób sugerujący, że ktoś wyszedł stąd jedynie na chwilę, ale pokrywała je warstwa kurzu. Zauważył też skrzynię, malowaną w jakieś wzory, których nie mógł w mroku rozpoznać. Przyklęknął przy niej i ją otworzył. We wnętrzu nie było nic niezwykłego, tylko trochę ubrań i ksiąg. Mimo to zaczął wyciągać rzeczy na piasek, jedna po drugiej. Szeleszczące suknie ze zwiewnych jedwabów i tiuli, luźne koszule, spodnie z czarnej skóry, wysokie, sznurowane buciory, kilka wielkich tomów w obcych językach. Dogrzebał się aż do dna skrzyni, ale nie znalazł niczego, co mogłoby posłużyć jako potencjalna broń. Zaklął przez zęby. Wolałby mieć przy sobie chociaż nóż.

Zaczął z powrotem składać i otrzepywać rzeczy z piasku. Poukładał je w skrzyni najstaranniej jak umiał, ale i tak było widać, że tu grzebał. Nie sądził, aby kogoś to obeszło.

Szczurza Pani, Keytari. Te trzy słowa tłukły się mu po głowie, kiedy gładki materiał sukien przeslizgiwał się między jego palcami. Ze słów Itonoki i z tego, co widział, wynikało, że to ona jest kluczem do rozwikłania zagadki.

Maghar zmarszczył brwi, usiadł na sienniku i wsadził w niego rękę. Siano drapało skórę, gdy macał przez chwilę we wnętrzu materaca. Nic nie znalazł. Brutalnie strącił siedzące na kocu szczuroskoczki i położył się na plecach.

Zasnął niemal natychmiast.

\*

Maghara obudziło niezbyt czułe kopnięcie w bok. Drgnął i otworzył załzawione od snu oczy. W namiocie było gorąco i duszno. Przez cienkie ściany przesączało się ostre, słoneczne światło.

Nad Magharem stała kobieta w zbroi. Nie była to Khale – miała bardziej trójkątną twarz, szerszy nos i pełniejsze usta. Jej smagła skóra i czarne włosy wskazywały na kahrańskie pochodzenie.

- Potrzebny mi twój rodowy pierścień – oznajmiła.
- Po co? – jęknął Maghar.
- Po prostu go daj.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Pochyliła się, ale Maghar odepchnął jej wyciągniętą rękę.

– Rozkaz Itonoki – warknęła.

– Nie wypełniam jego rozkazów.

Kobieta wyszczerzyła gniewnie zęby, chwyciła go za ramię i szarpnięciem próbowała postawić na nogi. Nie była na to dość silna, więc dała sobie spokój i znów kopnęła Maghara.

– Wstań i powiedz mu to.

Maghar splunął jej pod nogi, ale powoli zebrał się z siennika. Odsunął połę namiotu i wyszedł na zewnątrz, prosto w upał. Trzymające wartę wokół jego namiotu strzygi, uparcie noszące swoje zbroje, musiały gotować się żywcem.

Itonokę dostrzegł przy grupie wozów i jeźdźców, najwyraźniej zbierających się do drogi. Ruszył w jego kierunku i szybko zrozumiał, że wyjście boso z namiotu było bardzo złym pomysłem. Piach parzył w podeszwy: Maghar stanął przed Itonoką, tańcząc w miejscu.

W świetle dnia zbiegły więzień wyglądał jeszcze gorzej. Jego twarz szpeciły blizny po wrzodach, maskowane przedtem przez światło lamp. Wspierał się na prostej lasce. Stojący obok niego Bruner Tartok na widok Maghara zmarszczył brwi i dotknął rozbitego czoła.

– Po co ci mój pierścień? – warknął Maghar do Itonoki.

Itonoka pomasaował skroni.

– Nie drzyj się – wycedził. – Głowa mi pęka. Daj mi tę błyskotkę.

– Po co?

– Jeżeli chcesz zobaczyć siostrę żywą, oddaj mi pierścień.

Maghar zawahał się, a potem zsunął z serdecznego palca wykonany z polerowanej stali pierścień ze swoim herbem, Wściekłym Psem. Położył go na wyciągniętej dłoni Itonoki.

– Jeżeli robisz mi fałszywe nadzieje, zabiję cię – zapowiedział.

Nie zabrzmiał zbyt poważnie, bo wciąż przeskakiwał z nogi na nogę.

– To niewiele dla mnie znaczy – odrzekł Itonoka. – Niech go pan nie przehandluje – dodał, podając pierścień Tartokowi. – Ruszajcie już.

Tartok skinął głową, po czym dosiadł konia.

– Weźmie pan na siebie odpowiedzialność za tę decyzję – powiedział ostro.

– Niech się pan nie martwi o swoją skórę – warknął Itonoka. – Rozmówię się ze Szczurzą Panią, gdy wróci.

– Nie spodoba się jej to.

– Jedźcie.

Tartok krzyknął coś do swoich ludzi. Ruszyli powoli, bo kopyta koni i koła wozów grzęzły w miękkim piasku. Maghar patrzył za nimi, wciąż podskakując jak skończony głupiec.

– To wiele dla ciebie znaczy – rzucił.

– Co? – warknął Itonoka.

– Twoje życie.

– Moja rodzina nie żyje, wojsko mnie zdradziło, kraj o mnie zapomniał – odrzekł z goryczą zbieg. – Straciłem wszystko, co kochałem. Myślisz, że to, co mam teraz, to życie?

– Tkwisz tu i jesteś więźniem jakiejś szalonej kobiety. Gdyby twoje życie było bezwartościowe, robiłbyś wszystko, aby się uwolnić.

Itonoka przygryzł wargę.

– Porozmawiamy na ten temat, kiedy ją poznasz – powiedział wreszcie i odszedł.

#### IV

Przez dwa tygodnie Maghar zdążył zadomowić się w obozie, chociaż każdego dnia zżerał go niepokój. Dwukrotnie próbował ucieczki, ale łapały go kobiety służące Khale. Szybko przekonał się, że wszystkie to wredne zdziury. Jeździły konno i walczyły równie dobrze, jak mężczyźni. Maghar mógłby szanować je za te umiejętności, gdyby nie to, że były antypatyczne do granic możliwości. Odnosiły się do niego z wyższością i pogardą. Tak samo zachowywały się wobec Synów Ognia pilnujących Itonoki.

Riva, która dowodziła oddziałem Dzieci Ognia, również nie należała do najmiłszych. Co prawda wobec swoich kolegów zachowywała się znośnie, chociaż w nieco oschły sposób, jednak na Maghara warczała jak wściekły pies. Nie miał pojęcia, czym aż tak się jej naraził.

Itonoka również nie stanowił doborowego towarzystwa. Jego i Maghara dzieliły sprawy przeszłości, poza tym pobyt w Lochach Trolli zrobił swoje i zbiegły więzień większość czasu spędzał, odpoczywając w namiocie.

Słowem, Maghar nie miał nic do roboty. Spędził dwa tygodnie, pijąc wino z przywiezionych przez Tartoka zapasów, próbując bezskutecznie zapomnieć o groźbie wiszącej nad jego rodziną, włóczęg się po obozie i obserwując treningowe potyczki Strzyg. Przy takiej okazji raz – jeden jedyny – podjechała do niego Khale i z wysokości wierzchowca rzuciła:

– Chcesz? – A gdy skinął głową, zakomenderowała: – Dajcie mu broń!

Zaproponowano mu miecz, ale wołał topór. Jedna ze strzyg odstąpiła mu karosza; narwanego, masywnego ogiera. Od innej dostał tarczę. *Niezbyt uczciwa walka*, pomyślał, bo Khale miała nie tylko zbroję i hełm, ale też konia, który jej

słuchał.

Mimo to pogalopowali na siebie, co w przypadku karosza było raczej wyuczonym zachowaniem niż nakazem jeźdźca. Koń nie zamierzał ustawić się w pozycji, która ułatwiłaby wymianę ciosów. Próbował za to ugryźć wierzchowca Khale.

– Myślisz, że ze mną wygrasz, nadęty samcze? – warknęła strzyga.

Maghar nie zamierzał odpowiadać na zaczepkę i wyprowadził nieco niezgrabny cios, który Khale bez trudu odbiła tarczą. W odpowiedzi natarła na niego i grzmotnęła go płazem turniejowego miecza tak mocno, że zamroczony spadł z konia. Leżał chwilę i patrzył w niebo, a kiedy mroczki przestały mu latać przed oczami, usiadł powoli. Otarł krew, spływającą mu cienkim strumieniem z rozbitej głowy. Strzygi przez cały ten czas stały wkoło, wyjąc ze śmiechu. Maghar uznał, że pierdoli podobne ćwiczenia i nigdy więcej nie wrócił na ogrodzony skrawek pustyni, gdzie kobiety Khale urządzały swoje treningi.

*Jestem w piekle, gdzie kobiety są brzydkie i wredne, wino cienkie, a noce zimne i samotne.* Od picia nieustannie bolała go głowa. Chociaż miał mnóstwo czasu, nie dosypiał. Dręczyły go koszmary i troska o Barię.

Po dwóch tygodniach takiej męki zjawiła się ona.

Maghara obudziły głosy. W namiocie było ciemno. Jakiś szczur hałaśliwie zżerał suchy kawałek chleba, ale do towarzystwa gryzoni zdążył się przyzwyczaić. W obozie było ich więcej niż ludzi, zawsze tłoczyły się na stołach z jedzeniem i już kilka samic wydało mioty w jego sienniku. Ich nagie oseski wyrzucał wraz z pokrwawionym sianem.

Przez chwilę leżał, nasłuchując pokrzykiwań z zewnątrz. W końcu wstał, wciągnął na nogi buty i, nie sznurując ich, owinał się kocem. Zaspany i skacowany, wytoczył się przed namiot.

Ku jego zdumieniu, obóz właśnie zwijano. Ładowano namioty i sprzęty na wozy, do których zaprzęgnięto konie. Pośród ogólnego harmidru i kręcących się wszędzie, zakutych w zbroje kobiet, Maghar dostrzegł ją.

Rozmawiała z Khale, owinięta w zakurzony, czarny płaszcz z odrzuconym na plecy kapturem. Jej gniada klacz, zgrabna i długonoga, wyglądała na zdrożoną. Szczurza Pani jaśniała w ciemności nocy niczym gwiazda. Jej śnieżnobiałe włosy spływały warkoczem aż do pas. Albinotyczna skóra ostro kontrastowała z ciemnym strojem. Obróciła głowę – jej twarz zdobiła podłużna blizna na lewym oku, w niecodzienny sposób urokliwa – dostrzegła go i skierowała ku niemu klacz. Maghar czekał w wejściu do namiotu. W gardle miał sucho, czuł w nim smród przetrawionego alkoholu i łupało mu w głowie.

Szczurza Pani osadziła wierzchowca krok od niego.

– Przyda ci się – powiedziała i rzuciła Magharowi bukłak.

Złapał go z wdzięcznością i pociągnął solidny łyk. Woda, chociaż słodkawa i zatechła, wypłukała z ust suchość oraz obrzydliwy posmak.

– W Kahrze nie jest przyjęte zwracanie się tak obcesowo do nieznajomych – stwierdził, oddając bukłak.

– Znamy się.

– Skąd, jeśli mogę spytać?

Szczurza Pani uśmiechnęła się.

– Przynajmniej ja cię znam.

*Czyżby?*, pomyślał Maghar, przyglądając się jej z powątpiewaniem. Rzeczywiście znał i to wcale nie tak dawno, pewną kobietę, która bardzo lubiła szczury. Kerin miała tylko trzy gryzonie. Jeżeli patrzył na jej nowe wcielenie, zdążyła urosnąć w siłę.

– Keytari!

Przez obozowisko szedł ku nim Itonoka, utykając lekko, ale bez laski. Za nim kroczyła Riva z oddziałem uzbrojonych w karabiny Dzieci Ognia.

– Wracasz do formy, jak widzę – rzuciła Szczurza Pani.

– Wiesz, jak twój kumpel Tartok dostarczył tu pana Maghara?

– Liczy się, że dostarczył go żywego – stwierdziła zimno.

– Narazając na śmierć moją rodzinę – warknął Maghar.

Keytari zmarszczyła brwi.

– Załatwiłem to – oświadczył Itonoka.

– Świetnie – uznała. – Plan też już masz?

– Plan? – powtórzył Itonoka.

– Plan zdobycia korony. Nie wspomniałam ci przed wyjazdem, żebyś coś wymyślił?

Itonoka przyglądał się jej uważnie. Maghar zauważył, że Keytari ma niezwykle oczy – wielkie, migdałowego kształtu, o barwie płynnego złota. Zerknął na Itonokę i zdał sobie sprawę, że pierwszy raz widzi go w tak dziwnym stanie, zawieszzonego między strachem i gniewem.

– Tak – powiedział powoli zbiegły więzień. – Oczywiście.

– Mogę poznać szczegóły?

– Teraz?

– Tak.

– Ruszamy do Varmondii.

Maghar spojrział na Itonokę jak na szalonego.

– Do Varmondii? – powtórzył. – W towarzystwie Kahrańczyków i Dzieci

Ognia? Varmondczycy nienawidzą jednych i drugich! Nie przeżyjemy spotkania z pierwszym plemieniem, nie wspominając o...

– Po co każesz mi obmyślać plany, skoro każdy może później zmieszać je z błotem? – warknął Itonoka do Keytari.

– Pies? – wycodził gniewnie Maghar.

– Nie robi mi różnicy, czy powieszą cię Varmondczycy, czy ktoś inny – oświadczyła Szczurza Pani. – Chcę tylko, żebyś wiedział, że na dłuższą metę improwizacja nic ci nie da.

– Wiem – zapewnił Itonoka.

– W takim razie ładuj się na wóz. Riva, przypilnujesz go?

– Jasne – odrzekła dziewczyna.

– Będę wdzięczna za towarzystwo, Ren – dodała Keytari. – Khale przyprowadzi ci wierzchowca.

Po czym spięta konia i odjechała, nie czekając na odpowiedź.

\*

Wyruszyli po mniej więcej godzinie. Maghar musiał przyznać, że przyjemnie było znów dosiąść konia. Nawet jeśli jego wierzchowiec, ten sam karosz, na którym odbył feralny pojedynek z Khale, niespecjalnie słuchał poleceń.

Przez jakiś czas jechali ramię w ramię, prowadząc powoli posuwającą się przez noc kolumnę koni i grzęznących w piachu wozów. Keytari milczała, pogryzając kawałek ciemnego chleba. W klatce przy jej siodle jakieś zwierzę hałaśliwie pożerało siano.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci sposób, w jaki cię tu sprowadziłam – odezwała się wreszcie Szczurza Pani.

Jej obcesowość drażniła Maghara, ale postanowił pominąć ją milczeniem.

– Uznałem to za miłe zaproszenie do współpracy – rzucił cierpko.

Keytari uśmiechnęła się lekko. Jej piękna twarz wyglądała przy tym uroczo, jakby Szczurza Pani była dziewczynką, winną co najwyżej nieszkodliwego figla.

– Nie odpowiedziałbyś na miłe zaproszenie – odrzekła. – Zakrawałoby to na zdradę. Prawda?

– Skąd pani wie?

– Mówiłam, że cię znam – przypomniała. – Kahr cię zdradził, Renie, ale ty nigdy nie zdradziłyś Kahru. A Kahr to w znacznej mierze król, nawet tak nieudolny, jak Lekhtry.

*Czyta mi w myślach, czy co?*, pomyślał z rozdrażnieniem Maghar.

– Jeżeli liczy pani na moją pomoc, radzę przestać się łudzić – stwierdził sztywno.

– Po cholere! ten oficjalny ton? – zagadnęła łagodnie. – Liczę na twoją pomoc, to



chyba oczywiste. Po co miałabym cię tu ściągać, gdyby było inaczej?

– Przeliczyła się pani.

– Oboje wiemy, że kochasz Kahr. Jeżeli Lekthry pozostanie jego królem dość długo, ten kraj zginie. Dzieci Ognia już teraz planują na niego inwazję...

– Skąd ten pomysł? – warknął Maghar.

Keytari roześmiała się. Był to ostry, kpiący dźwięk, wzbierający gdzieś w głębi jej gardła. *Takiego śmiechu się nie zapomina*, uświadomił sobie Maghar. Słyszał go wielokrotnie i łatwo mógł przypisać do konkretnej osoby. *Czyli jest tu. Wróciła. Kurwa mać*. Było gorzej niż mu się jeszcze niedawno wydawało.

– Łatwo przewidzieć poczynania Dzieci Ognia – powiedziała Keytari. – Dążą do budowy imperium, tak jak Kahrańczycy. Póki trwa sojusz tych państw, stworzenie imperium rzeczywiście jest realne, ale prędzej czy później jeden kraj pożre drugi. Zachód nie może mieć dwóch królów. – Uśmiechnęła się lekko. – Poza tym mam swoje źródła informacji.

– Jakie? – spytał Maghar. – Szczury?

Keytari znów się zaśmiała.

– Nie, nie szczury – odrzekła. – Wyobraź sobie, że one nie umieją mówić – dodała sarkastycznie.

*Kłamie*. Maghar nie drażył tematu. Przyglądał się Keytari, przygryzając dolną wargę.

– Czego ode mnie chcesz?

– Pomocy – odrzekła słodko.

– Tyle już wiem.

Wargi Szczurzej Pani drgnęły i znów wygięły się w lekkim uśmiechu. Spojrzała na Maghara, podchwyciła jego podejrzliwy wzrok i odgarnęła opadające jej na twarz kosmyki białych włosów.

– W kahrańskiej armii roi się od ludzi, którzy uważają, że Lekthry jest osobą nieodpowiednią do noszenia korony. Ty mógłbyś przeciągnąć ich na naszą stronę – wyjaśniła.

– Nazywają mnie królobójcą i zdrajcą – odparł Maghar. – Nikt za mną nie pójdzie.

– Naprawdę?

Zadała to pytanie takim tonem, że zaczął się zastanawiać. *Mam grupkę wiernych ludzi w milicji*, przypomniał sobie. *Przed tą aferą ze śmiercią Radirzjana miałem dobrą opinię i sporo stronników. Narwet w Radzie Stanu...* Odsunął od siebie te myśli.

– Dlaczego to robisz? – spytał.

– Co? – zdziwiła się Keytari.

– Dlaczego chcesz, żeby Itonoka przejął władzę?

Wyszczerzyła idealne zęby w uśmiechu.

– Ależ z miłości do Kahru.

– Bzdura.

– Nie odpowiedziałam na to pytanie jemu, a sądzisz, że tobie odpowiem?

– Żądasz ode mnie zdrady – powiedział ostro Maghar. – Nie wiadomo nawet, na rzecz czego i w imię jakich idei. Pierwszy lepszy uliczny krzykacz mógłby zapewnić mi więcej.

– Mam jednak pewną przewagę nad ulicznymi krzykaczami, Renie – zauważyła Keytari. – Trzymam w garści życie twoje i twoich najbliższych. Weź to pod uwagę.

– Nie pozwoliła dojść mu do słowa: – Zostaniesz z nami jako sojusznik albo jako więzień. Chcę tylko, żebyś wiedział, że gdy Bruner Tartok przywiezie do nas twoją rodzinę, to na nią spadnie odpowiedzialność za twoje pochopne czyny.

Maghar skrzywił się. Przez chwilę prawie go miała, opierał się jeszcze tylko resztkami lojalności, którą przecież wzgardzono. Teraz gniew rozpałił się w nim na nowo.

– Oni, wy – warknął. – Jesteście wszyscy tacy sami.

\*

– Można? – spytał Maghar.

– Nie jestem specjalnie zajęty – potwierdził bez uśmiechu Itonoka.

Stał na skraju ćwiczebnego placu, gdzie strzygi urządzały jeden ze swoich treningów. Kolisty kawał pustyni otoczono zatkniętymi w piach pochodniami. Dzięki nim i gwiazdom, które wykwitły na niebie, było cokolwiek widać. Khale nacierała właśnie na swoją podwładną. Fale piasku bryzgały spod końskich kopyt. Szczęk stali niósł się w czystym, zimnym powietrzu.

– Możemy pomówić na osobności? – spytał Maghar.

Riva, stojąca po prawej stronie Itonoki, rzuciła mu złe spojrzenie. Zbiegły więzień roześmiał się ironicznie.

– Coś jeszcze? – spytał. – Garniec złota? Życie wieczne? – Przygryzł wargę. – Nawet wyszczać nie mogę się na osobności. – Westchnął ciężko. – O czym chciałeś mówić?

– O zmarłych – odrzekł Maghar.

– Drażliwy temat. Zwłaszcza dla nas.

– I o Szczurzej Pani.

– To niemal równie niebezpieczne.

– Chciałem też wiedzieć, jak znajdzie nas Tartok.

– Jedna z kobiet Khale została na miejscu naszego obozowiska, żeby pokierować

go dalej. Coś jeszcze?

– Varmondia.

Itonoka uśmiechnął się blado.

– To naprawdę dobre miejsce, żeby zacząć.

– Zacząć co? Rebelię?

Itonoka spojrział na rozmówcę.

– Nie pragnę zemsty, Ren. Ona już się dokonała. Raddirzjan Geshwank zginął. Nie ja go zamordowałem, co jest powodem do żalu. Ale jednak nie żyje. – Umilkł na chwilę. – Dziewięć lat przesiedziałem w ciemnicy. Przez dziewięć lat nie widziałem słońca. Karmiłem szczury nędznymi resztkami własnej racji, bo wiedziałem, że jeśli zgłodnieją, zaczną ogryzać mi palce. – Popatrzył na swoją dłoń. – Mam na stopach blizny od ich zębów. I pozwól, że powtórzę to, co powiedział ci już Tartok: „Nie chcę zginąć rozdarty na strzępy przez szczury”. Może z innych przyczyn, ale nie chcę. Nie w ten sposób.

Maghar skrzyżował ramiona na piersi. Przygryzł wargę. Znalazł się w jakimś sennym koszmarze albo w mokrym śnie detektywa. Zewsząd otaczały go zagadki, jeden wielki, nierozzerwalny kłęb. Musiał, po prostu musiał, rozplątać chociaż jeden, najmniejszy supełek. Wiedział z doświadczenia, że każdy następny rozwiązać będzie łatwiej.

– Dlaczego Varmondia?

Itonoka roześmiał się, jakby usłyszał dobry żart.

– To prawda? – zagadnął.

– Co?

– Że musisz rozwikłać każdą tajemnicę, na jaką się natkniesz? Nie znałem cię od tej strony, Ren.

– Keytari ci powiedziała?

– Zna cię bardzo dobrze.

Maghar zastanawiał się przez chwilę. Spojrział na wyniszczoną twarz Itonoki. *Wiele nas dzieli, ale nie masz tu innych sojuszników, pomyślał. Jesteś więźniem. On też. Jeżeli nie zaufasz jemu, to komu?*

– Wiesz, kto zabił Raddirzjana Geshwanka?

W oku Itonoki pojawił się wilczy błysk, a jego usta wykrzywił grymas gniewu. Przez chwilę przypominał dawnego siebie, takiego, jakim był, nim zamordowano jego żonę i córkę.

– Żałuję tylko, że to nie byłem ja – rzekł zimno.

*Nie dałbyś rady, nawet w pełni formy, pomyślał Maghar. Tak samo, jak ja. Ani ktokolwiek.* Nie znał nikogo, kto władałby mieczem równie sprawnie, jak Raddirzjan.

Ten człowiek nie był szermierzem, lecz wirtuozem.

– Kobieta imieniem Kerin – powiedział głośno.

– Kobieta? – powtórzył Itonoka. – Kurwa, co się dzieje z tymi babami za naszych czasów...

Riva spojrzała na niego, jakby zastanawiała się, ile zębów mu wybić.

– Spokojnie – mruknął Itonoka, unosząc ręce w obronnym geście.

Później odwrócił się do Maghara.

– Mów.

– Kerin Zmiennoskóra służyła na dworze Geshwanka jako zabójca. Usuwała na jego rozkaz kolejnych politycznych przeciwników.

– Zmiennoskóra? – powtórzył Itonoka.

– To rodzaj północnej magii. Zmiennoskórzy przejmują kontrolę nad umysłami innych. Świadomość opuszcza ich ciała i wnika w ciała ofiar, którymi mogą dowolnie dysponować. – Wzdrygnął się lekko. – W każdym razie Kerin postanowiła opuścić dwór – ciągnął gorączkowo, streszczając po łebkach tamte wydarzenia, nie pozwalając dojść do głosu związanym z nimi emocjom. – Radirzjan uważał, że zamierza go zdradzić i pewnej nocy własnoręcznie ją zamordował.

– Coś mi się tu nie zgadza – powiedział Itonoka. – Skoro była taka dobra, to jak...?

– Byli kochankami. Ufała mu.

– Zabił ją. Co dalej?

– Wniknęła w ciało jednego ze swoich szczurów – każdy zmiennoskóry ma zwierzę, ulubione stworzenie, którego ciało przejmuje – i umknęła w nim. W stosownej chwili przejęła kontrolę nad córką Radirzjana i zabiła go jej rękami.

Itonoka patrzył na niego. Uśmiechnął się leciutko.

– Masz niezłe nasrane w głowie – stwierdził.

Maghar poczuł się, jakby znowu stanął przed sądem.

– To prawda! – wykrzyknął wściekle.

– Ktoś ci uwierzył?

– Gdyby ktoś mi uwierzył, grzałbym teraz dupę na miękkim stołku oficera, a nie włókł się do Varmondii z trupą obdartusów.

Nie była to prawda. Został uniewinniony. Stracił stanowisko nie z powodu zbrodni, ale ponieważ dla Lekthry był kłopotem. Rok śledztwa wyłączył go co prawda z wyborów, jednak nowy król nie mógł pozwolić sobie na zachowanie adiutanta, będącego bliskim stronnikiem poprzednika, z którym się w tak wielu kwestiach nie zgadzał. Na nieszczęście wtedy jeszcze Lekthry nie tonął w sieci spisków, nie naciskały na niego wrogie sobie stronnictwa, słowem – był w stanie

podejmować sensowne decyzje.

Itonoka uśmiechnął się jeszcze szerzej, a zaraz później zawahał i zamyślił.

– Szczurów? – powtórzył.

– Tak, bo Kerin...

Były przyjaciel uciszył go gwałtownym, władczym gestem smukłej dłoni. Magharowi słowa zamarty w gardle.

Itonoka przyglądał się pustynnemu szczuroskoczkowi, który przysiadł o krok od jego stopy, pożerając jakieś wyschłe źdźbło. Czarne oczka zwierzęcia błyszcząły rezolutnie. Mężczyzna kopnął piach, żółtawa chmura wystrzeliła w gryzonia. Szczuroskoczek kwiknął gniewnie i umknął długimi susami.

– Co z Varmondia? – spytał Maghar.

– A co ma być?

– Varmondczycy nienawidzą innych ludów. A Kahrańczyków szczególnie.

Itonoka spojrzał na niego. Wydął lekko wargi.

– To zupełnie tak jak ja – stwierdził obojętnie.

\*

Po czterech dniach mozolnej podróży dotarli wreszcie na kraniec Pustyni Żywych Piasków i przekroczyli granicę Varmondii. Jej terytorium w większości należało do Kahrańczyków, którzy trzymali tu garnizony, a w widłach Czarnej Strugi założyli miasto.

Maghar nigdy nie był tak daleko na południu, w tej rozległej, płaskiej krainie, gdzie widoczność ograniczały jedynie linie horyzontu. Całe dnie jechał wśród falujących, pożółkłych traw i gdyby nie dręczące go czarne myśli i przecucia, rozkoszowałby się pięknem otoczenia. Rozległe sawanny tętniły życiem. Widzieli sforę dzikich psów o wielkich, okrągłych uszach i cętkowanej sierści, moczącą łapy w kałuży. Raz minęli ogromnego, szarego nosorożca, który przyglądał im się, ociężale kołysząc głową. Miejsce gnieźdzących się w siennikach szczuroskoczków zajęły podobne do pozbawionych uszu królików, małe i niezdarne gundi. Wśród traw hałasowały kukułki, przechadzały się dostojne, złociste czaple, podskakiwały maleńkie pliszki. W powietrzu latały brunatne muszki, chętnie ssące krew koni oraz ludzi.

– Boisz się śmierci, Ren? – spytał przy ognisku Itonoka, gdy stanęli na nocny postój.

Maghar oglądał swędzące bąble na ramieniu, powstałe po ugryzieniach much. Teraz uniósł wzrok i zerknął na Itonokę, który podróżował krytym wozem, osłonięty od ataków napastliwych owadów.

– Nie bardziej niż każdy przeciętny człowiek – stwierdził. – Czemu pytasz?

– Te muchy przenoszą paskudne choróbsko, nazywane kryształowym snem. Za kilka miesięcy wszystkie konie pewnie nam padną, tak jak część ludzi.

Maghar spojrział z obrzydzeniem na swoje ręce i solennie poprzysiągł sobie, że choćby miał zdechnąć z gorąca, już więcej nie podciągnie rękawów koszuli.

\*

W czasie tego samego postoju, gdy Itonoka zabierał się za kolację, odwiedziła go Keytari. Stała w wejściu namiotu i rzuciła:

– Chciałeś mnie widzieć?

O jej kostki ocierał się szczur z poszarpanymi uszami, ale teraz podbiegł radośnie do Itonoki, by, jak zawsze, towarzyszyć mu w posiłku. Uciekł wraz z więźniem z Lochów Trolli.

Itonoka podrapał zwierzę pod brodą i spojrział na Szczurzą Panią. Prezentowała się pięknie w luźnej, czerwonej szacie, spiętej w talii szerokim pasem z czarnej skóry. Na jej białym policzku wykwitł niewielki ślad po ugryzieniu muchy. *Pewnie zdechła, gdy tylko skosztowała twojej krwi*, pomyślał Itonoka.

– Tak – odpowiedział. – Usiądziesz?

Kiwnęła głową i z wdziękiem usiadła na poduszkach naprzeciwko niego. Z jej ramienia zeskoczył brunatny szczur górski, o ogonie zakończonym charakterystyczną kitą i wyjątkowo długich łapach. Nie pochodził z Kahru ani z Varmondii. W tej części świata był jedynym przedstawicielem swojego gatunku. Gdy przebiegł po stole, pozostałe gryzonie ustępowały mu miejsca. Niektóre były znacznie większe od pupilka Keytari, ale znały siłę jego zębów.

– O co chodzi? – spytała Szczurza Pani, sięgając po kromkę ciemnego chleba.

Itonoka potarł skroń. Głowa bolała go dziś odrobinę mniej, ale – tak czy inaczej – nie było to przyjemne uczucie. Światło licznych lamp raziło go w oczy, niemniej wpadłby w panikę, gdyby choć jedna zgasła. Za dużo czasu spędził w ciemnościach.

– O Rena.

– Rozmawialiście przedwczoraj – stwierdziła Keytari.

*Tak, ty biała, oślizgła żmijo.*

– O śmierci Geshwanka. Wydaje mi się, że Ren zasugerował twój związek z nią. Szczurza Pani zmrużyła oczy i spojrzała na niego uważnie.

– W jaki sposób? – spytała z rozbawieniem. – Przybyłam do Kahru całkiem niedawno.

– On chyba uważa, że jesteś Kerin Zmiennoskórą.

Twarz Keytari nawet nie drgnęła. Wsadziła do ust kawałek chleba i pytająco uniosła brwi. *Kim, do cholery?* – mówił wyraz jej twarzy.

*Jest dobra*, pomyślał z uznaniem Itonoka. *Niech ją szlag, jest cholernie dobra.*

*Urocza, ale tylko pozornie. Inteligentna jak jasna kurwa. Gra ludźmi jak chce. Ech, maleńka, byłabyś zajebistą królową.*

– Kobieta, która zabiła Geshwanka – wyjaśnił.

*Zagram w twoją grę, Keytari, Kerin, czy kim tam jesteś. Ale wiesz, ja znam Rena Maghara. Jeżeli chodzi o rozwiązywanie zagadek, to rzadko popełnia błędy.*

– Skąd to przypuszczenie? – zdziwiła się Szczurza Pani.

– Z tego, co zrozumiałem, ona też bardzo lubiła szczury. A to rzadka cecha wśród ładnych kobiet – dodał.

Keytari posłała mu figlarne spojrzenie i uśmiechnęła się lekko.

– Nie powiesili jej za królobójstwo?

*Niegodne ciebie, moja droga.*

– Chyba nie, skoro oskarżyli Rena – stwierdził Itonoka. – Coś innego niepokoi mnie w tej historii. Podobno Geshwank ją zamordował. Rozumiesz, w czym rzecz?

– Żywy trup zabija króla, o co oskarżają Maghara – stwierdziła Keytari, bawiąc się kosmykiem włosów. – A ja jestem jego nowym wcieleniem?

– Nedorzecznosc, prawda?

– Może to jednak Ren zabił Geshwanka? To chyba bardziej prawdopodobne, co?

– Tak – przyznał Itonoka. Oderwał kawał razowego bochenka i odgryzł spory kęs. – Mógłby to zrobić, bo jako królewski adiutant i marszałek Rady Stanu miał wielkie szanse zostać królem. Gdyby nie to oskarżenie, pewnie by mu się udało. – Przełknął. – Może jego wynieś na tron zamiast mnie?

Keytari zmrużyła oczy. Rzęsy miała długie, tak czarne, że w porównaniu z jej skórą wydawały się wręcz nienaturalne.

– Chcesz tego, Nintan – stwierdziła cicho.

– Nie dajesz mi wyboru.

Chwyła wbity w kawałek mięsa nóż i rzuciła przez stół. Upadł z brzękiem na blaszany talerz przed Itonoką.

– Każde z nas ma wybór – powiedziała Keytari. Podniosła się na nogi. – Pies! – rzuciła i zacmokała cicho.

Jej szczur przebiegł pospiesznie po stole i zeskoczył z jego skraju. Przez chwilę spadał swobodnie, aż natrafił pazurkami na materiał czerwonej sukni i wspiął się na ramię Keytari.

– Dobranoc – powiedział Itonoka, gdy Szczurza Pani skierowała się do wyjścia.

Spojrzała przez ramię.

– Dobranoc, mój królu – odrzekła miękko.

## V

*Zostawił mnie, pomyślała Baria, wyglądając przez kuchenne okno. Wyszedł z*

*domu, nie wspominając, dokąd i po co idzie, i nie wrócić.*

Słyszała hałasy z podwórza, gdzie pracował Poderyn. Na zaśniewanej ulicy bawili się Nimro i Radirzjan, rzucając do siebie piłką z pęcherza ryby. Przyglądał się im ubrany po cywilnemu milicjant, siedzący na ławeczce w cieniu domów po przeciwnej stronie. Wydawał się znudzony. *I tak się go boję*, pomyślała Baria. *Błagam cię, Ren, wróć.*

Zaczerpnęła głęboko powietrza, czując, że znów zbiera się jej na płacz. Zajrzała do garnka z zupą, bulgoczącą leniwie na palenisku. Wrzuciła do gęstego wywaru pokrojone w kostkę ziemniaki. Na nos skapnęła pojedyncza łza. Baria otarła ją gniewnie.

*Nie porzucił mnie, nie mógł mnie porzucić.* Bez Rena czuła się pusta, zagrożona, samotna. Był przy niej, kiedy wszyscy się od niej odwrócili. Podczas gdy ojciec oświadczył, że zhańbiła honor rodziny, Ren zapewnił jej utrzymanie, oddając co miesiąc część żołdu, znalazł dla niej mieszkanie, zapłacił za ślub, pomógł stanąć na nogi. Zrobiłby dużo więcej, gdyby tylko chciała. Mogłaby żyć, jak przystało siostrze jednego z najważniejszych ludzi w kraju, w bogactwie i luksusie, ale sama wolała zniknąć w szarym zwyczajnym życiu, Ren zaś uszanował jej decyzję. Przez ostatni rok to on rozpaczliwie potrzebował wsparcia, ale była pewna, że doszedłby do siebie.

Wiedziała, czego szukał. Nie powiedział jej tego, ale w czasie długich dni, wypełnionych oczekiwaniem na jakiś znak życia, usłyszała wystarczająco wiele. Targi i ulice huczały plotkami o ucieczce Itonoki z więzienia. Ren miał go dopaść, Baria była tego pewna. Musiał znaleźć jego trop, bo ci dranie z milicji nie byli w stanie nic zrobić.

*Za trzy dni mija miesięczny termin*, pomyślała Baria. *Ren nie wróci. Musimy działać. Uciekać...*

*Z garnka buchał smród spalenizny. Baria zaklęta i zdjęta go z rozgrzanej płyty. Skosztowała zupy. Do niczego. Przez chwilę próbowała się uspokoić, aż wreszcie wybuchła płaczem. Osunęła się na ławę za stołem, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.*

*Do domu wszedł Poderyn i trzasnął tylnymi drzwiami.*

– Coś się pali! – rzucił.

Stał w progu, spocony, w zszarganej koszuli, do której przyczepiły się drzazgi i trociny. Ogarnął spojrzeniem kuchnię, a potem westchnął i podszedł do Barii. Opadł na ławę obok i objął ją.

Baria uspokajała się powoli. Wyczuła w ruchach męża beznadzieję. Jego ramię było ciężkie, twarz napiętnowana smutkiem, ruchy powolne.



– Będę was bronił – powiedział cicho. – Nawet za cenę życia.

*Zabiją cię, pomyślała z rozpaczą Baria. Ty nie wiesz, jacy oni są, nasi kabrańscy żołnierze, nigdy nie poznałeś ich tak dobrze, jak ja. Nie znają strachu ani litości. Nie boją się śmierci i mordują bez mrugnięcia okiem.*

Wsunęła dłonie między uda, gniotąc spódnicę. Poderyn chwilę jeszcze siedział, wreszcie wstał, pocałował ją w policzek i zabrał garnek, żeby wylać do rynsztoka spaloną zupę.

*Ugotuję ziemniaki, postanowiła Baria. Trudno, dziś będzie niezbyt pożywny obiad. Nie mam siły na nic lepszego. Żałowała, że odprawili służącą, ale to było konieczne, skoro przez rok musieli utrzymywać oprócz dzieci także Rena. Jego majątek skonfiskowało, a pragnienie zwykłego życia Barii zwróciło się przeciwko niej, gdy nagle zabrakło rezerwy finansowej w postaci dochodów brata.*

Wstała i poszła do spiżarni.

\*

Bruner Tartok wrócił do rezydencji zły i zmęczony. Odesłał najemników do domów, każąc im stawić się ponownie na następny dzień. Potem zanurzył się w balii z gorącą wodą i wonnymi olejkami, którą przygotowały dla niego służące. Dobrze było zaznać kąpieli po długiej, wyczerpującej podróży. W międzyczasie rozmyślał nad interesami, które szły kiepsko. *Wszystko przez tę dziwkę od szczurów. Zamiast gzić się ze swoimi gryzoniami, wpierdala się w życie innych. Zaopatrywanie bandy buntowników, w dodatku za darmo, nie należało do zajęć, którymi Bruner chciałby wypełniać czas. Trzeba z tym skończyć, pomyślał. Zanim wyszedł z kąpieli, miał już w głowie gotowy plan.*

Wytarł się ręcznikiem i od razu zwałił na łóżko, tonące pod masą poduszek, kołder, narzut i koców. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma ochotę na jedną ze służących, ale zanim rozstrzygnął ten problem, zasnął.

O poranku obudziła go Czarna, przynosząc tacę ze śniadaniem. Dzień był szary i szpetny. Na tej szerokości geograficznej zima rozgościła się już na dobre. *Wcześniej, stwierdził Bruner. Zły znak, jak każdy w tym roku.*

– Zdejmij suknię – powiedział do Czarnej.

Uśmiechnęła się przymilnie, rozwiązała sznurówki stroju i zsunęła go na podłogę. Pod spodem nosiła sięgającą kolan koszulę z białego płótna.

– Panie? – rzuciła.

Bruner skinął na nią ręką, więc zdjęła także koszulę. Miała ładne ciało, skórę ciemną i błyszczącą jak heban. Usiadła na Brunerze okrakiem, obejmując go silnymi udami i wyrzeźbionymi przez fizyczną pracę ramionami. Pocałowała jego wargi, jednocześnie ocierając się biodrami. Gdy poczuła, że jest gotów, nadziała się

na niego i zaczęła ujeżdżać. Patrzył na jej podskakujące, okrągłe piersi. Zanim skończył, usiadł prosto, objął ramionami śliskie od potu, czarne ciało. Po wszystkim przez chwilę jeszcze dyszał, z nosem wbitym w miękką szyję kobiety.

Gdy wypuścił Czarną, a ta zeszła z niego niezgrabnie, klepnął ją w wypięty tyłek. Nie patrzył już, jak się ubierała, ale zabrał się za obfite śniadanie – pieczeń baranią z kapustą, kaszę z masłem i czarną kawę. Zjadł wszystko, po czym wezwał służącą. Tym razem przyszła ciemnowłosa Rybna o pięknej, niebieskawej skórze.

– Przygotuj mi ubranie – rozkazał. – Coś eleganckiego, bo wybieram się do miasta.

W czasie, gdy szykowała wyszywany złotem kaftan, zastanawiał się, czy powinien pojechać wierzchem czy powozem. *Wierzchem*, zdecydował wreszcie. *To robi wrażenie na tych wojskowych sztywniakach.*

– Nie wiesz, czy najemnicy już się zjawili? – spytał dziewczynę.

– Są, panie – odrzekła.

Wreszcie włożył koszulę, na nią wełnianą kamizelkę i kaftan, a potem ciepłe spodnie i wysokie buty do jazdy. Służąca opatulila go lisim futrem. Bruner zszedł na parter i ruszył przez pokój gościnny do drzwi.

Na ganku zobaczył szczura. Bezczelny bydlak siedział na samym środku, ogryzając spleśniały kawałek chleba. Zwrócił na Tartoka czarne ślepia. Bruner poczuł przypływ paniki i zamarł w progu.

– Precz, bydlaku – wycedził.

Szczur ani drgnął. Gryzł chleb i patrzył. Coś było w jego paciorkowatych oczach, pozornie pozbawionych wyrazu. Głębokie zrozumienie, jakby podłe zwierzę dokładnie znało plany Brunera, jakby już zastanawiało się, gdzie ukąsić.

Mężczyzna ocknął się z tego hipnotycznego wrażenia. Krzyknął gniewnie i kopnął w gryzonia sypkim śniegiem, który nawiało na próg. Szczur umknął, unosząc chleb.

– Wszystko dobrze? – spytał jeden z najemników, tłumnie czekających przed dworkiem.

Bruner nawet nie znał jego imienia. Mruknął coś pod nosem i wezwał gestem służącego, kręcącego się po placu.

– Konia – polecił.

– Którego, panie?

– Pioruna.

– Tak jest.

– I sprowadź jakiegoś kota albo kundla, żeby się zajął szczurami. Namnożyło się tego tyle, że pod koniec zimy zostaniemy bez zapasów.

Bruner rozejrzał się za bezczelnym szczurem, ale nigdzie nie widział nawet śladu jego obecności.

Służący przyprowadził mu wreszcie Pioruna, zgrabnego siwka, najpiękniejszego w całej stajni. Bruner ciężko wspiął się na siodło. Najemnicy niechętnie powskakiwali na własne konie. W porównaniu z Brunerem wyglądali jak banda obdartusów. *Nędzna świta, pomyślał jeszcze. Ale przynajmniej nie kosztują zbyt wiele.* Uderzył konia piętami i ruszył do bramy.

\*

*Ostatni raz, kiedy tu byłem, jechałem wozem drabiniastym pod strażą czterech żołnierzy, a Ren Maghar czekał na mnie w gabinecie jako czysty i bogaty człowiek sukcesu.*

*Bruner zatrzymał Pioruna na ulicy, przed wejściem do głównej komendy milicji. Klockowaty, kamienny budynek był owiany złą sławą. Tu mieściły się słynne lochy, w których milicja torturowała więźniów, najbardziej obszerne archiwum Kahru z aktami każdego podejrzanego o przestępstwo polityczne.*

*Od lat dowodzili nimi wytrawni gracze. Geshwank, później Maghar. Ten Kasharp to w porównaniu z nimi gówniarz.*

*Bruner zeskoczył z konia, rzucił wodze jednemu z siepaczy. Kolana ugięły się pod nim. Poczul, jak oblewa go pot.*

Zaledwie pięć lat wcześniej szmugłował broń i zapasy dla biedoty, która podniosła bunt na północy Kahru. Nie przyświecała mu idea, po prostu tamci mieli pieniądze i chętnie płacili złotem wymordowanych panów. Nie wiedział po dziś dzień, jaki popełnił błąd, że milicja wpadła na jego trop. Maghar ściągnął go do głównej siedziby na prywatną rozmowę, która w rzeczywistości była przesłuchaniem. Bruner nie przyznał się do niczego. Jak się okazało, słusznie, bo milicja nie znalazła żadnych twardych dowodów na jego powiązania z rebelią. Bunt wygasł, Bruner wycofał się na jakiś czas z tej działalności, a potem rozpoczął nową, legalną. Nigdy nie miał na rękach kajdan, nigdy nie widział osławionych lochów milicji, a mimo to z każdym kolejnym krokiem trząsał się bardziej. *Nie chcę tam wchodzić, pomyślał w panice, kładąc dłoń na kłamce. Ale czy miał jakiś wybór? Szczury albo milicja.*

Otworzył drzwi. Stał w obszernym korytarzu, po którym kręciło się kilku ludzi. Jeden z milicjantów rozmawiał z opartą o ścianę służką. Na widok Brunera natychmiast urwał. Tartokowi wydawało się, że kojarzy skądś tego człowieka. Przyjrzał się mu uważnie. Gęste, czarne brwi, włosy związane w ciasny kucyk na karku, cień zarostu pod nosem... *Nie, nie wiem.*

– W czym mogę pomóc, panie? – spytała służąca, zauważywszy Brunera.

Mężczyzna, z którym rozmawiała, spojrzął na Tartoka. Miał lekko wyłupiaście, błękitne oczy – rzadkość wśród Kahrańczyków – i właśnie po tym Bruner go rozpoznał. *Rolen Astaron, przyjaciel Rena Maghara*, pomyślał. *Niemądrze było pozostawić go w szeregach milicji po tym wszystkim, co się wydarzyło.*

– Bruner Tartok – powiedział. – Chciałbym widzieć się z komendantem Kasharpem.

– Wybaczcie mi, panie, ale w jakim celu? – dociekała służąca. Była ładna, z krótkimi, brązowymi włosami, ale nieco skrzekliwe brzmienie jej głosu działało Brunerowi na nerwy. – Pan komendant jest bardzo zajęty.

– Chodzi o Itonokę – odrzekł zgodnie z prawdą Bruner.

– O Itonokę? – powtórzył Astaron. – W jakim sensie?

– O Itonokę. – Bruner odetchnął głęboko. *Szczury*, pomyślał. – Wiem, gdzie on jest. Ja wiem, gdzie on jest.

\*

Obudziło ją walenie w drzwi. *To oni*, pomyślała natychmiast. *Nie, niemożliwe. Jeszcze dwa dni. Na litość bogów, wszystko już gotowe.*

Wczoraj udało jej się skontaktować z Sefren, pochodzącą z ziem Rybnych służącą brata, którą odprawił zaraz po wyjściu z więzienia. Miała zabrać Radirzjana i Nimro na targ, zgubić w tłumie śledzących ich żołnierzy i wozem zaprzyjaźnionego handlarza wyjechać poza miejskie mury. Obiecała, że zabierze dzieci na Błotne Ziemie, z których pochodziła, gdzie będą choć odrobinę bezpieczniejsze.

*To nie mogą być oni*, pomyślała Baria z rozpaczą. *Bogowie, nie jesteście chyba tak okrutni?*

Poderyn obudził się z cichym chrząknięciem. Przez chwilę leżał nieruchomo, później podniósł się na łokciu.

– Co, do jasnej cholery? – wymamrotał.

Z dołu dobiegł głuchy trzask i łomot. Baria zamarła. *Weszli. Już tu są.*

*Odrzuciła kłodę. Poderyn chciał złapać ją za ramię, ale nie pozwoliła na to. Wybiegła na korytarz.*

– Panie Maghar! – ryknął ktoś z dołu. – Panie Maghar, proszę nas przywitać!

Baria przechyliła się przez poręcz. Rozpoznała owiniętych w czarne płaszcze żołnierzy, którzy wchodzili już na schody, niosąc lampy. *Dzieci*. Tylko ta jedna, rozpaczliwa myśl tłukła się w jej głowie. W gardle dławił ją strach, a ręce i stopy oblał pot.

Przebiegła przez korytarz i wpadła do małej izby, którą Ren obrał sobie za sypialnię. Niczego tu nie tknęła od jego odejścia, jedynie ścierała kurz. Uklękła przy

łóżku. Wsunęła rękę pod poduszkę i siennik. Macała rozpaczliwie, nie wierząc, że jej brat mógł spać spokojnie bez broni pod ręką. Wyszarpała szufladę nocnej szafki, przerzuciła jakieś papiery i pod nimi znalazła to, czego chciała – żołnierski nóż o wielkim, ząbkowanym ostrzu. Była córką i siostrą żołnierza. Nie zamierzała poddać się bez walki.

Znów wybiegła na korytarz. Zobaczyła Poderyna, który stał na szczycie schodów.

– Dałeś nam miesiąc, więc dotrzymaj terminu! – mówił podniesionym głosem. – Nie pozwolę ci skrzywdzić mojej rodziny, skurwysynu! To, że nosisz zasrany srebrny płaszcz...

Baria zobaczyła błysk miecza i urywany krzyk wydarł się z jej gardła. Poderyn jęknął i runął na podłogę, brocząc krwią z długiego rozcięcia, które biegło od lewego policzka do brody i niżej, przez obojczyk aż do żeber.

Rozpoznała mężczyznę, który trzymał miecz. To był komendant Kasharp, ubrany w zwykły, czarny żołnierski płaszcz. Towarzyszyło mu sześciu ludzi.

– Co, niema dziwko? – zagadnął. – Twój brat nas zdradził. Sądziłaś, że się nie...

Zaatakowała, nim skończył zdanie i zaskoczyła go tak bardzo, że zdołała wbić nóż w jego ramię.

Kasharp zdzielił ją nabitą ćwiekami rękawicą w twarz i upadła na podłogę.

– Przyprowdźcie mi oboje gówniarzy – polecił komendant.

Baria próbowała sięgnąć do noża, który upuściła, ale Kasharp ją wyręczył. Schylił się i zgarnął z ziemi broń, a później przybił jej rękę do podłogi. Kobieta wrzasnęła. Jej palce zadrgały rozpaczliwie.

– Ren Maghar swoim postępowaniem wybrał dla was los – powiedział cicho komendant. – Nie martw się. Pozwolę ci żyć dość długo, żebyś zobaczyła go wiszącego na szubienicy.

– Zostaw... ją...

Poderyn zdołał zebrać się na nogi, oparty o barierkę schodów. Staniał się. Kasharp przyjrzał się mu, a później zaatakował. Czerwona pręga wykwitła na piersi Poderyna, który zawył, odginając się w tył. Kasharp złapał go za gardło.

*Nie*, pomyślała Baria.

Ale komendant odrzucił miecz, wolną dłonią chwycił jej męża za koszulę i wyrzucił go przez barierkę. Usłyszała głuchy łomot spadającego ciała, kiedy Poderyn uderzył o stopnie.

Upływ krwi, gniew i strach sprawiały, że Baria traciła kontakt z otoczeniem. Na skraju jej pola widzenia pulsowała czerń. Żołnierze wyprowadzili z sypialni Radirzjana i Nimro. Chłopiec płakał.

– Mamo? – zawołała Nimro. – Mamo?

Baria zobaczyła szczura – małe, szarawe zwierzę, które przemknęło pod ścianą ku schodom. *Mam w domu szkodniki*, pomyślała tępo. Gdyby wystarczyło jej sił, zaczęłaby się śmiać.

\*

Ferafin Lekthry herbu Płonąca Strzała, król Kahru, Błotnych Ziem, Państwa Sinych Wzgórz i Varmondii, chociaż zawsze tłusty, dawniej nie przypominał z wyglądu wielkiej, lubieżnej świni. Gdy przyjął komendanta Kasharpa, jadł śniadanie – galaretę z nówek wieprzowych, mielone befsztyki, drożdżowe paszteciki i naleśniki śmietanowe. Pożerał wszystko tak łapczywie, że kawałki jedzenia spadały mu na piersi.

W czasie krótkiego królowania Lekthry nie tylko roztył się jeszcze bardziej, ale też wyglądał wyraźnie starzej, a dzban wina zawsze znajdował się w jego pobliżu. Mimo że jego rozkaz był teoretycznie wiążący dla Rady Stanu i komendantów, władca nieopatrznie pozwolił rozrosnąć się koteriom, a później sam wpadł w ich sieci. Obecnie miał wokół siebie tyle osób, które próbowały wpłynąć na niego, by zyskać coś dla siebie, że od miesięcy nie podjął żadnej rozsądnej decyzji. Jednocześnie podzielona Rada nie potrafiła przeciwstawić się ani jednej, zawsze bowiem znalazł się ktoś, kto dostrzegał dla siebie korzyści.

– Mów – powiedział Lekthry. – Co cię tu przywiodło?

Kasharp skłonił się.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Zlokalizowaliśmy miejsce pobytu Itonoki.

Król przestał jeść i popatrzył na komendanta.

– No, no, no! – zawołał wreszcie po dłuższej chwili ciszy. – Bardzo dobrze! Wspaniała robota! Jak ci się to udało?

– Otrzymaliśmy informację od pewnego człowieka, którego stronnicy Itonoki szantażem próbowali zmusić do współpracy z nimi.

– Doskonale. Zapewniłeś mu ochronę, tak? Doskonale, doskonale.

*Myśli, że jak powtórzy to jeszcze kilka razy będzie bardziej inteligentny od głazu?* – zastanowił się Kasharp, a głośno powiedział:

– Dowiedziałem się także, że Ren Maghar jest wśród jego stronników.

– A jednak – mruknął Lekthry. – Cóż, wiadomo było, że to zdrajca. W końcu zamordował Radirzjana Geshwanka. – Pociągnął ogromny łyk wina z kielicha przypominającego rozmiarami miskę. – Jeszcze dziś zwołam Wysoką Radę. Nie ma co zwlekać.

– Wasza Wysokość chce ruszyć na Itonokę? – upewnił się Kasharp.

– Tak – odpowiedział Lekthry. – Musimy znaleźć tę... tę żmiję i zmiażdżyć jej

łeb. Im szybciej, tym lepiej. – Przygryzł mięsistą wargę. – Nie popełniajmy błędów poprzedników. Tym razem Itonoka nie może ujść z życiem.

\*

Bruner Tartok obudził się o świcie spokojny i zadowolony z siebie. Wszystko poszło gładko. Milicja wypuściła go po kilku godzinach. Dostał do ochrony drużynę żołnierzy, którzy otoczyli jego dom. Służba sprowadziła sforę niezbyt dużych, czarnych terierów o szorstkiej sierści. Były agresywne i zapalczywe. Po wypuszczeniu z klatki rozbiegły się po całej posiadłości, wymordowały sześć kur, pięć kotów, jednego starego wyżła i kilkadziesiąt szczurów. Ujadały bez przerwy, kąsały po nogach ludzi i konie, wszędzie było ich pełno. *Gdy skończą ze szczurami, urządzę sobie polowanie*, postanowił Tartok.

Ziewnął i przetoczył się na bok. Na szafce nocnej, obok świecy, dostrzegł niewielki, metalowy przedmiot. Nie pamiętał, żeby coś tam kładł. Wyciągnął rękę, ujął drobiazg w dłoń i obrócił w palcach.

To był stalowy pierścień z herbem rodu Maghar, Wściekłym Psem. Bruner oddał go komendantowi Kasharpowi jako dowód zdrady Rena Maghara. Był tego absolutnie pewien.

Usłyszał szelest i tupot drobnych stóp. *Nie*, pomyślał.

Usiadł gwałtownie.

Na oparcie w nogach jego łóżka wskoczył z wysiłkiem wielki szczur. Chwilę balansował, by złapać równowagę. Po jego lewej stronie pojawił się mniejszy gryzoń, po prawej jeszcze inny, stary, z potarganymi uszami.

Bruner otworzył szufladę, w której trzymał dzwonek do wzywania służby. Ze środka łypnęło na niego osiem par czarnych ślepi. Cała rodzina myszy zagnieździła się tam w nocy.

Bruner odrzucił kołdrę i wstał. Cofnął się pod okno.

Spod jego poduszki wytoczył się kolejny szczur, z sierścią zniszczoną przez wszy. Z dziury w sienniku wylazły cztery.

Bruner rzucił się do drzwi.

Szczury były szybkie. Zaatakowały wszystkie naraz. Wbiegały mu pod stopy, kąsały i odskakiwały. Jeden wskoczył pod nocną koszulę, zatopił zęby w owłosionej łydce mężczyzny i zaczął piąć się wyżej.

– Służba! – ryknął Tartok, otwierając drzwi. – Służba!

To było jak koszmarny sen. Na progu sypialni osiem wielkich, dorodnych szczurów zażerało się martwym terierem. Na widok Brunera zostawiły psa i skoczyły na nową ofiarę.

Sześć innych gryzoni wynurzyło się ze szczeliny w ścianie. Kolejne pięć wbiegło

po schodach. Jeden po barierce.

Bruner wrzeszczał, kopał i walczył. Małe zęby wyrywały kawałki jego ciała. Obmacywały go drobne łapki.

Gdy troje zdyszanych służących, przebudzonych wrzaskami swego pana, wbiegło na piętro, ujrzało przerażający widok – wyjącego człowieka, oblepionego cielskami szczurów, klęczącego na podłodze w zakrwawionej koszuli. Gryzonie oblażyły go całego, kąsały ręce, brzuch, szyję i twarz.

Bruner wył. Ktoś pobiegł po miotłę, ktoś inny po psa.

Ale było już za późno.

## VI

Szedł przez obozowisko, a oni schodzili mu z drogi.

Dzieci Ognia, mężczyźni i kobiety, strzygi, nawet wszędobylskie gryzonie. Zupełnie, jakby cały świat się przed nim rozstępował.

Jakaś jego część wiedziała.

Serce tłukło mu się o żebra.

Namiot Itonoki, jak zawsze, rozjaśniało zbyt wiele lamp. Przed wejściem stały Riva i Khale, rozmawiały cicho między sobą. Usunęły się na bok. Maghar sam uniósł połę namiotu i wszedł do środka.

Na długim stole stały tylko dzbanki, jeden pusty i dwa jeszcze pełne wina. Szczury, szczuroskoczki, gundi i kolczaste myszy varmondzkie leżały na posłaniu Itonoki, zwinięte w syte, zadowolone kłębki. Itonoka siedział na jednej z poduszek, zgarbiony, z kielichem w dłoni i swoim paskudnym szczurem wyciągniętym na kolanach. Keytari tuliła do siebie małego, puszystego gundi i głaskała palcem jego grzbiet. Pies siedział obok niej, obracając w łapkach kawałek jakiegoś owocu.

– Co? – spytał Maghar, chociaż wiedział, dlaczego go tu wezwano.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie Itonoka poruszył się, sięgnął przez stół i napełnił swój kielich winem. Odstawił dzban. Potarł skronie, napił się, a wreszcie rzucił:

– Powiedz mu. – Gdy Keytari poruszyła się i otworzyła usta, dodał ostro: – To także twoja wina. Powiedz mu.

Kobieta zacięła białe wargi.

– Chodzi o to, że Bruner Tartok nas zdradził – rzuciła.

Maghar spojrzał na nią. *Bruner Tartok*. Myśli przepływały przez jego otępiały mózg jak leniwa fala. Tartok... zdrada... Baria.

Nagle zaatakował. Rzucił się na Keytari przez stół. Uderzył się o skraj blatu. Upadł na brzuch, ale zdołał zacisnąć palce na szyi kobiety. Tak łatwo byłoby wzmocnić uchwyt i zmiażdżyć twardą rurkę krtani, zobaczyć, jak ta dziwka, ta



wiedźma, ta szalona kreatura czernieje na twarzy, dusi się, umiera.

Jej złote oczy wyszły z orbit, twarz wykrzywił wściekły grymas. Upuściła gundi, który uciekł z wrzaskiem. Chwyła Maghara za nadgarstki. Jej palce były szczupłe i nie dość silne, by poradzić sobie z jego uściskiem. Dokończyłby dzieła, gdyby Khale nie interweniowała, brutalnie odrywając go od Keytari.

Uderzył o coś plecami. Ktoś kopnął go w bok, ale prawie nie poczuł bólu. Później oberwał prosto w żebra i tym razem jęknął. Usłyszał głos Itonoki, chrapliwy, głośny i władczy:

– Wystarczy! Zostawcie go!

Magharowi powoli wracała przytomność umysłu. Ktokolwiek go kopnął, chyba połamał mu żebra, bo z każdym oddechem wciągał w płuca setki drobniutkich igieł. Stęknął i próbował usiąść. Udało mu się dopiero za trzecim razem, kiedy Itonoka chwycił go za rękę i pomógł.

Khale stała nad nim i patrzyła na Itonokę, blada z wściekłości. Riva miała taką samą minę, ale wzrok wbijała w Maghara. Keytari siedziała na ziemi, kołysała się w przód i w tył, i wyła, zalana łzami. Ręce przyciskała do szyi. Pies skubał nieśmiało skraj jej czarnej sukni, kilka innych szcurek wpakowało się jej na kolana. Łoże Itonoki ożyło: wszystkie gryzonie wspięły się na tylne łapki, kołysały się, potrzącały, skrzeczały. Zbieg stał na nogach, chwiejąc się lekko. *Jest dobrze najebany*, pomyślał tępo Maghar, a zaraz później: *Kurwa mać*.

Na czworakach, bo wciąż nie był pewny utrzymania równowagi, Maghar zbliżył się do Keytari, wziął ją w ramiona i przytulił.

– Już dobrze, Kerin – mruknął bez przekonania.

Odepchnęła go, uderzając w pierś. Ból w żebrach eksplodował na nowo.

– Nie nazywaj mnie tak! – ryknęła. – Nie nazywaj mnie tak i nie dotykaj mnie!

Riva i Khale rzuciły się na Maghara, chwyciły go za koszulę i przemocą podniosły na nogi.

– Powiedziałem, żebyście go zostawiły! – warknął gniewnie Itonoka. – Więc zróbcie to i wynoście się!

– Zamkniesz mordę, skurwysynu? – krzyknęła Riva.

– Zróbcie, co mówi.

Obie obróciły głowy na Keytari. Wciąż kołysała się miarowo jak wahadło. Łzy wysychały na jej twarzy.

– Zróbcie, co mówi – powtórzyła. – Proszę.

Khale spojrzała z nienawiścią na Maghara i pchnęła go w pierś. Zatoczył się na płócienną ścianę namiotu, ale ustał. Obie kobiety wyszły, rzucając gniewne spojrzenia.

\*

Itonoka usiadł za stołem. Powolnymi, okrężnymi ruchami trzech środkowych palców masował lewą skroń. Maghar zaczął odzyskiwać wzrok, chociaż świat jawił mu się rozmazany jak obraz szalonego artysty. Namacał jakąś skrzynię i usiadł na niej. Keytari przestała się kołysać. *Powinienem był pamiętać*, pomyślał Maghar. *Tak właśnie zginęła – uduszona przez mężczyznę, któremu ufała. A przynajmniej tak powinna była zginąć, zgodnie ze wszystkimi prawami tego świata. Ale Baria... bogowie, Baria, Poderyn, dzieciaki...*

– Nie wrócę do Lochów Trolli – powiedział Itonoka.

Spojrzeli na niego oboje.

– Nie wrócę – powtórzył Itonoka. – Nie będę umierał powolną śmiercią w ciemności, smrodzie i wilgoci, mając za jedynych towarzyszy szczury równie głodne, jak ja. Nie zamierzam też tańczyć z wronami na szubienicy. Wyrwałaś mnie śmierci – powiedział do Keytari. – Przywróciłaś do życia. Nie pozwolę sobie go odebrać. Wrócę do Kahru i spłacę krwią wszystkie długi, a każdemu, kto stanie mi na drodze odetnę łeb zgodnie z najświętszą tradycją mojego kraju. Ale jesteście mi potrzebni. Oboje. I nie będziecie żreć się jak dwa wściekłe psy. Zrozumiano?

– Przez nią zginęła moja rodzina – wycharczał Maghar. – Jak w ogóle możesz... jak w ogóle śmiesz... nie wiesz, co ja...

– Wiem, Renie Maghar – powiedział ostro Itonoka. – Żyję z tym bólem od prawie dekady i przez ten czas nie miałem nic, co mogłoby go choć odrobinę przytłumić.

– Oni żyją – dodała Keytari. – Gdybyś zechciał mnie wysłuchać...

– Wszyscy? – spytał z ożywieniem Maghar, czując się jak topielec, którego ktoś wyciągnął z zimnej otchłani oceanu.

– Twoja siostra i jej dzieci.

*Poderyn*, zrozumiał Maghar. *Poderyn, który tak bardzo mnie nie znosił i zawsze powtarzał, że ściągnę na nich niebezpieczeństwo.*

– Twoją siostrę zamknęli w lochach milicji. Nie wiem, co z dziećmi, ale szukam ich – ciągnęła Keytari. – Tartok za to zapłaci. Obiecuję ci.

– Nie – zaprzeczył Maghar. – On jest mój.

– Wie zbyt wiele – stwierdził Itonoka.

– W takim razie Kasharp – powiedział Maghar. – On jest mój.

– Na to mogę się zgodzić – przyznał Itonoka. – Keytari, wiemy, kiedy dołączy do nas Viseriya? Skoro Lekhtry rozesłał do wszystkich większych stanic informacje o naszej obecności na południu, najpóźniej za dwa tygodnie będziemy musieli albo stąd zniknąć, albo stanąć do walki z regularnym wojskiem. Będzie nam potrzebne

wsparcie twoich przyjaciół ze wschodu.

– To druga zła wiadomość – powiedziała Keytari. – Nie dostaniemy wsparcia przed wiosną. Oni bardzo źle znoszą mrozy. Przysłali nam tylko dwóch magów. Ale Viseriya powinien dołączyć do nas wieczorem, a najpóźniej jutro o świcie.

– Jak to działa? – spytał Maghar. Domyślał się, ale rozwiązanie wydawało mu się zbyt fantastyczne. Poza tym ciągle towarzyszyło mu silne poczucie odrealnienia. Dopiero zaczął się orientować w sytuacji, a już posadzono go do planów i chyba żądano uczestnictwa w ich tworzeniu. Nie miał innego wyjścia, niż się zgodzić, teraz, gdy tylko Keytari była w stanie ocalić jego siostrę. – Masz swoich szpiegów wszędzie i wiesz wszystko natychmiast?

– Nie nazwali mnie Szczurzą Panią z powodu niedostatków urody – odrzekła Keytari. – Łączy mnie umysłowa więź z każdym gryzoniem, którego sobie wybiorę. Wiem o wszystkim, co widzi i słyszy. Jeszcze jakieś ułomne pytania?

Wciąż była na niego zła. Poczul, mimo wszystko, ponurą satysfakcję, że wysnuł słuszne wnioski.

– Dwóch magów? – powiedział Itonoka. – To żałosne.

– Wiem o tym – odrzekła Keytari. – Nic nie mogę zrobić.

– W takim razie to koniec – stwierdził zbieg. – Ilu Varmondczyków zbierzemy przez dwa tygodnie? Trzy setki? Cztery? – Roześmiał się z goryczą i nalał sobie wina.

– Skąd pomysł, że w ogóle za tobą pójda? – spytał sceptycznie Maghar.

– Jestem Nintan Itonoka herbu Zielona Żmija, potomek najstarszego królewskiego rodu Kahru – odrzekł obojętnie Itonoka. – To oczywiste, że za mną pójda.

\*

Bez zbroi Khale była równie potężna, jak w pancerzu. Wymachiwała wielkim mieczem i zasłaniała się tarczą ze zniszczonym malunkiem, przedstawiającym białą mewę na błękitnym tle. Jej umięśnione nogi, obciążone w skórzane spodnie, poruszały się płynnie i pewnie. Pot perlił się na jej czole pod ciemnymi włosami.

Keytari zamiast tarczy trzymała w ręku długi sztylet. Odziana tylko w obcisłe, czarne nogawice i tunikę tego samego koloru, wyglądała jeszcze szczuplej niż zwykle. Białe włosy związała w warkocz, pojedyncze kosmyki opadły jej na twarz.

Przez długą chwilę krążyły wokół siebie jak dwa koty, jeden ogromny i silny, odkarmiona i wyuczona do walki bestia, drugi szybki, szczuplutki, przebiegły i pełen wdzięku.

Khale uderzyła nagle, wrzeszcząc, ile sił w płucach. Cios, który wyprowadziła szerokim cięciem znad uda, był morderczy, ale przeciwniczka błyskawicznie

zablokowała go mieczem, ramię aż zadrżało z wysiłku. Zaatakowała z dołu, nim strzyga odzyskała równowagę. Ostrze trafiło ją w bok. Kobieta stęknęła ciężko i grzmotnęła Keytari tarczą tak mocno, że ta upadła na ziemię. Stamtąd wyprowadziła kolejny cios w łydkę Khale, która jęknęła z bólu, prawie się przewracając. Kopnęła w rękę przeciwniczki, wytrącając jej miecz. Broń upadła na ziemię kilka kroków dalej. Szczurza Pani zakląła paskudnie, gdy Khale przyłożyła jej sztych do gardła.

Maghar obserwował walkę z boku, tak jak część Dzieci Ognia i gromada Strzyg. Nie mógł wyjść z podziwu nad sprawnością Khale. Wspomnił łatwość, z jaką zwaliła go z konia. Uśmiechnął się ponuro.

Keytari podeszła do niego, ubrudzona ziemią i spocona, ale uśmiechnięta.

– Co o tym sądzisz? – spytała.

– Nie chcę walczyć z żadną z was – odrzekł zgodnie z prawdą Maghar.

Szczurza Pani przyglądała mu się spod oka.

– To tylko zabawa – stwierdziła. Zdjęła z rąk grube, skórzane rękawice. – Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Zdziwiony Maghar poszedł za nią przez obozowisko, skąpane w świetle wieczornego słońca. Gorący wiatr poruszał trawami i gałęziami samotnego drzewa, rosnącego na granicy widnokrzęgu.

Keytari odgarnęła połę swojego namiotu.

– Wejdz – zachęciła.

Maghar zrobił, co kazała, zachowując czujność.

Odkąd Szczurza Pani wróciła do obozu, dzielił namiot z dwoma mrukliwymi Synami Ognia. Jej siedziba dalej była urządzona jak pamiętał – może z wyjątkiem klatki Psa, ustawionej na niewielkim stoliku w nogach pośłania.

Keytari klęknięła przy skrzyni. Maghar przyjrzał się wreszcie uważniej wzorom na pokrywających ją malunkach. *Oczywiście, szczury.* Gdy kobieta otwarła wieko, zobaczył coś, czego nie było tam poprzednio – broń. Czarny, nabijany ćwiekami pas z kaburą, z której Keytari wyciągnęła...

Maghar przyjął od niej przedmiot. Oglądał go ze wszystkich stron. Przypominał karabin z odciętą lufą. Ciemne, wypolerowane drewno błyszczało. Cyngiel był małym arcydziełem, rzeźbionym w szczura z drobnymi szafirami w miejscu ślepi.

*Broń palna, pomyślał. Coś, czym na całym świecie dysponują tylko Dzieci Ognia, Viseriya i ona. Czego mogła dzięki temu dokonać? Ta ambitna, pozbawiona sumienia, chyba trochę szalona kobieta?*

– To jakiś rodzaj karabinu?

– Pistolet – odrzekła Keytari. – Bardziej poręczny niż karabin i równie zabójczy.

Trzymasz w ręce przyszłość.

– Skąd to masz?

– Specjalny projekt, specjalna produkcja, specjalnie dla mnie. Od przyjaciela – odrzekła zagadkowo. Wyjęła broń z ręki Maghara. – W zamian za obietnicę.

– Naobiecowałaś wiele rzeczy bardzo różnym ludziom, prawda? Itonoce armię ze wschodu, której nie dostanie. Wytwórcy tej broni coś innego. Viseriyi też, skoro zgodził się ci pomóc. A Sarethanom?

– Sarethanom? – powtórzyła.

– Nie udawaj głupiej. Twoim przyjaciołom ze wschodu.

– Na wschodzie żyje wiele ludów.

Ton, jakim wypowiedziała te słowa, utwierdził Maghara w przekonaniu, że ma słuszość.

– Ale tylko oni są na tyle odmienni od nas, by mogli mieć problem z przetrwaniem zimy.

Milczała przez chwilę.

– Człowiekowi, który zrobił dla mnie ten pistolet, obiecałam wolność – powiedziała wreszcie. – W Królestwie Ognia, nad Wielką Rzeką, stoi budynek otoczony przez płoty i strażę. Teoretycznie właśnie tam posyła się ludzi, by mogli godnie dokonać żywotów...

– Byłaś w Domu Żywych Trupów? – spytał z przerażeniem Maghar.

– Tak.

Cofnął się o krok.

– Strach zaćmił ci rozum? – spytała pogardliwie Keytari.

– Tak jak tobie szaleństwo cały świat? Nie. Po prostu...

– Po prostu boisz się trądu.

Dobrze to ujęła. Trądu. Nie bólu, nie śmierci, ale właśnie trądu. *Kary boskiej, kary za wszystkie przewiny, dawne i nowe*, pomyślał Maghar. *Była tam. Rozmawiała z nimi. Bogowie... dotykała ich?*

Zgroza, którą czuł, odmalowała się na jego twarzy. Keytari roześmiała się tak gwałtownie, że łzy popłynęły jej z oczu. Zapięła na biodrach pas z kaburą i otworzyła klatkę Psa, który natychmiast wyskoczył na jej wyciągnięte ręce.

– Kahrańcy zabijają trędowatych, dlatego prawie się ich u was nie spotyka. Wolą ciągnąć do Królestwa Ognia. Tam trafiają, prędzej czy później, do Domu Żywych Trupów, gdzie robi się z nich stosowny użytek. Są tańsi niż robotnicy i mniej ich szkoda, bo tak czy inaczej muszą umrzeć. Produkują, składają i ulepszają karabiny od lat. – Pogłaskała Psa palcem po grzbiecie. Przymknął z zadowoleniem oczy i polizał jej dłoń, a później wspiał się na ramię i stamtąd na czubek głowy. –

Pozwól, że objaśnię. Dzięki temu armia Królestwa Ognia jest w tej chwili najpotężniejszą armią świata. Wszystkie tajemnice jej broni są bezpieczne w Domu Żywych Trupów. Nikt nie wejdzie z własnej woli między trędowatych, nikt nie dotknie ich notatek, rysunków i zapisków, a już na pewno nikt nie będzie wystarczająco szalony, by z nimi rozmawiać.

– Jak? – spytał Maghar. – Jak tego dokonałaś?

Keytari przechyliła lekko głowę.

– Wspięłam się po murze – odrzekła. – W nocy. Dom Żywych Trupów cieszy się na tyle złą sławą, że jego strażnicy nie muszą być zbyt uważni. Jedyńemu, którego spotkałam, poderżnęłam gardło. Chyba oskarżono o to któregoś z trędowatych.

– I co? – spytał Maghar gorączkowo.

Przewróciła oczami, otworzyła skrzynię i chwilę w niej grzebała. Wyciągnęła z niej zwinięty w rulon papier i podała Magharowi. Przyglądał mu się przez chwilę, ale nie zamierzał brać do ręki czegoś, co kiedyś trzymał trędowaty.

– Ty to rozprostuj – poprosił w końcu.

Usiadła na skrzyni z pogardliwym uśmiechem i zrobiła, jak chciał.

Maghar patrzył na namalowane tuszem rysunki. Serce waliło mu w piersi.

– Nie sądziłeś, chyba że wyciągnęłam Itonokę z lochów, dałam mu setkę ludzi i powiedziałam, żeby zdobył tron? – zagadnęła Keytari tonem, który sugerował, że zaczyna jakąś niezobowiązującą pogawędkę.

– Viseriya... On nic nie wie, prawda?

– Na ten temat? Nic. Nikt nic nie wie poza mną, tobą i Itonoką. – Złożyła z powrotem schemat budowy karabinu i wsunęła go do skrzyni. – Nowa partia broni, produkowana w Domu Żywych Trupów, jest przeznaczona dla nas, nie dla Królestwa Ognia.

– Musimy jedynie dotrzeć do serca Królestwa Ognia i zapewnić trędowatym... co? Wolność? Masz pojęcie, co zrobiłaś?

– Nie wolność, a opiekę – odrzekła. – Bezpieczne miejsce w Kahrze, gdzie za pracę otrzymają godne warunki życia.

– To szaleństwo.

Keytari uniosła brwi.

– Nikt nie mówi, że spełnię tę obietnicę. Mam schemat i obiecane trzysta sztuk broni pod koniec tego roku. Więcej na razie nie potrzebuję.

– Do końca roku? – powtórzył Maghar. – Mogę zapytać, jak, do cholery, zamierzasz w miesiąc najechać Królestwo Ognia i...

– Renie Maghar – powiedziała łagodnie Keytari. – Dlaczego uważasz, że to ja

najadę Królestwo Ognia?

– A kto? Twoich dwóch magów ze wschodu?

Uśmiechnęła się łagodnie, ale nie odpowiedziała. Maghar zrozumiał z całą pewnością, że jak długo będzie po stronie Keytari, pozostanie spowity pajęczyną zagadek i pytań, na które nie otrzyma odpowiedzi.

\*

Lampa zgasła.

Itonoka zamarł z łyżką rozgniecionych ziemniaków w połowie drogi do ust. Wpatrywał się w ciemność, która załęgła w kącie. Poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Smrodek, więzienny szczur, trącił nosem jego drugą dłoń.

Poła namiotu odchyliła się tak gwałtownie, że Itonoka podskoczył. Do środka wpadła Keytari, ubrana w zwiewną, czerwoną suknię, spiętą nabijanym ćwiekami pasem, przy którym nosiła miecz i pistolet.

– Nintan – wydusiła. – Varmondczycy.

Pod jego czaszką przesunęło się tysiąc drobnych bólu, przez które przebijała się jedynie rozpaczliwa myśl o zwycięstwie ciemności. Słowa Keytari zmusiły go do powrotu ze sfery irracjonalnego strachu.

Kobieta odwróciła się od niego. Westchnęła ciężko na widok zgaszonej lampy. Przykucnęła przy niej, napełniła olejem ze stojącej obok manierki i zapaliła ponownie. Żółty blask zatańczył na jej twarzy, ściągniętej w ponurym wyrazie. Nie był to strach. *Ona chyba w ogóle nie potrafi się bać*, pomyślał.

Odłożył łyżkę, rezygnując z jedzenia i wstał. Musiał przymknąć na chwilę oczy. Zwykle dręczący go ból głowy był tępy i przytłumiony. Dziś odnosił wrażenie, że ktoś wbija mu w mózg setki cienkich ostrzy. Potarł skronie.

– Nintan, proszę cię – powiedziała Keytari. – Chciałeś tu przyjechać, chciałeś ich spotkać. Najwyższa pora, żeby zrobić, co planowałeś.

– Zamknij się – wycedził Itonoka. – Proszę.

Umilkła. Itonoka odetchnął ciężko i uniół głowę.

Keytari stała w wejściu do namiotu i przyglądała się mu uważnie. Może nawet ze współczuciem.

Itonoka podwinął rękawy koszuli, przecesał palcami włosy, po czym bez słowa ominął Keytari. Wydostał się na świeże powietrze.

Noc była ciepła. Księżyc świecił jasno, tłumiąc blask gwiazd. W obozie, jak zwykle, pełno było światła. Kobiety Khale dosiadały koni, biegały w niedopiętych zbrojach i kłóciły się o podział broni. *Maghar nazywa je strzygami*, przypomniał sobie Itonoka. *Oby każda była warta tyle, co Khale.*

*Podskoczył, gdy Keytari położyła mu dłoń na ramieniu.*

- Byłbym wdzięczny za miecz i konia.
- I może jeszcze zbroję? – zagadnęła ironicznie.
- Nie zamierzam walczyć. Możesz to załatwić?
- Dosiądziesz konia?
- Spokojnego.
- Khale! – wrzasnęła Keytari. – Masz wolny miecz?

Khale przystanęła na sekundę. Włosy miała rozwiane. Pod pachą trzymała hełm.

- Jakiś znajdę, a co?
- Przynieś, proszę. I przyprowadź moją klacz.

Nadbiegła Riva, wyraźnie przerażona.

– Przypuszczam, że nas otoczyli. Jeżeli podejda jeszcze bliżej i zaczną szyć z łuków, może być nieciekawie – oznajmiła. – Mają konnych.

Itonoka znał varmondzkich konnych łuczniczków z czasów, gdy służył w wojsku jako podoficer piechoty. Nie dziwił go strach Rivy. Stanowił raczej przejaw rozsądku.

- Nie zaczną szyć, dopóki z nimi nie porozmawiam – stwierdził.
- Skąd ta pewność?

– Varmondzcy lubią pieprzyć trzy po trzy. Znacznie bardziej niż się zabijać, chociaż to też wychodzi im nieźle.

Zjawiała się Khale, niosąc pod pachą dodatkowy miecz i ciągnąc za wodze gniadą klacz Keytari. Ta wskazała ruchem głowy Itonokę. Khale uniosła brwi i wykrzywiła pogardliwie usta, ale wyciągnęła ku niemu broń.

Zapiął pas na biodrach. Miecz był cholernie ciężki. Czuł na sobie spojrzenia Keytari, Khale i Rivy. Wszystkie trzy wydawały się przekonane, że postradał zmysły.

Wsadził stopę w strzemień, zacisnął dłonie na łęku siodła i dźwignął się na grzbiet konia. Z trudem powstrzymał stęknienie, ale udało mu się nie kopnąć zwierzęcia w zad przy przerzucaniu nogi na drugą stronę.

- Nie jest źle – mruknął.
- Może przyłbicę też mu przynieść? – zasugerowała Khale.
- Wsiadaj na konia – mruknęła Keytari.

Khale skinęła głową i odeszła. Krzyczała na swoich podwładnych, klnąc niewybrednie.

- Gdzie podeszli najbliżej? – spytał Itonoka.
- Chodźcie – powiedziała Riva ochryple.

Ruszyli przez obóz. Strzygi siedziały już w siodłach. Znaczna część ruszyła za Itonoką, pozostałe rozjechały się na pozycje wokół namiotów.



Mieli pozostać tu długo i spodziewali się, że mogą zostać zaatakowani, a mimo to wokół obozowiska nie wzniesli żadnej palisady, bo nie mieli z czego jej zbudować. Płytki rów, ziemny wał, trochę ciernistych krzewów – to było wszystko. Dzieci Ognia, które chroniły się za tą prymitywną osłoną, z lufami karabinów wymierzonymi prosto przed siebie, wydawały się boleśnie świadome jej kruchości.

Maghara zastali w wyrwie wału, gdzie stał z mieczem przytroczonym do pasa. Wpatrywał się w ciemność. Itonoka nie ufał mu, w przeciwieństwie do Keytari. Był pewien, że skorzysta ze swobody, jaką zapewniała mu jej przychylność i zdradzi ich prędzej czy później.

– I co? – spytała Keytari.

Maghar wzruszył ramionami.

– Są tam – powiedział. – Jakieś genialne pomysły?

– Niech ktoś weźmie światło – rozkazał Itonoka.

– Wystrzelają was jak kaczki – ocenił Maghar.

– Zrób, co mówi – warknęła Keytari.

Wyrwał wbitą w ziemię za wałem latarnię i stanął po prawej stronie gniadej klaczy. Keytari głąskała jej szyję. Spojrzała na Itonokę.

– I? – zagadnęła.

– Zaczynamy – odrzekł i trącił piętami końskie boki.

Klacz postąpiła naprzód. Idący po drugiej stronie Maghar miał minę człowieka, któremu zakładają właśnie pętlę na szyję. Itonoka nie miałby nic przeciwko, żeby jakaś zabłąkana strzała przeszła mu gardło.

Wydostali się za wał. Po siedmiu krokach Itonoka usłyszał głosy. Ziemia i trawa chrzęściły pod kopytami konia i ciężkimi butami jego towarzyszy, ale Varmondzycy czuli się na tyle pewnie, że rozprawiali dość głośno.

– Strzelać już?

– Zabijemy ich zwyczajnie, czy najpierw wrzucimy na węgiel?

– To niewierni. Może powinniśmy...

– Pętla jest odpowiednia na wszystko.

Itonoka zatrzymał wierzchowca, rozłożył szeroko ręce i po varmondzku zawołał:

– Zabijcie mnie!

W odpowiedzi zapadła cisza tak doskonała, że wszyscy usłyszeli konia, przestępującego z nogi na nogę.

– Śmiało! – krzyknął Itonoka. – Czekam na was, synowie Varmondii! Zwalcie mnie z konia, spętajcie, powieście, ubiczujcie, spalcie!

Urwał, gdy z ciemności wjechało w krąg światła sześciu konnych. Ich wierzchowce były małe i smukłe. Oni sami nosili ciemne, zwiewne szaty i białe

turbany. W czarnych jak heban twarzach błyskały białka oczu.

– Jesteś śmiały – powiedział jeden z nich, z bardzo długim nosem i wysoko osadzonymi oczami oraz delikatnym, niemal figlarnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Jako jedyny miał na ramionach lamparcią skórę. – Jak na Obcinacza Głów.

Itonoka zmierzył go spojrzeniem złotych oczu. *Obcinacze Głów... Chciałeś mnie obrazić?* Inne ludy często tak określały Kahrańczyków. Niektórzy z nich tego nienawidzili. Cała reszta uważała takie określenie za największy komplement. Żołnierze znajdowali się, rzecz jasna, w tej drugiej grupie.

– Obcinacza Głów? – powtórzył Itonoka. Roześmiał się. Czuł na sobie wzrok Keytari. *Ciekawe, czy jej szczury rozumieją, co mówię.* – Obcinacze Głów zabili moją rodzinę, a mnie skazali na śmierć w cuchnących lochach.

– A mnie się wydaje, że to twoi pobratymcy – odrzekł tamten.

– Zdradzili mnie – odrzekł Itonoka. – By zawłaszczyć sobie mój majątek, mój dom, moje zwierzęta i moją ziemię. – Nigdy w życiu nie miał żadnych ziem, ale był pewien, że do serc Varmondczyków to ostatnie przemówi najbardziej. Kochali swój kraj, czuli się związani z każdym źdźbłem, które kiełkowało z gruntu. – Nienawidzę ich bardziej niż ty.

Uśmiech zgasł na twarzy Varmondczyka, który wściekle ściągnął wodze konia.

– Nikt nie nienawidzi ich bardziej niż ja! – ryknął, walnął się ręką w pierś. – Ja, Kil-Laram, jestem największym wrogiem tych najeźdźców i innowierców!

Odpowiedziały mu potakujące okrzyki jego świty.

– Kil-Laram! – ryknęło co najmniej dwieście gardeł.

– Kurwa – wyszeptał Maghar.

– Kil-Laram! Bohater! Ten, który niesie śmierć naszym wrogom! Ten, nad którym czuwa wielki An-Sajomi!

– Choćby czuwał nad tobą cały świat i tysiące głosów wychwalało cię pod niebiosa, Obcinacze Głów mają cię głębiej niż w dupie, Kil-Laramie! – oznajmił donośnie Itonoka.

Jego głos przedarł się przez wiwaty, a słowa wywołały w szeregach wojowników konsternację. Ciemnobrązowe oczy Kil-Larama zrobiły się wielkie jak spodki.

– Jak... – wychrypiał. Jego dłoń spoczęła na rękojeści szabli. – Jak śmiesz...

– Ciebie, mnie i nas wszystkich – powiedział cicho Itonoka, patrząc beznamiętnie na pieklącego się wojownika. – Przy całej naszej nienawiści i odwadze, nic ich nie obchodzimy. Nawet nie raczą na nas splunąć. Ani się wysrać, chyba że przypadkiem. – Podjechał kilka kroków naprzód. Gniada klacz i biały koń Kil-Larama stanęły niemal łeb w łeb. – Czy tak powinno być?

Kil-Laram dyszał ciężko.

– Przebiję twoje czarne serce – wycedził.

– Przebij – zachęcił Itonoka. – Możesz to zrobić. Już mówiłem: powieś mnie. Zabij. Pochowaj. Co to obchodzi Obcinaczy Główn? Zwisa im, co ze mną zrobisz. Nie wymówią nigdy twojego imienia. Nigdy go nawet nie usłyszą. – Zawiesił głos, ale tylko na jeden oddech, bo Kil-Laram ledwo nad sobą panował. – Chyba że do mnie dołączysz, Kil-Laramie. Jako Wódz Nad Wodzami. – Patrzył na Varmondczyka. – Czyż nie mówią o nim stare legendy Varmondii? O wielkim wojowniku, który jeden, jedyny raz w historii zjednoczył plemiona, by siały postrach wśród wrogów? Czyż nie jesteś w stanie tego dokonać? Przemówić do Varmondii, poderwać ją na nogi i powędrować do Królestwa Obcinaczy Główn? – Varmondczyk wciąż milczał. Jego palce drgały nerwowo, stukając o łęk siodła. – Mam broń ognistą, która rozbije w puch armię naszego wspólnego wroga. Konnicę, która zmiecie z powierzchni ziemi każdego. Wy macie to, czego Obcinacze Główn lękają się jeszcze bardziej: waszą legendarną odwagę. Możemy ruszyć na północ. Obrócić w popiół ich miasta, zgwałcić ich kobiety, zagarnąć ich skarby.

– Tak – powiedział cicho Kil-Laram. – Mogę zrobić to wszystko jako Wódz Nad Wodzami. – W jego oczach pojawił się błysk, a na wargach zatańczył uśmiech. – Ale dlaczego miałbym zrobić to z tobą, może nawet pod twoim dowództwem? Czy masz cokolwiek, co mnie przekona?

Rozległ się suchy szcęk, gdy Keytari zwolniła kurek pistoletu. Trzymała broń już od dawna, a Itonoka nie był pewien, kiedy po nią sięgnęła. Czuł, że zwycięstwo w tej dyskusji przecieka mu przez palce. Co miał? Setkę ludzi? Zaryzykował wszystko.

Cofnął klacz o kilka kroków w tył. Spojrzał na Keytari. Skinął lekko głową, a później znów popatrzył na Kil-Larama i rzucił:

– Magię.

Huknął strzał, koń Kil-Larama zarżał, a jednocześnie rozległ się szum, jakby fala wiatru przemknęła po równinie.

Varmondzycy wrzeszczeli. Pod zbryzganym krwią siwkim Kil-Larama ugięły się nogi. Wierzchowiec upadł na bok z wywalonym jęzorem. Z rozbitej czaszki wypływały okrwawione zwoje mózgu. Szczury, gundi, myszy – żywa, wiecznie głodna, ruchliwa fala – wylały się ponad wały i pomknęły na wrogą armię, prowadzone szaleństwem, opętane szałem. Za nimi pojawiły się Strzygi i Dzieci Ognia.

Gryzonie dopadły ofiar jako pierwsze. Gryzły i kasały, wspinały się na oszalałe ze strachu konie. Łatwo było je zabić, lecz kolejne szczury przebiegały po trupach

pobratymców, by dopaść ofiar. Leżący na ziemi Kil-Laram zmienił się w pagórek, pokryty ruchliwymi, burymi ciałami żarłocznych zwierząt. Zrzucał je z siebie warstwę po warstwie, lecz wciąż przychodziły nowe, zrywając z niego skórę i wgryzając się w mięso.

– Dość! – wrzasnął wreszcie Kil-Laram. – Zwyciężyłeś!

Itonoka machnął Keytari ręką. Fala gryzoni cofnęła się. Wrócili, dyszące i okrwawione, ale nie do obozu. Część skupiła się wokół Keytari, pozostałe przebiegały pod nogami klaczy, kilka wspięło się na ubranie Maghara.

Kil-Laram podniósł się na kolana. Przyciskał dłonie do okrwawionej twarzy. Z policzka, łuku brwiowego i obgryzionego nosa płynęły mu krew.

– Pozwól mi odejść! – zawołał. – Jakikolwiek okrutny bóg cię tu przysłał, pozwól mi odejść!

– Odejść? – powtórzył Itonoka. – Nie. Pójdziecie ze mną, Kil-Laramie, ty i twój lud. A jeżeli jesteście moimi wrogami, wydam was na pastwę czarownicy. – Wskazał Keytari, która z kamienną twarzą spoglądała na Varmondczyka. – Wybór należy do ciebie.

Kil-Laram uniósł głowę i spojrzał na niego. Dyszał ciężko.

– Obiecuj, że będą śpiewać o mnie w pieśniach – wychrypiał.

– Jeżeli pójdziesz ze mną – zaznaczył Itonoka. – W przeciwnym razie zetrę twoich wojowników, żony i dzieci z powierzchni ziemi, wymażę twoje imię z kart historii.

– Niech tak będzie – wyszeptał Kil-Laram. – Masz we mnie sojusznika, Wodzu Nad Wodzami.

Po czym uderzył o ziemię czołem.

Członkowie jego świty natychmiast zeskoczyli z siodeł, by również oddać pokłon. Z ciemności wynurzali się kolejni wojownicy. Szeregi falowały, kiedy wszyscy klękali i dotykali czołami ziemi.

– Nareszcie czuję się jak król – mruknął po kahrańsku Itonoka. – Warto było czekać.

– Już po wszystkim? – upewnił się Maghar.

– Na razie tak.

\*

Wojowników z klanu Kil było prawie dwustu pięćdziesięciu. Varmondzkim zwyczajem wlekli za sobą idące pieszo kobiety i dzieci oraz stada koni i kóz. Obozowisko rozrosło się przez to do ogromnych rozmiarów.

Keytari była zdenerwowana. Siedziała na posłaniu w namiocie Itonoki, gdzie zjedli wspólnie późną kolację lub może wczesne śniadanie. Przełknęła ledwie kilka

kęsów, a potem wypija dwa wielkie kielichy wina. Przy trzecim zapaliła cienkie cygaro, jedno z ostatnich, które Bruner Tartok sprowadził dla niej z Królestwa Ognia.

– Wyduś to z siebie – zachęcił Itonoka.

– Masz pojęcie, czym to się mogło skończyć?

– Starciem.

– Mieliśmy setkę ludzi.

– Teraz mamy ponad tysiąc, chociaż większość do niczego się nie nadaje.

Keytari strząsnęła popiół na talerz. Pies, który leżał na poduszce obok niej, uniósł lekko łeb, po czym ziewnął i zamknął czarne ślepia.

– Nie wiedziałam, co mam robić – wyszeptała kobieta. – Nie miałam pojęcia...

– Świetnie sobie poradziłaś.

– Cholernie się bałam, że wszystko spieprzę.

Itonoka wstał ze swojego miejsca. Wziął dzbanek i obszedł stół. Napełnił kielich Keytari, po czym usiadł obok niej.

– Za dużo od siebie wymagasz – stwierdził.

Spojrzała na niego dziwnie. Z bliska wręcz oszałamiała urodą. Wszystko w jej twarzy było doskonałe i harmonijne. Oczy w kształcie migdałów, delikatna krzywizna nosa, usta zaciśnięte w wyrazie determinacji i złości, długie, ciężkie włosy, opadające teraz swobodnie na twarz oraz plecy, szczupłe ciało okryte materiałem przepoconej sukni.

– Nieomyślności i nieugiętości – powiedziała. – To tylko dwie rzeczy.

Pocałował ją. Jej wargi smakowały winem, oddech pachniał mocnym tytoniem z dodatkiem ziół. Poczul na piersi dotyk jej dłoni. Odsunęła go łagodnie.

– Nie rób tego więcej – wyszeptała.

– Nie – zaprotestował. – Mam na ten temat własne zdanie.

Chciała wstać, ale przytrzymał ją za rękę. Wydęła wargi, zaciągnęła się dymem z cygara i wydmuchała mu go w twarz. *Zastanawia się, czy dać mi w mordę*, ocenił. W przeszłości miał dość kobiet, by rozpoznawać takie zachowania.

– Nawet jeżeli twój plan się powiedzie i osadzisz mnie na tronie, to czy myślałaś, co będzie dalej?

– Tak. Czy jeszcze coś?

– Nie powiedziałaś mi, co łączy cię z twoimi wschodnimi przyjaciółmi. Mniejsza o to – dodał zaraz, gdy otworzyła usta. – Nie interesuje mnie to. Chyba że chcesz oddać im cały Kahr. – Odczekał chwilę. – Nie pożyję już długo, Keytari. Jestem stary, na wypadek, gdybyś nie zauważyła.

– Stary i wstrętny – warknęła. – Puść mnie.

– Oboje wiemy, że możesz wyrwać mi się z łatwością.  
– O czymkolwiek myślisz, nie dostaniesz tego – oznajmiła i wyszarpała się mu.  
– Nie chodzi o to, że chcę cię zerznąć. – *Nie tylko o to*, sprostował w myślach. – Ale nie pożyję długo. Nawet jeżeli uda mi się zdobyć tron, wkrótce później umrę. Rada Stanu wybierze nowego władcę. A on prawdopodobnie zniweczy także twoje plany względem Sarethanów. – Miał ją. Przyglądała się mu z uwagą. Zaciągnęła się cygarem, zasłuchana. – Elekcyjny wybór królów. To szkodliwe i niepotrzebne. Chcę zostawić na tronie Kahru kogoś, kto da sobie radę z Radą Stanu, jej zapędami do rządzenia, z problemami, politykami, wrogami i całym tym gównem, którym trzeba płacić za królewskie życie. Ciebie, Keytari.

– Jak? – spytała.

Wiedziała. Widział to w jej szeroko rozwartych oczach, w delikatnym skrzywieniu ust, w napiętym oczekiwaniu ciele.

– Zrobię cię królową. Jeżeli się zgodzisz.

Miała to już na końcu języka, już uformowała słowa do odpowiedzi... i zawahała się.

– A cena? – spytała.

– Nie chcę od ciebie nic ponad lojalność i zwykłe małżeńskie obowiązki. – Na jej twarzy odmalowała się niechęć. – Pomyśl o tym, Keytari. Nie żądam odpowiedzi tu i teraz. Nie wiadomo, czy to się uda, ani kiedy się uda. A daję ci Kahr.

– Dajesz mi złotą klatkę.

– Zależy, czy rozumiesz wolność jako nierobienie niczego, czy też jako robienie tego, co chce się robić.

Itonoka dawno nie czuł się tak dobrze. Nawet o bólu głowy na chwilę zapomniał. Wiedział, że wygrał. Miał zbyt wiele do zaoferowania, a Keytari należała do zbyt ambitnych kobiet, by wszystko odrzucić.

– Przywróciłaś mi do życia, Keytari – powiedział cicho. – Jestem ci wdzięczny. Bez względu na wszystko.

– Wiesz, co odpowiem – rzuciła.

– Wiem.

– Chyba mam słabość do kahrańskich królów.

*Radirzjan Geshwank, czy tak?* – pomyślał Itonoka. *Gratuluję, Ren. Znowu zgadłeś.*

– Czy jestem dla ciebie...? – zaczął.

– Czy chcesz poznać szczerą odpowiedź?

Zawahał się.

– Nie, chyba nie – przyznał.

– No dobrze. – Dopiła wino. – Chyba powinieneś się przespać.

- Tak, chyba tak. Ty też, Keytari.
- Pamiętaj, że o poranku spodziewamy się gości.
- Viseriya – potwierdził Itonoka. – Zdziwi się troszkę.
- Troszkę – prychnęła Keytari, znowu rozbawiona.

## VII

Maghar jęknął i naciągnął na głowę koc.

– Zmęczony... – wymamrotał.

– A ja wypoczęta – sarknęła Keytari, kopiąc go w tydkę. – Nie zmrużyłam oka przez całą noc, więc nawet mnie nie wkurwiał.

Jęknął ponownie. Kobieta burknęła pod nosem coś nieprzyjemnego, po czym wyszła z namiotu.

Maghar usiadł. Czuł się wymięty i nieświeży. Nocny stres, długa podróż, masa złych wiadomości, które ostatnio na niego spadły – wszystko skumulowało się i okrzepło, stale zaprzatając jego myśli.

Obejrzał blizny po ukąszeniu psich zębów na przedramieniu. Rany zagoiły się czysto, ale Maghar wciąż nie był przyzwyczajony do nowych zgrubień na skórze. Wciągnął na grzbiet przepoconą koszulę, odrzucił koc i założył buty. Przewlekał sznurówki niemal bez udziału woli. Gdy skończył, wyszedł przez namiot.

W obozie panował tłok, hałas i ruch, jakby odbywała się jakaś parada. *Viseriya*, zrozumiał natychmiast. Dojrzał go wśród grupy konnych – smukłego, przystojnego człowieka z czerwonymi włosami i smagłą skórą. Towarzyszyła mu co najmniej setka ludzi, wszyscy uzbrojeni w karabiny i krótkie miecze. Maghar zobaczył Riwę, która stała przy *Viseriyi* i patrzyła na niego lśnącymi oczami, z twarzą rozplómiętą uśmiechem.

– Śniadanie – powiedziała Keytari, szturchając Maghara w bok. Przyjął od niej spory kawałek suszonego mięsa i pajdę czerstwego chleba. – Co o nim wiemy?

– O *Viseriyi*? – Skojarzył po chwili. – Jego ojciec był ulubionym sługą poprzedniego króla. Gdy *Kerosh* przejął tron, został ścięty. Syn poszedł w ślady ojca i, gdy dorósł, wszczął bunt przeciw panującej dynastii. Został pojmany i wygnany. – Ugryzł kawał mięsa. – Nazywają go Czerwoną Żmiją, bo walczy zatrutą bronią.

– Coś jeszcze?

– *Radirzjan Geshwank* go znał. Mówił, że to taki duży gówniarz z porządnym odchyłem.

– Skąd się znali?

– Milicja nie jest święta. Skupuje informacje od różnych nieciekawych ludzi.

Pojawił się *Itonoka*, wsparty na lasce i wymęczony. W porównaniu z *Viseriyą*

prezentował się nędznie. *Jak my wszyscy*, pomyślał Maghar ironicznie. *Jesteśmy bandą łachmaniarzy z żywym trupem na czele*. Dostrzegł wśród namiotów Varmondczyków – głównie kobiety, które wstały bladym świtem, by doić kozy i zwijać obozowisko, ale i nielicznych wojowników oraz dzieci, najmniej zainteresowane przybyciem Czerwonej Ziemi. Za Itonoką podążały strzygi. Wszystkie szły pieszo, poszczekując zbrojami. Maghar zdał sobie sprawę, że jest ich niecałe pół setki.

– Witam, Nintanie Itonoko, mój drogi przyjacielu! – zawołał Viseriya. – Wyglądasz lepiej niż tej smutnej nocy, kiedy trzeba było wynieść cię z celi na rękach!

Itonoka nic nie dał po sobie poznać. Zatrzymał się kilka kroków od Viseriyi i przyglądał mu przez chwilę.

– Dołączasz do nas na dobre? – spytał.

– Tak, tym razem tak – potwierdził Viseriya. – Czas odkryć karty i zacząć kontrolować sytuację, rozumiesz. – Umilkł na chwilę. – Nie odpowiesz na moje powitanie?

– Nie mam czasu na słowne gierki – odrzekł obojętnie Itonoka. – Toczę wojnę, gdybyś nie zauważył. Miałeś przechwycić i doprowadzić tutaj naszych sojuszników. Co z nimi?

– Wasi sojusznicy ze wschodu przysłali tylko dwóch ludzi – stwierdził pogardliwie Viseriya. – Mam jednego. Drugi gdzieś się pałęta. – Skrzywił się. – Jadę wypocząć. Później musimy się spotkać i porozmawiać.

Itonoka skinął lekko głową.

– Poślę kogoś po ciebie, gdy się już rozgościsz.

– Tylko pamiętaj, że nie lubię, gdy mnie zbyt wcześnie budzić – mruknął Viseriya, spiął konia i odjechał.

Jego ludzie podążyli za nim między namiotami, by znaleźć sobie skrawek sawanny i rozbić własne obozowisko. Został tylko jeden, niski, chudy mężczyzna z czarną brodą i długimi, kędzierzawymi włosami, ubrany w luźne spodnie oraz narzuconą na gołe ciało skórzaną kamizelkę. Podjechał do Itonoki i powiedział w niezdatnym kahrańskim:

– Jest magiem.

– To nie Sarethan – zauważył rozczarowany Maghar, jednocześnie zastanawiając się, czy znów go okłamano.

Itonoka wskazał w ich kierunku. Mężczyzna skłonił głowę i obrócił konia. Na widok jego twarzy Keytari sapnęła i wyrzuciła z siebie jakieś słowo w obcym języku.

– Znasz go? – spytał Maghar.



– Tak!

– A czy on zna ciebie?

Mina jej zrzędała. Zmarszczyła brwi. *Znał Kerin*, zrozumiał Maghar.

Mężczyzna zatrzymał przed nimi wierzchowca i zsunął się z siodła na ziemię.

– Jest magiem – powtórzył. – Moje imię Luvik.

Keytari uśmiechnęła się i odpowiedziała mu w języku Cesarstwa, wskazując siebie, a potem Maghara.

Mag odpowiedział uśmiechem.

Zaczęła się pospieszna konwersacja, z której Maghar nie pojmował nic. Skończył jeść, a potem rzucił do Keytari:

– Idę.

– Powiedz Itonoce, że niespodzianka będzie gotowa wieczorem – rzuciła Szczurza Pani.

W namiocie Itonoki zastał Khale. Ku zdumieniu Maghara, kobieta siedziała sztywno za stołem, z kielichem wina w ręce. Itonoka zajął miejsce naprzeciwko niej i tarł skronie z twarzą wykrzywioną grymasem złości.

– Keytari kazała ci powiedzieć, że niespodzianka będzie wieczorem – powiedział Maghar.

– W dupie mam jej niespodzianki! – warknął Itonoka. – Ma tu przyjść. Natychmiast. Idź i powiedz jej to.

– Chyba przegapiłem moment, w którym zostałem chłopcem na posyłki – mruknął Maghar, ale wyszedł z namiotu, nim Itonoka zdążył mu odpowiedzieć

Znalazł Keytari w tym samym miejscu, w którym ją zostawił.

– Itonoka chce cię widzieć. Jest zły – poinformował.

Skinęła głową. Powiedziała do Luvika kilka przeproszających słów. Mag odszedł, ciągnąc za wodze konia, a zirytowana Keytari ruszyła do namiotu Itonoki. Magharowi pozostało pójście jej tropem.

– Dobrze się bawisz? – spytał na ich widok Itonoka.

– Wszystko jest na dobrej drodze – odrzekła Szczurza Pani.

– Miałem dostać armię. Później dwóch magów. A dostałem jednego i to nędznej postury.

– Drugi przybędzie wieczorem.

– Z twoją zasraną niespodzianką?

Keytari skrzyżowała ramiona na piersi.

– Jeżeli wezwałeś mnie tu, żeby się wyżyć, wychodzę – oznajmiła ostro.

– Siadaj!

– Dlaczego miałabym...?

– Dlaczego miałaby...? – zaczęła równocześnie z nią Khale.

– Zamknijcie się obie! – rozkazał Itonoka.

Umilkły jak na komendę i zrobiły miny nadąsanych dziewczynek. Maghar uśmiechnął się pod nosem. Tak, Itonoka zdecydowanie miał królewski ton.

– Obydwie jesteście takie... takie cholernie trudne – ciągnął zbieg. – Tak nie może być. Słyszałyście Viseriyę? – Obie pokiwały głowami. – Ten człowiek to zmija. Będzie nas wspierał, to prawda, będzie też podważał moje wpływy na Varmondczyków, na wojska, które jeszcze zbierzemy, może nawet na was. Skończył się czas na słowne i emocjonalne przepychanki. Ciebie też to dotyczy, Ren – dodał. – Jeżeli jesteście ze mną, zacznijcie mnie słuchać. Jeżeli nie, wypierdalajcie stąd, byle daleko. – Zawiesił głos. – Musimy stanowić zwartą grupę z tylko jednym liderem. Czy to dla was zrozumiałe?

– Nie ma powodów, żebyś to ty nim był – stwierdziła Khale.

Itonoka westchnął ciężko, ze zniecierpliwieniem. Maghar skrzyżował ramiona na piersi. Nadszedł czas wyborów. Bogów brał na świadków, nie miał ochoty wypowiedzieć słów, które paść musiały, ale wyboru także nie miał. Jeżeli chciał cokolwiek zdziałać, ocalić swoją rodzinę, być więcej niż zawadą i więźniem, dawano mu niepowtarzalną szansę na poprawienie własnej pozycji.

– Masz mój miecz – powiedział. Itonoka spojrzał na niego zdziwiony. – Mój miecz, moje życie i moje serce. Przysięgam na krew w moich żyłach.

– Skąd taka zmiana nastrojów?

– Nie powinni podnosić ręki na moją rodzinę – odpowiedział niemal szczerze.

– Tak, to mnie satysfakcjonuje.

– Widzę, że jesteś zdeterminowany zdobyć tron – stwierdziła cicho Keytari. Itonoka obrócił na nią oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie, Maghar nic nie mógł wyczytać z ich twarzy. Szczurza Pani wygięła wargi w kpiącym uśmiechu. – Dobrze, zatańczę jak zagrasz. Chyba już na to najwyższa pora.

– Ale... – zaczęła Khale i zaraz urwała. – Niech was szlag. – Wstała i wyszła z namiotu.

– Właśnie straciliśmy Strzygi – stwierdził Itonoka. – Za kilka dni zobaczymy Khale u boku Viseriyi, mogę się założyć.

– Coraz mniej wesoło – uznał Maghar.

– Keytari, czy ten mag...

– Mam go w garści – zapewniła kobieta.

– To daje nam pewną przewagę.

– Mogę wiedzieć, dlaczego tak bardzo obawiamy się Viseriyi? – spytał Maghar.

– Obiecałam mu zemstę na Keroshach i tron Królestwa Ognia – odrzekła

Keytari. – Słowem, jego priorytety są odmienne od naszych.

– Będzie chciał załatwić Keroshów – stwierdził Maghar. *Rekhe*, pomyślał. *Słodka, delikatna, niewinna Rekhe, taka utalentowana, taka chętna*. Odpędził wspomnienia. – A nasz stosunek do nich?

– Oni uważają nas za wrogów – odrzekła Szczurza Pani.

– Przynajmniej stary Kerosh – dodał Itonoka. – Jego syn może mieć inne podejście. Tak czy siak, wiemy, że planują inwazję na Kahr.

– Kiedy? – przeraził się Maghar.

– Nie wiadomo konkretnie – odrzekła Keytari. – Sytuacja Kahru jest... średnia. Żadnych nowych kierunków ekspansji, niepotrzebna armia pożerająca ogromne zasoby, zahamowany rozwój gospodarczy. Jeszcze kilka lat i Kahr będzie dla Królestwa Ognia łatwym kąskiem.

– Kerosh Enerys przeczekałby te kilka lat – stwierdził Itonoka. – Co innego jego syn.

Maghar był w życiu świadkiem dwóch królobójstw. Jedno – otrucie Dydaskana Roseulusa na rozkaz Geshwanka – pomagał zatuszować. *Witamy z powrotem wśród skurwysynów, panie Maghar*, pomyślał ze znużeniem.

– Chcecie go zamordować? – spytał.

Itonoka przygryzł wargę. Rozważał to przez chwilę.

– Nie... – stwierdził wreszcie, ale niezbyt pewnie. – Po cholere mi spustoszony kraj i Dzieci Ognia na karku?

– Kerosh Enerys nie udzieli nam poparcia – powiedziała twardo Keytari. – Najwyżej wyśle twoim tropem kilku skrytobójców.

– Jego syn tak samo – mruknął Itonoka, pocierając skronie.

– Viseriya? – rzucił bez przekonania Maghar.

Keytari prychnęła pogardliwie.

– Gdybym chciał widzieć go na tronie, nie zamartwiałbym się teraz – powiedział Itonoka. – Nie możemy sobie pozwolić na zerwanie sojuszu między Kahrem a Królestwem Ognia. A wprowadzenie na tron Viseriyi zapewne tym właśnie się skończy.

– Po co nam ten sojusz? – spytał Maghar.

– Ren, na litość – jęknął Itonoka.

Opadł na posłanie. Teraz dla odmiany masował nasadę nosa.

– Varmondzycy przyłączyli się do nas raczej chętnie – powiedziała cicho Keytari. – Idę o zakład, że tak samo będzie ze Skalniakami, Rybnymi, kimkolwiek chcesz. Kahr osłabł przez ostatni rok. Wszystkie podbite narody czekają tylko na impuls, żeby wyrwać się spod panowania Kahrańczyków. Nasz bunt to świetna

okazja, bo bez wątpienia osłabi Kahr jeszcze bardziej...

– A my tego nie chcemy – przerwał jej Itonoka. – Po chuja mi kraj roztargany wojnami? – urwał na chwilę. – Jeżeli Królestwo Ognia zerwie sojusz, zostaniemy sami z tym bajzlem. Z buntami, masowymi porywami regionalnego patriotyzmu i, bogowie chrońcie, Viseriyą na tronie.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Maghar. – Sam podnosisz bunt, nakłaniasz Varmondczyków do wywalczenia sobie wolności, sprzymierzasz się z Viseriyą i zamierzasz rozpętać rebelię...

– Ale kontroluję sytuację – powiedział ostro Itonoka. – Kiedy już dostanę tę pierdoloną koronę, jakoś ich ugłaszczę. Rozluźnię reżim. Dostaną z powrotem swoich lokalnych władców. Coś w tym rodzaju. – Westchnął i rozłożył szeroko ramiona. – Z Viseriyą to się nie uda, teraz ani nigdy. Jest opętany pragnieniem zemsty. Za długo żywił się przekonaniem, że ukradziono mu tron.

– Ma do niego prawa? – spytała Keytari.

– Średnie – uznał Maghar. – To siostrzeniec poprzedniego króla, tego, którego obalił Kerosh. Jak on się...

– Viseriya Ceres Trzeci – powiedział matowym głosem Itonoka. – Jego siostra, Viseriya Arnia, wyszła za Yanderona Nestora, Wściekłego Psa. Czerwona Żmija to ich syn. Z Keroshem też łączą go rodzinne koligacje – dodał. – Po wstąpieniu na tron, Enerys wziął za żonę siostrę Żmii. Nie przeżyła porodu drugiego dziecka, które też zmarło, ale urodziła Enerysowi syna i to wystarczy. Gówniarz ma w żyłach krew Viseriyów. Kerosha Enerysa można nazywać uzurpatorem. Po śmierci Czerwonej Żmii, syn Enerysa będzie jedynym prawowitym dziedzicem korony, nawet gdyby nie uwzględniać Wojny Królów i obalenia Viseriyów.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał zaskoczony Maghar.

– Jestem synem jednego z najstarszych i najzacniejszych rodów Kahru – odrzekł obojętnie Itonoka. – Od wczesnego dzieciństwa katowano mnie historią, strategią, ekonomią i bogowie wiedzą, czym jeszcze. Znam tyle drzew genealogicznych, że wystarczyłoby ich na zalesienie całego Kahru.

Zapadła cisza. Keytari zamyśliła się głęboko, patrząc w przestrzeń. Maghar wydał lekko wargi.

– A co z bronią z Domu Żywych Trupów? – spytała kobieta. – Chciałam wysłać po nią jednego z magów.

– Nie – powiedział Itonoka. – Do kiedy będzie na nas czekała?

– Do końca tego roku. Później trędowaci muszą posłać transport dla królewskiej armii.

– Podasz mi mapę?

Keytari wstała z miejsca, otworzyła skrzynię i szperała w niej chwilę, wreszcie wydobyla złożoną na czworo mapę. Podała ją Itonoce, który usiadł i rozłożył papier na stole.

– Jesteśmy gdzieś tutaj. – Wskazał między granicę Varmondii a kreską oznaczającą Czarną Strugę. Przesunął palec na tereny Królestwa Ognia. – Dom Żywych Trupów znajduje się tutaj. Jeśli przejdziemy przez rzekę, wzdłuż granicy z Kahrem do Państwa Sinych Wzgórz i na północ...

– Miesiąc jak w mordę strzelił – uznał Maghar.

– Dwadzieścia pięć dni – uznał Itonoka.

– Dwadzieścia pięć dni konnej jazdy – podkreśliła Keytari. – Mamy wozy, wielki ogon w postaci rodzin Varmondczyków, pieszych...

– Varmondczycy mają konie – stwierdził Itonoka. – Wystarczająco wiele dla nas wszystkich. Zostawią rodziny. Zapasy zapakujemy na grzbiety koni, ile się da.

– Nie wytrzymasz prawie miesiąca konnej jazdy – stwierdziła gniewnie kobieta. – Musimy wyruszyć jutro, jeżeli rzeczywiście chcesz... Nie, to na nic.

– Innej możliwości nie ma.

– O czym wy w ogóle mówicie? – spytał Maghar. – Ilu mamy zdolnych do walki? Czterystu ludzi? Czterystu pięćdziesięciu? Lekthry na pewno rozesłał już wici. Może z Varmondii zdążymy się wyrwać, ale najpóźniej w Państwie Sinych Wzgórz staniemy naprzeciw kahrańskich oddziałów. – Spojrzał na mapę. – Założmy, że im też uciekniemy. Ten... Ci trędowaci mieszkają trzy dni konnej jazdy od stolicy Królestwa Ognia. To sam środek ich państwa, niemal środek Imperium. Wiecie, co to znaczy, czy mam mówić jak do dzieci? Dużo żołnierzy. Twierdze.

– To prawda, że nasze siły są żałośnie słabe – stwierdził Itonoka. – Keytari, liczę, że ta wieczorna niespodzianka okaże się dużą, sprawną armią.

– Idzie tu Viseriya – powiedziała kobieta, z nieco nieobecny wzrokiem wbitym w przestrzeń.

Itonoka chwycił skraj mapy i łagodnym ruchem złożył ją na pół. Maghar uśmiechnął się na widok tego wojskowego odruchu.

Poła namiotu poruszyła się i do wnętrza wszedł Czerwona Żmija.

– Można? – zagadnął, po czym bez zaproszenia usiadł przy stole.

Towarzyszyli mu mężczyzna z jednym oczodołem zarośniętym blizną i Riva. Oboje stanęli przy wejściu do namiotu, opierając o ziemię karabiny.

– Jakie macie plany? – spytał Viseriya.

– Zbierzemy trochę wojsk w Varmondii i Państwie Sinych Wzgórz – powiedział Itonoka. – Później uderzymy na Królestwo Ognia.

Na przystojnej twarzy Czerwonej Żmii pojawiło się zaskoczenie.

– Nie wolisz najpierw zgarnąć tronu Kahru? – spytał.

– Czekales na zemstę dłużej niż ja – odrzekł Itonoka. – Jestem też winien ci wdzięczność za to, że uwolniłeś mnie z Lochów Trolli. Poza tym ufam twojemu słowu.

Na to ostatnie Viseriya uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No – powiedział. – Przyznaję, tego się nie spodziewałem. Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy robić mnie w chuja – dodał. – Bo jeżeli mnie zdradzisz, kurewsko tego pożałujesz.

– Zdradzić? Zwodzić? – powtórzył Itonoka. – Za kogo ty mnie masz?

– Za żmiję taką, jak ja – odrzekł Viseriya. Przyciągnął sobie kielich Khale i napełnił go. – Ale może niesłusznie. Może jeden z nas jest gorszym podgatunkiem.

– Wypił trochę i skrzywił się. – Zrobimy, jak mówisz. To wino jest obrzydliwe.

Mimo ostatnich słów dopił do końca, a dopiero później wstał.

Gdy wyszedł, Itonoka ciężko westchnął.

– Ja nikomu nie życzę źle – mruknął. – Ale mam nadzieję, że na Viseriyę spadnie kiedyś coś ciężkiego.

\*

Słońce zachodziło, barwiąc krwawo chmury, które napłynęły na dotąd czyste niebo. Maghar wędrował przez obozowisko, dźwigając swoje bagaże i siennik. Z naprzeciwka nadeszła Keytari. Przystanęła i patrzyła na niego z dziwną miną.

– Nie chcę spać w jednym namiocie z Dziećmi Ognia – poskarżył się jej Maghar tonem nadąsanego dziecka. Naprawdę nie chciał. Jego współlokator nawet się nie przedstawił, łypał tylko na niego, jakby chciał go zgwałcić, a Maghar miał jedną falę daleko za sobą i drugiej przeżyć nie planował.

– Idź do Varmondczyków – zasugerowała Keytari.

– Mogę przyjść do ciebie? Proszę.

Uśmiechnęła się lekko i skinęła głową. Poprowadziła go przez obozowisko do swojego namiotu, rozbitego w pobliżu rozjarzonego światłami schronienia Itonoki. Maghar wtarabanił się do wnętrza, rozłożył siennik, rzucił bagaże, a przy okazji potracił klatkę z Psem. Szczur zaatakował go przez pręty.

– Już dobrze, maleństwo – wymruczała czule Keytari.

Otworzyła klatkę, wzięła Psa na rękę i przytuliła do siebie, całując miękkie futro. Maghar skrzywił się mimowolnie. Gryzoń wlaź Keytari za dekolt i usadowił się tam, łypiąc czarnymi ślepiami. *Skubany, wybrał najlepsze miejsce.*

– Zapraszam cię na kolację, na koszt Itonoki – rzuciła wesoło Szczurza Pani.

– Nie odmówię tak pięknej damie – odpowiedział Maghar, wbrew pierwotnym zamiarom mało ironicznie, bo myśl o piersiach Keytari lekko zamąciła mu w

głowie.

Wyszli z namiotu.

Przed wejściem stał Luvik. Powiedział coś do Keytari i wskazał ręką na niebo. Całą trójką zadarli głowy.

Maghar przez chwilę miał wrażenie, że śni. Ogromny, mierzący co najmniej trzynaście kroków długości gad o białych łuskach i monstrualnie wielkich skrzydłach opadał z nieba jak strzała. Jego długi, węzowy tułów z czterema krótkimi, podciągniętymi pod brzuch łapami przecinał gładko powietrze. Kolce na skrzydłach i grzbiecie błyszcząły złotem, podobnie grzywa i długie, sumiaste wąsiska.

Wszyscy dostrzegli już bestię. Varmondczycy krzyczeli, wyciągając ręce w górę. Niektórzy padali na twarz. Inni sięgali po broń.

Itonoka wyszedł przed namiot, wspierając się na lasce.

– O co ten cały...? – zaczął, spojrzał w niebo i urwał.

Biały smok wybrał na miejsce lądowania wąską wyrwę między namiotami. Może dwa metry nad ziemią złożył skrzydła i opadł z głuchym łomotem. Jego łeb znalazł się o trzy kroki przed Itonoką i jeszcze bliżej Maghara, który mógł spojrzeć prosto w złote ślepie, pogłaskać gęstą grzywę zwierzęcia lub dotknąć jego długich, rozłożystych rogów.

Między skrzydłami gada siedział jakiś człowiek, od stóp do głów spowity w białą szatę i dotąd niezauważony. Teraz podniósł się na nogi, pewnie stając na grzbiecie smoka. Za pasem nosił długi, kościany nóż. Odrzucił kaptur, prezentując płaską twarz, pokrytą mieniącą się w świetle łuską, i parę wielkich, okrągłych, bursztynowych oczu. Nie miał włosów, za to z czubka głowy sterczał mu kostny róg, do którego przywiązano pęk białych piór. *Sarethan*, pomyślał Maghar.

Mężczyzna przeszedł po długiej szyi smoka i zwinnie zeskoczył na ziemię. Sądząc po ruchach i twarzy – był jeszcze bardzo młody. Uśmiechnął się pozbawionymi warg ustami i skłonił lekko przed Itonoką.

– Jestem SroAreth, Mówca Pierzastego Węża – przedstawił się w nienagannym kahrańskim. – Przybywam z woli mojego boga, by służyć ci pomocą, panie.

Itonoka patrzył na smoka.

– Wspaniale – przyznał.

\*

Napływające z północy chmury pękły. Deszcz spadł na spragnioną, tonącą w upale ziemię. Wszystko nim nasiąkało, ale przynajmniej temperatura stała się bardziej znośna.

– Mogliśmy się tego domyślić, prawda? – powiedział Maghar.

Siedział na skrzyni w namiocie Keytari, która ściągnęła przez głowę suknię. Pod spodem nosiła tylko kusą koszulę i gorset. Pies spał w klatce, leżąc na boku.

– Mogliście – potwierdziła Keytari. – Nie zrozum mnie źle, ale wiedziałam, że to was przerośnie.

– Słowem, masz nas za głupców?

– Tak, chyba właśnie to chciałam powiedzieć.

Zakłęła, walcząc z supłem na wiązaniu gorsetu. Maghar siedział na skrzyni, zły i obrażony. Teraz, z perspektywy czasu, wszystko wydawało się oczywiste. Kerin Zmienioskóra uniknęła śmierci, skazując się jednocześnie na wieczną wędrówkę po cudzych ciałach jako niematerialna istota. A jednak stała przed nim w nowej, pięknej postaci. Miał wrażenie, że przez cały ten czas kpiła z jego głupoty. Przytłoczony zmartwieniami, oczarowany jej urodą i niezwykłością, nigdy nie zadał sobie podstawowego pytania – jak? Jak, do cholery, zdobyła to nowe ciało?

Nie pomyślał o tym nawet, kiedy dowiedział się o jej związkach z Sarethanami. Dopiero SroAreth i sposób, w jaki się przedstawił, otworzyły Magharowi oczy. *Mówca Pierzastego Węża, przybyły z woli boga.*

*Tylko bogowie mieli moc wystarczającą, by stworzyć z nicości nowe, doskonale działające, przepiękne ciało i tchnąć w nie życie. A w pradawnych czasach ludzie wygnali bogów do Niebytu – wszystkich, z wyjątkiem jednego. Pierzastego Węża, boga magii, którego narodem wybranym byli Sarethanie.*

Keytari stanowiła narzędzie Pierzastego Węża, a on mógł mieć w Kahrze tylko jeden interes. Nawrócenie narodu na swoją wiarę. Być może, w przyszłości – nawrócenie całego zachodu, do którego podbicia Kahrańczycy zmierzali. Itonoka miał zasiąść na tronie, by wypłenić dawne religie i dać ludziom nową.

– Pomożesz mi? – spytała Keytari.

Wstał i pomógł jej rozsuptać wstążki gorsetu. Przy okazji zajrzał w jej dekolt.

– Nigdy nie spodziewałem się po tobie religijności – powiedział Maghar, skupiając się ponownie na supełkach biegnących wzdłuż jej kręgosłupa. – Ani fanatycznych krucjat.

– Nie mam wyboru – warknęła.

– Wiesz, że to kłamstwo. Zawsze mamy wybór.

– Nie mogę nawet umrzeć – odrzekła. – Przypieczętowałam swój los już dawno, w łóżu twojego drogiego przyjaciela, Radirzjana Geshwanka.

– Zamordował cię w twoim własnym – przypomniał Maghar, dalej rozwiązując jej gorset. – Nie popadaj w zbędny patos.

– A ty w zbędną dosłowność! – warknęła wściekle. – Wiesz, jak to jest być duchem, błędzącym od ciała do ciała? Echem cudzego umysłu? Intruzem w czyjejs



głowie?

– Oczywiście, że nie wiem.

– W takim razie nie pierdol o wolnym wyborze. – Odwróciła się, spojrzała mu w oczy. – Straciłam swoją postać, swoją tożsamość. W pewnym sensie straciłam nawet swoje zdolności zmiennoskórej, bo jeśli opuszczę tę wspaniałą skorupę, ona po prostu obumrze. To ciało wciąż nie należy do mnie. Może rozpaść się w pył, jeżeli taki będzie kaprys Pierzastego Węża, ale przysiągł, że kiedy w Kahrze staną jego świątynie, uwolni mnie i pozwoli mi żyć własnym życiem.

Płynne złoto jej tęczówek, białka przecięte płataniną żyłek, jego własny obraz odbity w źrenicach. Maghar przypomniał sobie, że Kerin miała zielone oczy, ale równie pięknie – ogromne, migdałowego kształtu, okolone czarnymi rzęsami. Należała do Geshwanka, była więc dla Maghara nietykalna. Jedynym, co ich łączyło, była przyjaźń.

Nie wiedział, jak i kiedy znaleźli się na jej sienniku. Jedną ręką zadarł jej koszulę. Drugą musiał złapać szczupłe nadgarstki kobiety, która usiłowała wydrapać mu oczy.

– Zostaw mnie! – wydyszała. – Zostaw mnie, skurwysynu, słyszysz?

– Dlaczego? – spytał, w przeciwieństwie do niej zupełnie spokojny, bo wszystko, co robili, wydawało się naturalnym rozwojem sytuacji.

– Boję się! – warknęła. – Poza tym obiecałam już Itonoce...

– Lubisz kahrańskich królów, co? – zagadnął ironicznie, zanim jeszcze skończyła. – Jemu też powiesz, że się boisz?

– Nie kpj ze mnie!

– Zawładnęłaś kiedyś moim ciałem, pamiętasz? Więc przypomnij sobie, jak to jest być mną i powiedz mi, czego się, kurwa, boisz?

Jej oczy rozwarły się szeroko, nozdrza zadrżały.

– Wypierdalaj – wysyczała jak żmija.

Rozluźnił chwyt na jej nadgarstkach, zsunął rękę z biodra i zaczął się podnosić. Nie zdążył. Keytari rzuciła się na niego, wczepiła palce we włosy i szarpnęła, jakby chciała zerwać mu z głowy skalp. Jej usta były ciepłe i głodne, język zwinny, dziewczęce ciało jędrne i pociągające. Przez krótką chwilę dzieliło ich ubranie, później złączyli wszystko poza ciałami, a na koniec złączyli się w jedno tak, że Maghar nie był pewien, czy Keytari nie odzyskała przypadkiem swoich zdolności zmiennoskórej.

## VIII

W dzielnicy nędzy, rozciągającej się pod miejskimi murami, pukanie do drzwi po zmroku z reguły zwiastowało kłopoty. Sefren, wykończona po całym dniu pracy w

jednej z podłych garkuchni, chciała tylko zwalić się na siennik i zasnąć. Kiedy usłyszała łomotanie, pomyślała, że to znów pijany sąsiad wraca późno, by urządzić awanturę swojej żonie. Dopiero po chwili zorientowała się, że pukano do jej skromnej izby.

Odrzuciła wełniany koc, spuściła bose stopy na pełną drzazg podłogę i zamarła. Nie miała pojęcia, kto może odwiedzać ją o tak późnej porze. W małym pokoiku z brudnym paleniskiem, łóżkiem z trzech desek i jednym taborettem było już całkiem ciemno.

Pukanie ucichło na chwilę, a później rozbrzmiało ponownie.

Sefren zapaliła stojącą na stołku lampę. Skręciła płomyk tak, że ledwie migotał zza mętnych szybek. Owinęła się połatany szlafrokiem i przeszła kilka kroków do drzwi. Dotknęła zasuwę. Serce łomotało jej w piersi, a ręce się spociły, ale otworzyła.

W progu stał żołnierz w czarnym mundurze milicji.

Chciała zatrzasać mu drzwi przed nosem, ale wsadził przedramię między nie a framugę.

– Nierozsądne – warknął.

Cofnęła się, gdy wszedł do mieszkania. Był wysoki, o ciemnej cerze i błękitnych oczach, które zupełnie do niej nie pasowały. Sefren nie miała pojęcia, czego może chcieć. Wiedziała tylko, że odwiedziny milicji nader często były równoznaczne z odwiedzinami śmierci. Żołnierzy tej jednostki traktowano jak złe omeny. Miejsce, które nawiedzili, stawało się przeklęte.

– Słucham? – wydusiła zalękniona kobieta.

– Pani imię?

– Sefren.

– Jestem porucznik Rolen Astaron, z milicji. Przychodzę w sprawie Bari Maghar. To nazwisko coś ci mówi, pani?

– To siostra mojego byłego pracodawcy – odrzekła Sefren.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Zdała sobie sprawę, że ze strachu trzęsie się jak osika.

Żołnierz obejrzał się, zamknął drzwi na zasuwę i podszedł do zasłoniętego pęcherzem okna. Rozejrzał się za miejscem do siedzenia, ale nie znalazł nic odpowiedniego.

– Wiem, że była z nim pani blisko – powiedział.

– Skąd taki wniosek?

– Znałem Rena Maghara. Służyłem pod jego rozkazami. Zawsze uważał mnie za stronnika. Nigdy o mnie nie wspominał?

– Nie wiem – odrzekła Sefren. Odetchnęła. – Nie jestem pewna, czy moja relacja z panem Maghareem... Ja... nie wiem, o czym pan myśli – wyartykułowała w końcu.  
– To prawda, że mnie lubił. Sypiał ze mną. Kiedy nie mógł dłużej mnie utrzymywać, dał mi godziwą odprawę.

– A co pani czuje w stosunku do niego? – dociekał Astaron.

Sefren milczała przez chwilę.

– Jestem mu wdzięczna – odrzekła wreszcie, starając się mówić swobodnie. – Był bardzo dobrym panem. Nigdy mnie nie bił. Nie pamiętam nawet, żeby kiedykolwiek krzyknął. – Skubnęła palcami rękaw szlafroka. – Po co te pytania?

– Potrzebuję pani pomocy.

– To jakiś żart?

Astaron pokręcił przecząco głową.

– Baria Maghar przebywa w lochach milicji, a jej dzieci są zakładnikami – powiedział. – Dziewczynka znajduje się obecnie w pałacu, jest między służbą. Chłopiec... Nie wiem, co z nim. – Spojrzał w twarz Sefren, skurczoną w bolesnym grymasie. – Pani zna te dzieci, jak rozumiem.

– Siostra bardzo często odwiedzała mojego pana – powiedziała cicho. – Oczywiście, że je znam. – *Miałam je wywieźć z tego miasta, głupcze i zrobiłabym to, gdybyście dali mi szansę.* – Nie rozumiem jednak, w jaki sposób mogłabym pomóc.

– Dokładnie w taki sam, jaki zaoferowała pani już przedtem – odrzekł Astaron. – Trzeba ich wywieźć daleko stąd. Panią Maghar mogę wyciągnąć z lochów bez problemu. Zobaczę, co da się zrobić w sprawie dziewczynki, ale nawet jeżeli nie uda mi się uwolnić jej z pałacu, trzeba zabrać z miasta jej matkę. Błotne Ziemie to dobry kierunek ucieczki.

Sefren oniemiała.

– Skąd pan wie? – wydusiła wreszcie. – Przecież Baria nie mogła panu powiedzieć...

Żołnierz sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Kiedy z powrotem wysunął rękę, ścisnął coś w garści. Wyciągnął dłoń do Sefren i rozprostował palce.

– Ren Maghar przesyła pozdrowienia – powiedział i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Trzymał małą, burą mysz.

\*

Dreszcz czaił się pod drzwiami królewskiej komnaty z uchem przyciśniętym do drzwi. Kara, drobna, jasnowłosa służąca o złotej skórze nadeszła korytarzem, niosąc wielki dzban. Spojrzała dziwnie na starszego towarzysza.

– Co wyprawiasz? – spytała szeptem.

- Próbuję coś usłyszeć – mruknął.
- O czym mówią?
- O tej małej, jak-jej-tam.
- Nimro. Biedne dziecko.
- Cicho bądź.

Wyciągnęła do niego dzban i jednocześnie uśmiechnęła się ładnie. Dreszcz wziął naczynie z jej rąk. Skinął głową ze zrozumieniem. Kara odeszła, nie oglądając się za siebie. Mężczyzna wygładził brązową, wełnianą tunikę, po czym nacisnął klamkę i wszedł do pomieszczenia.

– ...nie zgodzi się na to, panie – mówił właśnie Ederyk Kasharp, wystrojony w czysty milicyjny uniform i srebrny, generalski płaszcz. Siedział na krześle przy królewskim łożu. – Maghar to twardy zawodnik.

– W takim razie jego siostrzenica zawiśnie – powiedział z oburzeniem król. Leżał wśród rozkopanej pościeli, ciągle w nocnej koszuli. – Nie widzę powodu, dla którego miałbym trzymać tutaj tę zdradzieckiej krwi gówniarę.

– Panie, uważam, że umieszczając ją tutaj, wystarczająco upokorzyliśmy Magharów.

– Nie wystarczy ich upokorzyć, komendancie – wycedził król. – Trzeba ich zetrzeć z powierzchni ziemi. Dopiero wtedy królewska władza przestanie być zagrożona, gdy nie zostanie po nich nic, poza pamięcią ich hańby.

Dreszcz zabrał z nocnej szafki tacę z resztkami królewskiego śniadania i postawił na blacie wino.

– W takim razie, jeżeli Wasza Wysokość sobie życzy, pošlę kuriera do Rena Maghara – mruknął komendant Kasharp. – Ale powtarzam: to nic nie da. Ty! – Dreszcz drgnął, gdy komendant wyciągnął ku niemu trzymany w dłoni kielich. – Nalej mi wina.

Dreszcz odstawił tacę na wolne krzesło, podniósł dzban i nalał komendantowi do pełna. Kasharp wypił, wbijając w niego spojrzenie bursztynowych oczu.

– A co z tym twoim informatorem? – zainteresował się król. – Z tym... Tartokiem, tak?

– Umarł dziś w nocy – powiedział Kasharp, przenosząc wzrok na króla.

– Przez te szczury?

– Jego służący mówili, że starali się zwalczyć tę plagę przez całe lato, ale widocznie szło im kiepsko. Głodne gryzonie dostały się do sypialni Tartoka i potraktowały go jak wyjątkowo smaczny ser. – Zachichotał. – Nie udało się go uratować, ale to nic nie szkodzi. Zaoszczędzimy żołnierzy do ochrony. Dlaczego jeszcze tu jesteś? – powiedział do Dreszcza.

– Nie chcesz więcej wina, panie? – zainteresował się służący.

– Zostaw ten dzban i wypad stąd, zanim karzę przeorać ci plecy! – powiedział ostro król.

Dreszcz uklonił się, odstawił dzban, zabrał tacę i wyszedł. Wkrótce opuścił jasno oświetlone skrzydło królewskie i znalazł się wśród surowych korytarzy dla służby, gdzie jedynym źródłem światła były kopzące świece. Ostrożnie zszedł po wąskich, spiralnych schodkach do mieszczącej się w podziemiach kuchni.

Tutaj zawsze panował ruch. Dymiły paleniska, powietrze przesyciły zapachy. Kucharki siekały zioła, kroiły mięso, szatkowały warzywa. Posługaczki wycierały podłogi, szorowały garnki i pilnowały ognia.

– To dla ciebie – powiedział Dreszcz do Kary, podając jej tacę, gdy odnalazł ją w tym harmidrze.

– Tam jest ktoś do ciebie – odrzekła, wskazując jeden z kątów.

Spojrzał we wskazanym kierunku. Jego serce opuściło jedno uderzenie.

Milicjant siedział na szerokiej ławie, racząc się kielichem wina. Obok niego usadowiła się Nimro, ubrana w sukienkę z brązowej wełny. Spuściła oczy i skubała skraj poplamionego fartuszka.

Dreszcz klepnął zatroskaną Karę w ramię i ruszył w kierunku żołnierza, zastanawiając się, co zrobił nie tak. Kucharki schodziły mu z drogi. Czuł na sobie ich zaniepokojone spojrzenia.

Stał przed żołnierzem. Ten uniósł na niego błękitne oczy. Nimro też oderwała spojrzenie od swoich majtających w powietrzu stóp i popatrzyła na Dreszcza.

– To on? – spytał żołnierz.

– Tak – pisnęła dziewczynka.

– Siadaj, Dreszczu.

Dreszcz rozejrzył się za jakimś stołkiem, przyciągnął sobie taboret i usiadł. Nie zwiodła go ta uprzejmość, pozostał spięty i czujny. Spojrzał na oznaczenia na rękawie żołnierza. Porucznik.

– Jestem Rolen Astaron – powiedział oficer, odstawiając kielich obok siebie. – Łatwiej dostać się do króla niż do tej waszej cholernej kuchni, zwłaszcza z moim stopniem, ale na szczęście udało mi się przekonać pałacowych strażników, że szukam tylko wina. Przyjechałem z komendantem Kasharpem. Muszę opuścić pałac razem z nim. Nie mamy więc zbyt wiele czasu, jak łatwo się domyślić.

– Rozumiem, że to nie jest wizyta milicjanta – mruknął Dreszcz. – Panie.

– Absolutnie nie. Wiesz, kim jest Sefren, Dreszczu?

Służący powoli skinął czarnowłosą głową.

– O ile pamiętam, tak nazywała się ulubiona służka Rena Maghara.

– Bardzo dobrze. Lubię, kiedy uczestnicy spisku się znają. To buduje rodzinną atmosferę. – Odwrócił się do dziewczynki. – Nimro, kochanie, znajdziesz dla mnie kawałek sera?

– Duży? – spytała.

– Żeby starczył na śniadanie dla średnio wyrosniętej myszy.

Dziewczynka skinęła głową, zeskoczyła z ławy i odeszła.

– Widziałem ją przedtem tylko raz, przy jakiejś oficjalnej okazji – powiedział z namysłem porucznik, patrząc za Nimro. – Baria Maghar nie lubiła balów, uczt i wszystkich tych towarzyskich spotkań, więc komendant rzadko był w stanie ją na coś namówić. Ten jeden raz pojawiła się, oczywiście, wraz z rodziną.

– Komendant? – powtórzył Dreszcz z powątpiewaniem.

– Były komendant Maghar – przytaknął Astaron.

Dreszcz po raz pierwszy pomyślał, że ten człowiek może jednak mówić z sensem. Do tej pory odnosił wrażenie, że rozmawia z kompletnym pomyleńcem.

– Jesteś stronnikiem Rena Maghara, panie?

– Jego podwładnym – odrzekł wymijająco Astaron. – Trudno nazwać mnie „stronnikiem”. Komendant popierał Radirzjana Geshwanka, ja przestałem to robić, gdy wprowadził do procesu śledztwa tortury. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Będę mówił wprost. – Nachylił się w stronę Dreszcza. – Słyszałem o tobie dość sporo. Służysz w pałacu od lat. I za każdym razem, gdy w mieście wybucha bunt społecznych dołów, jesteś karany. Nic groźnego, rzecz jasna, w przeciwnym razie dawno byś nie żył, ale kradzież żywności, leków. Oczywiście, nikt nigdy nie złapał cię za rękę, ale my potrafimy dodać dwa do dwóch.

– Jestem aż tak sławny? – spytał ironicznie Dreszcz.

– W archiwach milicji na każdego jestteczka. Poza drobnymi wyjątkami.

– Czego chcesz ode mnie, panie?

– Chcę, żebyś dziś w nocy wyprowadził z pałacu Nimro Maghar i przyszedł z nią na główny plac miasta. Będzie tam czekał wóz, który zabierze ją i jej matkę daleko stąd.

– Do grobu?

– Na Błotne Ziemie – odrzekł z urazą Astaron. – Możesz nawet jechać z nimi, jeżeli chcesz.

– Dobrze rozumiem? – spytał Dreszcz. Miał wrażenie, że grunt pod jego nogami drży, rozpęka się i obsypuje zdradziecko. – Znalazłeś moją teczkę w archiwach, przeczytałeś o błędach, które popełniłem i za które niejednokrotnie przeorano mi plecy do żywego mięsa, a teraz uważasz, że pomogę ci w jakichś podejrzanym akcjach? Równie dobrze możesz wywieźć tę małą do burdelu...

– Lepiej, żeby ją powiesili? – warknął Astaron.

– Skąd, do cholery, wiesz, że mają taki zamiar? – Wzburzony Dreszcz ledwo pamiętał o tym, żeby mówić cicho. – Kim jesteś, do kurwy nędzy? Co cię obchodzi Nimro Maghar? Skąd pomysł, że chcę ci pomóc? I kogo masz za plecami?

– Uważaj na słowa – wycedził Astaron.

Wróciła Nimro.

– Mam tylko tyle – powiedziała, podając żołnierzowi pół kostki sera.

– Starczy aż nadto – zapewnił.

Z kieszeni jego podbitego futrem płaszcza wylazła brązowa mysz. Ogon miała długi i różowy jak dżdżownica. Na jej widok Nimro pisnęła z zachwyty. Żołnierz oddał dziewczynce ser i posadził gryzonia na jej kolanach. Uradowana Nimro oderwała od kostki mały kawałeczek i podsunęła myszy pod nos.

– Ostatnio wszędzie jest cholernie dużo szczurów, myszy i innego drobiazgu, prawda? – zagadnął oficer Dreszcza. Ten milczał, patrząc złym wzrokiem na Astarona. Żołnierz uśmiechnął się blado. – Ren Maghar polecił mi się do ciebie udać.

– On jest daleko – stwierdził Dreszcz.

– Owszem.

– Gdyby przysłał kuriera, przechwycono by go.

– Nie przysłał kuriera – powiedział obojętnie Astaron. – Przysłał mysz.

– Nie za bardzo rozumiem.

Astaron znów sięgnął do kieszeni, ale tym razem wyciągnął złożony na czworo kawałek papieru. Dreszcz chwycił go, rozłożył i przeczytał, łapczywie chłonąc pokraczne pismo.

– Jest jeszcze to – dodał Astaron.

Zaafetowany Dreszcz ledwie rzucił okiem na stalowy pierścień, który porucznik pokazał mu na otwartej dłoni.

\*

Klucz zgrzytnął w zamku.

Baria, skulona na zimnej posadzce, uniosła głowę. Dygotała, owinięta tylko w cienki koc. Nikt jej nie torturował ani nie przesłuchiwał – Kasharp doskonale zdawał sobie sprawę, jak niewiele wiedziała – ale gdyby zechcieli...

Drzwi otworzyły się. W wejściu stał żołnierz w czarnym mundurze, wysoko unosząc lampę. Jego twarz była blada.

– Niech się pani nie boi – wyszeptał. – Jestem przyjacielem. – Przeszedł kilka kroków, jego buty stuknęły po posadzce. Wyciągnął coś do Bari. – Jestem po pani stronie.

Wzięła z jego palców stalowy pierścień i obróciła go, oglądając dokładnie. Był w jej rodzinie już od kilku pokoleń. Po ojcu odziedziczył go Ren, po nim miał przypaść Nimro lub Radirzjanowi, zależnie od tego, jak potoczyłyby się ich losy. Znała każdą rysę na jego powierzchni.

Baria uniosła oczy i spojrzała uważnie na twarz żołnierza. Miał niezwykle błękitne oczy.

– Widzieliśmy się tylko raz, więc może mnie pani nie kojarzyć – powiedział cicho. – Nie ma czasu na wyjaśnienia. Proszę pójść ze mną. Sefren już na panią czeka. *A dzieci?* Baria bardzo chciałaby o to zapytać. Wciąż patrzyła nieufnie na obcego mężczyznę. Budził w niej strach, jak wszyscy kahrańscy żołnierze, może za wyjątkiem Rena.

– Błagam – syknął. – Niech się pani ruszy.

Włożyła pierścień na lewy kciuk, bo tylko z niego się nie zsuwał. Wyciągnęła rękę, a mężczyzna pomógł jej wstać.

– Zabrali pani ubranie?

Skinęła głową.

– Coś znajdziemy – mruknął.

Wyprowadził ją z celi i powiódł w górę po stromych schodach. Przez otwartą kłapę dostali się do małego pomieszczenia, oddzielonego od korytarza kratą. Żołnierz postawił lampę na wielkim, brzozowym stole. Jej blask padł na twarz mężczyzny, leżącego głową w czerwonej kałuży. Na jego widok Baria wciągnęła z sykiem powietrze.

– Żyje – powiedział żołnierz, a ona zrozumiała, że patrzy nie na krew, a na rozlane wino. – Spoilem go senniczką. Niech pani tu zaczeka.

Po czym zabrał lampę i odszedł, zostawiając Barię w ciemności.

Objęła się ramionami, skubiąc rąbek koca. Słyszała kroki żołnierza, dźwięk wysuwanych szuflad. Wrócił po długiej chwili, niosąc złożony mundur.

– Proszę to włożyć – polecił. Znów postawił lampę na stole i taktownie odwrócił się tyłem. – Na warcie stało dziś siedmiu moich ludzi. Wszyscy będą spali jeszcze co najmniej przez kilka godzin.

Baria pospiesznie wciągnęła na smukłe nogi spodnie. Drżącymi palcami zapięła koszulę i narzuciła na ramiona podbity futrem płaszcz. Za duże ubranie wisiało na niej dość luźno, maskując kształty. Dotknęła nieśmiało ramienia żołnierza. Spojrzał na nią i uśmiechnął się słabo.

– Dobrze. Chodźmy. Tylko cicho.

Puścił Barię przodem, wskazując drogę. Na palcach przeszli korytarzem koło kolejnego śpiącego strażnika, przez drzwi i główną salę. Zatrzymali się przy



wyjściu. Żołnierz oddał Barii lampę, a sam odsunął zasuwę.

– Hej! – dobiegło z dołu. – Wy tam! Macie wino?

– Szybko – syknął żołnierz, otwierając drzwi.

Baria wybiegła. Poślizgnęła się na oblodzonych schodkach i prawie upadła. Zimno przeszło ją do szpiku kości, potęgując dygotanie całego ciała.

Żołnierz zeskoczył ze stopni, odwiązał od barierki wodze dorodnego karosza, który z zimna przestępował z nogi na nogę i prychał. Wytrącił z ręki Barii lampę, która upadła w śnieg i zgasła z sykiem.

Usłyszeli trzask otwieranej okiennicy. Baria uniosła głowę, ale żołnierz chwycił ją w tali i posadził na grzbiet konia.

– Psiakrew! – rozległ się okrzyk. – Stać! Kurwa mać, stać!

Żołnierz wskoczył na siodło za Barią. Krzyknął na konia, pognął go do kłusu, a później do galopu. Ze stukotem kopyt pomknęli przez śpiące miasto.

Było zimno. Pędzący wierzchowiec ślizgał się na każdym zakręcie.

Nie jechali długo. Po kwadransie przedzierania się przez wąskie, miejskie zaułki, wypadli na jedną z głównych ulic. Żołnierz ściągnął wodze konia i stępa dotarli na plac targowy.

Straszyły porozstawiane wszędzie puste stoiska i resztki małych ognisk, jakie handlarze palili, by się rozgrzać. Kilka wozów, w większości odkrytych, stało wśród straganów. Pilnowali ich pacholki albo przywiązane do kół psy. Handlarze uwiązali okryte derkami konie w jednym miejscu, przy paśniku.

Na jednym z nielicznych krytych wozów czekała Sefren. Na ich widok zeskoczyła na ziemię i czekała cierpliwie.

Żołnierz zatrzymał konia. Baria z ulgą zsunęła się z siodła i padła w objęcia służącej owiniętej w połatany płaszcz z burej wełny.

– Już dobrze – powiedziała łagodnie Sefren, ściskając dygoczącą kobietę. – Wszystko będzie dobrze.

Pociągnęła Barię do wozu i pomogła jej wsiąść. W środku był jeszcze jakiś mężczyzna. Na jego widok Baria zamarła, porażona zgrozą. Owinięty w skromny płaszcz, miał skórę i włosy czarniejsze od nocy, a oczy lśniące jak żywe srebro. Chwilę później Baria dostrzegła Nimro, śpiącą z głową na jego kolanach. Rzuciła się do córki i chwyciła ją w ramiona.

Dziewczynka ocknęła się, potoczyła wokół przerażonym spojrzeniem, zaraz jednak pisnęła radośnie i z całych sił objęła matkę. Baria zaczęła kołysać ją w ramionach. Do oczu podeszły jej łzy, spłynęły po zmarzniętych policzkach i zaczęły skapywać po brodzie.

– Jedziesz z nami, Dreszczu? – spytała Sefren.

– Nie – odpowiedział czarny mężczyzna. – Spróbuję znaleźć tego chłopca.

– A pan, poruczniku?

– Do rana powinienem zniknąć z miasta – odrzekł żołnierz. – Weź tę mysz, Dreszcz – dodał, sięgając za pazuchę i podając służącemu małego, nastroszonego z zimna gryzonia. – Skoro zamierzasz tu zostać, bardziej ci się przyda.

Nimro oderwała się od Barii, która wciąż klęczała zalana łzami. Dziewczynka uścisnęła mocno Dreszcza.

– No, mała – mruknął z zażenowaniem i poklepał ją po plecach. – Będzie dobrze. Znajdę twojego braciszka i dołączę do was.

Oswobodził się z uścisku dziecka. Sefren wyciągnęła do niego ramiona. Uścisnął ją krótko, później uklonił się Barii i wyskoczył z wozu.

– Będę jechał – powiedział porucznik.

Sefren skinęła głową. Żołnierz w ten sam sposób pozdrowił Barię, po czym szarpnął wodze konia i odjechał. Stukot kopyt oddalał się stopniowo, wreszcie ucichł.

Sefren wyciągnęła do Barii niewielkie zawiniątko, w którym było trochę suchego chleba i sera.

– Najrozsądniej z waszej strony będzie przez całą drogę nie pokazywać się nikomu – powiedziała, opuszczając poły wozu, by ukryć ich w bezpiecznej ciemności. – Jutro rano spróbujemy wyjechać z miasta z handlarzem z Błotnych Ziem. Wie o wszystkim i zgodził się pomóc.

Baria skinęła głową. Nie mogła przestać płakać. Strach, rozpacz, ulga, nadzieja – wszystkie skumulowane w niej emocje znalazły ujście. Nimro położyła głowę na jej kolanach, a Baria głaskała jej włosy i walczyła ze łzami.

\*

Jeździec wyłonił się z bocznej alejki i zajechał mu drogę. Porucznik Rolan Astaron ściągnął wodze konia. Obejrzał się przez ramię. Zobaczył trzech pieszych. Straż miejska. Najwyraźniej nikogo więcej nie zdążyli zebrać.

– Zabawne – stwierdził.

– Czyżby? – zagadnął jeździec. – Mam rozkaz pana aresztować, poruczniku.

– Coś ci się chyba pomyliło – stwierdził obojętnie Astaron i dobył miecza.

Wbił pięty w końskie boki, tak mocno, że jego wierzchowiec z miejsca ruszył kłusem. Zaskoczony konny sięgnął po broń. Ledwie zdążył ją wydobyć, Astaron ciął go przez pierś. Zobaczył jeszcze młodą twarz zastygłą w wyrazie przerażenia, nim jeździec zwałił się w śnieg.

Astaron ścisnął kolanami boki swojego karosza.

– Stój! – wrzasnął któryś z miejskich strażników. – Stój, szaleńcze!

Koń wszedł ostro w zakręt i prawie przewrócił się na bok, rozpaczliwie bijąc kopytami o lód. Pogalopował po zaśnieżonym bruku i wydostał się na szeroką, przelotową ulicę, wiodącą do bramy.

– Kto jedzie? – zawołał jeden z miejskich strażników, wychodząc naprzeciw Astarona.

– Kurier!

– Pokaż wstęgę!

Astaron sieknął mieczem, ale strażnik osłonił się halabardą i sam wyprowadził cios. Zbyt późno, porucznik zdążył go minąć.

Wystrzelony przez niewidocznego kusznika bełt wbił się głęboko w ramię Astarona. Jęknął i zachwiał się w siodle. W tej samej chwili z cienia bramy wyszedł drugi strażnik, dzierżący halabardę. Astaron odbił wymierzony w jego bark cios. Strażnik cofnął się i przymierzył do ostatecznego uderzenia, ale przeciwnik był szybszy. Ciął przeciwnika mieczem przez pierś, tamten zwałił się na plecy, obficie brocząc krwią.

Astaron zeskoczył z wierzchowca, przypadł do powalonego mężczyzny i zerwał pęk kluczy, wiszących u jego pasa. Słyszając za sobą tupot nóg, zdążył jeszcze wstać i obrócić się, nie zdołał jednak dobyć miecza.

Drugi ze strażników bramy pchnął go halabardą w brzuch. Ostrze przebił skórę i wślizgnęło się w miękkie wnętrzości. Astaron wypuścił zarówno miecz, jak i klucze. Upadł na ziemię, gdy halabardnik wyszarpnął broń z jego ciała.

*Kurwa, było tak blisko, pomyślał w ostatniej sekundzie świadomości.*

\*

Sefren siedziała na koźle obok starego, śmierzącego cebulą Rybnego imieniem Kalan. Jego kryty wóz ciągnęły dwie wiejskie chabety, na oko niewiele młodsze od właściciela, ale odkarmione i silne.

– Niech szlag ich trafi przy tej bramie – powiedział Kalan w języku Rybnych.

Tego dnia wyjątkowo ciężko było dostać się do Domu Pierwszych Zdobywców. Żołnierze sprawdzali każdy wóz.

Wlekli się noga za nogą, beznadziejnie powoli. Przed nimi strażnicy wybebeszyli pojazd wiozący ładunek owoców. Wreszcie przepuścili zirytowanego właściciela. Kahrańczyk, znudzony pracą równie mocno, jak handlarze czekaniem, podszedł do Kalana.

– Pan skąd? – spytał.

– Targ – odrzekł Kalan z godnym pożałowania akcentem. – Targ jestem.

Strażnik zachichotał i odgryzł kawałek jabłka, które zabrał poprzedniemu handlarzowi.

– Co pan wiezie?

– Ryby. Suszone ryby. W śniegu ryby. Przetwory ryby. Dobre ryby. I mam raka, sporo raka z morza na północy.

– Wystarczy, zanim puszcze pawia – mruknął żołnierz. – Dokumenty. Pani też – zwrócił się do Sefren.

Sefren wyjęła z kieszeni płaszcza zgodę na przebywanie na terenie Kahru. Kalan miał identyczne zezwolenie oraz przepustkę dla handlarzy. Strażnik przejrzał papiery, oddał im dokumenty.

– Pokaż pan, co wiesz – rozkazał. Kalan zeskoczył ze stęknieniem z kozła i zaprowadził mężczyznę na tył wozu. Sefren wyobraziła sobie, jak odsuwa płachtę, jak strażnik wchodzi do wnętrza, marszczy nos, rozgląda się wśród beczek z solonym śledziem, skrzyń z mrożonymi rybami i rakami. Niemal poczuła strach, jaki musiał w tej chwili towarzyszyć Bari i Nimro, które leżały ściśnięte w największej skrzyni. Gdyby zechciał ją otworzyć... Ale strażnik wrócił wraz z Kalanem. – Jedźcie.

– Na pewno nie ryba? – upewnił się Kalan. Strażnik parsknął, odgryzł ostatni kawałek jabłka i odrzucił ogryzek. – Nienawidzę ryb, na litość bogów – powiedział gniewnie.

– Jedźcie już, robicie pieprzony zator! Kalan wlaź na kozioł, strzelił batem po grzbietach chabet, które powoli ruszyły naprzód. Wyjechali na szeroki trakt, ciągnący się na północny wschód.

– No, maleńka – powiedział Kalan, znowu w języku Rybnych. – Kto by pomyślał, że akurat ciebie się przyczepią? Nigdy nie wiesz, czego się spodziewać po tych Obcinaczach Głów.

– Tak – przyznała Sefren, oglądając się za siebie. Poczwała, jak łzy, tłumione dotąd łzy strachu, ściekają jej po zmarzniętych policzkach. – Nigdy nie wiesz.

## IX

Kerosh Karey doskonale zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest być członkiem rodziny królewskiej. Nocami śnił o zamachach na swoje życie. W wolnych chwilach rozważał, z której strony jego wrogowie zaatakowałyby najchętniej. Spędził wiele godzin z dowódcą osobistej gwardii, Harusem Krazerem, opracowując plany ochrony. Dzięki temu wszystkiemu wiedział, że uczy to wyjątkowo groźna sprawa.

Najchętniej na tę akurat nie przyszedłby w ogóle, ale ponieważ ojciec wyprawił ją z okazji zajścia jego żony w ciążę, musiał tu być. Magnaci z całego Królestwa Ognia zjechali się, by gratulować Keroshowi Enerysowi nienarodzonego jeszcze wnuczka, a Kareyowi potomka i dziedzica. Rekhe też się pojawiła. Krążyła wśród

dam z wymuszonym uśmiechem na twarzy i przyjmowała liczne gratulacje. Karey musiał przyznać, że jego żona wyglądała naprawdę ładnie w czerwonej sukni opiętej na lekko zaokrąglonym brzuchu i sfałdowanej poniżej pasa. On sam również wystroił się w czerwień – królewski kolor, jakby nie było – i gdyby nie nerwy, bawiłby się całkiem dobrze.

– I jak? – zwrócił się do stojącego w kącie Krazera.

Mężczyzna potarł bliznę na twarzy.

– W porządku, mój książę – zapewnił. – Nic niepokojącego. Nie powinienes zaprzętać sobie tym głowy, książę. Proszę iść zatańczyć z żoną.

Pomysł nie był zły. Zanurkował w tłum, ale nie dotarł do Rekhe, bo na jego ramieniu uwiesiła się jakaś białowłosa, rozchichotana kobieta w szmaragdowej sukni.

– Chciałabym zatańczyć z Waszą Księżęcą Mością – oznajmiła bełkotliwie.

Wionęło od niej winem, oczy miała rozplamienione, a policzki czerwone od alkoholu.

– Wybacz mi pani – powiedział Karey. – Szukam żony.

Zdołał uwolnić się od kobiety. Wypatrzył Rekhe, rozmawiającą z jakąś ciemnowłosą matroną. Przedarł się przez hałaśliwe towarzystwo. Kiedy był już całkiem blisko, usłyszał słowa matrony:

– Nigdy nie ufaj mamkom. Wszystkie to zazdrosne prostaczki. Naturalnie, nie wypada ci samej karmić dziecka, ale zmieniaj mamki tak często, jak się da. Jeżeli taka poczuje się zbyt pewnie, może wykraść ci maleństwo z kołyski...

Rekhe wyglądała, jakby miała ochotę uderzyć matronę czymś ciężkim, ale grzecznie potakiwała.

– Wybacz mi pani? – powiedział Karey. – Chciałbym zatańczyć z żoną.

– Ależ naturalnie, książę – odrzekła kobieta. – Pozwoliłam sobie udzielić księżnej kilku porad jako doświadczona żona i matka trójki...

– Z pewnością moja kochana małżonka wyciągnęła z pani słów bardzo wiele – rzucił uprzejmie Karey.

Chwycił Rekhe za rękę i prawie siłą pociągnął na parkiet. Zaledwie oddalili się od matrony, dziewczyna chciała stanąć, ale nie pozwolił jej na to.

– Zostaw mnie – mruknęła. – Słabo się czuję.

Karey spojrzał na nią.

– A nie wyglądasz – powiedział ostro.

W jej błękitnych oczach zamigotały iskierki wściekłości.

Dotarli na parkiet. Karey szarpnął Rekhe, żeby stanęła przodem do niego i dał znak orkiestrze. Muzycy natychmiast przerwali wykonywanie jakiegoś skoczego,

przyjemnego dla ucha utworu i zagrali wstęp do fawany, popularnego dworskiego tańca.

Na parkiet wchodziły kolejne pary. Karey objął Rekhe, która wciąż patrzyła na niego ze złością.

– Zatańczysz ze mną, kochanie – powiedział cicho. – Choćby szlag miał cię trafić.

– Uważaj, żeby nie trafił ciebie.

Zaczęli powolny, dwumiarowy taniec, mierząc się wzrokiem. Przez chwilę tylko krążyli wokół własnej osi. Później Karey poprowadził Rekhe po szerokim okręgu. Kolejne pary płynęły za nimi. *Nie tańczyłem z nią od ślubu*, przypomniał sobie Karey.

– Nie obchodzi mnie, kogo kochasz – wyszeptał.

– To dla mnie żadna tajemnica – stwierdziła Rekhe.

Ruszyli po spirali do środka okręgu.

– Ja też nie żeniłem się z tobą z miłości – przypomniał. – Ale nie zamęczam cię cieniami dawnych kochanek.

Zmarszczyła lekko brwi.

– Ja ciebie również nie.

– Naprawdę?

– Co chcesz usłyszeć? Że kocham innego?

– Prawdę.

Dotarli do centrum okręgu i musieli się rozdzielić. Za nimi kolejne pary rozpadały się, powolnym dwutaktem tancerze i tancerki sunęli obok utworzonej przedtem spirali. Znów stali w kręgu, ale tym razem jedną połowę stanowiły kobiety, a drugą – mężczyźni.

Karey i Rekhe znaleźli się naprzeciw siebie. Dziewczyna wślizgnęła się w ramiona Kareya, który objął jej talię. Musiał przyznać, że jest bardzo dobrą partnerką, przynajmniej na parkiecie. *Dzisiaj w nocy ci nie odpuszczę, kochanie*, pomyślał. *Za długo nie byłem w twoim łóżu*. Taniec obudził w nim wszystkie męskie instynkty.

Krążąc jak wyjątkowo powolny bąk, ruszyli po średnicy okręgu.

– Prawda jest taka – wydyszała Rekhe, zarumieniona od tańca – że kocham innego, ale pogodziłam się z tą stratą. Duszę się tutaj. Może mam w żyłach królewską krew, ale to nie jest życie, którego pragnę, rozumiesz? Duszę się, rozmawiając ze służbą, z tymi wszystkimi panienkami, z tobą, z twoim ojcem...

– Nie rozumiem cię – stwierdził Karey. – Czego byś chciała? Być wieśniaczką na roli?

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Nie jesteś tylko rozplodową klaczą z dobrym pochodzeniem.

– Nikt cię tak nie traktuje.

– Nie? Czy nie taka była moja rola? Zająć w ciążę, urodzić ci potomka, a potem może jeszcze kilku?

Taniec zakończyła muzyczna eksplozja, gdy wszystkie instrumenty ryknęły jednocześnie. Karey zatrzymał się, Rekhe wyslizgnęła z jego ramion.

– Sama wyznaczyłaś sobie tę rolę – oznajmił. – Czy dalej czujesz się słabo?

– Nie najlepiej – odrzekła wyniośle.

Już chciał powiedzieć, że poprosi służącą, która odprowadzi ją do komnat, gdy nagle goście rzucili się do stołu. To król zasiadł na swoim wspaniałym krześle u jego szczytu. Wszyscy pospiesznie szli w jego ślady. Karey podał Rekhe ramię. Przyjęła je niechętnie. Przeszli przez salę i usiedli na miejscach po prawej stronie Enerysa.

Gdy nikt już nie stał, otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i służba zaczęła wносить potrawy.

– Podoba mi się, że tańczyłaś z żoną – zwrócił się król do Kareya. – Bardzo dobrze prowadziłaś.

– Dziękuję, ojczy – odrzekł.

– Mówiłem, że przywykniecie do tej sytuacji.

Karey nie miał odwagi zaprzeczyć i tylko coś wymamrotał.

Służący postawili przed każdym talerz z zawijanym kotлетem w cieście, przyozdobionym surówką z jabłek i chrzanu. Na dodatkowym talerzyku położono kruche rogaliki. Do kielichów polało się czerwone wino. Karey upił łyk i skrzywił się na wytrawny smak. Zauważył, że Rekhe pozwoliła nalać sobie tylko jedną czwartą naczynia.

Zaczął kroić nożem mięso, a król pograżył się w rozmowie z ministrem skarbu. Zanim wziął do ust pierwszy kęs, Karey zdążył zjeść połowę swojej porcji. Rekhe skubnęła zaledwie odrobinę, popiła winem i nachyliła się do niego.

– Teraz naprawdę muszę wyjść – wyszeptała.

Pstryknął palcami na służącego, który skwapliwie przybiegł.

– Zabierz księżną do jej komnat – polecił mu Karey. – Dopilnuj, aby służące się nią zaopiekowały. – Kiedy służący pomagał Rekhe wstać, rzucił do niej: – Przyjdę dziś wieczorem.

Nie odpowiedziała. Karey patrzył, jak odchodzi.

Usłyszał, jak król kaszle. Odwrócił się.

Kerosh Enerys nie tknął kotleta, ale odgryzł spory kawałek rogalika, z którego

wylewała się makowa masa. Kaszłał, czerwony na twarzy, uspokajająco unosząc rękę. Chwycił kielich z winem i popił. Karey znów spojrzął za żoną, ale ta wyszła już z sali.

Usłyszał po swojej lewej stronie przejmujący świst. Król już nie kaszłał. Jego twarz zrobiła się purpurowa, jakby napuchnięta, oczy wylazły z orbit, pot wystąpił na czoło, a fioletowe żyły uwidoczniły się na skurczonej szyi.

– Pomocy! – zawołał minister skarbu. – Pomocy! Król się krztusi!

Goście poderwali się z miejsc, kobiety krzyczały na mężczyzn, służba pospieszyła z odsieczą. Walili króla w plecy. Przygięli mu głowę w dół. Odpychał ich ręce, drapał się po szyi, wytrzeszczał oczy, ślina wyciekała mu z ust.

Poblady Karey przyklęknął przy krześle ojca, kurczowo chwytając oparcia. Nadbiegł medyk prowadzony przez dwóch strażników.

– Miejsce! – zawołał. – Proszę zrobić miejsce!

Karey odsunął się, podobnie jak ministrowie. Oparł się o stół. Spojrzął na własnego rogalika. Przełamał go na pół, wziął jedną część i podszedł do Harusa Krazerza stojącego pod ścianą z głupią miną.

– Zjedz to – warknął, wciskając rogalika w dłoń mężczyzny. – Do rana masz wynieść się z zamku.

– Panie? – zdumiał się Krazer. – Dlaczego?

– Zawiodłeś mnie.

– Nie rozumiem, mój książę...

– Otruto mi ojca! – odrzekł Karey wściekle.

– Mój książę, to tylko...

– Przecież widzę!

Krazer pobladył. Później uklonił się gwałtownie i odszedł. Karey widział, że po drodze szarpie zębami rogalika. *To nieważne. Tylko jeden był zatruty, ten przeznaczony dla mojego ojca.*

– Wasza Wysokość.

Odwrócił się.

Za nim stał minister skarbu. Skubał palcami skraj wyszywanej złotem koszuli. Gdy Karey na niego spojrzął, uklonił się.

– Ojciec Waszej Wysokości... obawiam się, że... nie żyje.

– Znajdźcie mordercę.

– Wasza Wysokość, to był wypadek.

– Znajdźcie go. – Spojrzął w kierunku królewskiego miejsca, wokół którego zgromadził się tłum gości. Ludzie przepychali się, jakby każdy na własne oczy chciał zobaczyć zwłoki monarchy. Kobiety krzyczały i płakały, mężczyźni podnosili



głos.

Karey tonął w tym wszystkim, a w jego głowie rozbrzmiewała, wyła, ryczała, tańczyła, kłębiła się tylko jedna, jedyna myśl: *Nareszcie.*

\*

Harus Krazer miał piętnaście lat, gdy po raz pierwszy stawał do walki przeciw regularnemu wojsku. Trwała Wojna Królów, a on opowiedział się za Keroshami. Poświęcił temu małżeństwo z wymarzoną dziewczyną. Gdy wrócił do domu – oszpecony, okaleczony duchowo, z blizną na twarzy – ona należała już do innego. A Keroshowie o nim zapomnieli. Nie dostał za służbę zupełnie nic. Szlag go trafiał, gdy Enerys uniewinniał kolejno wrogów, poza najbardziej zatwardziałymi stronnikami Viseriyów. Nawet oni mieli się lepiej niż on.

Nowy porządek go zawiódł. Wyjechał na południe, do Varmondii, gdzie chronił kupieckie karawany przed napaściami wędrownych band. Czasem zapuszczał się z nimi do Kahru, na Kryształowe Wybrzeże albo do Królestwa Ognia. Na jednej z takich wypraw, podczas postoju na Górzystym Pograniczu, na ochranianą przez Krazerą karawanę napadła banda uzbrojona w karabiny. Wyrznęli jego towarzyszy i kupców, a ranny Krazer dostał się do niewoli. Rzucono go na kolana przed młodym mężczyzną o czerwonych włosach i bladych oczach, ubranym w czarne skóry.

– Komu służyłeś w Wojnie Królów? – zagadnął ten człowiek.

– Tym skurwielom, Keroshom – wycedził Krazer.

Czerwony nachylił się nad nim.

– Zależli ci za skórę, zdradziecki chuju? – zainteresował się.

– Nawet nie wiesz jak.

– A gdybym dał ci możliwość zemsty?

Tak Krazer przystał do bandy Czerwonej Żmii. Przez wiele lat razem z nią rabował karawany, jak pospolity zbój, ale warto było czekać, bo oto nareszcie nadarzyła się okazja. Viseriya Shavok udawał, że zrozumiał dawne błędy i służył Keroshom, jednocześnie knując przeciwko nim. Krazer nie wiedział, z kim rozmawiał Czerwona Żmija, aby to uzyskać, ale wkrótce znalazł się w pałacu jako członek prywatnej gwardii syna Enerysa, a dzięki starannemu pełnieniu służby szybko został jej dowódcą.

Teraz stracił ciepłą posadę, lecz jakie miało to znaczenie? Stary Enerys nie żył. Krazer osobiście wsunął w jego porcję małe nasiono, zwane dusicielem, gdy odwiedzał kuchnię pod pretekstem sprawdzenia czy potrawy dla księcia są bezpieczne. Nie spodziewał się, że mały gówniarz domyśli się prawdy – to nic nowego, że ludzie krztuszą się przy jedzeniu – ani tym bardziej, że pozbawi go pozycji, podczas gdy jego zadaniem nie była ochrona króla, a księcia. *Uznał, że tego*

*nie dopilnowałem, myślał ze złością. Że powinienem zadbać też o bezpieczeństwo jego ojca, a skoro nie potrafiłem, nie będę w stanie chronić i jego. Nie miałby nic przeciwko utracie pozycji – i tak przyjął ją tylko na rozkaz Czerwonej Żmii – ale Viseriya wymagał od niego jeszcze jednej śmierci. Zamierzał z tym jeszcze poczekać, zaś nowa sytuacja wymogła zmianę planu. Będzie miała przy sobie jedną, dwie służące. Dam sobie radę. Zanim ktokolwiek się zorientuje, będę już daleko poza zamkiem.*

*Stanął przed drzwiami do komnaty księżnej – nie, królowej – i zwrócił się do jednego z jej strażników:*

– Mam pilną wiadomość od księcia Kerosha dla jego żony.

Znali go i przepuścili bez problemu.

Wszedł do sypialni bez pytania. Było nawet lepiej, niż się spodziewał. Kobieta leżała w łóżku, czytając książkę, służące już ją opuściły. Z mokrych włosów Rekhe kapłała woda, jej blada twarz zdradzała zmęczenie.

– Panie Harus? – spytała łagodnie na jego widok.

Typowo kahrańska forma brzmiała dla Krazerza dziwnie. Podeszedł do królowej.

– Wasza Wysokość – powiedział i wyrwał z pochwy u pasa miecz.

Nie spodziewał się, że go uderzy, ale zamachnęła się i cisnęła książką w jego twarz.

– Kurwa... – zaklął, zataczając się do tyłu.

Miecz wypadł mu z rąk. Rekhe rzuciła się, by go podnieść, ale Krazer dopadł ją szybciej. Jednym, pewnym ruchem skręcił monarchini kark.

Okno pękło z trzaskiem, drobinki szkła eksplodowały na wszystkie strony. Krazer ujrzał zarys ogromnego, czarnego ptaka. Siedząca na jego grzbiecie kobieta wyciągnęła ku niemu okrwawioną rękę.

Poczuł, jak gardło kurczy się i zaciska, serce staje, a ciałem targa dreszcz. Później Krazer upadł na twarz i znieruchomiał.

\*

Karey nie zważał na swoją królewską godność. *Pieprzyć to*, myślał, skacząc po schodach po kilka stopni. *Pieprzyć wszystko*. Przed sypialnią Rekhe stali gwardziści.

– Ostrożnie, panie – powiedział jeden.

Blady i roztrzęsiony, wszedł do sypialni żony.

Kolejni gwardziści zajęli pozycje przy drzwiach. Krazer leżał na podłodze. Ktoś obrócił go na plecy. Martwe oczy mężczyzny patrzyły w pustkę. Z jego ust spływała strużka krwi. Ciało nie nosiło żadnych znamion walki.

Pośrodku pomieszczenia, nie zważając na porozrzucane wszędzie drobinki szkła, klęczała kobieta w czarnej spódnicy i wytartym, czerwonym płaszczu. Włosy miała

białe jak śnieg. Jedno oko błękitne, a drugie zasłonięte czarną opaską. Krew spływała z jej lewej dłoni, na wylot przebitej nożem, po twarzy płynęły łzy. Na kolanach trzymała głowę Rekhe, która leżała bezwładnie jak szmaciana lalka. Na łożu siedział mężczyzna, od stóp do głów owinięty w płaszcz z kruczych piór.

– Nie zdążyłam – powiedziała kobieta. Głos miała łagodny jak fala przyboju. – Na litość Erikava, nie zdążyłam.

– Co...? – zaczął Karey.

Przeszedł kilka kroków i bezradnie opadł na łóżko. Poczł zapach mężczyzny w piórach – śmierdział ziemią oraz zgnilizną, jak wygrzebany z grobu trup. W dłoniach, obciążniętych czarnymi rękawicami, trzymał szczura. Zwierzątko miało się rozpaczliwie, kłując jego palce i skrzecząc, ale nie zwracał na to uwagi.

– Ujrzałam to w ogniu, nakarmionym moją krwią – wyszeptała kobieta o białych włosach. – Przybyłam tak szybko, jak mogłam. Los bywa okrutny. – Zamknęła na chwilę oko. – Tak niewiele zabrakło.

– Jesteś wiedźmą z Białoszczytu – powiedział Karey. Czekał przez chwilę na potwierdzenie, ale go nie dostał. *Rekhe mi o niej opowiadała. Żyje w chacie w niedostępnych górach Białoszczytu. I jest jej matką. Bogowie, miejcie nas w opiece.* – Co się stało?

– Książę... – zaczął jeden z gwardzistów.

– Wasza Wysokość – poprawił nowy król. – Mój ojciec nie żyje.

Gwardzista zamilkł, zmieszany.

– Harus Krazer był człowiekiem Viseriya Shavoka – odezwał się mężczyzna w piórach. Jego głos zgrzytał, jakby gardło miał pełne piachu. – On nie służył twojemu ojcu, ale chciał mieć wgląd w życie zamku, by móc w pełni wyrzec zemstę. To on wysłał Harusa Krazera na targ najemników, gdzie zatrudniłeś go, jak mi się wydaje, ze względu na fakt, że walczył po waszej stronie w czasie Wojny Królów.

– To on otrul mojego ojca – zrozumiał władca. – Ale dlaczego?!

– Nosila twojego dziedzica – powiedziała matowym głosem wiedźma.

Karey zwiesił nisko głowę. Przygryzł wargi. Człł łzy wzbierające pod jego powiekami. Zastanawiał się, ile jeszcze trupów padnie tej nocy w Serpinie.

– Pomogę ci – szepnęła wiedźma.

– Słucham? – Karey uniósł wzrok.

Patrzyła na niego okiem zimnym i jasnym jak błękitny płomień.

– Podnieśli rękę na moją córkę – oznajmiła. – Na moją jedyną, ukochaną córkę. Viseriya Shavok, gdziekolwiek jest, po czyjejkolwiek stronie walczy, zginie w mękach, tak jak wszyscy jego popiecznicy.

Karey nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle zdał sobie sprawę, że Viseriya Shavok jest jedynym krewnym, jaki mu pozostał. Jego dziadkowie nie żyli, matka umarła, rodząc brata, który także nie zabawił na tym świecie, ojciec został otruty, a Rekhe – zamordowana. *Ród trupów, wśród których ja i Czerwona Żmija jesteśmy żyjący*, pomyślał. A potem, z nagłym zacięciem: *Niedługo zostanę sam.*

– Dziękuję – wychrypiał.

– Nie mamy czasu do stracenia – stwierdziła wiedźma.

Mężczyzna w piórach skinął głową.

– Czy pozwolisz mi na moją własną zemstę? – spytał zgrzytliwym głosem.

Wiedźma popatrzyła na niego uważnie.

– Tak – zgodziła się wreszcie. – Ale najpierw Czerwona Żmija.

Mężczyzna pogłaskał szczura po łebku.

– Przybywam – wyszeptał do niego z czułością, jakby mówił do kochanki.

Później rękę, w której wciąż trzymał gryzonia, zacisnął w pięść. Rozległ się cichy skrzek i chrupot miażdżonych kości. Z pyska zwierzęcia bryzgnęła krew.

## X

Szarpała się, walczyła w miażdżącym uchwycie. Chciała krzyczeć, ale tylko niewyraźne jęki i skrzeki wydobywały się z jej gardła.

– Keytari! Keytari! Keytari!

Z rozległej sieci jaźni napływała do niej masa informacji. Widziała dziesiątkami par oczu. Słyszała niespójne dźwięki. Mieszanina zapachów atakowała jej zmysły. Zbombardowana obcą wiedzą, najpierw odnalazła Psa – mroczną świadomość, cichą i ciemną studnię, wypełnioną zakrzepłym, cierpliwym gniewem – a dopiero później siebie.

Zdała sobie sprawę, że szarpie się jak szalona. Maghar trzymał ją za nadgarstki, przyciskając do posłania z koców.

– Keytari – wyszeptał. – Keytari, już dobrze. – Z trudem łapała powietrze, jej oddech parował w zimnym powietrzu. – Wszystko gra?

Pokiwała głową. Musnął ustami jej wargi lekko, uspokajająco. Spragniona ciepła i bliskości, objęła go ramionami.

– Muszę iść do Itonoki – wychrypiała.

– Dlaczego? – W głosie Maghara zabrzmiała uraza. – Keytari, to tylko zły sen.

Wyplątała się z jego objęć, odrzuciła koce i od razu zaczęła trząść się z zimna, ubrana tylko w krótką, wełnianą koszulę. Sięgnęła po zszytą ze szcurzych skórek suknię, leżącą w nogach łóżka. Keytari wciągnęła je przez głowę.

Maghar usiadł.

– Chodź ze mną – wyszeptała, ściągając wiązanie na piersiach. – To ważne.

Naprawdę.

Objął ją i pocałował w szyję, a potem zanurzył twarz w gęstwinie białych włosów.

– Jest zimno – jęknął.

Keytari nie odpowiedziała. Wciągnęła buty do konnej jazdy na stopy. Wstała z posłania. Maghar westchnął ciężko.

– Poczekaj chwilę – powiedział.

Skinęła głową. Narzuciła na ramiona płaszcz, a później wydostała się przed namiot. Drepcząc w miejscu, rozejrzała się po obozowisku. Rozrosło się do znacznych rozmiarów, nim jeszcze opuścili Varmondie, przekraczając granicę Państwa Sinych Wzgórz. Poza klanem Kil, skutecznie zastraszonej jej pokazem władzy nad rzeszą szczurów, dołączyły do nich jeszcze dwa – Ali i Vaja, liczące mniej więcej po stu pięćdziesięciu wojowników. Tych pierwszych zwabiła reputacja Kil-Larama i jakieś zawile linie pokrewieństwa między oboma wodzami. Vaja pojawili się pewnej nocy z legendami o ognistym jaszczurze na ustach. Assina Xaotl, smok SroAretha, wpasował się doskonale w ich wierzenia, toteż podążyli za armią Itonoki, uznając go za wybrańca. *Nie mamy nawet tysiąca zdolnych do walki, ale czuć, że idziemy na wojnę*, pomyślała Keytari.

Dołączył do niej Maghar.

– Kurwa, ale zimno – mruknął na powitanie świata.

Poczuła niepokój Psa, który chyba obudził się ze snu. Emocje rozchodziły się po jej rozczłonkowanej jaźni w nieco niekontrolowany sposób; kilka chwil po Psie pozostałe złączone z nią zwierzęta były już przestraszone i niepewne swego. Uspokoiła je i wysłała do Smrodka polecenie, by zaczął lekko podgryzać Itonokę. Chciała zastać go rozbudzonego.

Ruszyła wraz z Magharem w kierunku oświetlonego namiotu Itonoki. Śnieg skrzypiał pod ich nogami. Noc była niezwykle jasna, skąpana w srebrnym świetle gwiazd. W zasięgu wzroku dostrzegali tylko pofalowane, łyse przestrzenie Sinych Wzgórz. Szczury, tak liczne i odważne w Varmondii, chowały się w namiotach, norach albo jukach ze znikającymi szybko – zbyt szybko – zapasami. Dla Keytari nie miało to znaczenia. Wiele z nich było połączonych z jej umysłem, więc cały czas wiedziała, gdzie są i co robią.

Namiotu Itonoki strzegło dwóch wojowników z klanu Kil i SroAreth, który krążył niespokojnie wokół nędznego ogniska. Sarethanie źle znosili niskie temperatury, a on nie był wyjątkiem. Jeżeli tylko nie przebywał ze swoim smokiem, krążył wokół płomieni jak ćma. W nocy zwykle pełnił wartę przy Itonoce, za dnia rolę tę przejmował Luvik. Było to zresztą życzenie samego Itonoki, a Keytari

uważała je za całkiem rozsądne. Skoro już mieli magów, należało zrobić z nich użytek. Wciąż nie rozumiała, dlaczego Itonoka nie zechciał wysłać któregoś po broń, która mogła przechylić chociaż odrobinę szalę zwycięstwa na ich stronę. Aż tak bał się Viseriyi? Według Keytari banita był równie zaradny jak dziecko, a pozbycie się go stanowiło kwestię czasu.

– Muszę się z nim zobaczyć – powiedziała do SroAretha.

– Coś ważnego? – zaniepokoił się Mówca.

– Nie – odrzekła ze złością. – Lubię czasem wstać sobie w środku nocy na niewinną pogawędkę o pogodzie.

SroAreth rzucił kilka słów po varmondzku, by uspokoić strażników. Jak dotąd Keytari nie zetknęła się jeszcze z językiem, którego ten by biegle nie znał.

Maghar odchylił przed nią połę namiotu. Weszła do środka.

– Możesz mi powiedzieć, czemu mój szcur mnie gryzie? – spytał na jej widok Itonoka leżący na pościeli, odtrącając stopą Smrodka, który zaciekle atakował jego piętę.

Keytari przesała gryzoniowi krótkie polecenie. Zadowolony, że dobrze wykonał zadanie, podbiegł do niej i wspinał się po sukni.

Itonoka ziewnął rozdzierająco. Usiadł, owinięty w kokon wełnianych koców.

– Już wczoraj chciałem ci powiedzieć, że musimy wreszcie zdobyć jakąś żywność – powiedział. – Pomyślałem, że tak złe wiadomości mogą poczekać do rana, ale skoro już tu jesteś...

Keytari usiadła na skraju jego pościeli, a Maghar na skrzyni. SroAreth stanął w wejściu, mierząc ich spojrzeniem bursztynowych oczu.

– Kerosh Enerys nie żyje – oznajmiła Keytari.

– Wygrałaś. Ta wiadomość jest gorsza niż perspektywa głodu – stwierdził Itonoka. – Jak to się stało?

Opowiedziała im.

\*

Gdy Keytari wreszcie skończyła, świtało. Zmarznięty Maghar kulił się na skrzyni. SroAreth usiadł przy stole. Itonoka leżał na plecach, wpatrzony ponuro w płócienny sufit.

– Skąd matka Rekhe wiedziała, że ten zdrajca to człowiek Czerwonej Żmii? – spytał wreszcie Maghar.

– Jeżeli jest dość potężna, aby spojrzeć w przyszłość, może czerpać wiedzę z płomieni nakarmionych jej krwią – powiedział z namysłem SroAreth. Skubał długimi, pazurzastymi palcami gładki podbródek. – To bardzo trudna przeciwniczka. Wygląda na to, że igra nawet ze śmiercią.

– Co masz na myśli? – spytał Itonoka.

– Człowiek w płaszczu z kruczych piór – wyjaśnił SroAreth. – Jego charakterystyczny zapach, odzienie, fakt, że przybył do komnat Rekhe pod postacią ptaka, a później bez wahania wyciągnął tego biednego szczura spod łóżka... Według mnie to żywy trup.

– Czego ja dożyłem – jęknął Itonoka. – Jakiś pomysł, kto to?

Keytari zwiesiła głowę, głaszcząc Smrodka. Maghar wydał wargi.

– Ty wiesz – powiedział.

– Obiecał mi zemstę – szepnęła Keytari. – Ale to niemożliwe – dodała zaraz. – Wiedźma potrzebuje ciała, by ożywić zmarłego, prawda?

– Tak – potwierdził SroAreth. – Ciała, czasu oraz skupienia. Takie zaklęcie musiało kosztować ją sporo sił i krwi.

– A on spłonął. Spłonął, prawda?

Patrzyła na Maghara złotymi oczami, w których pojawił się strach. Pokręcił głową.

– Odpowiedziałbym, ale nie wiem, o co pytasz – wyjaśnił łagodnie.

Keytari wyłamała palce. Westchnęła ciężko, przełknęła ślinę i oblizwała wargi. Maghar miał ochotę wstać i chwycić ją w ramiona. *Ale Itonoka... A, pierdolić to.* Już prawie się podnosił, gdy Keytari wreszcie się odezwała:

– Geshwank.

Jej głos brzmiał cicho, słabo i niepewnie.

– Nie! – ryknął Itonoka, siadając. – Nie! W to nie uwierzę!

Maghar poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

– Spłonął na pogrzebowym stosie – powiedział.

– Prawda? – rzuciła z nadzieją Keytari.

Maghar przygryzł wargi. Walczyły w nim potrzeba opiekania się tą kobietą z koniecznością mówienia szczerzej prawdy, która mogła w tym wypadku wiele znaczyć. Wygrało to drugie.

– Siedziałem już wtedy w lochach milicji – stwierdził cicho. – Nie ma jednak żadnego powodu, dla którego mieliby nie spalić jego ciała, ale jeżeli jakimś cudem do tego nie doszło...

Keytari spazmatycznie sięgnęła do własnej szyi i zgarbiła ramiona. Itonoka palcami przeczesał siwe włosy. Maghar przypomniał sobie, w jakich okolicznościach zginął Radirzjan Geshwank. *Właśnie dowiedział się, że przez dwa lata sypiałem z Rekhe i może nawet by mnie za to zabił, gdyby Kerin nie przebiła go nożem.* A teraz powrócił z za grobu. Ile musiało być w nim gniewu, ile nienawiści. *Nie poprzestanie na Czerwonej Żmii,* pomyślał ze zgrozą Maghar. *Po nim weźmie się*

za nas.

– Co robimy? – spytał.

– Potrzebujemy Viseriyi – stwierdził ze znużeniem Itonoka. – Musimy go ostrzec i przygotować się na nadejście Geshwanka. O ile to rzeczywiście on. Wiesz, jak walczyć z żywymi trupami, Mówco?

– Nigdy tego nie robiłem – odrzekł SroAreth.

– Viseriya dowie się, że śledzę sytuację w Serpinie – mruknęła Keytari. – Wolałbym, żeby nikt nie wiedział o moim małym wywiadzie.

– Nie musimy nic mu mówić – uznał Maghar. – Po prostu bądźmy gotowi.

– A co z wojną? – zagadnęła kobieta.

– Jaką wojną? – zdumiał się SroAreth.

– Jeszcze przed twoim przybyciem doszliśmy do wniosku, że gdyby Kerosh Karey otrzymał koronę Królestwa Ognia, ruszyłby na wojnę przeciw Kahrowi.

– Jest w żałobie po żonie – stwierdził Maghar. *Po kobiecie, której ja też powinienem żałować, bo przecież była moja.* Uczucie, którym niegdyś darzył Rekke, wydawało się odległe. Wytruł je za pomocą alkoholu, tak jak wytruwa się chwasty.

– Może zaczeka.

Itonoka zaśmiał się kpiąco.

– Zaczeka – zapewnił. – Do wiosny. Niewątpliwie o to właśnie chodziło Viseriyi. Królestwo bez króla, Kahr w ogniu to dla niego idealna sytuacja. Nie można posądzić go o subtelność w osiągnięciu celu.

– Ani o to, że posiada serce – stwierdził SroAreth i skrzywił się.

Keytari wygięła wargi w uśmiechu.

– Moralność to tutaj niezbyt ceniony towar – powiedziała.

SroAreth zmrużył oczy.

– Zauważyłem po zachowaniu pewnej kobiety, której szczury zjadły wszystkie zapasy, nie zostawiając nic dla ludzi – odrzekł. – Varmondczycy chętnie by zjedli te gryzonie, ale boją się, że owa kobieta usmaży ich żywcem, a przedtem wyrwie wątroby.

– Słusznie się boją – uznała Keytari.

– Znajdziemy zapasy bez zjadania szczurów – zapewnił Itonoka.

– A to ciekawe – warknął Maghar, rozdrażniony jego spokojem. I nowymi zagadkami. – Mogę wiedzieć gdzie?

Itonoka rozłożył leżącą na stole mapę. Wskazał palcem miasto.

– Zaczniemy tu – odrzekł.

\*

Gniazdo prezentowało się nieszczególnie. Był to niezbyt duży gród, liczący może



dwa tysiące mieszkańców, ogrodzony niskim, kamiennym murem. Zanim nadeszli, bramy były już zamknięte i zaryglowane. Nie miało to wielkiego znaczenia, zważywszy na obecność SroAretha, który krążył w powietrzu, dosiadając smoka.

– Kiedy on śpi? – spytał Maghar, patrząc w niebo.

W rękę trzymał chorągiew, którą Varmondczycy podarowali Itonoce. Zielona Żmija na czerwonym tle, herb Itonoków, łopotała na zimnym wietrze.

– W czasie podróży – odpowiedziała mu Keytari. – Na grzbiecie Assiny.

– Assiny?

– Assina Xaotl. Tak się nazywa ten smok. Po kahrańsku to „Płomień Boga”.

– Nie boi się, że spadnie?

Keytari uśmiechnęła się.

– Smoki bardzo rzadko wybierają sobie jeźdźców, Ren. Właściwie SroAreth jest pierwszym takim przypadkiem od stuleci. Płomień Boga nie pozwoli mu spaść.

– Assina. Płomień. To w końcu samiec czy samica?

– Obojnak, jak wszystkie smoki.

Maghar spojrział na kobietę, by upewnić się, że to nie żart. Nic na to nie wskazywało, więc skinął głową. Rozejrzał się dookoła.

Zgodnie z planem, wszyscy jechali konno, z dobytkiem przytroczonym do siodła i grzbietów luzaków. Większość ich wierzchowców padła na kryształowy sen – na przykład wredne ogiery strzyg, które teraz musiały dosiadać niewielkich, smukłych koni Varmondczyków. Te z kolei, nienawykłe do chłodu i wygrzebywania trawy spod śniegu, też ledwie trzymały się na nogach. Do Domu Żywych Trupów zostały im mniej niż dwa tygodnie jazdy, ale, patrząc na stan wierzchowców, Maghar wątpił, czy dadzą radę.

Ludzie Viseriyi uformowali zwarty czworobok w centrum, osłonięci przez strzygi, które Khale ustawiła do szarży. Varmondczycy zajęli skrzydła – ciemna masa drżących z zimna, czarnoskórych ludzi. Najważniejszy spośród nich Kil-Laram, którego obrali na łącznika między nimi a dowództwem, towarzyszył Itonoce, który po raz ostatni objechał szyki.

Assina Xaotl obniżyła lot i łagodnie wylądował za wzgórzem, na którym stali Keytari i Maghar. Uziemiony smok poruszał się niezgrabnie, zahaczając ogromnymi skrzydłami o ziemię i przerzucając ciężar ciała z łapy na łapę. Kiedy wspiął się na szczyt, koń Maghara parsknął i zatańczył w miejscu.

– Spalimy to miasto? – spytał SroAreth.

– Nie sędzę – odpowiedziała mu Keytari. – Itonoka chce zdobyć zapasy. Pewnie ograniczymy się do grabieży.

Smok wydał z gardła przeciągły syk i gulgot, który zabrzmiał jak nieprzyjemny

śmiech. SroAreth odpowiedział podobnie, wciągając ze świstem powietrze i poklepał białą szyję gada.

– Otwarli bramę – powiedział Maghar. – Pewnie będą z nami rozmawiać.

– Jesteśmy w części należącej do Kahru? – upewniła się Keytari.

– Tak.

Nadjechał Itonoka w wytartym płaszczu. U pasa miał pożyczony miecz, narzucił nawet na siebie kolczugę. Oczy miał podkrążone, siwe włosy związane w niedbały kucyk na karku. Ciągnął za sobą ogon w postaci świty: odzianego w płaszcz i skóry Viseriyę, Kil-Larama owiniętego w kokon ubrań oraz Luvika w zielonej, wełnianej opończy.

– Będziemy rozmawiali – powiedział Itonoka. – Jedzicie ze mną. Zostawiam ci armię – rzucił do Viseriyi.

Czerwona Żmija zrobił się purpurowy ze złości.

– W dupę se wsadź swoją armię. Chcę wiedzieć, co obiecasz tym gnojkom.

Luvik powiedział kilka słów i uśmiechnął się chytrze.

– Co ten wypierdek pierdoli? – warknął Viseriyą.

– Powiedział, że zostaniesz tu z własnej woli albo z nogami... – zaczął SroAreth i urwał.

– ...wyrwanymi z dupy – zakończyła Keytari.

– Ten mały kutas śmie mi grozić?

– Wystarczy – warknął Itonoka tonem, który zmusił do milczenia nawet Czerwoną Żmiję. – Ty i SroAreth zostajecie. Jedziemy.

Zawrócił siwka i zjechał ze wzgórza. Maghar, Keytari, Luvik i Kil-Laram podążyli za nim.

– Ktoś widzi, co mają na chorągwi? – spytał Itonoka, wskazując niewielką grupkę ubranych w czerń ludzi, którzy wyjechali przed miejskie bramy i powoli zmierzali w kierunku armii.

– Powiedziałbym, że to zajac – mruknął Maghar. – Srebrny zajac. Na niebieskim.

– Zajebicie – wycedził Itonoka.

Przejechali przez kolejne szeregi i znaleźli się na ziemi niczyjej pomiędzy armią a miastem. Wrogi poczet zatrzymał się w połowie drogi. Dowodził nim ubrany w zbroję i otwarty hełm żołnierz z twarzą w kształcie serca, lekko skośnymi oczami i odstającymi uszami. Towarzyszyło mu pięciu piechurów oraz dwóch jeźdźców, z których jeden niósł chorągiew.

– Słyszałem o ucieczce pewnego mordercy z Lochów Trolli – powiedział dowódca, gdy wstrzymali konie o kilka kroków przed nim. – Nawet nie marzyłem,

że stanie u moich bram i pozwoli mi własnoręcznie ściąć swój brudny łeb.

– Nie pozwolę ci się ściąć, Warinie Shakhe – odrzekł Itonoka.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia – stwierdził mężczyzna. – Powinieneś zostać w Lochach Trolli. Tam przynajmniej byłeś bezpieczny. Teraz jesteś banitą i może spotkać cię kara, na jaką od początku zasługiwałeś.

Itonoka westchnął ciężko.

– Nie zabiłem Cereny.

– Pierdolenie! – warknął Shakhe.

Maghar podchwycił pytające spojrzenie Keytari i nieznacznie wzruszył ramionami. Też nie wiedział, w czym rzecz.

– Radirzjan Geshwank to zrobił – ciągnął Itonoka.

– Niby jaki miałby w tym interes? – drażył dalej Shakhe.

– Gdybyś nie zauważył, zostałeś królem, chociaż ja miałem na to większe szanse.

– Tak, krążyły plotki, że cię wrobiono – przyznał ponuro Shakhe. – Chociaż równie dobrze mogli rozpuszczać je twoi dawni stronnicy.

– Kochałem twoją kuzynkę. Dobrze o tym wiesz.

*Mówią o żonie Itonoki, skojarzył wreszcie Maghar. Cerena z rodu Shakhe.*

– Chuj wie, co kochałeś – stwierdził ostro Shakhe. – I co się legło w tej twojej głowie mordercy.

Itonoka gwałtownie ściągnął wodze konia.

– Nie będziesz mnie oczerniał, Warimie. Jeszcze raz nazwiesz mnie „mordercą” i skończymy rozmowy.

– Świetny pomysł.

– Poślę na to twoje śmieszne miasto smoka i będę miał problem z głową.

Twarz Shakhe lekko poszarzała. Niewątpliwie widział na niebie sylwetkę Assiny Xaotl, gdy SroAreth krążył na jej grzbiecie ponad oddziałami.

– Smoka można zabić – powiedział Shakhe.

Luvik zachichotał cicho. Był to wystarczający komentarz do słów Wamira. Itonoka tylko się uśmiechnął.

– Zawsze możesz próbować.

– Czego chcesz?

– Wjechać do twojego miasta, wymieść ze spichrzy zapasy i ruszyć w dalszą drogę, zabierając ze sobą wszystkich zdolnych do walki ludzi, którzy zechcą mi towarzyszyć.

Wamir Shakhe pokiwał głową.

– Zatem skończyliśmy rozmowy.

Itonoka westchnął ciężko.

– Nie chcę niepotrzebnego rozlewu krwi – powiedział.

– Nie wiem, jak rozumiesz wierność ty i ci twoi stronnicy. – Spojrzał na Maghara, który zachował niezmałony spokój. – Ale chyba nasze definicje się nie pokrywają. To miasto jest własnością Kahru i będę go bronił.

– Dlaczego? – spytał Itonoka. – Kahr coś ci dał za twoją wieloletnią służbę? Poza stopniem rotmistrza i nędznym garnizonem na prowincji?

– Odwagę, której tobie brakuje – oznajmił Shakhe. – Dość odwagi, żeby zakończyć wszystko tu i teraz!

Po czym spał konia i z wrzaskiem zaatakował. Jego ludzie rzucili się w ślad za nim.

Maghar wyciągnął miecz, ściskając kolanami końskie boki, żeby nie spaść. Usłyszał huk pistoletu Keytari i zobaczył, jak Shakhe spada z siodła z krwawą dziurą w czole. Konni, którzy ruszyli jako pierwsi, odbili się od niewidzialnej ściany magii postawionej przez Luvika. Jeden uniósł się wraz z koniem w powietrze, obrócił i rąbnął o ziemię, przygnieciony zwierzęciem. Drugiego rozerwało na pół, a jego krew bryzgnęła na ziemię wokół.

Jeden z piechurów dopadł Itonokę, ale Keytari natarła na niego swoją kłaczą. Schowała pistolet za pas i dobyła miecza. Wbiła ostrze w bark żołnierza.

Drugi piechur skoczył na kobietę. Maghar pospieszył jej z pomocą, zajeżdżając mu drogę. Nie zdążył się zastawić. Piechur ryknął i ciął go mieczem przez brzuch.

Maghar stęknął, miecz wypadł mu z dłoni. Rozpaczliwie chwycił chorągiew, żeby nie upadła w śnieg. Pochylił się nad końską szyją. Ból sprawił, że wszystkie jego mięśnie napięły się do granic wytrzymałości, w gardle poczuł smak żółci.

Żołnierz uniósł miecz do ostatecznego ciosu, ale Keytari nadciągnęła z odsieczą. Mężczyzna osłonił się tarczą przed jej pierwszym atakiem. Drugi zdołał odbić mieczem. Za trzecim ostrze zagłębiło się w szczelinę między jego naszyjnikiem i pancerzem. Krew popłynęła po czarnej zbroi, cienką strugą wydostała się z ust i mężczyzna upadł w śnieg z rozrzuconymi szeroko rękami.

Maghar chwiał się w siodle, trzymając chorągiew. Ktoś zabrał mu ją z ręki.

– Kurwa mać, bohaterstwa ci się zachciało! – ryknęła na niego Keytari, z furią oscylującą gdzieś na granicy hysterii.

– Wracamy! – oznajmił Itonoka. – Tamtych dwóch nie dopadniemy, spierdalają aż się kurzy.

– Ren... – Tym razem w głosie Keytari brzmiało błaganie.

Maghar już nie słyszał. Spadł z siodła na ziemię.

\*

SroAreth czekał na powrót pocztu, siedząc na grzbiecie Assiny Xaotl. Czuł

między udami ciepło smoczego ciała. Gładził jeden ze złotych kolców na grzbiecie.

Itonoka osadził konia u boku gada.

– Jesteś w stanie wysadzić bramę? – spytał.

– Do tego nie potrzebuję nawet smoka – uznał SroAreth.

– Nie chcę rzezi, ale musimy dostać się do miasta. Znasz się na opatrywaniu ran?

SroAreth spojrział na Rena Maghara przewieszzonego przez grzbiet własnego konia.

– Luvik się zna – powiedział do Itonoki. – Przyjdę później i zobaczę, jak mogę pomóc. – Zawahał się i dodał po varmondzku: – Uważaj na ludzi Czerwonej Żmii. On nie wie, co to znaczy „uniknąć rzezi”.

Itonoka skinął głową. Odwrócił się do Kil-Larama.

– Jedź do swoich – polecił. – Smok otworzy wam bramę. Nie mordujcie ludzi. Chcemy tylko zapasów.

– To innowiercy – stwierdził Kil-Laram. – Zasłużyli na śmierć. Wszyscy. Spalę ich domy, zgwałcę ich kobiety i wezmę w jasyr dzieci.

– Zrobisz jak mówię – oznajmił Itonoka. – Wejdiesz tam, włamiesz się do miejskich spichlerzy, zabierzesz żywność i będziesz czekał na dalsze rozkazy.

– Obiecałeś mi sławę.

– A zaraz dam ci mogiłę, jeżeli nie ruszysz do swoich!

Kil-Laram splunął wściekle na ziemię, ale szarpnął wodze konia i odjechał.

– Odsuń się – poprosił SroAreth. – Zajmiesz się rannym – powiedział do Luvika, który tylko skinął głową.

Kiedy Itonoka cofnął konia o kilka kroków i zaczął wyklócać się o coś z Czerwoną Żmiją, Płomień Boga rozłożył wielkie skrzydła. W kilku niezdarnych susach pobiegł przed siebie. Wreszcie oderwał się od ziemi i wystrzelił w powietrze jak biała strzała, długa na trzynaście kroków.

– Brama? – upewnił się w języku Sarethanów.

– Brama – odrzekł SroAreth. – Pierzasty Wąż popełnił błąd, przysyłając nas tutaj – dodał.

– Nie nam to osądzać – stwierdził smok. – Ale wygląda na to, że przelejemy wiele krwi.

– Nie jestem wojownikiem – mruknął SroAreth. – Jak żaden Sarethan. Chciałbym, żeby Pierzasty Wąż wreszcie to zrozumiał. Wojna nie jest naszym przeznaczeniem.

– Znasz los innych pokojowych nacji – stwierdziła Płomień. – Albo wojna, albo śmierć narodu.

Znaleźli się nad miastem. Zimne prądy powietrza szarpały skrzydłami Płomienia

oraz szatą i płaszczem SroAretha. Naciągnął kaptur i przechylił się na grzbiecie smoka, by spojrzeć w dół, na miasto. Z tej wysokości wyglądało jak szara kropka pośród bieli. SroAreth przypomniał sobie werset ze starej pieśni Sarethanów: *Otwórzmy bramy serc przed bogiem.*

Assina Xaotl złożył skrzydła i zapikował w dół. SroAreth przykleił się do jego grzbietu, żeby pęd powietrza nie zdmuchnął go w tył. Ziemia rosła w oczach.

Kapłan dostrzegł na murach łuczników i uniósł rękę. Jego żyły rozgrzała magia. Stworzył nad głowami strzelców niewidoczną barierę mocy. Kiedy wypuścili strzały, pociski odbiły się i pospadały u ich stóp, bezużyteczne.

Płomień rozłożyła skrzydła, by spowolnić lot i jednocześnie splunęła ogniem w kierunku bramy. Stojący na niej żołnierze wrzeszczeli, płonąc żywcem. Stopniałe kamienie spłynęły na mury, krata rozgrzała się do białości. SroAreth skupił całą magię, jaka mu pozostała, i ukierunkował jej potężne uderzenie.

*Rozległ się zgrzyt kamieni i huk, jakby rozpękła się ziemia. Brama eksplodowała. Kamienie śmignęły na wszystkie strony, miażdżąc drewniane domy, wbijając się w mury i ziemię. Jak pociski pomknęły po ulicach oraz w kierunku armii Itonoki. Tysiące małych odłamków poraniło żołnierzy na murach.*

*Czarna tłuszcza wdarła się do miasta. Siepacze Viseriyi, strzygi i Varmondczycy wywalali drzwi, wywlekali ludzi z domów, bardziej niż żywnością zainteresowani kosztownościami.*

– Co teraz? – spytała Płomień.

– Widzisz tamten budynek z wieżą do nieba? To świątynia Reklana, Boga Snu.

– I co?

– Czas wykonać własną robotę – odrzekł Mówca.

Smok zniżył lot i wylądował na dachu świątyni, który ugiął się pod jego ciężarem. Później wczepił pazury w kamienie wieży i owinął ją splotami jak gigantyczny wąż. Całe jego ciało napięło się, gdy miażdżył w potężnym uścisku ściany

– Pomóc ci? – spytał SroAreth.

Ale w tej samej chwili rozległ się trzask i kamienna wieża pękła jak zapałka. Płomień ledwo zdążyła wypuścić ją ze splotów, gdy w dół posypały się gruzy. Jego pazury zadrapały po dachu; niewiele brakowało, by jego i Mówcę pochłonęła waląca się świątynia. Chwilę po wieży zawaliła się główna część budynku. Płomień niezdarnie uderzyła skrzydłami, by wzbić się ponad ruchome rumowisko.

– Myślisz, że byli tam wierni? – spytał SroAreth.

– Nie – odpowiedział smok. – Tylko wrogowie. – Ziewnął szeroko, pokazując płomienie, buchające we wnętrzu jego gardzieli. – Tak jest prościej.

\*

Itonoka jako jeden z ostatnich wjechał na ulice miasta, które zniszczył. Jego koń z trudem przedostał się przez gruzowisko, jakie pozostało po bramie. Rozrzucone siłą eksplozji kamienie zmiażdżyły stojące najbliżej domy. Spod jednej z połamanych belek sterczała pokrwawiona, ludzka noga.

Część miasta płonęła. Przypuszczał, że to ludzie Viseriyi zaproszyli ogień. Varmondczycy obserwowali widowisko, siedząc na dachach domów. W oknach wisiały trupy. Leżały też na ulicach. Porzucony, oszalały ze strachu koń wybiegł z bocznej uliczki i popędził przed siebie. W zaułku kilkanaście kroków dalej trzech Varmondczyków gwałciło kobietę; jej wrzaski niosły się echem wśród pustki i zniszczenia.

Itonoka zmierzał na rynek miasta. Luvika zostawił z Magharem i teraz za jedyne towarzystwo miał Keytari. Słyszał szmer małych stóp – gdy przestraszone szkodniki, kryjące się wśród gruzów, wyczuwały Szczurzą Panią, wylażyły spośród belek i trupów na śnieg, by podążyć jej tropem. Mieli już całkiem sporą świtę.

Itonoka wyjechał na jedną z główną ulic i zamarł.

Ludzie Viseriyi dopadli też część miejskiego garnizonu – obdarci z czarnych zbroi i ubrań żołnierze wisieli na ulicznych latarniach wzdłuż ulicy. Pośrodku stała Khale w powygniatanej zbroi. Pod pachą trzymała hełm, a w ręku miecz. Patrzyła na kołyszające się trupy żołnierzy. Itonoka zatrzymał konia obok niej. Kobieta odwróciła brzydką, zbryzganą krwią twarz w jego kierunku.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Mój uciekł – powiedziała, wskazując na jego siwka. – Te varmondzkie konie są chuja warte. – Po czym znów spojrzała na wiszące zwłoki. – To Czerwona Żmija. Większość już nie żyła, kiedy tak się z nimi rozprawił, ale dwóch czy trzech tak. Dwóch zabiłam. Szukam trzeciego, ale może było tylko tych dwóch. – Oblizła wargi. – Żmii już to nie obchodzi. Poszedł gwałcić, jak wszystkie te pierdolone chuje. – Umilkła. – Jeżeli szukasz swojego Mówcy, jest na rynku, na gruzach świątyni Reklana. Mogę przejść, Keytari? Wleciesz za sobą pełno szczurów, nie chcę któregoś zdeptać. A muszę znaleźć tego jebanego konia.

Żywa, ruchliwa fala gryzoni rozstała się przed nią. Khale skinęła im głową i odeszła. Itonoka spojrzał na Keytari. Kobieta siedziała zgarbiona w siodle, przygryzając wargi.

– Wyliże się – powiedział, mając na myśli Maghara. – Za kilka tygodni znów będziecie mogli się pieprzyć. – Gdy gwałtownie uniosła głowę i otworzyła usta, machnął ręką. – Pomówimy o tym kiedy indziej.

Ruszyli dalej, jadąc pomiędzy kołyszającymi się trupami. Itonoka czuł, jak wzbiera

w nim gniew. *Nie pozwoliłem im na to. Bogowie, na litość, nie tak miało być.*

Płomień Boga wylegiwała się na gruzach świątyni. SroAreth siedział trochę niżej, na wielkim kamieniu ze zwieszoną głową. Gdy usłyszał, jak nadjeżdżają, uniósł wzrok. Z jego bursztynowych oczu ściekały łzy. Otworzył usta, ale przez dłuższą chwilę nie mógł dobyć z siebie głosu.

Itonoka zatrzymał przed nim konia.

SroAreth zamknął usta i ukrył twarz w dłoniach. Szloch targnął jego ciałem.

## XI

Maghar otworzył oczy.

Znajdował się w zimnym budynku o wilgotnych ścianach i poczerniałych belkach. Na palenisku naprzeciwko płonął nędzny ogień. Gdy obrócił głowę w lewo i w prawo, zobaczył rzędy sienników zajętych przez leżących pod kocami ludzi. Westchnął ciężko i znów zamknął oczy. Wciągnął w płuca powietrze. Smakowało wilgotną ziemią oraz rozkładem.

Serce zamarło mu w piersi.

Powoli uniósł powieki.

To był Geshwank – z długim prostym nosem i białymi niczym śnieg zębami, które szczyrzył w szerokim uśmiechu. Jego twarz pokrywały ciemne trupie plamy. Zamiast oczu miał dwie okrągłe, lśniące grudki żółtego złota.

– Przyjemnie się spało? – spytał zgrzytliwym głosem i złapał Maghara za gardło.

Jego ręka była zimna, twarda i silna. Maghar stęknął. Próbował złapać powietrze, ale zdołał tylko słabo zaświstać. Chwycił duszącą go rękę i otworzył usta do niemego krzyku.

Wtedy się obudził.

Usiadł gwałtownie i natychmiast tego pożałował. Ból ścisnął ciało żelaznymi palcami. Maghar charknął, stoczył się z siennika i upadł na bok.

– Na litość boską, co ten Obcinacz Głów wyprawia?

Na dźwięk skalnego języka, którego używano na Sinych Wzgórzach, mężczyzna uniósł wzrok. Dwóch Skalnych w zniszczonych ubraniach pochylało się nad nim, raczej z irytacją niż troską. Skórę mieli szarą, włosy w nieciekawym odcieniu brązu. Na zachodzie słyndli głównie z brzydoty i okrucieństwa, ale nie byli szczególnie szkaradni. Ani bardziej okrutni od Kahrańczyków.

*Co się stało?*, chciał spytać. *Przeegraliśmy?* Ale z jego spierzchniętych, popękanych ust wydostało się tylko słabe:

– Boli...

Skalniacy popatrzyli po sobie. Dźwignęli go – jeden pod pachy, drugi za kostki i ponownie złożyli na sienniku.



– Skąd znasz nasz język? – spytał ten, który uznał za stosowne na powrót okryć go kocem. Kiedy mężczyzna mówił, z jego ust buchały obłoczki pary.

– Moja matka była ze Skalnych – odrzekł Maghar z wysiłkiem.

Tamten spojrział mu w twarz.

– Rzeczywiście – mruknął. – Masz nasze oczy. Na przyszłość nie odstawiaj takich tańców, chyba że chcesz, żeby flaki ci się wylały.

Po czym obaj odeszli, zostawiając Maghara. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Długie, puste, pełne sienników i leżących na nich ludzi. *Jak w moim śnie*. Tyle że teraz wszędzie rozbrzmiewały jęki rannych, a przy palenisku tłoczyła się gromadka obdartych dzieci.

Czyjś cień padł na Maghara. Uniósł oczy i zobaczył Luvika w poplamionej opończy. Mag miał podwinięte rękawy i całe przedramiona uwalane krwią. W rękę trzymał ząbkowaną piłę. Uśmiechnął się w gęstwinie brody, co spotęgowało makabryczność jego postaci.

– Jak? – spytał.

– Boli – poskarżył się Maghar, bo było to wszystko, na czym potrafił się skupić w tej chwili.

Luvik wzruszył ramionami i odszedł.

Na siennik wskoczył bury szczur, przebiegł po Magharze i usiadł mu na piersi.

– Wspaniale – stęknął ranny.

Zamknął oczy i znów zasnął.

\*

Kiedy się ocknął, siedziała na ziemi obok. Na jej czarnym płaszczu jaśniały płatki śniegu – na zewnątrz musiało porządnie padać. Tulila do piersi Psa, który czepiał się jej ubrania i z przyjemnością poddawał dotykowi ciepłych rąk.

– Jesteś głupi – powiedziała z powagą.

Maghar uśmiechnął się krzywo.

– Co ty nie powiesz? – rzekł słabo, bliski śmierci lub szaleństwa od tego ciągłego, ostrego bólu. – Nie, żebym narzekał, ale czy Luvik nawijał mi wnętrzości na rożen, gdy spałem?

– Boli? Nie mamy opium. Musisz wytrzymać.

– Co ze mną?

Keytari zmrużyła oczy.

– Podobno nie jest źle. Za jakiś miesiąc wstaniesz.

– Kurwa – jęknął Maghar. – Przecież musimy jechać!

Keytari pokręciła głową.

– Nigdzie nie jedziemy – oznajmiła.

– Jak to? A broń od trędowatych?

– Viseriya wyrwał się nam spod kontroli. Gdy jego oddziały zaczęły plądrować miasto, Varmondczycy zrobili to samo. Zgadał się z Kil-Laramem. Dziś rano zabrał zapasy i zrabowane bogactwa. Ruszyli na północ. Idą po tron. – Przygryzła wargi. – No, a my zostaliśmy.

– Nie rozumiem, dlaczego – przyznał Maghar, chrapliwie łapiąc powietrze.

– Po pierwsze, mamy problemy z Itonoką. Po drugie, SroAreth jest załamany. Po trzecie, z całej armii został nam klan Vaja, bo tylko oni dalej chcą „służyć smokowi”, jak to ładnie ujmują, oraz dziewczyny Khale.

– Khale? – zdziwił się Maghar. – Myślałem, że pójdzie z Viseriya.

Keytari wzruszyła ramionami.

– Khale jest... może niezbyt miła, zwłaszcza dla mężczyzn, ale nie jest wstrętną suką, za jaką ją uważasz.

– Nie uważam jej za...

– Byłam w tobie – przypomniała Keytari. – Wiem, jak myślisz, Ren. – Pies wyrwał się z jej dłoni i zeskoczył na jego koc. – Ostatnio jest bardzo niespokojny – mruknęła, patrząc na gryzonia. – To chyba przez Geshwanka. Jest blisko.

– Skąd to wie? – spytał Maghar.

Wysilił się i pogłaskał Psa po łebku. Gryzoń błyskawicznie zaatakował i wbił zęby w jego dłoń. Maghar syknął i pospiesznie cofnął rękę.

– Pies nie jest zwykłym zwierzęciem – wyjaśniła Keytari.

*Aha, to tyle zagłębiania się w temat, zrozumiał.*

– Wróćmy do Czerwonej Żmii – poprosił. – Dlaczego, mimo wszystko, nie powlekliśmy się za nim? Czy raczej: wy się nie powlekliście?

Keytari wykonała nieokreślony ruch ręką. Wyjęła z wewnętrznej kieszeni płaszcza pięknie rzeźbioną fajkę. *Zapewne pożyczona od Skalnego, tylko oni tak starannie je zdobią.*

– Zrujnowaliśmy Gniazdo – powiedziała, gdy wreszcie zapaliła fajkę. – Itonoka obwinia siebie za rzeź, którą urządzili nasi drodzy sojusznicy. Nie ma racji, bo to moja wina. Problem w tym, że on nie chce tego tronu. Czuje się źle. Popadł w jakąś pieprzoną apatię.

– Gdy doszłaś do „moja wina” pomyślałem, że masz wyrzuty sumienia – stwierdził Maghar. – Zacząłem zastanawiać się, gdzie jest Keytari, którą znam.

Pies, który dotąd krążył po sienniku, zdecydował się wreszcie usiąść przy szyi Maghara i łaskotał go ogonem po gardle. Keytari dostrzegła to i delikatnie odsunęła gryzonia.

– Wywołaliśmy wojnę. Wszyscy troje widzieliśmy już niejedną. Wiedzieliśmy,

czym to pachnie – ciągnęła.

– Ja nie dołączyłem do was z własnej woli.

Keytari zignorowała jego słabiutki protest.

– Mam tylko nadzieję, że mu przejdzie. Na razie musimy uporządkować miasto.

Wygląda na to, że trochę tu zostaniemy.

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się z hukiem. Dwóch Varmondczyków wprowadziło mężczyznę podskakującego niezdarnie na jednej nodze. Drugą kończynę trzymał uniesioną w powietrzu.

W kierunku Varmondczyków natychmiast pospieszyli Skalni, krążący dotąd wśród rannych. Maghar uniósł się na łokciu, by lepiej widzieć. Wysięk wywołał nową falę bólu i łzy zakręciły mu się w oczach. Skalni i Varmondczycy wspólnie ułożyli rannego na stole w kącie, do którego podszedł Luvik, wycierając brudne ręce w szmatę. Maghar zobaczył, że mag podnosi z innego blatu piłę. Opadł na plecy.

– Urządziliście lazaret dla rannych w rzezi, którą sami wywołaliście – powiedział.

– Gratuluję, zwłaszcza tobie, ludzkich odruchów, bo Itonoka zawsze jakieś tam miał. Problem w tym, że jesteśmy ściganymi zbiegami, teraz w dodatku odpowiedzialnymi za mord na Skalnych. Powiedz mi, jaki mamy plan?

– Żaden – odrzekła natychmiast Keytari.

– Co zrobimy, kiedy nadciągną tu kahrańskie wojska? A nadciągną na pewno, prędzej czy później. Nie mają tylu szpiegów, co ty, ale wyróżnienie całego miasta na pewno zauważą.

– Nie wiem, Ren.

– I co z Geshwankiem? Na litość bogów, on...

Musiał przerwać, bo powietrze przeszył wrzask operowanego mężczyzny. Umorusane dzieci przy palenisku zbiły się w ciasną gromadkę. Ranni budzili się. Ktoś zaczął wyć, kobieta trzy sienniki na lewo od Maghara wybuchła płaczem. Keytari spokojnie paliła fajkę. Przy całej swojej urodzie nagle wydała się Magharowi równie ciepła i czuła jak marmurowy posąg.

\*

Luvik wyglądał przez małe okienko i jednocześnie mieszał wino w cynowym garnku, ustawionym na wąskim, nieheblowanym blacie. W pomieszczeniu dla służby, gdzie przebywał, okna były małe i zakratowane. Poza stołem, kilkoma rozklekotanymi krzesłami i brudnym paleniskiem – nic tutaj nie było.

Usłyszał kroki na schodach. Zerknął i zobaczył Keytari ubraną w suknię ze szczerzych skórek.

– Masz tu ciepło – stwierdziła kobieta. Podeszła do niego, skrzyżowała ramiona

na piersi. – Co robisz?

– Jak widzisz, mieszam lekarstwa dla Itonoki – odrzekł Luvik. – Nie chce pić ich z niczym poza winem. Nie dziwię się mu. – Podniósł z blatu szczyptę jakichś sproszkowanych ziół i wrzucił do garnka. – Źle wyglądasz. Ciężka noc?

– Nie wyspałam się. To też dla niego? – Wskazała stojący obok garnka kielich.

– To moje – odrzekł Luvik. – Cierpkie jak cholera. Skosztuj.

Upiła łyczek i skrzywiła się.

– Co z nim? – wykrztusiła, odstawiając kielich.

– Z Itonoką? – zagadnął Luvik. – Kiepskawo, Keytari. Wczoraj wieczorem zaczął rzygać jak kot. W nocy mu przeszło, ale wciąż dręczą go migreny.

– Tyle wiem – stwierdziła. – Powiedz mi, co z nim jest.

– Te chroniczne bóle głowy i wymioty źle wróżą – odrzekł Luvik. Odwinął z kawałka białego papieru zasuszone listki, pokruszył jeden w palcach i wsypał do garnka z winem. – Palą tu opium?

– W Państwie Sinych Wzgórz? – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – Nie sędzę.

Potał nasadę nosa.

– Szkoda. – Wrócił do poprzedniego tematu: – Jak mówiłem, nie wróży to dobrze. Za jakiś czas, trudno powiedzieć kiedy, może zacząć tracić kontakt z otoczeniem.

– Ponawiam pytanie – warknęła Keytari. – Co to jest?

– Objawy wskazują na rzadką chorobę głowy, której przyczyny nie znam. Dwa razy w życiu widziałem chorych, u których zaczynało się tak samo. Obaj byli Sarethanami. Pod koniec zachowywali się jak szaleńcy. Miotali się, wyli z bólu... – Przygryzł wargi. – Ale wtedy miałem opium.

– To tylko ból głowy – stwierdziła ze zdumieniem Keytari.

– To ból głowy, który nie ustępuje właściwie nigdy – poprawił Luvik.

– Ile mu zostało?

– Nie zdobędzie tronu, Keytari. Nie zdąży.

– Ile?

– Pół roku? Nie wiem, mogę tylko zgadywać.

Keytari oparła się o stół. Luvik uniósł z wahaniem rękę i poklepał ją po ramieniu.

– Pierzasty Wąż zaczeka – powiedział. – Będzie dobrze. Coś wymyślisz. – Wsypał do wina pół garści białego proszku. – Pomieszasz przez chwilę?

– Co to właściwie jest?

– Zioła na uspokojenie i na sen. Powinnaś go odwiedzić, Keytari.

W milczeniu wzięła z jego ręki drewnianą łyżkę i zaczęła energicznie mieszać lek. Luvik zabrał ze stołu swój kielich, zajął do paleniska i dorzucił kilka drewnianych zebrań w kącie zapasów.

– Zaniósł mu to – zaoferowała się Keytari. – Idź w tym czasie do szpitala.

\*

Itonoka leżał w łóżku niegdyś należącego do któregoś z możniejszych mieszczan. Rzeźnicy Viseriyi wynieśli je na rynek wraz z nagą żoną właściciela, którą później zgwałcili i utopili w beczce kiszonych ogórków. Łóżko zostało na rynku. Dopiero Keytari rozkazała wnieść je do wnętrza ratusza, żeby Itonoka mógł wypoczywać w bardziej komfortowych warunkach.

Ostatnio było z nim coraz gorzej. Długie dni podróży i nerwy dały się wreszcie we znaki. Ból przeszywał jego głowę jak stalowe ostrze, serce biło słabo i powoli, żołądek regularnie podchodził mu do gardła. Czasami nie był w stanie utrzymać jego zawartości. Sięgał wtedy pod łóżko, gdzie stała blaszana miska i wymiotował do niej. Smrodek leżał w nogach jego pościeli, zwinięty na miękkiej pierzynie jak kot.

Podczas gdy on wpatrywał się tępo w sufit, Keytari działała. Wiedział, że część mieszczan wróciła do domów. Dla pozostałych powstały chwilowe przytuliska. Luvik prowadził szpital. Smok urządził sobie leże na gruzach świątyni Reklana, gdzie SroAreth raz dziennie wygłaszał płomienne kazania na chwałę Pierzastego Węża.

Nie chciał brać udziału w odbudowie. W niczym nie chciał brać udziału. Był przerażony wspólnym dziełem Varmondczyków i siepaczy Viseriyi. Nie pojmował tego. Widział w życiu wiele rzezi – w końcu był żołnierzem piechoty, stawał z wrogiem twarzą w twarz. Prowadził armie, które paliły, gwałciły i zabijały. *To było przedtem. Zanim każde ciało wydawało się ciałem Cereny albo Totanki, zanim poznałem smak samotności, kiedy nie bałem się jeszcze ciemności, bo nie wiedziałem, co ze sobą niesie.* Radirzjan Geshwank nauczył go, co znaczy stracić wszystko – teraz Keytari żądała, by zmuszał do poznania tej prawdy setki, tysiące niewinnych ludzi, którzy musieliby zginąć podczas jego drogi do tronu. Nie potrafił i nie chciał tego dokonać. Żadna korona nie była warta takiej ceny.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział ochryłym głosem Itonoka.

Dźwignął się na łokciu. Do wnętrza weszła Keytari, niosąc wielki kielich pełen wina.

– Na zdrowie – mruknęła.

Przyjął naczynie z jej białych rąk.

– Wolę taką opiekunkę niż Luvika – oświadczył.

Keytari uśmiechnęła się blado.

– Do dna – rzuciła, siląc się na wesołość.

– Jesteś na mnie wściekła, co? – mruknął Itonoka. – Zawiodłem cię?

Wpatrywała się w niego złotymi oczami. Nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Wreszcie westchnęła ciężko i usiadła na łóżku.

– Nintan, rozumiem cię – powiedziała. – Zabijanie nie jest proste. Zwłaszcza, kiedy człowiek nie robi tego własnymi rękami, w walce o swoje życie. Ale ja muszę mieć Kahr. Muszę!

– Nie ma innej drogi? – spytał Itonoka. – Jednym dekretem nie kupisz Pierzastemu Wężowi wyznawców. Kahrańcyzy są tolerancyjni dla innych religii. Niech SroAreth postawi swojemu bogu świątynie. Zwerbujcie uczniów. Zakładajcie przytułki. Ludzie przyjdą do was sami...

Keytari kręciła głową.

– Gdyby to było takie proste, Pierzasty Wąż sam by sobie poradził, beze mnie. On potrzebuje Kahru. Nie tylko nowych wiernych, ale też wojska i ziemi, na której jego lud wybrany może się osiedlić. Tam, gdzie mieszkają, Sarethanie są w kleszczach między Cesarstwem a wschodnimi sąsiadami. W dodatku nie krzyżują się z innymi ludami. Wymierają powoli, jak wszystkie narody, które pilnie strzegły czystości krwi.

– Pierzasty Wąż ucieka ze swojego kraju. To chcesz powiedzieć?

– Tak mi się wydaje – odrzekła. – Nie wtajemniczył mnie w swoje plany, ale to wydaje się mieć sens. Samo rozporządzenie nie rozwiąże sprawy. Do Kahru trzeba będzie sprowadzić kapłanów i kapłanki. Budowniczych, którzy wzniosą świątynie o odpowiedniej architekturze. Sarethan, jednym słowem. A Kahr nie jest mały ani słaby, to ogromne tereny chronione przez silną armię. Na miejscu boga spoglądałabym na nie łasym okiem.

– A może po prostu rozpaczliwie pragniesz tronu? Może uważasz, że łatwiej będzie nadać Kahrowi jeden dekret, spalić wszystkie inne świątynie i nawracać ogniem?

– Może – odrzekła cicho. – Pij.

– Co to?

– Uśmierzy ból i pomoże zasnąć. Luvik to przygotował.

– Droga, którą idziesz, może jest prosta, ale to ścieżka szaleńców. Nie zawiedzie cię dalej niż do... do ciemności.

Zwiesiła głowę i wczepiła palce we włosy.

– Powinam być martwa – wyszeptwała. – Wygrałam ze śmiercią. Rozmawiałam z

bogami. Jestem jednocześnie setką istot. – Odetchnęła głęboko. – Wiem więcej o ciemności niż ci się wydaje. I nie chcę od ciebie świątobliwych pouczeń. – Znowu spojrzała na Itonokę. – Gdyby Pierzasty Wąż chciał nawracać za pomocą kapłanów, posłałby ich tutaj. Ale wybrał mnie, wiedząc, że utopię tę ziemię we krwi, bo tym właśnie zajmowałam się całe życie. Wypełnię swoją misję. Spalę dla niego inne świątynie, wykorzenię bogów z całego świata, a potem odzyskam wolność. Będę królową, jeżeli zechcę. A teraz pij.

Itonoka przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. *Nic nie wymyślę.* Przcisnął kielich do ust i wypił do dna.

\*

Na prośbę Keytari, Maghar miał zostać przeniesiony z urządzonego w dawnej tawernie szpitala do ratusza. Skalni dźwignęli go razem z siennikiem, wynieśli z ciemnego wnętrza i złożyli na prosty wóz, ciągnięty przez wychudzoną szkapę. Przez cały czas, gdy nim szarpali, kontemplował narastający gdzieś w trzewiach ból. Później – na krótko – do jego świadomości przebiło się zimno. W lazarecie z każdym oddechem z ust buchała para. Na zewnątrz Maghar miał problem, żeby oddychać. Zdawało mu się, że wciąga w płuca lodowe igły, a nie życiodajny tlen.

Jadąc przez zniszczone uliczki, Maghar widział ludzi, którzy grzali się przy ogniskach na pogorzeliisku dawnych domów. Głowy obracały się w ślad za nim. W oczach błyskały gniew i nienawiść. Co prawda nie było jeszcze źle – Viseriya nie zdołał zrabować wszystkich zapasów, a Keytari kazała swoim Varmondczykom te resztki zarekwirować i rozdzielać między ocalałych z rzezi, ale perspektyw na sprowadzenie żywności nie było. *Góra miesiąc, na dłużej nie wystarczy,* pomyślał Maghar, skręcając się z bólu na wozie.

Kiedy w końcu dotarli przed ratusz, odetchnął z ulgą. Skalni znowu go podźwignęli i wtarabanili do wnętrza.

Znaleźli się w olbrzymim, wyłożonym różowym marmurem holu. Jedynym źródłem światła był blady blask słońca, wpadający przez okrągłe okno naprzeciwko drzwi. Zimny wiatr świstał wśród sterczących z okiennicy resztek barwnego witrażu.

– Co teraz? – mruknął jeden ze Skalnych, który nazywał się chyba Arszik.

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Weźmy go na górę.

Maghar nie mógł powstrzymać jęku, ale został zignorowany. Skalni ponieśli go do schodów, wiodących z holu na rzeźbiony krużganek i zaczęli wspinać się po stopniach. Nie dbali przy tym o stabilność siennika, który kołysał się niebezpiecznie z każdym ich krokiem. Ranny rozpaczliwie zacisnął palce na materiale, wołając nie

myśleć o bólu, który czeka go, jeżeli spadnie.

Kiedy wreszcie dotarli na szczyt schodów, Skalni położyli go na chwilę; obaj dyszeli ciężko.

– Ej! – wrzasnął Arszyk. Jego głos poniósł się echem. – Jest tu kto?

Otworzyły się drzwi po prawej stronie schodów. Wyszła zza nich Keytari, przybrana w ciężką, czarną suknię z obfitą spódnicą i koronkowymi rękawami. Włosy miała związane w warkocz, swobodne kosmyki opadały na jej czoło i twarz.

– Chodźcie – powiedziała po kahrańsku, jednocześnie machając ręką.

Skalni posłusznie podnieśli siennik i pocłapali za nią. Nim drzwi się za nią zamknęły, Maghar zdołał zajrzeć do pomieszczenia. Mignęła leżąca na stole sylwetka, nakryta czarnym całunem. Zaintrygowany, wychylił się...

...i spadł z siennika.

Ból był tak okropny, jakby pękły mu wszystkie narządy. Wrzeszczał, aż zdarł sobie gardło i jeszcze dłużej, chociaż był w stanie tylko ochryple skrzeczeć. Świat skurczył się do cierpienia. Miotał się, wył, płakał, jęczał. Nie poczuł, jak go podnoszą, niosą i kładą w ciepłym łóżu. Dopiero po kilkunastu długich minutach wydał z siebie ostatni żałosny skowyt, zajęczał i rozluźnił się.

Leżał z zamkniętymi oczami. Był cały mokry od potu i wycieńczony. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi, stukot stawianego blaszanego naczynia, a po chwili dotyk miękkiego materiału na czole.

Otworzył oczy.

Keytari siedziała na skraju jego łóża. Zwilżoną szmatką ocierała mu twarz, kark i szyję.

– Muszę zdjąć ci koszulę – powiedziała.

– Kto to był? – wychrypiał Maghar. – Te zwłoki...

– Itonoka.

– Jak?

Odgarnęła na bok kołdrę.

– Nie mówiłam ci, że czuł się źle? To było coś poważniejszego niż sądziliśmy. Zaciśnij zęby.

Znów poczuł ból, gdy podłożyła mu rękę pod plecy i uniosła lekko. Niezgrabnie zadarła jego koszulę. Uniósł ramiona, chcąc jej ułatwić zadanie. Przez kilka strasznych sekund miał wrażenie, że zdechnie z bólu, ale jego dzienny limit cierpienia chyba się wyczerpał, bo uczucie szybko minęło.

– Pierdolenie – jęknął.

Keytari milczała, wycierając jego pierś, pachy i plecy. Ominęła bandaż na brzuchu – Maghar zauważył, że przesączyło się przez niego trochę krwi.



– Lepiej? – spytała.

Nie czuł różnicy.

– Tak.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, jakby doskonale wyczuła kłamstwo i wrzuciła szmatkę do małej miski z odrobiną wody.

– Co stało się naprawdę? – dociekał Maghar. – Kilka dni temu był jeszcze zdrowy. Nie mógł umrzeć tak nagle.

– Nie wiem.

– Mogę go zobaczyć? Jeżeli został otruty, to oznacza, że wśród nas jest zdrajca. Musimy...

– Nie potrafisz wstać – przypomniała.

– Wstaję, żeby się odlać.

– Chciałabym to zobaczyć.

– W zasadzie to siadam. Sądzą mnie.

Pokiwała głową, po czym położyła się obok niego, wciąż w sukni. Nakryła ich oboje kołdrą. Maghar poczuł się odrobinę skrępowany. To było niesprawiedliwe, że ona mogła leżeć w kompletnym stroju, a on został rozebrany i wydany całkowicie na jej pastwę.

– Keytari, z tym nie ma żartów – powiedział.

– Ma sine cętki na wewnętrznej stronie dłoni i przedramion – warknęła z irytacją.

– Senniczka – stwierdził natychmiast Maghar.

– Luvik dawał mu ją na uspokojenie w małych ilościach. Dzisiaj pomagałam mu przyrządzać lek.

Nie musiała mówić więcej. *Senniczka dodana w zbyt dużej dawce do leku na uspokojenie. Tak samo otrułaś Roseulusa, poprzednika Geshwanka, gdy zaczął bruździć mu w planach. Ale dlaczego Itonoka?*

– W czym ci przeszkadzał? – spytał Maghar.

Keytari złożyła głowę na jego ramieniu. Nie mógł się powstrzymać. Poruszył się lekko, na tyle, żeby objąć jej smukłą talię. *Należę do bestii*, pomyślał.

– I tak musiał umrzeć – powiedziała cicho. – Poza tym był uzurpatorem. – Przełknęła ślinę. *Zagadki, kłamstwa i znowu zagadki*, pomyślał Maghar. – Kocham cię, Ren, wiesz?

*Co tym razem?*, zastanowił się. Kłamstwo? Nie brzmi na zagadkę.

Keytari wtuliła twarz w jego bark, położyła białą dłoń na nagiej piersi i rozplakała się.

Nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby niebo runęło mu na głowę.

# Część druga

## CZERWONY

### I

Dreszcz nie był bohaterem. Co gorsza, doskonale o tym wiedział.

Przywiązany do oblodzonego pręgierza, mógłby wmawiać sobie, że jest inaczej, że tak naprawdę drży z zimna, a nie ze strachu. Znał jednak prawdę.

Zacisnął zęby i oparł czoło o zimny pał. Czekał.

Udało mu się nie wrzasnąć, kiedy pierwszy cios rozciął skórę na jego plecach. Przy drugim sapnął głośno i znów zacisnął zęby. *Nie będę krzyczał*, postanowił.

Trzeci. *Mogą zedrzeć ze mnie skórę, ale nie pozabawią mnie człowieczeństwa.*

Czwarty. *Nigdy.*

Piąty. *Gówno prawda.*

Przy szóstym uderzeniu zawył jak pies. Pot spływał mu do oczu. Krew lała się po plecach.

Siódme uderzenie. *Zabrali mi godność dawno temu.*

Ósme. Znowu wrzasnął. Cały dygotał. Spocone nadgarstki ślizgały się w sznurach.

Dziewiąte. *Bogowie, jeszcze tylko jedno.*

– Ostatnie nie naruszyło skóry – stwierdził zarządca służby.

*Nie, ty brudny skurwysynu, wypierdalaj.*

– Pozwól, że poprawię.

Dziesiąty cios. Jedenasty. Nareszcie było po wszystkim.

– Odwiążcie i zabierzcie to ścierwo – polecił zarządca, mały człowieczek podobny do ziemniaka, z brudnobrązową skórą oraz paskudnym, pokrytym czarnymi wągrami nosie.

Dwóch przerażonych swoją rolą służących podeszło do Dreszcza. Obaj mieli takie miny, jakby to oni stłukli go batem. *Dobrzy chłopcy*, pomyślał, gdy rozcinali krępujące go powrozy. Przyjechali do pałacu ledwie dwa dni wcześniej, a Dreszcz pomagał im się zadomowić i wyjaśnił podstawowe zasady dworskiego życia.

Gdy zabrakło podtrzymujących go sznurów, osunął się w śnieg. Bardzo chciałby ustać na własnych nogach. Uczynił rozpaczliwy wysiłek, aby się podnieść, ale chłopcy pospieszyli mu z pomocą. *Może to i dobrze*, uznał, gdy dźwignęli go pod ramiona. *Jeszcze ten ziemniaczany skurwysyn uznałby, że potraktował mnie zbyt łaskawie.*

Chłopcy wciągnęli go z zaśnieżonego podwórza do skrzydła pałacu, przeznaczonego dla służby i powlekli do wspólnej sypialni. Tam złożyli starszego służącego na sienniku.

– Dziękuję wam – wycedził, siląc się na wesoły ton. – Idźcie do swoich spraw. Nic mi nie będzie.

Kiedy wyszli, zamykając drzwi, wcisnął twarz w siennik i pozwolił sobie na jeden głośny, rozzwierający jęk.

Nie dostał chłosty od lat. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio oberwał. Chyba za czasów Mamaryta, za bezczelną pyskówkę prosto w twarz króla. Później służył Roseulusowi, który zasłynął jako Szalony Król. Fakt, że był straszliwie chimeryczny: potrafił zatłuc służącego za rozbicie kielicha i wybaczyć niepokornemu oficerowi zdradę. Ostatecznie umarł otruty, bredząc coś i śliniąc się na pościel. Szalenciec czy nie, dało się z nim żyć.

Po Roseulusie nastąpił Geshwank i Dreszcz z zarządcy służących został jego podręcznym. Było to zadanie, które polubił, chociaż wymagało sporo wysiłku i dobrej organizacji. Milicja za czasów żadnego innego króla nie działała równie sprawnie i bezwzględnie. Sam Geshwank wymagał od podwładnych dużo, nie wybaczał błędów i nie znał miłosierdzia, ale potrafił doceniać cudze wysiłki i z pewnością nie można było uznać go za niesprawiedliwego. Przy nim Dreszcz wiedział, kiedy zostanie ukarany, a kiedy pochwalony. Tyle że Geshwanka również zamordowano, zaś jego miejsce zajął Lekthry.

Nowy władca miał obsesję na punkcie poprzedników. Drżał ze strachu przed ich stronnikami oraz ludźmi o niespełnionych ambicjach, takimi jak Itonoka. Siedział na tronie niepewnie. Być może było to rozsądne – ostatnimi czasy władcy Kahru żyli zadziwiająco krótko – ale czasami irracjonalne.

Dreszcz stracił posadę podręcznego. Nie został też na powrót zarządcą, ponieważ Lekthry mu nie ufał. Został odesłany do pomocy w kuchni.

Usłyszał, że otwierają się drzwi. Do pomieszczenia weszła Kara, dźwigając misę z wodą. Przemknęła między leżącymi w równych rzędach siennikami, przykucnęła przy wychłostanym służącym i wyjęła z miski mokry ręcznik, który położyła mu na plecy.

Dreszcz westchnął ciężko i przymknął oczy.

– Dziękuję – wyszeptał.

– Musisz zaprzestać tych nocnych eskapad – powiedziała służąca.

– Nie mogę – odrzekł.

– Nie znajdziesz tego chłopca, a tylko ściągniesz na nas wszystkich niebezpieczeństwo – stwierdziła ostro Kara. – Już wyprowadzenie stąd dziewczynki

było niebezpieczne. Milicja odwiedza nasze skrzydło regularnie. Będą cię podejrzewać.

– Ziemniak wie, że wymykam się w nocy – wycedził Dreszcz. – Wszyscy to wiedzą, do cholery. Piję tam, gdzie milicjanci. Dałem się przyłapać, zdarza się, ale...

– Dreszczu, nie o to mi chodzi! – warknęła Kara. – Nie rozumiesz? To nie jest kwestia tego, że wymkniesz się czasem na piwo. Milicja wie, że ktoś ze służby wyprowadził Nimro tamtej nocy, gdy uciekła z matką. Nikt z nas cię nie wsypie, ale nawet komendant Kasharp nie jest aż tak głupi, żeby nie zacząć czegoś podejrzewać, zwłaszcza, jeżeli nie przestaniesz się wymykać.

*Czy ty mnie słuchasz, kobieto? Miał ochotę krzyknąć. Od lat wpadam ciągle do tych samych tawern, żołnierze mnie widzą, ba, czasem ze mną piją. Jeżeli milicja coś podejrzewa, to już od dawna. Jeżeli nie, to nie zacznie. Nie mogę przestać szukać teraz, kiedy już prawie mi się udało.*

Poprzedniej nocy, kiedy jak zwykle wymknął się z pałacu na kufel kahrańskiego piwa, poszedł posłuchać plotek do jednej z tawern, szczególnie lubianej przez żołnierzy. Jakiś oddział piechoty miał akurat wychodne i w środku panował ścisk. Dreszcz wypatrzył w kącie dwóch mężczyzn w czarnych uniformach milicji. Usiadł na ławie jak najbliżej nich. Piechociarze wciągnęli go w grę w karty, ale jednym uchem cały czas słuchał rozmowy prowadzonej ściszymi głosami przez tamtych. Już po kilku zdaniach zorientował się, że to oficerowie. W trakcie rozmowy jeden z nich rzucił od niechcienia:

– Szlag mnie trafia, jak pomyślę, że mojego syna mogą zamknąć w Baszcie, jak tego małego od komendanta.

– Co? – zdziwił się drugi. – A, mówisz o tym zdrajcy, Magharze?

– Tak. O tym małym od zdrajcy. To chciałem powiedzieć – przytaknął drugi i rozejrzał się niespokojnie.

Przez brak skupienia na grze Dreszcz przerznął wszystkie partie. Nie miał pieniędzy, więc piechociarze w zamian za kilka kolejek zmusili go do wejścia na stół i zaśpiewania kilku sprośnych piosenek, ale, mimo wszystko, było warto.

Baszta. Na samą myśl Dreszcz czuł, jak serce wali mu w piersi. Wysoka, smukła wieża w dzielnicy kapłańskiej, świątynia bogini Saali, którą zamieszkiwali szafarze śmierci, kapłani w czerwonych szatach. Mistrzowie tortur. Kaci. Dlaczego zamknęli tam to dziecko? Co z nim robią? Musiał znaleźć odpowiedź.

\*

Tak zimnej nocy Dreszcz nie przeżył od lat. Nawet owinięty w gruby płaszcz z brązowej wełny dygotał bez przerwy. Zmarznięte ręce wcisnął pod pachy. Mrowił

go nos i szczypały policzki. Z każdym krokiem ból pleców przypominał o porannej chłości.

Dzielnica kapłańska była najpiękniejszą częścią Domu Pierwszych Zdobywców. Wzniesiono tu świątynie chyba wszystkich bóstw, z jakimi mieli okazję zetknąć się Kahrańczycy w czasie podbojów. Zbudowana z czerwonego kamienia, rozjarzona blaskiem świętego ognia kaplica Płomiennego Pana Kargora, zdobiona mozaikami siedziba Lorei, wysmukła iglica Raklana... i Baszta, najwyższa spośród nich wszystkich: szara, zimna, ponura.

Dreszcz zatrzymał się przed dębowymi drzwiami świątyni. Sięgnął do kołatki. Zawahał się. Jeszcze mógł zrezygnować, wślizgnąć się na powrót do pałacu, zwinąć na sienniku i po prostu dać sobie spokój. Znał Rena Maghara, ale nie byli przyjaciółmi. Nie istniał żaden powód, dla którego Dreszcz miałby ryzykować życie. *Jeśli milicja cię dopadnie, skończysz w ich lochach i zdechniesz, wrzeszcząc z bólu,* powiedział sobie.

Coś poruszyło się w wewnętrznej kieszeni jego płaszcza i mała, bura mysz wspięła z niej na ramię służącego. Skubnęła go w ucho.

– Wracaj pod ubranie, zanim zamarzniesz – powiedział do niej Dreszcz. Później zastukał kołatką. *Jestem człowiekiem, a nie tchórzliwym psem.*

Stał i trząsał się z zimna. *Zapukać jeszcze raz?* Opuściły go resztki odwagi. Odwrócił się – i wtedy go zobaczył.

Żołnierz w czerni stał może dziesięć kroków od niego. Za jego plecami czekało czterech kolejnych. Mężczyzna zbliżył się do Dreszcza, który rozpoznał jego twarz. To był jeden z rozmawiających w tawernie oficerów.

– Co tu robisz o tak późnej porze? – spytał.

Mysz zsunęła się po ubraniu sparaliżowanego strachem Dreszcza na ziemię. Dwóch żołnierzy podeszło do niego, wykręciło mu ręce w tył i przycisnęło twarzą do muru. Jeden przeszukał go starannie.

– Czy muszę mówić, że jesteś naszym pierwszym podejrzanym w sprawie ucieczki Nimro Maghar z pałacu królewskiego? – spytał oficer. – Nie tylko Astaron miał dostęp do...

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – wpadł żołnierzowi w słowo Dreszcz.

Jeden z żołnierzy obrócił go ku sobie i zdzielił w twarz nabijaną ćwiekami rękawicą.

Dreszcz upadł w śnieg. Krew bryzgnęła z jego złamanego nosa.

– Z szacunkiem do pana rotmistrza, sukinsynu – powiedział dość łagodnie żołnierz.

– ...do akt milicji – dokończył rotmistrz. – Niestety ci partacze, którzy strzegą

bramy, zabili Astarona, nim zdążyliśmy porozmawiać z nim w lochach. Podnieście go i idziemy – polecił swoim ludziom.

Dźwignięty na nogi Dreszcz obrócił się jeszcze przez ramię. Drzwi Baszty pozostały zamknięte. Żaden kapłan nie będzie wstawał w środku nocy, by otworzyć komuś takiemu jak ty, pomyślał.

\*

Rozebrany do naga Dreszcz miał wrażenie, że ręce zaraz wyskoczą mu ze stawów. Wisiał pod sufitem niewielkiej celi, z kajdanami zapiętymi wokół nadgarstków i ciałem wyciągniętym jak struna. Już samo to było bolesne, a rotmistrz i jego podwładni jeszcze nie zaczęli tortur.

– Według akt masz trzydzieści osiem lat – zaczął oficer tonem niezobowiązującej pogawędki.

Dreszcz zaklął. Ból z nadwerężanych barków zdawał się rozpełzać po pozostałych mięśniach, dosięgając nawet jego myśli.

– Czterdzieści pięć – sprostował.

– Doprawdy? Trzeba to uzupełnić. – Oficer spojrział na podwładnego, który stał kawałek dalej z podkładką do notowania i czystą kartką papieru, po której zaczął zawzięcie skrobać piórem. Poza nim i rotmistrzem w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch żołnierzy. – Kim byłeś, zanim zostałeś służącym? Pytam z czystej ciekawości.

Dreszcz czuł, że ze spuchniętego nosa kapie mu pot. Oddychał ciężko. Zebrał w sobie dość sił, by spojrzeć w pomarańczowe oczy rotmistrza. *Wystarczająco długo zginałem kark.*

– Synem wojownika – odrzekł.

Rotmistrz roześmiał się mu w twarz.

– W życiu bym się nie domyślił – wyznał. – Świetnie, ciebie już znamy. Może dorzucę kilka słów o sobie. Jestem rotmistrz Regar Aladon. Lubię hodować agresywne psy i ruchać namiętne kobiety. Ponieważ komendant Kasharp wybitnie mnie nie znosi, po ucieczce Nimro Maghar powierzył mi zbadanie tej sprawy. Tak się składa, że pozwoliłem sobie przejrzeć akta wszystkich pałacowych służących. Twoje są interesujące. Zważywszy, że często wymykasz się na piwo, także z moimi podwładnymi, uznałem za prawdopodobne, że to ty wyprowadziłeś Nimro z pałacu. A skoro nie uciekłeś wraz z nią, zapewne zamierzałeś odnaleźć jej brata. Postanowiłem podpuścić cię w tawernie i poczekać pod Basztą, czy przypadkiem się nie zjawisz. – Rozłożył ręce. – Teraz mamy pełen obraz sytuacji.

– Radirzjana Maghara nie ma w Baszcie, prawda? – spytał Dreszcz.

Rotmistrz strzelił palcami. Jeden z żołnierzy rozwinął noszony u pasa pejcz i

trzasnął nim pocięte plecy Dreszcza. Ten z sykiem wciągnął powietrze. Zwiesił głowę, zaciskając zęby, ale rotmistrz ujął go pod brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Kto tu zadaje pytania? – spytał słodko.

Dreszcz splunął mu w twarz.

Rotmistrz westchnął ze zniecierpliwieniem. Otarł plwocinę. Lewą ręką uderzył służącego w policzek.

– Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek wymyślicie coś nowego – powiedział. – Co drugi z tych, których przesłuchuję, leje po nogach albo pluje. To obrzydliwe. – Wytarł palce w pierś Dreszcza. – Przejdźmy do rzeczy. I jeszcze raz, ciemna maso. – Na jego wargach zatańczył uśmiech i nieoczekiwanie zaczął chichotać jak szalony. Dreszcz zauważył, że żołnierze wymieniają znaczące spojrzenia. – Ale mi się powiedziało. – Rotmistrz otarł łzy i wrócił do rzeczowego tonu: – Więc tak. Ja pytam, ty odpowiadasz. Jeżeli chcesz kłamać, to z sensem. Za milczenie albo odpowiedź, która wyda mi się mało prawdopodobna, będzie bolało. Proste?

– Tak – odrzekł Dreszcz.

– W takim razie...

Przerwał im wrzask żołnierza z pulpitem do pisania. Wskazał na odpływ w podłodze celi.

– Sz... sz... sz... – jąkał się.

Dreszcz spróbował wygiąć się tak, żeby spojrzeć, o co chodzi, ale po chwili wyręczył go nieoczekiwany przybysz – mokry, wychudły szczur, który wylazł z odpływu i wbiegł w jego pole widzenia. Za nim wypadły cztery kolejne. I jeszcze dwa.

– Psiamac – powiedział rotmistrz. – Opanuj się, Yanderon, to tylko szkodniki. Przyzwyczaiłbyś się wreszcie.

Z odpływu z trudem wygrzebała się znajoma Dreszcza, bura myszka, a za nią jeszcze dwie. Całą trójką pobiegły w kierunku przerażonego żołnierza. Szczury ruszyły za mniejszymi gryzoniami jak obstawa.

Żołnierz wypuścił wszystko z rąk. Kałamarz wypadł z wgłębienia w pulpicie i roztrzaskał się na podłodze. Yanderon skoczył do drzwi, ale jeden ze szczurów zabiegł mu drogę.

– Na litość bogów – warknął rotmistrz. – Huwar, zawołaj służącą. Trzeba wyłapać te szkodniki.

Żołnierz z pejczem skinął głową i ruszył do wyjścia. Sięgnął do klamki, ale nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w kałużę atramentu.

– Panie rotmistrzu.

– Kurwa mać, czego znowu?

Huwar wyciągnął rękę.

Rotmistrz spojrział na mysz, która zanurzyła w atramencie końcówkę ogona i teraz przesuwiała nią po kartce, wypisując koślawymi literami wiadomość. Rozdziawił usta. Po chwili zbliżył się do gryzonia i, gdy ten zeskoczył z papieru, podniósł świstek przed oczy. Przeczytał szybko. Potem jeszcze raz. Wreszcie podał wiadomość przerażonemu Yanderowi.

– Na głos, bo wątpię we własne zdrowie psychiczne.

Żołnierz wziął od niego papier, przebiegł treść pisma wzrokiem i natychmiast przestał się trząść. Popatrzył na rotmistrza. Wreszcie zaczął czytać:

– „Pozdrowienia od komendanta Maghara! Pańskie zdolności wciąż najwyższej próby. Ze zrozumieniem dla konfliktu lojalności proszę mimo wszystko o uwolnienie siostrzeńca. Oczekuję pana w Gnieździe wraz z oddziałem”.

Rotmistrz wyraźnie pobałdł.

– Jesteś dawnym stronnikiem Rena Maghara – powiedział Dreszcz, drżący już nie tylko z bólu i zmęczenia, ale i nadziei, że jakimś cudem wywinie się z tej kabały.

– Huwar – warknął oficer.

Służący jęknął, gdy kolejny cios rozorał mu plecy. *Jeszcze trochę i już nigdy się nie wyprostuję.*

– Jest następne pismo – powiedział Yanderon.

Rotmistrz sięgnął po kolejną kartkę papieru. Szczury siedziały w kręgu wokół piszącej myszy. Jeden zaskrzeczał na niego groźnie, dopóki ta nie skończyła ostatniej koślawej litery. Oficer podał wiadomość Yanderonowi. Ten przełknął ślinę i niepewnie odczytał:

– „Nintan Itonoka herbu Zielona Żmija martwy. Ten sam los spotka każdego uzurpatora! Wasza królowa!”.

– Nie mamy królowej – powiedział cicho rotmistrz. – Od lat nie mieliśmy.

Zapadła krępująca cisza.

– To co robimy, panie rotmistrzu? – spytał w końcu Yanderon.

Oficer wziął z jego ręki pismo i przyglądał się mu przez długą chwilę. Potarł czoło.

– Obudźcie komendanta Kasharpa – rozkazał.

– Nie! – zaprotestował Dreszcz. I dodał, nim kolejny cios rozciął jego ciało: – To naprawdę wiadomość od Rena Maghara. Tak samo kontaktował się ze mną, a przedtem z Astaronem.

– To stek bzdur wyssanych z dupy! – Wściekł się rotmistrz. – Ja służę Kahrowi!



Nie królobójcy i fałszywej władczyni! A Kahr to Lekhtry, czy mi się to podoba, czy nie! – ryknął.

Bura mysz śmigająca jak szalona po ostatniej czystej kartce papieru. Czwooro żołnierzy milicji rzuciło się w jej kierunku.

– Co to? – spytał Yanderon, który chyba zapomniał o strachu przed szczurami.

– Jakies bazgroły – ocenił rotmistrz.

– Drzewo – sprostował Huwar.

– Drzewo? Co to niby ma znaczyć?

– Coś pisze.

– Tylko jedno słowo?

Czwooro mężczyzn umilkło.

Tym razem to Yanderon schylił się powoli i podniósł kartkę z ziemi. Rotmistrz wyrwał mu ją z ręki.

– Popatrz – powiedział do Dreszcza.

Dreszcz musiał zgodzić się z opinią oficera. Tak koślawych drzew nie rysował nawet jako pięciolatek. Pień stanowiła pojedyncza kreska, korona przypominała kleksa. *A powinna płonąć*, pomyślał, gdy spojrzał na podpis pod rysunkiem.

Zrozumienie uderzyło go z siłą gromu.

To jedno słowo zmieniało wszystko.

\*

Oddechy ludzi i koni parowały, gdy rota rotmistrza Aladona jechała stępą przez ulice Domu Pierwszych Zdobywców. W oddziale było kilka kobiet, które tak jak mężczyźni, nosiły czarne mundury oraz miecze, część posiadała także kusze. Milicja nie została stworzona z myślą o bitwach, ale na pierwszy rzut oka nie było tego widać.

Przechodnie rozstępowali się spieszenie przed oddziałem. Większość odwracała wzrok, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Dzieci natomiast przeważnie szeroko otwierały usta, wpatrując się z zachwytem w przejeżdżających.

Czarna kolumna prawie pięciuset żołnierzy znalazła się na głównej ulicy, wiodącej do bramy.

– Otwieraj – rzucił rotmistrz do strażnika, nie zsiadając z wierzchowca.

Brama otwarła się. Rotmistrz spiął konia i wyjechał na trakt, wiodący na południowy zachód, do Spalonego Miasta. Dwa dni ostrej konnej jazdy drogą, a później prosto na zachód u podnóża Gór Białoszczytu. Kiedy oddalą się, zwiną i spróbują przeniknąć do Państwa Sinych Wzgórz.

Dreszcz znał ten plan. Kołysał się na grzbiecie gniadego ogiera, przyciskając do siebie przerażonego Radirzjana Maghara. Wyciągnięty z Baszty chłopiec nie

odezwał się dotąd ani słowem. Jechał z twarzą wilgotną od łez, wczepiony kurczowo w służącego.

\*

Podobny do świni Lekthry nigdy nie przerażał Ederyka Kasharpa. Aż do dzisiaj. Król siedział na wielkim krześle u szczytu stołu, przy którym obradowali komendanci wszystkich formacji. Przeglądał leżące przed nim papiery – całą stertę wiadomości, przywiezionych tego dnia przez kurierów ze wszystkich stron Kahru.

– Uzurpator! – wrzasnął wreszcie.

Z ust bryznęła mu ślina, twarz przybrała purpurową barwę. Na skroniach pulsowały żyły. Jego pierś, okryta białym aksamitem tuniki, falowała szybko.

Siedzący po prawej stronie króla adiutant i zarazem marszałek Rady Stanu, zgarbił ramiona. W porównaniu z władcą wyglądał groteskowo – niski chudzielec o rzadkich włosach oraz wielkich oczach. Miał na nazwisko Resnir. *Skąd on się tu wziął, na litość?*, zastanawiał się Kasharp.

– W całym królestwie pojawiają się te pożałowania godne świstki, wyglądające jak wyskrobane ręką czterolatka – ciągnął Lekthry. Walnął ręką w stół. – Skąd, ja się pytam? Skąd one się biorą, do kurwy nędzy? To bunt!

Komendant łuczniczek huśtała się niedbale na krześle, patrząc na pokrywający całą ścianę arras przedstawiający jakąś dawno zapomnianą bitwę. Komendant piechoty skinął ręką na służącego, który dołał do jego kielicha wina.

– A twoja formacja, Kasharp, pełna jest zdrajców – mówił dalej król. – Zrób z tym porządek, do diaska!

– Wasza Wysokość, to niemożliwe – powiedział cicho Kasharp. – Milicja to niemal wyłącznie zwolennicy Rena Maghara.

– Nic mnie to nie obchodzi! – ryknął król, bryzgając śliną. – Powieś ich wszystkich i zwerbuj nowych, jeśli trzeba, albo sam zawiśniesz!

Marszałek otwierał już usta, ale zrezygnował i zamknął je z powrotem.

– Wasza Wysokość, to nierozsądne – powiedziała za to komendant łuczniczek. Była wysoką kobietą o twardych rysach, wydatnych kościach policzkowych i wielkich, ciemnopomarańczowych oczach. Układające się w pukle włosy spięła w kok na czubku głowy. – W ten sposób tylko sprowokujemy naszych żołnierzy do zwrócenia się przeciwko nam.

– Już mamy do czynienia z licznymi zradami – stwierdził Lekthry. – Wina!

Obsługujący oficerów służący podbiegł skwapliwie i napełnił kielich króla.

– Uważam, że Jego Wysokość ma rację. Nadszedł czas na czystki – powiedział marszałek.

– Przepraszam? – oburzyła się komendantka, ale pozostali kiwali głowami, poza

Kasharpem, który w milczeniu wpatrywał się w Resnira. Królewska wola była w tym wypadku bzdurna i marszałek musiał to wiedzieć. Do czegoś wyraźnie dążył i nie tracił czasu, ale zaatakował błyskawicznie:

– Być może wystarczy lepiej przyjrzeć się milicji – zasugerował. – Jak na razie głównie tam dochodzi do zrad, prawda? – Spojrzał znacząco na Kasharpa. – Nie mówiąc o straszliwych zawodach, jakie ostatnio sprawia ta formacja...

*Chcę mnie wykończyć, pomyślał Kasharp. Popełniłem za dużo błędów.*

– Wytropiłem Nintana Itonokę i aresztowałem zakładników w postaci krewnych Rena Maghara – przypomniał.

– Tak, ale utraciłeś ich – powiedziała komendant łuczniczek, która odzyskała spokój. No bo to przecież nie jej Rada zgodnie obrabiała dupę. – Wszystkich.

– Gdyby pozostawiono ich w areszcie milicji...

– Baria Maghar zniknęła z aresztu milicji! – ryknął król, a kiedy Kasharp otworzył znowu usta, dodał: – Zawiodłeś mnie, Kasharp. Bardzo zawiodłeś. – Wypił kilka wielkich łyków wina. – Zrób czystki w milicji. Zgadzą się, że to konieczność? – Popatrzył po zgromadzonych, którzy zgodnie kiwali głowami. *Kiedy Resnir zdobył ich wszystkich?*, zastanowił się Kasharp. Za bardzo ostatnio skupił się na wewnętrznych sprawach milicji. – Choćby miał ci zostać jeden pierdolony człowiek, niech to będzie wierny człowiek. To dotyczy w pewnym stopniu was wszystkich! – zaznaczył. – Żadnych sympatyków Maghara, Geshwanka, Itonoki czy kogokolwiek. Są zbyt niebezpieczni.

\*

Do sali wszedł służący. Niósł tacę nakrytą kawałkiem czerwonego aksamitu, na którym leżało zwinięte w rulon pismo i wstęga kuriera, który je przywiózł. Służący klęknął przy krześle władcy.

– Panie – powiedział cicho. – Ważne pismo z Gniazda.

– Skąd? – zdumiał się Lekthry.

– Z Państwa Sinych Wzgórz, Wasza Wysokość – odrzekł Kasharp, nim ktokolwiek zdążył go ubiec.

– Co się tam dzieje?

– Trudno powiedzieć. Wczoraj dotarło do mnie pismo od oberszter Tanegar, która jest namiestnikiem Państwa Sinych Wzgórz. Doszły do niej słuchy, że Gniazdo zostało zrabowane, spalone i przejęte. Zbierała oddziały, by je odbić. Przypuszczamy, że to może być Itonoka.

– Kto przysłał to pismo? – spytał król.

Marszałek podniósł z tacy wstęgę i przyjrzał się pieczęci. Jego twarz poszarzała.

– Wasza Wy-Wysokość – zająknął się.

– To Płonące Drzewo – powiedział wreszcie.

Zapadła cisza, mącona chrapliwym oddechem Lekthry.

– Co mówi pismo? – spytał komendant piechoty, masywny i łysy, mimo dość młodego wieku

– Odczytaj je – rozkazał król.

Marszałek złamał lak i powoli rozwinął rulon papieru. Obliznął wąskie wargi i zaczął czytać drżącym głosem:

– „Do Ferafina Lekthry’ego herbu Płonąca Strzała, uzurpatora tytułującego się królem. Tym pismem wzywamy Lekthry’ego do poddania się sprawiedliwości. Jeśli do dziesiątego dnia miesiąca kwiatów nie przestanie on tytułować się królem, nie zaprzestanie nagonki na naszą osobę i stronników oraz nie rozpocznie działań zgodnych z interesem Kahru, nie okażemy litości ani jemu, ani nikomu, kto trwać będzie u jego boku”. Jest też pieczęć – powiedział marszałek i podał pismo królowi.

Lekthry wziął papier w palce. Twarz miał siną, na policzkach wykwitły mu czerwone plamy.

– To nonsens – powiedział komendant piechoty. – Radirzjan Geshwank nie żyje. Jego córka jest w Królestwie Ognia. Nie miał innych krewnych. Ani żony, ani nawet faworyty.

– Miał faworytę – sprostował Kasharp. – Nieoficjalną. Ale ona miała inaczej na imię.

– Miał świra na punkcie dostojności rodu – stwierdziła komendant łuczniczek. – Nie zrobiłby żadnej dziwki żoną. To prowokacja. Propagandowy stek kłamstw dla prostaczków.

– Zignorujmy to – zaproponował marszałek.

Rozległ się zbiorowy pomruk, wyrażający zgodę. Kasharp potakiwał ze wszystkimi. Zastanawiał się, czy naprawdę ktokolwiek z obecnych uznał dostarczoną im wiadomość za propagandę dla naiwnych.

## II

Ogień w kominku wygasł przez noc, ale pod rozgrzaną pościelą było rozkosznie ciepło. Srebrzysta poświata księżycy wdzierwała się do komnaty przez odsłonięte okno. Mimo późnej pory, w mieście panował ożywiony ruch. *Przyszli*, pomyślał Maghar sennie. *Nareszcie. Długo kazali nam czekać.*

Leżał na plecach, czując nagie ciało Keytari tuż przy swoim. Kobieta spała z głową na jego piersi. Przez ostatnie dwa tygodnie nie kochali się ani razu, ale tej nocy wymęczyła go porządnie. Wciąż był słaby, chociaż rana na brzuchu goiła się czysto; ona natomiast czuła głód, jakiego się po niej nie spodziewał. Jednocześnie dominująca i łagodna, miała go w garści. Po raz pierwszy w życiu był tak

beznadziejnie bezbronny w stosunku do kochanki. Gdy skończyli, Keytari przytuliła się do niego i niemal natychmiast zasnęła. Głaskał jej długie, rozpuszczone swobodnie włosy i myślał o wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie pół miesiąca.

Od śmierci Itonoki, Keytari milczała na temat dalszych działań. Nawet bez pytania wiedział, że nie zrezygnuje z planu i znajdzie jakąś nieszczęsną marionetkę, którą posadzi na tronie i za jej pomocą zdobędzie Kahr dla Pierzastego Węża. Itonoka nadawał się do tego celu idealnie – skrzywdzony przez rodaków, wciąż posiadający w Kahrze wielu stronników, charyzmatyczny, ambitny, żądny zemsty oraz władzy. Maghar odniósł wrażenie, że ten szalony nieszczęśnik sam doigrał się śmierci, proponując Keytari to, o czym początkowo nie pomyślała. *Czy chciałaby korony dla siebie?* Kiedy spała przytulona do niego, szczupła, słodka, bezbronna, wyglądała jak niewiniątka. *Nie zapominaj, dlaczego Pierzasty Wąż ją tu przysłał. Widziała więcej bitew niż ty i usunie cię, jeżeli staniesz jej na drodze, napomniał się. Przeszła przez śmierć. Nawet droga, którą obrała, by zdobyć dla Pierzastego Węża Kahr o czymś świadczy. Przybyła tutaj walczyć i zabijać. Uważasz, że taka kobieta mogłaby nie chcieć korony?* Twarda, ambitna, gardząca wszelką słabością Keytari wydawała się urodzona dla Kahru. *Nie zna się na polityce, ale ja tak*, myślał, nawijając na palec białe loki kobiety. *Z odpowiednią grupą mądrych doradców mogłaby wiele zdziałać.*

Ale jak? Jak zamierzała zdobyć tron?

Nie dostał odpowiedzi od niej, więc wyciągał strzępy informacji od innych. Z Luvikiem, który poza Keytari odwiedzał go najczęściej, rozmawiało mu się ciężko, bo mag bardzo słabo znał kahański. SroAreth też pojawił się kilkakrotnie, ale pociągnięty za język, mruknął tylko coś mało konkretnego o „ścieżce przez mrok”. Najwięcej Maghar dowiedział się od Khale. Raz jeden jedyny przyniosła mu miskę zupy cebulowej. Sprawiała wrażenie wściekłej, że powierzono jej rolę posługaczki.

– Bardzo ci dziękuję, Khale – powiedział Maghar najbardziej pokornym tonem, na jaki było go stać.

Kobieta popatrzyła na niego gniewnie, jak zwykle, ale cień uśmiechu pojawił się na jej brzydkiej twarzy.

– Keytari nie może cię teraz odwiedzić, ale przyjdzie wieczorem – oznajmiła szorstko.

– Wiesz, co się z nią dzieje? – spytał Maghar, zwęszywszy okazję. – Ostatnio sprawia wrażenie strasznie rozbitej, a nic nie chce mi powiedzieć.

– Jest zabiegana – odrzekła Khale. W jej głosie zabrzmiała troska. – Wiem, że posłała jednego Skalnego, kuriera, do Domu Pierwszych Zdobywców i wydaje się zupełnie nieobecna. Mi również się nie zwierzała.

Uzyskał w ten sposób aż trzy ważne informacje. Po pierwsze, nie tylko przed nim Keytari kryła się z planami. Po drugie, nawet Khale zaczynała się o nią martwić. Po trzecie, Szczurza Pani miała w zanadrzu jakiś argument nie do pobicia, argument, który sprawił, że wysłała list do Lekthry'ego. *Tak wiele cholernych pytań.*

Usłyszał kroki za drzwiami sypialnej komnaty i podciągnął kołdrę na nagie plecy Keytari. Nie niepokoiło go, że zostaną nakryci w jednym łóżu – nigdy nie kryli się ze swoim romansem – ale nie chciał, żeby poczuła się zawstydzona. Już miał ją obudzić, kiedy drzwi rąbnęły z hukiem o ścianę i do środka wpadła Khale.

Keytari ocknęła się z jękiem.

– Ja pierdołę – jęknęła, gdy dostrzegła Strzygę. – Co?!

– Pod miastem stoi pieprzona armia – odrzekła ostro Khale. – Dwa tysiące żołnierzy jak w mordę strzelił. Postawiłam na gruzach bramy jebanego smoka, ale oni budują już katapulty. I w dodatku przywieźli cały tabor żarcia. Jak do mieszczan to dotrze, jesteśmy udupieni. – Dyszała ciężko. – Nic nie wiedziałaś?

– Nie mam szpiegów wszędzie – odrzekła Keytari.

Usiadła, skrzyżowała nogi i przygryzła lekko kciuk. Jej twarz była zmęczona, a oczy podkrążone z niewyspania.

– Khale, pojedziesz spotkać się z dowódcą tej armii – powiedziała wreszcie. – Zaproś go na rozmowy. Niech wjedzie do miasta. Jeśli chce, to z bronią, ale nie może wziąć ze sobą więcej niż dziesięciu ludzi.

– Nie mamy nic do zaoferowania – stwierdziła Khale.

– Ma rację – przyznał Maghar.

– Zrób, o co proszę – mruknęła Keytari. – I bądź ostrożna. Nie chcę, żebyś wróciła bez głowy.

– Nie martw się. Trzeba czegoś więcej niż kilku żołnierzy, żeby pozbawić mnie głowy – zapewniła Khale, uśmiechając się niepewnie.

Jej twarz pobladła, wargi drżały lekko, oczy błyszczały strachem, ale wyszła z komnaty krokiem tak samo pewnym jak zwykle. *Mogę już nigdy jej nie zobaczyć,* pomyślał Maghar. Mimo wszystko poczuł żal. Khale była jednym z nieodłącznych elementów zadania Keytari... i tym samym jego.

– Oszalałaś – zwrócił się do Keytari tonem łagodnego napomnienia.

Nie odpowiedziała. Wstała i podniosła zmiętą koszulę, którą rzuciła wieczorem na wytarty dywan przed kominkiem. Wciągnęła ją przez głowę. Odnalazła swoje ciepłe pończochy. Usiadła na skraju łóżka, żeby je włożyć.

– Co się z tobą dzieje? – mówił dalej Maghar, czując jak narasta w nim irytacja. – Zachowujesz się jak szalona. Najpierw otrułaś Itonokę, teraz jeszcze to... listy do Domu Pierwszych Zdobywców? Rozmowy? Jak się przedstawisz? „Szczurza Pani

Keytari, z rodu nijakiego, przychodzę podbić wasz kraj”?

– Jest mi wystarczająco ciężko bez ciebie! – krzyknęła nagle, aż Maghar podskoczył na sienniku. Kobieta spojrzała na niego, po policzkach płynęły jej łzy. – Myślisz, że mnie to bawi? Myślisz w ogóle?

Patrzył na jej zarumienioną twarz, drżące wargi, łzy skapujące z czubka nosa. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Keytari – wyszeptał, skołowany.

– Ściągnęłam cię do obozu Itonoki, bo było mi cholernie ciężko. Dostałam zadanie, które mnie przerasta, rozumiesz? Kiedyś, kiedy jeszcze byłam Kerin, byłam... byłam sobą, to ty... – Urwała na chwilę, pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. – Byłeś moim jedynym przyjacielem – powiedziała wreszcie. – Geshwank mnie tylko pożałował. Wiedziałam o tym. Tak samo było z wszystkimi innymi. Nienawidzili mnie. Chcieli wyruchać. Zazdrościli. Bali się. Ale nie miałam żadnych przyjaciół, żadnych poza tobą. Nikogo, kto by mnie nie pożałował ani by mną nie gardził, ani... – Znów umilkła. Otarła ręką mokre policzki. – Dlatego wyciągnęłam cię z Domu Pierwszych Zdobywców, oderwałam od nędznego życia, które pędziłeś z mojej winy. Przecież to ja wrobiłam cię w to królobójstwo. Nie chodziło mi o twoje wpływy, Itonoka miał większe. Chciałam tylko, żebyś był przy mnie, żebyś mnie wspierał. Potrzebowałam cię: jako przyjaciela, jako stronnika, jak to nazywają Kahrańcycy. Twoje rady były dla mnie bardzo cenne.

*Ale nie jesteś dla mnie nikim więcej,* dokończył w myślach Maghar. Poczł w gardle smak żółci.

Patrzył z udręczeniem, jak Keytari wyciąga ze swoich bagaży gorset, zakłada go i zawiązuje wstążki. Później przerzuciła przez głowę suknię ze sznurzych skórek. Drewnianą szczotką rozczesła białe włosy, pozwalając im opadać swobodnie na ramiona oraz plecy.

– Keytari – odezwał się wreszcie. Owinął się w pierzynę i spuścił stopy na podłogę. Wstał. Musiał zacisnąć zęby z bólu. Podeszedł do Keytari w kilku niezgrabnych krokach, objął ją od tyłu. – Wysłuchaj mnie – szepnął. – Jestem twoim przyjacielem, twoim stronnikiem, kimkolwiek chcesz. Będę dalej udzielał ci rad. Będę walczył i zginę dla ciebie. Ale muszę wiedzieć, co planujesz. Dlaczego nie możesz mi zaufać?

Kołysała się w jego ramionach, nagle bezwolna i słaba. Odchyliła głowę w tył, by oprzeć ją o jego pierś.

– Wstałeś po raz pierwszy, odkąd zostałeś ranny – zauważyła cicho, tonem, którego mogłaby używać troskliwa żona pielęgnująca męża-żołnierza.

– Tak – przytaknął, niezadowolony ze zmiany tematu. – Czuję się już dobrze –

skłamał.

– Świetnie – uznała. – Kazałam jednej Skalnej uszyć ci nowy mundur. Jest w mojej skrzyni. – Odwróciła się przodem do niego i delikatnie złożyła dłoń na jego policzku. Poczuł, jak jego determinacja w uzyskaniu odpowiedzi roztapia się niczym masło na patelni. – Włóż go, zgól ten szorstki zarost, a później stój za moim krzesłem i udawaj, że niczym nie jesteś zaskoczony.

Przycisnął ją mocno do siebie.

– Tylko pod warunkiem, że później powiesz mi prawdę.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

– Całą prawdę – obiecała.

\*

W mieście nie było aż tak źle, jak przypuszczała oberszter Tanegar. Słyszała od nielicznych uciekinierów spotykanych po drodze, że w Gnieździe panują głód i tyrania jakiejś szalonej kobiety, którą Skalni nazywali „Szczurzą Panią”. Wyobrażała sobie nędzarzy w szmatach, krążących wśród ruin domów i zjadających ciała zmarłych bliskich. Widywała już takie sceny.

Gniazdo rzeczywiście zostało splądrowane. Brama zmieniła się w kupę gruzów, na której wylegiwał się ogromny smok. Mieli problem, żeby przeprowadzić obok gada przerażone do granic przytomności konie. Stojące najbliżej murów domy zostały w znacznej mierze spalone i zburzone. Wśród nielicznych ocalonych budynków leżały przykryte śniegiem resztki innych, doszczętnie zniszczonych. Na skrzyżowaniach ulic paliły się wielkie ogniska, przy których ogrzewali się zziębnięci ludzie. W ich wychudłych twarzach płonęły głodne oczy. Obok małego, skleconego z kilku desek stoiska obrotna rodzina Skalnych sprzedawała mięso złapanych na ulicach szcurów, psów i kotów. Oberszter Tanegar zatrzymała na chwilę konia, by przyjrzeć się uważniej straganowi.

– Pani oberszter? – rzuciła brzydka jak noc kobieta, która przyjechała do jej obozu z propozycją rozmów.

– Jadę – odrzekła Tanegar.

Obejrzała się na swoją świtę. Wzięła dziesięciu żołnierzy. Nie odebrano im broni. Cztery konne łuczniczki i szóstka piechurów. Wszyscy rozglądali się czujnie, tak jak Tanegar, spodziewając się pułapki.

Ruszyli dalej i wkrótce dotarli na rynek. Kłębił się tutaj spory tłum ludzi, czekających w długiej kolejce do niewielkiego namiotu, rozstawionego przed gruzami ogromnego budynku, chyba świątyni. Porządku pilnowali czarnoskórzy Varmondczycy, owinięci w tak wiele warstw ubrań, że przypominali uzbrojone w szable kokony. Tanegar uniosła się w strzemionach, żeby zobaczyć, dokąd pchają



się ci wszyscy ludzie. Tak jak się spodziewała, przed wejściem do namiotu wydawano posiłek – zupę z wielkiego kotła. Varmondczycy zabierali od mieszczan jakieś świstki papieru, w zamian dając im porcję jedzenia. *Racjonują żywność. Mądrze.*

– Z drogi! – ryknęła szpetna.

Skalni rozstąpili się posłusznie. *Są zadziwiająco spokojni*, stwierdziła Tanegar. *Powinni się buntować, żądać chleba i wolności. Ale tylko rozchodzili się na boki jak cielęta, patrzyli pustymi ślepiami na orszak i próbowali dopchać się do nędznej porcji zupy. Dlatego to my trzęsiemy światem, a nie Skalni.*

Przejechali przez tłum aż do drzwi ratusza, przed którymi czekała grupa kobiet w zbrojach.

– Moje dziewczyny zajmą się końmi – powiedziała szpetna. – W przeciwnym razie ta hołota może je zeżreć.

Zeskoczyła z siodła, szcękając zbroją, i pchnęła drzwi, nie dając oberszter Tanegar czasu do namysłu.

– Oczy szeroko otwarte – poleciła oficer, zsiadając z konia.

Dwóch piechurów ruszyło przodem. Ich zbroje z przyczernianej stali szcękąły z każdym krokiem, dłonie trzymali na gałkach mieczy.

Wkroczyli do sporego, pustego holu. Szpetna poprowadziła ich po schodach na krużganek. U szczytu stopni pełniło wartę dwóch Varmondczyków.

Szpetna skręciła w lewo, do drzwi, których pilnowało kolejnych dwóch mężczyzn. Na widok zbliżających się żołnierzy dobyli szabli i skrzyżowali je szpetnej przed twarzą. Jeden z piechurów wysunął miecz z pochwy.

– Spokojnie – poleciła oberszter.

Szpetna powiedziała coś do strażników w ich obco brzmiącej mowie. Ci skinęli jednocześnie głowami i przepuścili ich do kolejnego pomieszczenia – małej, przechodniej komórki. Ostatnie strzeżone drzwi i wreszcie dotarli do celu.

Tanegar zatrzymała się tuż za progiem. Omiotła spojrzeniem zakurzony sufit w poszukiwaniu wizjerów, za którymi mogli czaić się kusznicy. Na ścianach nie było żadnych obrazów, luster czy arrasów mogących kryć tajne przejścia. Płonący na kominku jasny ogień skutecznie ogrzewał niewielkie pomieszczenie. Było w nim ledwie kilku ludzi. Dziwny, gadzi stwór w białej szacie grzał ręce przy ogniu. Chuderlawy mężczyzna z długą brodą zaszył się w kącie, łypiąc ponuro żółtymi oczami. Niski Varmondczyk z rzadkimi kłaczkami włosów na brodzie i policzkach, noszący na głowie turban wodza klanu, opierał się o parapet. Za niewielkim stolikiem z dwoma krzesłami siedziała przepiękna kobieta w burej sukni ze zwierzęcych skór. Za nią, wyprężony na baczność, w czarnym uniformie milicji i

złotym płaszczu marszałka, stanął...

– Komendant Maghar – powiedziała zaskoczona Tanegar.

– Pani oberszter – uprzejmie skinął głową.

Pociągłą twarz miał wychudzoną, włosy długie i brudne, a twarz ogoloną wyjątkowo niestarannie, ale sprawiał wrażenie człowieka, którego właśnie spotkało niebywałe szczęście. *Albo takiego, który odzyskał utracone życie*, pomyślała Tanegar. *Co akurat jest prawdą.*

Komendanta – w zasadzie byłego – znała jeszcze z czasów, gdy ten był wiernym sługą króla. To między innymi dzięki jego poleceniu dostała tytuł namiestniczki Państwa Sinych Wzgórz. Z listu, który przywiózł jej kurier z Domu Pierwszych Zdobywców, wynikało, że Ren Maghar wspiera Itonokę, którego jednak w komnacie nie było.

– Może pani usiądzie? – zaproponowała kobieta w sukni ze skór.

Tanegar odsunęła sobie krzesło, po czym usiadła naprzeciwko rozmówczyni. Tamta była biała – to słowo najlepiej ją określało. Doskonała twarz oraz dłonie i włosy miały czystą, jasną barwę, tak że zdawały się jarzyć blaskiem niczym odbijający słońce śnieg. Kobieta uśmiechnęła się, ale uśmiech nie objął złotych jezior jej oczu. Stukała palcami w niewielką szkatułkę, stojącą na stole przed nią. Obok pudełeczka siedział bury gryzoń z czarną kitą na końcu ogona i dużymi uszami, przyglądając się uważnie oberszter. Dzięki obstawie za plecami, Tanegar czuła się choć trochę bezpiecznie.

– Gdzie jest Nintan Itonoka? – spytała. – To nie on jest odpowiedzialny za rzeź w mieście?

– Zgadza się, to Nintan Itonoka dokonał rzezi – potwierdziła biała. – Spotkał go los, jaki zgotuję każdemu uzurpatorowi w Kahrze.

*Jest szalona*, pomyślała natychmiast Tanegar.

– Co ma pani na myśli? – spytała jednak.

– Że nie żyje. Zabiłam go, tak jak zabiję pana Lekthry'ego, jeżeli nie odda mi tronu, który zagarnął.

Tanegar pokręciła gwałtownie głową.

– Jego Wysokość został wybrany w elekcyjnych wyborach po śmierci poprzedniego władcy – stwierdziła. – Jest prawowitym królem...

– W wyborach, które odbyły się bezprawnie – odparowała biała kobieta. – Proszę otworzyć oczy, pani oberszter. Mój marszałek został uwięziony zaraz po śmierci Radirzjana Geshwanka i chociaż nie udowodniono mu żadnej z bzdur, o które został oskarżony, wyszedł na wolność już po wyborach, w dodatku bez stopnia. Jego stronników zdegradowano lub uwięziono.

– Nie rozumiem – uznała oberszter Tanegar. – Marszałek Rady Stanu nie ma wpływu na przebieg wyborów...

– Te wybory nie miały prawa się odbyć, ale zabrakło człowieka, który mógłby je oprotestować.

– Co to znaczy, że nie miały prawa się odbyć? – spytała ostro Tanegar. Czy ta biała, obłąkana istota naprawdę sądziła, że oberszter przełknie takie kłamstwa? – Radirzjan Geshwank herbu Płonące Drzewo zmarł. W wypadku śmierci króla władzę przejmuje jego następca, członek Wysokiej Rady, wybrany w głosowaniu Rady Stanu. Tak stało się teraz.

– To prawda, że tron nie jest dziedziczony przez potomków zmarłego króla – przyznała biała. – Ale w przypadku śmierci króla, przypada jego żonie – dodała. Zdjęła z palca stalowy pierścień i położyła go na stole pomiędzy nimi. – Śmiało.

Oberszter ujęła przedmiot w palce. Spojrzała na herb, chociaż było to niepotrzebne. Radirzjan Geshwank nosił bardzo charakterystyczny pierścień, z grawerunkiem wykonanym nie w stali, ale w kawałku czarnego onyksu. Nie ulegało wątpliwości, że przedmiot, który trzymała w dłoni, należał do niego. Albo był doskonałą kopią.

Zanim zdążyła wyrazić wątpliwości, biała otworzyła szkatułkę i wyciągnęła z niej złożony na czworo dokument. Oberszter wzięła go, obejrzała ze wszystkich stron, zerknęła na podpisy. Odbita w laku pieczęć o niczym nie świadczyła, skoro mieli pierścień. Ale podpis... Wąskie, wysmukłe litery, pochylone na prawo tak mocno, że niemal leżały płasko na boku. Kontrakt ślubny. Kolejny kawałek papieru. Oświadczenie o nadaniu nazwiska i herbu Geshwanków kobiecie imieniem Keytari. Ten sam podpis, ta sama pieczęć. Daty – może dwa miesiące przed śmiercią Radirzjana Geshwanka.

– Pochodzę z północnej wyspy, Rekki – powiedziała cicho Keytari. – Z zamożnej rodziny kupców. Przyłynęłam do Kahru z moim ojcem, w interesach. Jeden z klientów zaprosił nas na bal, w czasie którego poznałam Jego Wysokość Geshwanka. Pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Nie sądziłam, że odwzajemni moje uczucie, ale... – Pokręciła głową, a na jej wargi wpłynął smutny uśmiech. – Tak właśnie się stało. To był cichy ślub, chcieliśmy uniknąć skandalu, który z pewnością by wywołał. Wróciłam na Rekkę, by zamknąć sprawy w domu. Następnego roku, gdy miną wiosenne sztormy na Szarym Morzu, miałam wrócić i już zostać. – Zwiesiła głowę. – Ale dowiedziałam się, że mój ukochany król nie żyje. – Przełknęła ślinę. – Że o kraj walczy dwóch uzurpatorów, zajadłych jak wściekłe kundły. Wysłałam do komendanta Maghara list, a on zgodził się zaryzykować życie swoje i swojej rodziny, by pomóc mi odzyskać dziedzictwo i

ocalić Kahr w tej smutnej sytuacji. – Wyjęła papiery z zeszywniałych palców oberszter Tanegar. – Jestem prawowitą władczynią Kahru, pani oberszter.

Tanegar spojrzała na Maghara, który powoli skinął głową. Położył dłoń na ramieniu królowej.

– Mogę zaświadczyć o prawdziwości słów Jej Wysokości – powiedział. – Ręczę za nie życiem i honorem.

– Mam tylko jedno pytanie, pani oberszter – wyszeptła Keytari, przygryzając kciuk. – Jest pani ze mną? Czy z uzurpatorem, ukrytym teraz w Domu Pierwszych Zdobywców, skąd szkaluje mnie i komendanta Maghara, rozpaczliwie pragnąc zachować tron, który do niego nie należy?

\*

– Musisz nam wyjaśnić...

– Na litość boską, Keytari!

– Co to w ogóle za pieprzona...?

Maghar zatrzaskał drzwi sypialni przed nosem Luvika i Strzyg, którzy głośno domagali się wyjaśnień, i napał na nie plecami. Okazało się to słuszną decyzją. Khale kopnęła tak mocno, że mężczyznę odrzuciło. *Zupełnie, jakby miała taran zamiast nogi*, pomyślał, znów przytrzymując drzwi. Usłyszał ostatnie gniewne „kurwa” i kroki odchodzących korytarzem napastników. Dopiero wtedy sam wrzasnął:

– Co to w ogóle za pieprzona szopka?

Keytari usiadła na łożu i westchnęła ciężko.

– Ale udało się – stwierdziła, jej oczy zabłyśły radośnie. – Są z nami. Wozy pełne żywności i dwa tysiące żołnierzy.

Wyciągnęła rękę. Pies zbiegł po jej szczupłym ramieniu na pierzynę, a stamtąd zeskoczył na podłogę i pognał do klatki. Ukryte pod łóżkiem szczury wysuwały łebki z kryjówek, węsząc w powietrzu.

– Keytari – wycedził Maghar drżącym z wściekłości głosem. Zapomniał o ranie, osłabieniu, nieprzespanej nocy, o wszystkim – poza gniewem. – Należą mi się wyjaśnienia. Ręczyłem własnym honorem za ten kubeł kłamstw, który wylałaś na łeb oberszter Tanegar.

– To nie kłamstwa, Ren. – Podniosła się na nogi, wciąż rozradowana i tryskająca szczęściem. – To szczerą prawdą.

Podeszła do niego, chcąc się przytulić. *Nie tym razem*, postanowił. Tym razem nie pozwoli się omamić. Chwycił kobietę za ramię i zacisnął palce z całej siły, aż poczuł przez szczupłe ciało twardość kości.

– Mam dość twoich pierdolonych gier, rozumiesz? – warknął, szarpiąc Keytari.

– Co planujesz? Co to wszystko znaczy?

Keytari przestała się uśmiechać. Próbowwała się bezskutecznie wyrwać.

– Puść mnie – rzuciła ostrzegawczo.

Pies zaskrzeczał gniewnie. Szczury pod łóżkiem odpowiedziały mu głośnymi piskami.

– Nie, Keytari – wycedził Maghar. – Tym razem się nie wywiniesz. Obiecałaś mi prawdę, więc mów, do cholery!

– Zrobię to, gdy zechcę, nie wcześniej.

Puścił ją.

– Jesteś brudną suką – oznajmił.

Splunęła mu w twarz. Niewiele myśląc, wymierzył jej solidnego policzka. Głowa kobiety odskoczyła w bok.

Przez chwilę tylko stali – Maghar, wbijając wściekłe spojrzenie w Keytari, ona ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Wreszcie Keytari pociągnęła nosem.

– Lepiej połóż się i odpocznij – powiedziała cicho. – Dopilnuję, żeby ktoś przyniósł ci posiłek.

Ruszyła do drzwi. Maghar złapał ją za nadgarstek. Opierała się, ale przemocą przyciągnął ją i objął.

– Przepraszam – wyszeptał, chociaż w głosie wciąż pobrzmiwały echa złości. – Przepraszam, Keytari. – Położył dłoń na jej jasnej głowie. *Jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety, zdał sobie sprawę. I musiałem właśnie ją...* – Przepraszam.

– Nic się nie stało – wychrypiała, nieruchomiejąc w jego uchwycie.

Poprowadził ją do łóżka i posadził na sienniku. Patrzyła na niego z żalem wypisanym na twarzy, ale nie stawiała oporu.

– Odpocznij. Ostatnio żadne z nas nie jest sobą.

Poruszyła gwałtownie głową i chwyciła zębami jego dolną wargę. Jakby przebudzone przez ten impuls, powróciło rwanie w tułowiu.

Mimo to odwzajemnił pocałunek, ale znacznie łagodniej niż Keytari. Później rozwiązał i rzucił na podłogę swój nowiutki złoty płaszcz i położył się obok Szczurzej Pani. Podłożył ramię pod jej głowę.

– Keytari... – zaczął.

– Przepraszasz? – spytała zwykłym, ostrym tonem. – W porządku. Zamknij się już.

Pies wskoczył na łóżko i próbował wepchnąć się między nich, ryjąc miękkim pyszczkiem. Kiedy mu się nie udało, obrażony wrócił do klatki.

Maghar usłyszał, jak oddech Keytari się wyrównuje. Oczy kleiły mu się do snu. Już prawie zasypiał, kiedy kobieta nieoczekiwanie się odezwała:

- Był tu.
- Co? – wyjąkał Maghar.
- Geshwank. Był tutaj.

*Wiem o tym, zdał sobie sprawę Maghar. Odwiedził mnie we śnie. Ale głośno powiedział tylko:*

- To jednak on?

Keytari przytaknęła. Poruszyła się, uniosła na łokciu i spojrzała na leżącego Maghara.

– Spałam, okno było uchylone. Dostał się przez nie pod postacią kruka i na moich oczach zmienił w człowieka. Myślałam, że przybył się zemścić, ale byłam spokojna, bo miałam przy sobie Psa. Jednak Geshwank chciał tylko porozmawiać. Powiedział, że wiedźma wskrzesiła go w ramach odwetu za to, że kiedyś ją skrzywdził. Jest teraz jej niewolnikiem. Ma jednak silną wolę. Udało mu się na chwilę wyrwać spod jej władzy i przybyć do mnie. – Uniosła w górę rękę z pierścieniem. Nie nosiła go przez ostatnie dwa tygodnie, Maghar wiedział to na pewno. Musiała go wsunąć na palec, gdy wkładał mundur. – Zaproponował mi układ. Dał mi swoje nazwisko, w zamian mam zdobyć tron Kahru i uwolnić go spod władzy wiedźmy, by mógł powrócić jako król.

- I dalej rządzić?

– Tak.

– Wpisaliście fałszywą datę w kontrakcie. I wymyśliłaś tę historię.

– Tak. Odleciał, zostawiając szkatułkę z dokumentami i pierścień – potwierdziła Keytari.

Jej ręka opadła na pościel.

– I wierzysz mu? – spytał Maghar. – Wierzysz, że chce tylko odzyskać tron i dalej służyć Kahrowi jako król?

– Za kogo ty mnie masz? – Umilkła na chwilę. – Nie potrzebuję go. Ten papier, ten pierścień i jego nazwisko. To wszystko, co muszę mieć.

– Znów to robisz – powiedział Maghar.

– Co?

– Pogrywasz z Radirzjanem Geshwankiem. Pamiętasz, czym to się ostatnio skończyło?

Konwulsyjnie sięgnęła ręką do szyi. *Oczywiście, że pamiętam, durniu.*

– Tak – wyszeptwała.

– Posłuchaj, Keytari. – Maghar przewrócił się na bok. – On i ta wiedźma... ona była jedyną kobietą, którą naprawdę kochał. Z wzajemnością. Oboje kochali się tak samo mocno, jak mocno się nienawidzili. – Zawiesił głos. – Byłem z nim, kiedy się

poznali. Wracaliśmy z misji na terenie Królestwa Ognia. Zawiedliśmy. Zostaliśmy wykryci i musieliśmy uciekać przez Góry Białoszczytu w środku zimy. – Zaczął głaskać rozsypane na pierzynie włosy Keytari, białe jak tamten śnieg, który otaczał ich zewsząd. – Umieraliśmy powoli z zimna, ran i głodu. Kiedy zobaczyliśmy chatkę stojącą na szczycie góry, nie wahaliśmy się. Otworzyła nam samotna kobieta. Wdarcie się do tego domu nie było problemem. – Oblizwał spierzchnięte wargi. – To była... miła gościna. Gospodyni uszykowała nam posiłki. Gotowała bardzo dobry gulasz. Mało się odzywała, ale miała wódkę i tytoń, a tylko tyle potrzebuje przegrany żołnierz. Jeden z moich towarzyszy... teraz już nie żyje... posadził ją na stole i chciał wziąć, ale Radirzjan mu nie pozwolił. Tej samej nocy zszedł ze strychu, gdzie spaliśmy. Słyszałem, jak wiedźma pod nim wyje, ale nie zrobiłem nic. – Westchnął ciężko i potarł ze znużeniem czoło. – Wkrótce potem odjechaliśmy. Wiedźma zjawiała się w Domu Pierwszych Zdobywców dokładnie po roku. Zapukała do drzwi Geshwanka i oddała mu dziecko.

– Rekhe? – upewniła się Keytari.

– Tak. Teraz wiemy, że ta kobieta była wystarczająco potężna, żeby zabić nas wszystkich jednym ruchem ręki. Ale nie zrobiła tego.

– Czy była dziewicą?

Maghar wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Czemu cię to interesuje?

– Wiem trochę o północnej magii. Zmiennoskórzy pochodzą z tych samych krain, co wiedźmy. Na pozór to zwykłe kobiety. Jedyna różnica jest taka, że ich krew ma magiczną moc. Te, które uczą się z niej korzystać, zostają wiedźmami. Nigdy nie słyszałam, by wiedźmą został ktoś, kto nie ma w żyłach północnej krwi. Może, zgodnie z legendami, ta magia to dar bogów tamtych krain – odpowiedziała Keytari. – Jeżeli Geshwank ściągnął na siebie klątwę dziewiczej krwi, to... – Urwała.

– To co? – spytał Maghar.

– To stwarza nowe możliwości – odrzekła wymijająco.

– Czy możesz czasem powiedzieć mi coś szczerze i wprost? – zirytował się znowu.

– W takim wypadku będzie można pozbyć się ich obojga za jednym zamachem – rzuciła Keytari takim tonem, jakby podobna szczerłość była niezgodna z jej naturą. – Ale ponieważ to tylko teoria, nie przykładałabym do niej wielkiej wagi.

– Ta cała walka o tron to popieprzona sprawa – stwierdził Maghar.

Czuł przytłaczające zmęczenie. Opuściły go gniew, strach i napięcie. Żadnego zaskoczenia, żadnej obawy. W głowie miał wielką pustkę. Z niewyspania łupało mu

pod czaszką.

– Tak bywa – mruknęła Keytari, rozpinając guziki jego koszuli, żeby przytulić się do nagiej piersi. – Zwłaszcza, kiedy ludzie kpią ze śmierci, kłamią jak najęci i nie cofną się przed niczym, by osiągnąć swój cel.

– Za te wszystkie rzeczy cię kocham, małeńka – wymamrotał sennie Maghar.

### III

– Zastanawiałaś się czasem, dlaczego tutaj jesteś? – spytał Ren Maghar, stając w drzwiach.

SroAreth klęczał na zakurzonej posadzce w małym, gospodarczym pomieszczeniu, wbijając spojrzenie w brudne okienko. Lubił to miejsce, ciche i ciemne, jakby stworzone do modlitewnego skupienia. Przez chwilę nie odpowiadał. Wyrwano go z rozmowy z bogiem. Ukrył rozdrażnienie i powiedział łagodnie:

– Jestem tutaj, ponieważ tutaj posłał mnie Pierzasty Wąż.

– Tak, ale dlaczego właśnie ciebie? – dociekał Kahrańczyk. – Nie chcę cię urazić, ale nie wydaje mi się, żebyś był wojownikiem.

Kurz tańczył w smugach światła, wpadających przez szybę i uchylone drzwi.

Po chwili ciszy SroAreth westchnął i podniósł się z klęczek. Spojrzał na Maghara.

– Nie jestem wojownikiem – przyznał. – Mój lud nie został stworzony do wojny, chociaż niektórzy jego członkowie uważają inaczej. – Urwał. – Dlaczego o to pytasz?

– Ponieważ nie jesteś stworzony do wojny – odrzekł Maghar. Oparł się o framugę i skrzyżował ramiona na piersi. Dziś nie ubrał munduru, a zwykłą, wytartą koszulę i wełniane spodnie. Jedynie buty miał nowe, pochodzące z zasobów oberszter Tanegar. – Nie chcesz zabijać, a my będziemy musieli. Nie chcesz oglądać zniszczenia, a zniszczymy jeszcze wiele miast. Mówiąc wprost, Mówco, mam wątpliwości, czy to wytrzymasz.

– Obawiasz się, że zdradzę Keytari? – zrozumiał natychmiast SroAreth. *Chętnie bym to zrobił, to prawda.* – Nie, komendancie, nie zrobię tego. Mój bóg kazał mi ją wspomagać. Zrobię to najlepiej, jak umiem, nawet jeśli... nie aprobuję jego decyzji. – Obliznął wargi rozdwojonym językiem. – Coś jeszcze?

– Królowa urządza naradę wojenną, dziś przed kolacją. Będiesz na niej jako przedstawiciel swój i Varmondczyków.

– Królowa! – SroAreth nie mógł powstrzymać pogardliwego prychnięcia.

– Coś ci się nie podoba?

*Kłamstwa, zdrady, morderstwa, rzeznie. Sposób, w jaki Pierzasty Wąż chce zdobywać nowych wyznawców. Natura tych wyznawców. Fakt, że to ja muszę znosić to wszystko.*



*Boże, wysłałeś mnie tu, więc błagam, daj mi siłę.*

– Ścieżka, którą idzie Keytari, jest... zła – powiedział cicho SroAreth. – Nintan Itonoka jej zaufała i w nagrodę podała mu kielich z trucizną. Domaga się tronu w oparciu o kłamstwa.

– O szczerą prawdę – poprawił Maghar.

– Nie będę oszukiwał sumienia – wycedził SroAreth, z coraz większym trudem panujący nad gniewem.

– Nie chodzi o sumienie – sprostował komendant. – Raczej o szpiegów i nauczenie się dyscypliny. Jeżeli podobne zdanie wymknie ci się przy świadkach, będzie nieciekawie. – Umilkł. – To dobra historia. Byłem najbliższym współpracownikiem Geshwanka. Dokumenty, którymi dysponuje Keytari oraz moje słowo wystarczą wielu oficerom, zwłaszcza tym, którzy byli naszymi stronnikami.

– Dokumenty zdobyte w co najmniej podejrzany sposób – dodał SroAreth. – Dlaczego nie użyła ich przedtem? Po co w ogóle uwalniała Itonokę, skoro później uznała za stosowne się go pozbyć?

Maghar uśmiechnął się blado.

– Skoro nie powiedziała tego tobie, ja też będę milczał – odrzekł.

SroAreth aż się zachnął. Czuł, że mur, za którym krył rozżalenie i gniew, kruszy się. Mógłby się założyć o prawą rękę, że dokładnie taki efekt chciał osiągnąć Kahrańczyk.

– Nie widzisz, co ona robi? Nie widzisz, na jaką ścieżkę wkracza? Nie widzisz, ile nienawiści, ile bólu, ile okrucieństwa wypełnia jej serce? – spytał. – Kocha cię. Możesz jej pomóc.

Maghar włożył ręce w kieszenie spodni.

– Tak myślisz? – spytał. – Radirzjan Geshwank sądził, że z nią wygrał, kiedy udusił ją w jej łóżu. Itonoka był pewien, że ma ją w garści, kiedy zaoferował jej tron. Oboje są martwi, chociaż jeden tylko w połowie. – Uniósł lekko brwi. – Jeżeli królowa zacznie podejrzewać, że chcę jej przeszkodzić, zdradzić ją, czy wpłynąć na jej plany, zabije mnie i ręka jej nie zdrzży. Miłość byłaby dobrym argumentem – przyznał, wzruszając ramionami – w przypadku każdej innej kobiety. Keytari lubi brać. Taką ją kocham, takiej będę wierny. – Umilkł, a potem zaklął: – Kurwa. Miałem wypytać ciebie, a sam się rozgadałem. Starzeję się. Powiedz mi w takim razie: dlaczego ty?

– Zadaję sobie to samo pytanie – odrzekł matowym głosem SroAreth. *W Kraju Wschodzącego Słońca nazywają mnie najbardziej umiłowanym synem Pierzastego Węża. Gdzie jest twoja miłość, panie? Za co mnie kochałeś?*, zastanawiał się. *Moje*

*grzechy są ciężkie, tak ciężkie, że postąłeś tutaj, w ogień wojny, właśnie mnie. Chciałeś ocalić dusze niewinnych, prawda? Lepiej by moja skalata się do końca...*

– Czyli nie wiesz – podsumował Maghar, a kiedy kapłan postął mu ponure spojrzenie, uśmiechnął się uprzejmie i odszedł.

SroAreth domknął drzwi. Znów uklęknął na posadzce.

– Boże – wyszeptał. – Pierzasty Wężu. Przebacz mi. Daj mi siłę. Usuń tę skazę z mojego serca albo zabij mnie.

\*

Khale siedziała ze swoimi dziewczynami w stajni, której zamożny właściciel nie przeżył rzezi. Strzygi lubiły obecność i zapach koni. Zwierzęta parskały, obłoki pary buchały z ich nozdrzy. Kawalerzystki wniosły w przejście między boksami wielki stół, przy którym zasiadły do posiłku i gry w karty. Pojedyncza lampa rzucała na ich twarze żółty blask. Ciepłe placki z owsa, znacznie bardziej kaloryczne od rozdawanej wszystkim mieszczanom zupy, parowały na stole. Co prawda posiłek był skromny, jednak ze względu na widmo długiej zimy i ponownego głodu, Keytari rozkazała w dalszym ciągu racjonować zapasy.

– Tak się wyraziła? – spytała z powątpiewaniem Khale, rzucając na stół asa. – „Uprzejmie proszę, byś zechciała przybyć”?

– Ja się tak wyraziłem – sprostował stojący obok jej krzesła Maghar. – W obawie, że skrócisz mnie o łeb mieczem.

– Słowem, wstrętny z ciebie lizodup – stwierdziła Khale. Rzuciła kolejną kartę. – Dama, as i dziesiątka w natarciu przeciw twojemu asowi, siódemce i czwórce, Gamia.

Czarnowłosa kobieta zakłęła szpetnie i popchnęła ku niej niewielki stosik monet.

– Będę. Jasne, że będę – powiedziała Khale. – Siadaj z nami, lizaczu. Umiesz grać w wojnę?

– Każdy Kahrańczyk umie grać w wojnę – odrzekł Maghar.

– Zróbcie lizaczowi miejsce, dziewczyny. Zobaczymy, czy w kartach jest lepszy niż w mieczu.

– Wątpię – odrzekła Gamia. – Kto ma szczęście w miłości, zawsze zjebie w kartach.

– Ja wiem, czy to takie szczęście? – mruknęła Khale, gdy Maghar siadał. – Ja tam królową lubię, ale takich lizaczy to ona wpierdala na śniadanie. Pewnie cię bije, co? – zwróciła się do komendanta. – A nie, czekaj. To ty ją bijesz. Chyba, że ty ją po gębie, a ona ciebie po jajcach i nie widać.

Strzygi ryknęły śmiechem. Jedna Khale nie uśmiechnęła się, a błysnęła zębami w gniewnym grymasie.

Maghar pociągnął z talii pięć kart, wyjął z kieszeni garść miedziaków i zaczął układać przed sobą schludny stos.

– To, co robię z królową, oraz jak to z nią robię, to nie wasza sprawa – stwierdził.

Przyjrzał się uważnie polu bitwy. Kahrańska gra w wojnę była dość skomplikowana. Każdy gracz miał pięć kart i w każdym ruchu musiał wyłożyć na stół jedną. Gracze bronili ułożonych z monet stosów, kładąc przed nimi zakryte przed wzrokiem innych karty. Mogli także gromadzić na blacie armie złożone co najwyżej z trzech kart, a następnie atakować nimi wrogie trójki. Jeżeli jakiś stos został zdobyty, pieniądze trafiały do zwycięzcy, a pokonana armia wracała do talii.

– Gra jest dość zaawansowana. Pozwolę sobie pociągnąć trzy dodatkowe karty i położyć obronę.

– Ależ proszę – powiedziała Gamia.

Khale w milczeniu przyglądała się, jak Maghar pociąga kolejne karty, a później wybiera trzy, które kładzie jako obronę. Wyjęła zza paska nóż i zaczęła kroić kotleta. Inna kobieta podsunęła Magharowi kubek z napojem jabłecznym. Chętniej napiłby się wina, ale to też było całkiem niezłe.

– Powiedzcie mi, piękne panie, jak poznałyście naszą drogą królową? – zagadnął tonem niezobowiązującej pogawędki.

Strzygi ryknęły śmiechem, trącąc się nawzajem. Jedna walnęła Maghara w ramię. Miał dziwne wrażenie, że wyrwała mu rękę z barku, ale tylko zacisnął zęby. Khale rzuciła dziewczynom ponure spojrzenie. Zignorowały to.

– Rabowałyśmy jebane karawany – rzuciła Gamia – kiedy się zjawiała i zaproponowała nam dużo kutafonów do zabicia. Co nie, Khale?

– Mhm – odrzekła kobieta, po czym uderzyła zebraną właśnie armią na nędzny stosik Maghara.

Pograł z nimi najbliższą godzinę. Stracił trochę miedziaków, raz pokonał Khale, raz Gamię. Gdy wstawał od stołu, miał w kieszeniach więcej pieniędzy niż kiedy do niego siadał.

– Wybaczcie, piękne panie – rzucił. – Ale muszę jeszcze odwiedzić parę osób.

Zaczęły się głośne nalegania, by został, ale on tylko ukłonił się lekko i wyszedł ze stajni.

Nie przebył nawet trzech kroków, kiedy usłyszał trzask drzwi. Odwrócił się, odruchowo sięgając do rękojeści miecza. Za nim stała Khale, owinięta w zniszczony płaszcz. Wydęła usta. Na jej przyszczatej twarzy malowała się złość.

– Chciałam cię zabić, kiedy zobaczyłam, co jej zrobiłeś – wycedziła.

– Popeliłem błąd – przyznał Maghar.

– Powinna poderżnąć ci gardło, gdy tylko podniosłeś rękę – ciągnęła Khale. – Miłość to cholernie ciężka choroba. Wysysa z ludzi siłę. Czyni ich słabymi. – Skrzywiła wargi. – Myślałam, że Keytari o tym wie. Nie wiem, co z nią zrobisz, że tak łatwo zapomniała. – Przełknęła ślinę. – A może po prostu zawsze była słabsza niż mi się zdawało. – Umilkła. *Jest o wiele silniejsza niż ty czy ja*, pomyślał Maghar, ale nie przerywał ciszy. – Jak ją poznałam? To chcesz wiedzieć? Byłam na południu Kahru. Od lat napadałam razem z dziewczynami na kupieckie karawany. Gdy spotkałam Keytari, szła samotnie przez pustynię z pustą manierką. Dałam jej wody i udzieliłam schronienia, bo ledwie żyła. Powiedziała, że słyszała, jakoby Viseriya Shavok przebywał w okolicy i że ma dla niego ofertę współpracy. Tak po prostu, jakby to było najzwyklejsze w świecie: samotna piękność szukająca na pustyni słynącego z okrucieństwa banity. – Khale oparła się o ścianę stajni i skrzyżowała ramiona. *Stoi zupełnie jak ja, gdy rozmarwiałem ze SroArethem*. – Cholera, zaimponowała mi, więc zaoferowałam jej pomoc. Znalazłyśmy Czerwoną Żmiją. Keytari zdradziła mi, że służy Itonoce, że chce go uwolnić, że w zamian pomoże Viseriyi zdobyć tron Królestwa Ognia i zemścić się na Keroshach. Na nim chyba też zrobiła wrażenie, bo dogadali się. – Popatrzyła spode łba na Maghara. – Ostatnio zachowuje się strasznie dziwnie. Nic z tego nie rozumiem. Powiedz mi tylko jedno: czy ona wie, co robi?

– Tak – odrzekł natychmiast Maghar. Zawahał się na moment. – Ale jest jej ciężko.

Przez chwilę tylko na siebie patrzyli.

– Czy to ty zdobyłeś herb dla swojej rodziny? – spytała Khale.

Było to odwołanie do kahańskiego zwyczaju, zgodnie z którym tylko żołnierskie rody miały herby. Każdy, kto służył jako żołnierz, zdobywał dla rodziny herb – jeżeli przez następne trzy pokolenia nikt z jego krewnych nie wstąpił do wojska, godność przepadała.

– Nie – odpowiedział Maghar. – Mój ojciec był rotmistrzem we flocie.

– A matka?

– Służącą z Państwa Sinych Wzgórz.

– A moja kapłanką. Ojciec był kawalerzystą. Od siedmiu pokoleń wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie służyli w wojsku.

– Jak masz na nazwisko? – spytał Maghar, marszcząc brwi.

– Resnir. Herbu Biała Mewa.

– To rzeczywiście znany ród – stwierdził Maghar, nie kryjąc zaskoczenia. – Dlaczego...?

– Dlaczego rabowałam kupców, noszę wytarty płaszcz, pogiętą zbroję i mam na

ciele pełno blizn? – spytała gwałtownie. – Miałam zostać kapłanką. Ojciec jednak nie miał syna, o którym marzył, więc na mnie przelał wszystkie swoje aspiracje. Uczył mnie walki mieczem, konnej jazdy, nawet władania kopią. Kiedy skończyłam szesnaście lat, zamiast włożyć kapłańską szatę, chciałam wstąpić do wojska, do kawalerii. Już przy zapisywaniu na listy rekrutów, oficer powiedział, że mogę zostać co najwyżej łuczniczką. Wiesz, jak strzelam z łuku? Chujowo. A wiesz, dlaczego nie chcieli mnie nigdzie indziej?

– Ponieważ jesteś kobietą – powiedział cicho Maghar.

Kobiety służyły w kahrańskim wojsku jako łuczniczki. Zawsze tak było. Czasami przyjmowano je też do milicji, ale rzadko. Kawalerzystami, piechurami i marynarzami zostawali tylko mężczyźni.

– Wiesz, jak walczę – dodała Khale. – Widziałeś. Jestem warta więcej niż niejeden kawalerzysta w tym pieprzonym wojsku. Stwierdziłam, że pierdolę taki system. Uciekłam. Nie pozwolili mi zabijać wrogów Kahru, więc zabijałam niewinnych kupców. Ale Keytari dała mi szansę. Tylko, że widzisz... ona też jest kobietą. – Przygryzła wargę. – Być może jesteś w stanie zastraszyć ją fizycznie albo psychicznie. Być może, według jakiejś pokrętnej logiki kutasów twojego pokroju, masz nawet prawo karać ją, jak ci się żywnie podoba. – Zawiesiła głos. – Jeżeli będzie przez ciebie cierpieć, jeżeli pozbawisz ją siły, dopadnę cię i zabiję na miejscu.

Po czym odwróciła się i weszła z powrotem do stajni.

Maghar stał chwilę na mrozie. Do jego stopy podbiegł zmarznięty szczur. Komendant pochylił się, by wziąć go na rękę.

– Chodź, mały – mruknął. – Możesz podsłuchiwać spod płaszcza. Tam jest ciepłej.

\*

W lazarecie było w dalszym ciągu tak zimno, jak zapamiętał Maghar. Pojedyncze palenisko nie ogrzewało zbyt dobrze dużego pomieszczenia. Większość rannych opuściła już szpital, pozostało jednak kilku najpoważniej poturbowanych i gromadka osieroconych dzieci, które grzały się przy ogniu albo pomagały Luvikowi. Mag dowiedział już, że potrafi zarówno zabijać, jak i leczyć.

– Jak? – spytał na widok Maghara.

– Dobrze – odpowiedział ten, idąc przez opustoszałą salę do stołu, przy którym Luvik mył narzędzia. – Przysłała mnie królowa.

– Czego chce?

– O siedemnastej będzie narada. Królowa chce, żebyś na niej był.

Oczy Luvika zapłonęły.

– Niech SroAreth chodzi – poradził. – Ja pilnuję posiłki na placu.

– To rozkaz królowej.

– Ja lubię ją – przyznał Luvik. – Ale nie przyjdzie. Może mnie ukarać.

*Jeżeli zdoła*, mówił ton jego głosu.

– Ona cię potrzebuje.

Mag westchnął ciężko. Zaczął polerować szmatką nieprzyjemnie wyglądający nóż. Przygryzł język i przez chwilę wydawał się zupełnie zaabsorbowany robotą. Kiedy skończył, obrócił ostrze w palcach, przyglądając się świetlnym refleksom na gładkiej stali.

– Głodni potrzebują bardziej – stwierdził.

Popatrzył na Maghara żółtymi oczami.

– Przekażę jej twoje wyjaśnienia – powiedział sztywno komendant i opuścił szpital.

\*

Tanegar zarekwirowała dla swoich oddziałów prawie dwadzieścia opuszczonych domów. W izbie, którą wybrała na swoją samotnię, panował kompletny chaos. *Co jest z tymi kobietami?*, zastanawiał się rozpaczliwie Maghar. Baria była w stanie boczyć się na niego przez kilka godzin, jeśli zostawił brudne ubranie na podłodze w sypialni, na widok każdej plamki z furią w oczach rzucała się do szmat i szczotek, i potrafiła szorować jeden garnek przez kilka minut. Tymczasem te tutaj... Khale śmierdziała zawsze koniem i potem, Keytari wpychała w bagaże ubrania zmięte w bezkształtne kule, a Tanegar przekroczyła wszelkie granice. Na stole przed nią wały się ubrania, buty, brudne naczynia i połamane strzały, łóżko było skopane i zawalone bagażami, płaszcz wisiał krzywo na oparciu krzesła, a klamka dosłownie kleiła się od brudu. *Czym ona ją wysmarowała?*, zastanawiał się Maghar. Kiedy oberszter zaproponowała, by usiadł, grzecznie odmówił w obawie, że przyklei się do siedzenia.

– Ja tylko na chwilę – zapewnił.

Schowany pod jego płaszczem szczur zwęszył chyba gnijące na talerzach resztki jedzenia, bo włożył na ramię Maghara i zaczął szukać mniej pionowej drogi w dół niż plecy komendanta.

– O co chodzi? – spytała Tanegar, rozpierając się wygodnie na krześle.

– Dziś o siedemnastej odbędzie się narada. W ratuszu. Królowa życzy sobie pani obecności.

– Oczywiście, przyjdę – zapewniła oberszter. Na jej surowej twarzy o ostrych rysach, podkreślonych dodatkowo ciasnym kokiem, odmalowała się obawa. – Czy królowa ma w planach rychły wymarsz? Moi ludzie powinni odpocząć. Przybyliśmy aż z Podgrzybków, a pogoda średnio sprzyja marszom.

*Podgrzybki, pomyślał Maghar. Siedziba namiestniczki, stolica Państwa Sinych Wzgórz, nazywa się Podgrzybki. Matko, czyją krew mam w żyłach?*

– Nie wiem, co planuje królowa – odpowiedział.

Tanegar odchyliła się na krzesło i pociągnęła z kielicha łyk zimnej wody.

– Panie komendancie, dopóki jesteśmy sami... Czy to, co powiedziała mi królowa, jest prawdą? Może się mylę, ale Jego Wysokość Geshwank chyba nie był człowiekiem, który łatwo ulega porywom serca.

*Jesteśmy sami?* Maghar miał ochotę ryknąć śmiechem. Mały, skuteczny szpieg właśnie próbował dorwać się do talerzy pani oberszter. *Keytari pewnie siedzi teraz u siebie i zaśmiewa się w głos.*

– Podobno dla każdego mężczyzna została stworzona kobieta, do której zapala miłością tak wielką, że zapomni o wszystkim – zmyślił na poczekaniu. – Keytari z Rekki była kimś takim dla Jego Wysokości Geshwanka.

Szczur obrócił się na jego ramieniu i skubnął go w ucho. Było w tym geście tyle czułości, że Maghar prawie się zaczerwienił. Dobrze wiedział, że delikatny dotyk ząbków nie jest wiadomością od małego gryzonia.

– Dokumenty, pierścień... – Tanegar uśmiechnęła się. – To wszystko nic w porównaniu z pańskim słowem. Wiem, jak nienawidzi pan kłamstwa, komendancie.

*Niestety, bardziej niż nienawidzę kłamstwa, kocham królową.*

– Do zobaczenia o siedemnastej – powiedział cicho.

Oberszter skinęła głową.

– O siedemnastej – potwierdziła.

\*

Keytari właśnie brała kąpiel.

Ponieważ wciąż miał na ramieniu szczura, doskonale wiedziała, że stoi pod drzwiami, że jest zamyślony i że zapomni zapukać.

Wszedł do komnaty i zamarł. Keytari pólleżała w wielkiej, blaszanej balii. Woda ściekała po jej ciężkich, białych lokach. Pomieszczenie wypełniała para. Kotara w oknie była zaciągnięta, jedyne źródło światła stanowiło kilka świec ustawionych wokół balii.

– Przeszkadzam? – spytał komendant, gdy już odzyskał głos.

– Nie – odrzekła Keytari, uśmiechając się lekko. Przeciągnęła się kocim ruchem i oparła stopy o skraj balii. – Jak tam twój mały rekonesans?

– Dobrze wiesz – powiedział, zdejmując szczura z ramienia i kładąc go na podłodze.

– Pytam o twoje wrażenia.

Ściągnął płaszcz i rzucił go w kąt. Zaczął rozpinąć koszulę.

– Khale potwierdziła wierność. Wciąż nie wyjaśniłaś jej, jak to było z Geshwankiem?

– Podałam tylko oficjalną wersję, której ma się trzymać, bez zbędnych objaśnień.

Maghar stanął przed ściennym lustrem. Dotknął palcami świeżej blizny na brzuchu. Zaledwie kilka dni wcześniej Luvik zdjął mu szwy.

– Oberszter Tanegar jest z nami, jak długo wierzy w twoją bajeczkę. Ale martwi mnie SroAreth.

– Mnie również – zapewniła Keytari. – Swoją drogą, to chwytlive haselko, które wcisnęłaś pani oberszter, było słodkie.

Maghar sapnął z irytacją. Usiadł na łóżku, żeby rozwiązać buty.

– Musiałem coś wymyślić, żeby... no wiesz.

– Pewnie – mruknęła z czułym uśmiechem.

– Wróćmy do tematu. Co wiesz o SroArecie?

– Niewiele. Podobno to jeden z ulubionych mówców Pierzastego Węża i pierwszy od wieków smoczy jeździec. Cieszy się powszechnym szacunkiem. Moi mali szpiedzy go obserwują, jednak niewiele są w stanie przyuważyć. Mało śpi, a dużo się modli. Uważa się za wielkiego grzesznika, trudno stwierdzić, czy słusznie.

– No a Luvik? – Maghar uporał się z butami i teraz ściągał skarpety.

– Potraktował cię niegrzecznie i bardzo ci podpadł?

– Zignorował twój rozkaz.

Keytari milczała przez chwilę.

– Zmienił się – powiedziała wreszcie. – W Cesarstwie, skąd oboje pochodzimy, magów uważa się za zwyrodniałe potwory i zabija. Luvik przez całe życie uciekał przed prześladowaniami, ukrywał swoją tożsamość, drżał przed Bractwem Czarnych Ostrzy, które zajmuje się między innymi eksterminacją magów. – Przygryzła na chwilę wargi. – Był tchórzem. Swego czasu kradł, później wstąpił do najemnej kompanii, w której służyłam jako Kerin Zmiennoskóra. Pracował jako medyk. Nie przyznawał się, że jest magiem, ale wiedziałam o tym. – Zamyśliła się. – Ja, Orendir i Salva. – Zmarszczyła brwi. – Prawie już nie pamiętam ich twarzy.

– Co było dalej? – spytał Maghar, rozwiązując troki spodni.

– Cesarstwo i kraj Sarethanów toczyły wojnę. W słynnej bitwie pod Spławną, gdzie służyła też nasza kompania, powstrzymaliśmy Sarethanów i ocaliliśmy nasz kraj. W nagrodę Cesarz obdarował nas wszystkich złotem. Salva, który zabił wtedy smoka, dostał też spory majątek. – Oparła się o brzeg balii. – Służył w kompanii, ponieważ wypędzono go z rodzinnego miasta, a Bractwo Czarnych Ostrzy wydało na niego wyrok śmierci.



– On też był magiem? – spytał Maghar.

– Był członkiem Bractwa – odrzekła cicho Keytari. – W młodości, w pijackiej burdzie, zamordował jakiegoś nieszczęśnika. Uznano, że splamił honor tej organizacji. – Wydeła lekko wargi. – Po Spławnej został zrehabilitowany jako członek Bractwa i wysłany na Północny Płaskowyż, na dwór jednego z cesarskich synów. Przejął dowodzenie nad szermierzami Bractwa na tym terenie. – Wsunęła język między wargi. – Zabrał mnie ze sobą. Orendir chyba wrócił w rodzinne strony, a Luvik... Luvik rozsądnie zniknął. Widzisz, Salva znał jego tajemnicę i bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Przedtem nie wydał Luvika właściwie tylko dlatego, że usilnie go o to prosiłam, a odkąd „odzyskał honor”, jak to ładnie nazywał, mój wpływ na niego zmalął. – Milczała przez chwilę. – Nie wiem, co dalej z Luvikiem, ani jak dogadał się z Sarethanami.

Maghar stanął przed nią nagi.

– Tak naprawdę oboje jesteście wrogami Pierzastego Węża – powiedział cicho. – Ciekawe, że wybrał akurat was. Szacunek dla przeciwnika?

– Chyba tak – mruknęła Keytari. – Salvy nie miałyby szans namówić, zresztą... – Machnęła ręką. – Dostał tytuł, bo pod Spławną zabił smoka. Ja sprowadziłam posiłki, które wybiły armię Sarethanów. Gdyby nie one, przegralibyśmy, ale czy ktoś o tym pamiętał? Nie, wszyscy wychwalali Salvę Smokobójcę.

– I to was podzieliło?

– Co?

– Nie pieprzyłaś się z nim?

– Pieprzę to się z tobą – warknęła gniewnie, z pluskiem zanurzając nogi w wodzie. Podciągnęła się i usiadła prosto. – On był moim pierwszym kochankiem, miał też być ostatnim. Złamał mi serce.

Powiedziała to takim tonem, że prędzej uwierzyłby w jej opowieść o wielkiej miłości do Geshwanka.

– Zostawił cię? – zakpił.

Keytari uśmiechnęła się lekko.

– Tak naprawdę był skurwysynem, który za wszelką cenę chciał zachować godność i w tym celu organizował masowe rzezie, palił miasta i zdradziłby przyjaciela, którym był dla niego Luvik, gdyby ten w porę nie zwiął. Przyjemnie było przez jakiś czas pławić się w luksusach książęcego dworu, ale Salvą chciało mi się rzygać, więc pewnego dnia odeszłam. Ścigał mnie wszelkimi dostępnymi sposobami. W końcu byłam zmiennoskórą, więc mnie też mógłby zabić jako czarownicę, czy coś w tym stylu. Dlatego musiałam uciec z Cesarstwa – i tak trafiłam do Kahru.

– Myślałem, że musiałaś uciekać, bo zabiłaś własnego ojca.

Prychnęła, najwyraźniej rozdrażniona, że przyłapał ją na nieścistościach w zyciorysie.

– Miło, że chcesz pogadać – powiedziała. – Daj mi z łaski swojej fajkę.

Uśmiechnął się lekko.

– Dam ci coś lepszego – zapowiedział.

Wszedł do balii i spełnił obietnicę.

\*

Tym razem wszyscy obecni siedzieli – Keytari z fajką w zębach u szczytu stołu, Maghar po jej prawej stronie. Krzesło po lewej zajął wyciągnięty na poduszce Pies. Miejsce Luvika było puste – mag nie przyszedł, tak jak zapowiedział. SroAreth wydawał się z tego zadowolony.

Maghar spojrzał na Keytari, która ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową.

– Pierwszym tematem spotkania są nasze poczynania przez zimę. Musimy podjąć decyzję, co robimy – ogłosił. *Chociaż tak naprawdę decyzja została już podjęta godzinę temu, gdy skończyliśmy zabawy w balii i poruszyliśmy ten temat* – miał ochotę dodać. – Czy ktoś chciałby przedstawić swoje stanowisko w tej sprawie?

Zgłosili się SroAreth i oberszter Tanegar. Maghar zawahał się, niepewny, komu udzielić głosu w pierwszej kolejności. Wreszcie skinął głową Sarethanowi.

– Jestem tu między innymi jako przedstawiciel klanu Vaja i w jego imieniu będę teraz mówił – zaczął SroAreth. – Varmondczycy już teraz bardzo źle znoszą zimę. Nie są przyzwyczajeni do tak niskich temperatur. Brakuje paszy dla koni, którym zmarznięta trawa nie wystarcza. Tylko w tym tygodniu padło kilkanaście zwierząt. Ludzie jeszcze się trzymają, ale jeżeli teraz wyruszymy, oni też zaczną mrzeć. – Odchrząknął. – Jako Mówca Pierzastego Węża chciałbym też przypomnieć, że na wiosnę przybędzie tutaj armia z Kraju Wschodzącego Słońca. Będziemy dysponowali znacznie większymi siłami, co ułatwi ewentualne działania.

– Pani oberszter? – rzucił Maghar, gdy SroAreth umilkł.

– W zasadzie moje stanowisko jest podobne – stwierdziła Tanegar. – Moi ludzie są zmęczeni marszem. Warunki nie sprzyjają pochodom, a może być jeszcze gorzej. W Gnieździe możemy bronić się aż do odwilży. Wierzę, że pogoda powstrzyma też wojska Lekthry’ego.

– Pani Resnir – powiedział pospiesznie Maghar, widząc, że Khale otwiera usta.

Zaskoczenie powstrzymało ją od mówienia jeszcze przez ułamek sekundy, a potem wyrzuciła:

– Bronić się? Widziałam, jak skutecznie można się tu bronić, kiedy w przeciągu kilku godzin zdobyliśmy miasto, a ludzie Itonoki powywieszali żołnierzy na

główniej ulicy.

– To inna sytuacja – stwierdziła ostro Tanegar. – Lekthry nie dysponuje smokiem.

– A my nie dysponujemy bramą.

Maghar westchnął i pociągnął łyk wina. Obie kobiety zapomniały już o formalnościach. Wtrącanie się w ich pączkującą kłótnię nie miało sensu.

– Państwo Sinych Wzgórz to już teren należący do królowej – powiedziała wzburzona oberszter. – Wszystkie tutejsze wojska podlegają mi. W ostateczności możemy przenieść się do Podgrzybków.

– Nie wiadomo do końca, czy w Podgrzybkach nie czeka na królową oddział specjalny, organizujący zamach.

– Co to miało znaczyć? Nie pozwolę, żeby była plebejuszka...

Keytari nachyliła się do Maghara. Ślad uderzenia był widoczny na jej twarzy nawet pod warstwą pudru. Włosy, wciąż wilgotne, związała w bardzo ciasny warkocz. Włożyła czarną suknię, chociaż jako królowa powinna teoretycznie nosić biel.

– Skończ to – powiedziała cicho.

Skinął głową.

– Drogie panie! – ryknął.

Khale o mało nie poderwała się z krzesła. Chwyciła też kielich, jakby miała ochotę roztrzaskać go na głowie Maghara. Tanegar wypuściła ze świstem powietrze.

– Proszę o wybaczenie – wymamrotała.

– Przejdźmy do drugiej sprawy – powiedział Maghar.

– Zaraz – obruszyła się Tanegar. – A decyzja odnośnie pierwszej?

– Leży w gestii królowej, która poznała już stanowisko swojej Wysokiej Rady – odrzekł Maghar i ciągnął: – Nasi szpiedzy donoszą, że Królestwo Ognia planuje atak na Kahr wiosną tego roku, nie wiemy konkretnie kiedy. Musimy zastanowić się, jak odnieść się do tego wydarzenia.

Podniósł się harmider. Tanegar opadła na krzesło i bladymi wargami wyszeptała:

– Szpiedzy?

Khale walnęła w stół kielichem, rozchlapując wino.

– Niech wyrzną się nawzajem! – ryknęła.

– Nie powinniśmy wtrącać się w ten konflikt – dowodził znacznie spokojniej SroAreth. – Należy za wszelką cenę uniknąć niepotrzebnego zwiększenia liczby ofiar...

– Nie! – zawołała Tanegar. – Jesteśmy Kahrańcykami, nie możemy zostawić

naszych.

– Słudzy Lekthry’ego to wrogowie – zauważyła Khale.

– Trzeba zapomnieć o niesnaskach – oznajmiła Tanegar. – I przede wszystkim trzeba ostrzec Kahr, wysłać kurierów...

– To nie jest nasza wojna! – stwierdził SroAreth.

– Nie będziemy wykrwawiać sił w walce o bezpieczeństwo uzurpatora! – Khale wrzeszczała tak głośno, że zdarła sobie gardło.

Tanegar wstała.

– Jestem Kahranką! Żołnierzem! Nie pozwolę tym sukinsynom z zachodu zniszczyć własnego kraju!

– Twoje dwa tysiące ludzi gównu pomoże! – Khale wściekle roztrzaskała kielich u swoich stóp. – To dla nas okazja!

– Ktoś taki, jak ty, nigdy tego nie zrozumie!

– Pani oberszter, pani Resnir ma rację, nawet jeżeli ujmuje to w zbyt dosadny... – SroAreth uporczywie próbował zachować spokój.

Maghar nie musiał nawet patrzeć na Keytari. Nie miał laski marszałka, która bywała w takich przypadkach niezwykle pomocna, więc po prostu wyjął z buta nóż i z rozmachem wbił go w stół.

Wszyscy spojrzeli na niego. Khale dyszała ciężko. Tanegar, purpurowa na twarzy, z włosami, które uciekły z ciasnego koka, nie przypominała samej siebie. SroAreth westchnął i potarł sześciopalczystą dłońią czoło.

– Raz jeszcze proszę o spokój i porządek – wycodził Maghar. – Uprzejmie proszę o zajęcie miejsc.

Obie kobiety, wciąż łypiąc po sobie gniewnie, usiadły.

– Czy ktoś chciałby zgłosić jakąś sprawę do omówienia? – spytał Maghar.

SroAreth chciał, a gdy udzielono mu głosu, powiedział:

– Chciałbym wesprzeć mieszkańców Gniazda w odbudowie miasta, oczywiście, o ile tutaj zostaniemy. Wielu w dalszym ciągu mieszka w tymczasowych przytułkach i nie ma dachu nad głową. Chciałem też wznieść na miejscu dawnej świątyni Reklana kaplicę Pierzastego Węża.

– Myślisz, że przetrwa? – prychnęła Khale.

– Wierzę, że mój trud codziennego głoszenia kazań przyniósł skutek i przynajmniej część mieszkańców Gniazda to wierni słudzy mojego boga – potwierdził SroAreth.

Khale tylko prychnęła. Sarethan wbijał bursztynowe oczy prosto w Keytari. Maghar też na nią spojrział.

Skinęła powoli głową.

– Możesz zacząć odbudowywać miasto – potwierdziła. – Pod warunkiem, że zaczniesz od bramy. To ważne, aby Skalni nam zaufali.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział SroAreth, wyraźnie zaskoczony pozytywną odpowiedzią.

– To znaczy, że jednak zostajemy? – spytała Khale.

– Tak – potwierdziła Keytari.

– A co z wojną? – dociekała Tanegar.

– Muszę jeszcze rozważyć tę sprawę – powiedziała Keytari, patrząc na oberszter.

– Trzeba przynajmniej wysłać kuriera, Wasza Wysokość.

– Przedstawiła już pani swoje zdanie, pani oberszter – stwierdziła Keytari. – Jeżeli zechcę, by wysłała pani kuriera, z pewnością przekażę pani taki rozkaz.

– Czy wie Wasza Wysokość, że jak na osobę z Rekki, przybyłą niedawno do naszego kraju, świetnie mówi Wasza Wysokość po kahrańsku? – spytała.

Khale fuknęła jak wściekła kotka i sięgnęła do miecza.

– Jak śmiesz zadawać królowej takie pytania? – warknęła.

– Spokojnie, Khale – powiedział cicho Maghar.

Popatrzyła na niego wściekle, ale napotkała wzrok Keytari. Rozluźniła chwyt na rękojeści broni.

– Ojciec dbał o moją edukację. Uczyłam się języków od szóstego roku życia, a po poznaniu Jego Wysokości Geshwanka ćwiczyłam kahrański bardzo intensywnie, by wyzbyć się obcego akcentu – powiedziała królowa.

Tanegar wydeła wargi i pokiwała głową.

– Przepraszam Waszą Wysokość za to obcesowe pytanie.

Keytari wstała. Wszyscy inni również poderwali się z miejsc. Szczurza Pani podniosła na ręce rozspanego Psa i wyszła z sali. Maghar podążył za nią jak cień.

#### IV

Woda z rzeki systemem koryt płynęła do ogromnego koła, napędzanego energią jej spadku. Poruszało ono wielkie miechy, znajdujące się we wnętrzu Domu Żywych Trupów, niezbędne do uzyskania odpowiedniej temperatury w hutniczych piecach. To dzięki nim kolejne transporty rudy przetapiano na płynną masę. Dawniej, gdy używano prymitywnych dymarek, stopiony metal był gęsty, co nie pozwalało na otrzymywanie dobrych stopów stali. Tych zaś potrzeba było do produkcji broni palnej.

*I tak wszystko bierze swój początek od rzeki,* pomyślał filozoficznie Kąsek. Czuł się słabo. Królestwo Ognia szykowało się do wojny i dla niego oraz innych trędowatych nie było ostatnio ani sekundy wytchnienia. W wielkim pomieszczeniu, ogrzanym buchającym z pieców żarem, wśród smrodu metalu oraz gnijących ciał,

wytapiano, składano i sprawdzano setki sztuk broni oraz tysiące kul. *Wszystko to w imię obietnicy godnej śmierci, gdy nadejdzie już kres naszej męki*, myślał Kąsek. Miał lekką robotę, do której skierowano go, gdy odgniła mu część palców. Obandażowanymi, owiniętymi w szmaty dłońmi unosił gotowe sztuki broni i sprawdzał ich ciężar oraz wyważenie. Znał się na tym. Był w Domu Żywych Trupów od dawna, odkąd jego ciało stało się białe, ale jeszcze nie całkiem przegniłe, wolne od ran i wrzodów. Widział śmierć wielu towarzyszy, którzy padali z wycieńczenia lub nie mogli już pracować i samotnie dogorywali w umieralni. Nie czuli bólu. Wbrew temu, co wydawało się zdrowym, trąd nie był bolesny, przynajmniej nie dla ciała. *Cuchnący, poniżający, straszny*, myślał Kąsek, unosząc do ramienia kolejny karabin. *Ból byłby lepszy*. Ale jego ciało nie czuło. Właściwie wydawało się niemal obce. Czasami oglądał własne zniekształcone dłonie i zastanawiał się, jak to możliwe, że ta ohydna powłoka to tak naprawdę on.

Przez ostatnie dwa tygodnie żył w marazmie. Było mu już wszystko jedno. Przedtem ożywiła go obietnica, złożona przez kobietę piękną niczym bogini. *Wróć tu przed końcem roku i podaruję wam wolność* – powiedziała. Trędowaci uwierzyli. W końcu zapłata była sowita – trzysta sztuk broni nie chodzi piechotą. A wizja odzyskania wolności, oderwania się od morderczej pracy, wyjścia na świat zewnętrzny jako człowiek, a nie groźna istota, którą trzeba jak najszybciej zamknąć w Domu Żywych Trupów? Dla Kąska stanowiła szczyt marzeń. Żałował, że kiedykolwiek postawił stopę w Królestwie Ognia. W innych krajach wypędzano go z miast, zmuszano do noszenia kołatek, ścigano jak zwierzę, ale przynajmniej mógł pójść, dokąd chciał. Tutaj był uwięziony w sali produkcji, izbie sypialnej i łaźni, a świat zewnętrzny oglądał tylko przez małe, zakratowane okienka. *Gównu, nie obietnica*, pomyślał, biorąc kolejny karabin z rąk beznogiego mężczyzny przezwiskiem Kulas, którego jedynym zadaniem było podawanie kolejnych sztuk broni z rąk ostatniego ze składających do Kąska. Nadzieja pokładana w tamtej kobiecie okazała się tak samo fałszywa, jak każda inna. Harówka, a później umieralnia i mogiła – to wszystko, na co mógł liczyć. Żywym trupom nie wolno śnić o wolności.

\*

Strażnikami w Domu Żywych Trupów byli dawni więźniowie, skazani na karę śmierci lub dożywocia, którym dano wybór – pilnowanie trędowatych albo szafot lub cela. Wielu wybierało szybką śmierć, uznając ją za lepszą, chociaż równie pewną, jak powolne konanie od trądu. Niektórzy jednak przybywali tutaj i albo dożywali swoich dni jako zarządcy, albo jako trędowaci.

*Podobno bogowie zsyłają trąd na grzesznych*, przypomniał sobie Kąsek, gdy dźwięk

mosiężnego dzwonka oznajmił wyrobienie normy i koniec dnia pracy. *Widocznie bogowie bardziej szanują gwałcicieli niż ulicznych filozofów, takich jak ja.*

– Ruszać się! – wrzeszczał wielki, łysy strażnik z pryszczatą gębą. – Żywo, wy truchła!

Ależ błyskotliwy żart, pomyślał z pogardą Kąsek. Był zeszywniały i senny. Nowy król nakazał Domowi zwiększyć dzienną normę i od tygodnia zwalniano ich z pracy dopiero po północy. Za późno, żeby wypocząć, za wcześnie, żeby omdleć z wyczerpania – mówili trędowaci. Kąsek miał nadzieję, że przyzwyczai się kiedyś do pięciu godzin snu albo w porę zdąży umrzeć.

Tłum znużonych chorych wspinał się na strome stopnie. Takich jak Kulas, pozbawionych nóg, trzeba było wnosić. Później cała ta skłębiona masa przechodziła korytarzem do pomieszczenia, gdzie zrzucano z grzbietów parciane koszule i luźne spodnie. Strażnicy otwierali dwuskrzydłowe drzwi, a trędowaci wchodzili do łaźni – ogromnego, szarego pomieszczenia z płytkim basenikiem pośrodku. Kobiety, mężczyźni i dzieci, wszyscy ubrani jedynie w bandaże osłaniające najpaskudniejsze rany, ostrzyżeni dla ochrony przed wszami, brodzili po kolana w zimnej wodzie. Przez kwadrans mogli się ochlapywać, zmywać z ciał pot, chłodzić oparzenia i przemywać rany. Później wypędzano ich z baseniku, w którym nie było już wody, tylko gęsta od brudu kałuża. W kolejnym pomieszczeniu dostawali czyste ubrania, zwykle za duże lub za małe, i przechodzili do izby sypialnej. Spod sienników wyciągali brudne blaszane talerze, łyżki oraz kubki. Każdy siedział na swoim pościu i czekał, aż nadejdzie strażnik, pchający wózek z wielkim kotłem.

Dzisiaj zaserwowano trzy chochle kaszy z masłem oraz po kubku zupy z marchwi. *Za mało, żeby żyć, za dużo, żeby zdechnąć od razu,* pomyślał ponuro Kąsek i zabrał się za pożeranie swojej porcji. Zjadł, krztusząc się. Wylizał talerz, wyskrobał łyżką resztki zupy z dna kubka. Odstawił naczynia obok siennika, położył się i okrył kocem. Wkrótce usłyszał krzyki strażników:

– Kończyć jedzenie! Cisza!

Pogaszono lampy i zapadła ciemność. Rozmowy umilkły. Szeleściły koce. Ktoś już pochrapywał.

\*

Przez chwilę Kąsek sądził, że się obudził. Byłoby to dziwne. Strażnicy pozwalali mu na niewiele snu, więc zawsze szybko zasypiał i budził go dopiero poranny dzwonek. Teraz wokół panowały nieprzeniknione ciemności nocy, strażników nie było, a trędowaci pochrapywali na swoich siennikach.

– Powiedz mi, czy chciałbyś odzyskać wolność? – rozległ się w ciemności chrapliwy, ziemisty głos.

– Tak – odpowiedział niepewnie Kąsek.

– Ile jesteś w stanie poświęcić, by osiągnąć swój cel?

Trędowaty poczuł, że drży. Zacisnął palce na krawędzi koca.

– O co chodzi... konkretnie? – jęknął.

Rozległ się cichy syk i w ciemności zapłonęła zapałka. W jej blasku Kąsek zobaczył siedzącego w nogach siennika mężczyznę, odzianego w strój z czarnych piór, z bladą skórą i twarzą poznaczoną plamami zgnilizny. W oczodoły miał wprawione dwie bryłki złota. Odpalił fajkę i gwałtownie pomachał ręką, by zgasić zapałkę. Znowu zapadła ciemność. Aromat tytoniu rozniósł się po pomieszczeniu.

– Powiem wprost – ciągnął chrapliwym głosem. – Wiem, że wchodziłeś w układy ze Szczurzą Panią i że okłamała cię, tak samo jak wielu innych. Chciała zabrać stąd broń i już się nie pojawić. Na szczęście nie zdążyła. – Zrobił krótką pauzę, pewnie żeby zaciągnąć się dymem. Kąsek nie był pewien. Leżał na sienniku dosłownie sparaliżowany strachem i wbijał spojrzenie w ciemność. *Tak czuje się człowiek, który staje oko w oko ze śmiercią.* Zawsze sądził, że jako chory zna to uczucie. Teraz wiedział, jak bardzo się mylił. – Ja mam lepszą propozycję. Uwolnię was stąd. Weźmiecie broń, którą sami stworzyliście, na grzbiety. Ruszymy na południe. Po drodze wielu z was padnie. Ci, którzy wytrwają, będą wolnymi ludźmi. Zapewnię wam ochronę. Jak długo będziecie pod moją komendą, nikt nie śmie was przeganiać z miejsca na miejsce, podnieść na was ręki ani zagnać z powrotem do Domu. – Umilkł na chwilę. – Odwiedziłem sny wszystkich trędowatych na tej sali. Znacie moją propozycję i macie czas do jutra, by ją przemyśleć. Zjawię się o zachodzie słońca. Ci, którzy zechcą, pójdą ze mną. Pozostali utkną tu na resztę życia.

\*

Kąsek nie opowiedział nikomu, co przytrafiło się w nocy. Jeżeli człowiek w płaszczu z czarnych piór istniał naprawdę, wszyscy przeżyli to samo. Natomiast jeśli był to sen Kąska, obraz resztek nadziei, które skrywały się głęboko w jego sercu, to chciał zachować go dla siebie. *Moja ostatnia szansa*, myślał z ironią. *Ostatni dzień rozpaczliwego wyczekiwania, zanim na zawsze porzucę wszelką nadzieję.*

Znowu unosił do ramienia karabiny, sztuka po sztuce. W ciemnej hali śmierdziało zgnilizną, potem i topionym metalem. Z pieców buchał żar. Atmosfera wydawała się Kąskowi nerwowa.

Brakowało mu punktów odniesienia. Nie wiedział, jak mierzyć upływający czas. W sali nie było okien ani zegara. *Długo jeszcze?*, zastanawiał się.

– Strasznie się dzisiaj dłuży, prawda? – spytał Kulas. Kąsek przytaknął. *Czy on*



też...? Nie wiedział. *Może to tylko niewinne pytanie? Bogowie, nigdy was nie ma, gdy potrzebuję podpowiedzi.*

Zatopiony we własnych rozmyślaniach, nie zauważył, kiedy otwarły się drzwi do łaźni. Dopiero okrzyki innych sprawiły, że Kąsek się odwrócił.

To był on. Przybrany w płaszcz z czarnych piór, z twarzą ukrytą w cieniu kaptura. W jednej ręce trzymał okrwawiony miecz. W drugiej głowę Syna Ognia o ciemnej twarzy, przeciętej charakterystycznym wzorem, połyskującym w bijącym z pieców świetle pomarańczem i czerwienią.

– Co do cholery? – jęknął przyszczaty strażnik, sięgając do noża, który nosił za pasem.

W porównaniu z półtoraręcznym mieczem mężczyzny w czerni ta broń wydawała się śmieszna.

Człowiek-kruk rzucił głowę w dół schodów.

– To łeb żołnierza, który pilnował waszej zagrody, niewolnicy – powiedział w czystym kahrańskim, nieco innym od narzecza Królestwa. – Przyniosłem wam wolność, tak jak obiecałem.

*Nareszcie, pomyślał Kąsek.*

Strażnicy rzucili się na człowieka-kruka. Ten krzyknął jak ptak i skoczył im naprzeciw. Ruchy jego broni były oszczędne oraz precyzyjne, z każdym uderzeniem ostrze zdobyły świeże plamy krwi.

Kulas wcisnął w ręce Kąska karabin. Trędowaci produkujący bagnety chwytali za broń i atakowali strażników, obłapiając ich, dźgając i wyjąc potępieńczo. Kąsek dojrzał przyszczatego strażnika uciekającego wzdłuż ściany w kierunku pieców. *Pewnie chce się schować,* pomyślał i nogi same poniosły go w tamtym kierunku. Obrócił w rękach bezużyteczny karabin, chwytając za lufę. Pobiegł, utykając. Strażnik dostrzegł go i przyspieszył.

– Nie! – wrzasnął. – Zostaw mnie, ty cholerny zewłoku!

Kąsek już go doścignął. Wziął zamach i uderzył kolbą w czaszkę mężczyzny. Strażnik przewrócił się. Kąsek tłukł go dalej, waląc w głowę, kark i plecy. Każdemu uderzeniu towarzyszyły jęki.

Inni trędowaci nadbiegli Kąskowi z pomocą. Jeden niósł karabin. Przyłożył lufę do karku powalonego strażnika i nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk i krew bryzgnęła z rozerwanej pociskiem szyi strażnika na posadzkę.

Kąsek rozejrzał się, dysząc ciężko. Człowiek-kruk stał na zalanych krwią schodach wśród trupów.

\*

Poszedł. Za długo czekał na ten dzień, by zrezygnować z takiej szansy.

– Na południu stacjonuje człowiek, który zamierza walczyć o tron Królestwa Ognia – ogłosił człowiek-kruk jeszcze w pełnej trupów sali, stojąc na najwyższym stopniu schodów. – Ruszam do niego i otoczę ochroną każdego, kto zechce mi towarzyszyć. Pozostali niech uczynią, co chcą.

Zabrali broń i amunicję z magazynu, który mieścił się obok Domu na ogrodzonym terenie. Dotąd strzegli go żołnierze, teraz ich bezgłowe ciała wisiały na palisadzie. Nad drewnianą bramą zatknięto chorągiew z czerwonym węzem na żółtym tle.

Szli na południe, do źródeł Wielkiej Rzeki. Każdy niósł na grzbiecie karabin i trochę zapasów. „Marsz trupów prowadzony przez innego trupa” – szeptali niektórzy. Tak naprawdę nikt nie wiedział, kim jest człowiek-kruk. Rozmawiali o tym wieczorami, siedząc przy ogniskach.

– To jeden z nas – twierdzili niektórzy.

– To któryś z bogów – upierali się inni.

Jeden jedyny raz trędowaty – ten młodzieniec, który zastrzelił przyszatego strażnika – rzucił:

– On jest martwy.

– Martwi zwykle nie chodzą wśród żywych – stwierdziła kobieta z długimi, zniszczonymi włosami i przegniłym nosem.

– Cuchnie grobem – zauważył młodzieniec. – Ma na twarzy trupie plamy i kamienie zamiast oczu. Tam, skąd pochodzę, żyją wiedźmy. Niektóre umieją przywracać zmarłych do życia. To jeden z nich. Wiem, co mówię.

Później Kąsek zaczął zastanawiać się nad implikacjami słów młodego. Jeżeli człowiek-kruk rzeczywiście był żywym trupem wskrzeszonym przez wiedźmę, musiała mieć w tym jakiś cel. Nigdy nie słyszał, by w Królestwie Ognia żyły wiedźmy. *Abstrahując od jej zamiarów, to rodzi wiele innych problemów. Czy ożywiony trup jest w ogóle człowiekiem? Jeśli nie, to czym? Czy posiada duszę? Czy jego istnienie nie obraża bogów?*

Zaprzątnięty tymi pytaniami, czuł się prawie jak za starych, dobrych lat, kiedy mógł do woli filozofować na rogach ulic i w podejrzanych spelunach. *Gdyby nie zagnało mnie wtedy między trędowatych...*

Ale nie było nad czym płakać. Odzyskał wolność. Miał pomagać jakiemuś człowiekowi w boju. Jeżeli zginie w czasie walk, będzie to śmierć z bronią w rękę. Jeżeli nie, to – kto wie – może otrzyma jakąś skromną nagrodę?

Od dawna nie czuł się równie szczęśliwy.

\*

Szli przez tydzień. Marsz z każdym dniem stawał się trudniejszy. Osłabieni

chorobą, wygłodzeni ludzie szybko tracili resztki sił, a teren wznosił się stopniowo, lecz nieubłagane. W dodatku ścisnęły zimowe mrozy. Na postojach trędowaci tłoczyli się przy ogniskach. Codziennie dobijali tych, którzy padli w drodze i nie mogli wstać. Każdego poranka znajdowali zamrożone ciała. Ocalałe palce Kąska odmarzły i obumarły.

W końcu pewnego wieczora, już na Górzystym Pograniczu, gdy wlekli się przez pagórki jak prawdziwe trupy, ujrzeli w dolinie łunę ognisk oraz dym bijący do rozgwieżdżonego nieba. Rozległy się radosne okrzyki.

A później strzały.

Przez chwilę nikt nie rozumiał, co się dzieje. Trafieni trędowaci bezwładnie padali na ziemię. Z prawie stu pięćdziesięciu została ich ledwie setka, zanim młody krzyknął:

– Strzelają! Okrąg! Walimy!

Człowiek-kruk przepadł wśród zaśnieżonych wzgórz jak senna mara. Trędowaci utworzyli nieregularny krąg. Nabijali niezdarnie broń. Kąsek z drzeniem odgryzał papier z pocisku, wsypywał proch na panewkę, wciskał kulę w lufę. Uniósł broń do ramienia. Widział ciemne sylwetki wrogów, którzy otoczyli ich ze wszystkich stron.

– Już!

Salwa trędowatych była niecelna i chaotyczna. Kąsek sięgnął po kolejny pocisk.

– Bogowie... – jęczał, nie mogąc przypomnieć sobie żadnej modlitwy. – Bogowie, błagam... ulitujcie się nade mną cho...

Wtedy dosięgła go kula. Krew, odłamki kości i kawałki mózgu bryzgnęły fontanną z jego głowy.

\*

Viseriya Shavok powitał Rivę uśmiechem. Siedział przy ognisku, z butelką wina w ręce i cygarem w zębach. Po drugiej stronie płomieni usadowił się w kucki Kil-Laram jedzący kaszę z drewnianej miski.

Ludzie Viseriyi przeszli przez obóz, dźwigając broń wyrwaną ze sztywnych rąk trędowatych.

– Riva, kochanie moje! – zawołał Czerwona Żmija. – Macie, co trzeba?

– Mamy – potwierdziła ponuro kobieta, stając przed nim.

– A nasz drogi sojusznik?

Kruk wyszedł zza pleców Rivy i stanął obok niej. Viseriya drgnął lekko. Noc była jasna, obóz rozświetlony blaskiem ognia, a mimo to nie zauważył mężczyzny w płaszczu z piór, dopóki ten się nie poruszył. Nie podobało mu się tu. Nie lubił się bać, a ten cholerny truposz sprawiał, że serce podchodziło mu do gardła.

– Mam sto pięćdziesiąt dwa karabiny – powiedział Kruk. – Więcej w magazynie

nie było.

– To i tak cholernie dużo – stwierdził Viseriya. – Uzbroimy więcej niż połowę ludzi tego tu. – Wskazał Kil-Larama.

Na czarnej twarzy Varmondczyka pojawił się uśmiech. Chwycił w palce trochę miękkiej, rozgotowanej kaszy i wsadził do ust.

– Siadaj – polecił Viseriya. – Chcę jeszcze raz wszystko omówić. Riva, wiesz co zrobić z bronią.

Riva skinęła i odeszła do swoich ludzi. Kruk siadał sztywno, jakby zamiast ścięgien miał kawałki drewna. Powiało trupim odorem. W blasku ognia jego twarz wyglądała jeszcze ohydniej niż zwykle. Kil-Laram patrzył na ożywieńca z odrazą i nienawiścią.

– Mam informacje od mojej pani – powiedział cicho Kruk. – Ostatni Kerosh planuje uderzyć na Kahr jak najszybciej, zanim opanują wewnętrzny chaos. Poczekaj do pierwszych roztopów, nie dłużej.

– Czyli skurwiel zapewne wymaszeruje w połowie pierwszego miesiąca odwilży.

– Zapewne. Jeżeli do tego czasu nie zdradzimy swojej obecności na Górzystym Pograniczu...

– Nie zdradzimy – zapewnił Viseriya. – Grasowałem tu z moją bandą długo i jebani Keroshowie nauczyli się już, że nie warto wysyłać tu patroli. Żadnych traktów. Żadnych pierdolonych stanic. Górzyste Pogranicze to luka w linii obrony Królestwa.

– Tak czy inaczej – ciągnął niewzruszony Kruk – moja pani zdołała już zdobyć zaufanie młodego króla. Jest potężną kobietą. Jestem pewien, że Kerosh zostawi miasto w jej rękach.

– Garnizon będzie słaby. Ale czy wystarczająco...?

– Może pół tysiąca żołnierzy.

– Mamy tyle samo, ale oni będą, kurwa, w środku, a my na zewnątrz.

– W środku będzie też moja pani – odrzekł Kruk, uśmiechając się lekko. – Rozkaże otworzyć przed tobą bramy jako przed posiłkami przybyłymi do obrony miasta.

Przy sąsiednim ognisku grupa pijanych Varmondczyków ryknęła śmiechem. Kruk obrócił głowę, żeby na nich spojrzeć. *O ile w ogóle można to tak ująć*, uznał Viseriya. *Czy można patrzeć kamieniami?* Wiedział, że Kruk nie jest ślepy, chociaż nie rozumiał, jak to możliwe.

– Kiedy znajdę się już w zamku, pójdzie łatwo – stwierdził. – Ogłoszę się królem. Podczas gdy Kerosh będzie napierdalał się z Kahrańczykami, ja zajmę się umacnianiem władzy. Skurwysyn nie będzie miał dokąd wrócić, chyba że do grobu.

– Pamiętaj o naszej umowie – powiedział matowym głosem Kruk.

– Jasne jak kurwa. – Viseriya machnął ręką z cygarem. – Twoja pani zostanie moją żoną i królową, urodzi mi zajebiste bachory, które będziesz niańczył i w ogóle wszyscy będziemy szczęśliwi, że ja pierdołę. Teraz już odejdz i zajmij się tym, co robią zwykle żywe trupy, dobra? Niedobrze mi od twojego smrodu.

Kruk skinął głową i wstał, po czym oddalił się w noc.

Viseriya wiedział, że to niemożliwe, mógłby jednak przysiąc, że po trzech krokach umarłak zniknął.

\*

Tego samego wieczoru jego namiot odwiedziła Riva. Lizała ją, pieścił i rznął wśród futer i koców zaścielających jego posłanie. Jęczała i krzyczała z rozkoszy. Zawsze głośno przeżywała seks. Viseriya ją za to uwielbiał.

Kiedy skończyli, zapalił cygaro i położył się na wznak. Riva okryła ich niedźwiedzim futrem. Z cichym westchnieniem oparła głowę na gładkiej piersi Czerwonej Żmii. Viseriya głaskał jej włosy i wspominał dzień, w którym spotkali się po raz pierwszy. Miała szesnaście lat. Pałętała się po Górzystym Pograniczu wygłodniała, brudna, w podartym i znoszonym ubraniu. On dopiero od dwóch lat prowadził życie banity i zaczynał zbierać stronników.

– Co tu robisz, mała? – spytał Rive, która klęczała nad błotnistą kałużą, pijąc wodę.

Uniosła na niego wielkie, zapadłe oczy zaszczutego zwierzątka.

– Kim jesteś? – warknęła.

– Przyjaciele mówią na mnie „Czerwona Żmija” – odrzekł. – Zabijam sukinsynów, którzy służą królowi.

– Zabijasz żołnierzy?

– Ich też. Chcesz iść ze mną? Przyda mi się jakaś dupa w kompanii.

Wstała z klęczek. Wyjęła zza paska groźnie wyglądający nóż.

– Nie będę twoją dupą – oznajmiła. – Chcę zabijać tych skurwieli.

Minęło pół roku, w czasie którego Riva okazała się wartościowym nabytkiem. Po tych sześciu miesiącach jej wartość zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy pewnej nocy przysłała do Viseriyi i oddała mu swoje dziewictwo. Dopiero wtedy opowiedziała, skąd wzięła się na Pograniczu.

Gdy miała czternaście lat, do jej małej wsi przybyli żołnierze – może trzydziestu uciekających z jakiegoś pola bitwy skurwysynów, którzy w majestacie prawa rekwirowali chłopom konie, wódkę i zapasy. Oraz, rzecz jasna, córki. Zgwałcili bliźniaczkę Rivy. Jeden także i ją zaciągnął do szopy. Na jego nieszczęście zabrała z kuchni nóż do krojenia mięsa. Poderżnęła swojemu amantowi gardło, gdy

rozwiązywał spodnie, żeby się do niej dobrać, a później uciekła z wioski. Wróciła po dwóch miesiącach, by odkryć, że jeden z tamtych wojskowych zrzucił mundur i został mężem jej siostry. W rodzinnej wsi nie czuła się już dobrze, gdzie indziej spoglądano niechętnie na przybłędę o niejasnej przeszłości. Włóczyła się od sioła do sioła, kradła kury, polowała, ale naprawdę szczęśliwa zaczęła być dopiero, gdy połączyła siły z Viseriya.

Teraz, chociaż powinna czuć się równie zaspokojona jak on, wierciła się nerwowo. Przewróciła się na brzuch, oparła na łokciach i spojrzała Viseriyi w oczy.

– Shavok? – szepnęła. – Ufasz Krukowi?

– W jakim sensie? – spytał.

– No... ten układ z jego panią jest podejrzany – wyjaśniła. – To wiedźma.

– Wiem, kim on jest i komu służy.

– Wiesz też, że Kerosh Rekhe była ich córką. A ty ją zabiłeś.

– Krazer ją zapierdolił – sprostował Viseriya.

– Z twojego rozkazu.

Wydymuchał jej w twarz tytoniowy dym.

– Do czego zmierzasz? – spytał.

– Chodzi mi o to, Shavok, że ta kobieta nie ma żadnego powodu, by nam pomagać.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Ależ ma – zapewnił. W jego oczach pojawił się błysk. – Tron.

Riva pokręciła gwałtownie głową.

– Ona jest matką, która straciła dziecko – powiedziała z naciskiem. – Kobiety nie działają w ten sposób, Shavok.

– Cicho, maleńka – rzucił łagodnie. – Ludzie robili gorsze rzeczy, niż mordowanie własnych dzieci, aby zdobyć władzę.

– Myślisz, że śmierć tej Rekhe była jej na rękę? – zdumiała się Riva.

Viseriya pokiwał głową.

– Tak myślę – potwierdził. – Pewnie uwiodłaby Kerosha Kareya, ale nie wypada mu ożenić się z matką zmarłej królowej, więc z braku opcji wybrała mnie. Cicho! – dodał, gdy Riva otworzyła usta. – Mi również wydaje się to nierzeczywiste. Tron na wyciągnięcie ręki, Kahr osłabiony, zemsta pełna i kompletna... – Westchnął ciężko. W jego głosie brzmiało podniecenie. – Będziemy ostrożni, kurewsko ostrożni, to ci obiecuję. – Uśmiechnął się. – Może ty jesteś zazdrosna?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie.

– Akurat. – Viseriya znów się zaciągnął. Pozwolił, by wałek popiołu z końca cygara spadł na posłanie. – Nie martw się. Gdy tylko zostanę królem, odstrzeżę

kurwie ten jej szpetny łeb.

\*

Kruk siedział na czubku łysego, powykręcane go wiatrem drzewa. Cienka gałąź kołysała się pod ciężarem wielkiego ptaka.

Patrzył na północ. Tam, w ponurym, nieprzyjaznym zamku, wiedźma siedziała przy jednym stole z Kerosh Kareyem i plotła sieci misternego planu.

*Już wkrótce dam ci to, czego pragniesz, pani,* obiecał w myślach Kruk. *Już wkrótce wypełni się wszystko, co zaplanowałaś.*

## V

Maghar stanął w progu sypialni królowej. Albo ich wspólnej, ciągle nie był do końca pewien. Wplątał się w ten romans, nie myśląc o konsekwencjach. Później traktował go jako przejściowy. W każdej chwili spodziewał się, że Keytari poprosi go o chwilę poważnej rozmowy i taktownie, ale stanowczo, odsunie od siebie. Nie ruszały go wyznania miłości, płynące z ust Szczurzej Pani. Prawda, że on ją pokochał, ale nie oznaczało to, że jest tak głupi, aby bezkrytycznie jej ufać.

Cóż z tego, skoro w chwilach takich jak ta po prostu topniał?

Keytari wyglądała cudownie. Stała przy kominku, ubrana tylko w jedwabną halkę i gorset. Na łóżku leżała biała suknia, którą Maghar zamówił dla niej u miejscowych krawcowych. *Królowa musi mieć biały strój, przynajmniej na oficjalne okazje.* Inna sprawa, że zadbał, by Keytari wyglądała w nim obłędnie.

Gdy wszedł, leżący na łóżku Pies uniósł leniwie łeb, a potem przewrócił się na bok. Keytari obróciła się, jej oczy płonęły.

– Udało się – powiedziała.

– Co takiego? – spytał niespokojnie Maghar.

– Twoja siostra – odrzekła, podchodząc do niego powoli. Oparła ręce na jego ramionach i pocałowała go czule, prosto w usta. – Ona i Sefren są już na Błotnych Ziemiach. Wysłałam z nimi dwóch szpiegów. Udało im się uciec z Kahru, nim zaczęły się tam kłopoty.

Maghar położył dłonie na jej biodrach. Oddech kobiety przyspieszył. Z pewną dozą zaskoczenia Maghar stwierdził, że mu to pochwlebia: chciała go równie mocno, jak on jej.

– Są cali i zdrowi, tak? – spytał napastliwie. – Cała trójka?

Keytari pokiwała gorliwie głową.

– Co prawda wciąż znajdują się na terenach podległych Kahrowi, ale w tej chwili jest tam spore zamieszanie.

– W jakim sensie?

– Moje wiadomości – uśmiechnęła się – wywołały chaos. Lekthry spanikował,

rozkazał aresztować i wieszać wszystkich dawnych stronników Radirzjana Geshwanka.

– Głupiec – szepnął Maghar. – Boję się pomyśleć, co dzieje się w Kahrze.

– W Varmondii i na Błotnych Ziemiach wybuchły rebelie. Żołnierze, którzy mieli polować na nas, są bardzo zajęci ich tłumieniem. Rzecz jasna tylko ci wciąż służący Lekthry'emu. – Odchrząknęła. – Sefren i Baria powinny dotrzeć do Świętego Lorei. Może uda im się przedostać do części Królestwa Ognia, a tam są już zupełnie bezpieczne.

– A co z Radem?

– Ten rotmistrz, z którym kazałeś mi się skontaktować, wiezie go tutaj razem z Dreszczem. Są już niedaleko. Jadą z północy, wzdłuż granicy z Państwem Sinych Wzgórz. Zjawią się za dzień albo dwa. Może nadciągną tu jeszcze jakieś posiłki. Nie chcę wyruszać w pole przed pierwszymi roztopami, a może nawet lepiej byłoby poczekać...

– Nie chcę o tym słuchać – powiedział Maghar zdecydowanie i pchnął ją mocno.

Krzyknęła z oburzeniem, przewracając się na łóżko. Pies zdążył odskoczyć w ostatniej chwili.

– Jestem królową i kategorycznie żądam... – zaczęła Keytari.

Kiedy Maghar przygniół ją swoim ciężarem, wybuchła śmiechem. On również miał ochotę się śmiać. Baria bezpieczna! Jej dzieci bezpieczne! Bogowie, nie chciał w to uwierzyć, ale Keytari naprawdę... naprawdę wypełniła swoją obietnicę. Ocaliła tych, na których bezpieczeństwie tak mu zależało.

Jak mógłby nie służyć takiej kobiecie?

Pocałował ją. Jej ciepły język wślizgnął się w niego, napastliwy, niecierpliwy, głodny. Próbowwała wywinąć się spod jego ciężaru, przejąc inicjatywę, jak robiła to często, odkąd został ranny. Tym razem na to nie pozwolił. Złapał jej nadgarstki i przycisnął do pościeli. Spazmatycznie zacisnęła palce na okrywającej łożę narzucie, wygięła biodra i ocierała się o niego powolnym, szalenie zmysłowym ruchem. Całował jej usta, szyję, dekolt, piersi nad granicą ciasnego gorsetu. Wypuścił ją na chwilę, tylko po to, by zadrzeć jej spódnicę. Wykorzystała to i zaatakowała, zdołała przewrócić go na plecy, ale teraz z kolei on naparł na nią z całej siły. Sturlali się na podłogę, ściągając ze sobą narzutę. Keytari upadła na plecy i gwałtownie wciągnęła powietrze. Maghar był już między jej rozchyłonymi nogami, walczył z przeklętym wiązaniem spodni. Uwolnił się i wszedł w nią w tej samej chwili, w której podrapała go paznokciami po szyi.

– Ty... pieprzony... – wydyszała, ale jej słowa zmieniły się w gardłowy jęk.

Poddała się. Wbiła paznokcie w ramiona Maghara. Odnaleźli wspólny rytm.



Pod sam koniec Keytari wygięła się w łuk, jej ciało zeszywniało, a ścięgnięta na szyi naprężyły się, gdy odrzuciła w tył głowę i wrzasnęła rozdzierająco. Zacięła palce, przecinając skórę na barkach Maghara do krwi. Przyjęła w siebie jego nasienie.

Po wszystkim leżeli owinięci narzutą. W powietrzu unosił się pizmowy zapach miłości. Z kominka buchał żar. Maghar wtulił twarz w białe włosy Keytari.

– Ren? – wyszeptała drżącym głosem.

– Maleńka?

– Czy ty mnie kochasz?

Pocałował ją i przytrzymał zębami dolną wargę.

– Kocham – tchnął w jej rozchylone usta.

– Nie zdradź mnie. Proszę. Nie zdradź i nigdy... nigdy... nie opuszczaj.

– Jestem twój, Keytari. Jak długo żyję.

Odnalazła jego dłoń. Spletli palce. Keytari wygięła się, spojrzała Magharowi w oczy. Na jej twarzy odmalowały się udręka i miłość.

*Tak, Maghar uczeplił się rozpaczliwie tej myśli. To na pewno miłość.*

\*

Przespali cały wieczór i noc, leżąc najpierw przy kominku, a kiedy ogień już wygasł, pod kołdrą. Ostatnio oboje nie dosypiali i te kilka godzin wypoczynku bardzo im posłużyło. Maghara obudził huk gwałtownie otwartych drzwi.

– Już świta! – ryknęła od progu Khale.

Maghar uniósł się na łokciu. Śpiąca obok Keytari wcisnęła głowę pod poduszkę, mamrocząc coś niezrozumiale.

– Miło cię widzieć, Khale – mruknął Maghar.

Kobieta wmaszerowała do pomieszczenia, zalanego światłem poranka. Uśmiechnęła się kpiąco.

– Nie przeszkodziłam w niczym ważnym, prawda? Chodźcie. Luvik zrobił dla nas śniadanie.

– A co to za święto? – zdziwiła się Keytari, zdejmując poduszkę z twarzy.

– Ostatni ranny opuścił lazaret, o ile się nie mylę. I wszystkie bachory znalazły nowych opiekunów. Radujcie się, rzecznicy miłosierdzia, kurwa mać. – Ryknęła śmiechem. – No, ruszcie dupy.

Po czym wyszła, zamykając drzwi równie delikatnie, jak przedtem je otwarła.

– Śniadanie w gronie przyjaciół – westchnęła Keytari ironicznie. Ziewnęła rozdzierająco. – Wspaniale.

Maghar pierwszy wypełził spod kołdry. W komnacie panował ziąb. Odnalazł wśród rozrzuconych wszędzie ubrań długą koszulę i wciągnął ją na siebie. Później włożył spodnie, zapinaną na guziki wierzchnią bluzę i podniósł z ziemi halkę

Keytari.

– Chodź tu – mruknął.

Nie zareagowała, więc zdarł z niej kołdrę.

– Nie – zaprotestowała słabo.

Usiadła z miną nadąsanego dziecka i zasłoniła rękami szyję z zimna sutki. Maghar włożył jej halkę przez głowę. Mamrocząc coś, Keytari wsadziła ręce w odpowiednie otwory, poprawiła ubranie i zasznurowała je porządnie na piersiach. Stanęła na nogi. Dygotała. W czasie, gdy zakładała gorset oraz rozważała, którą suknię ubrać, Maghar wiązał buty. Keytari zdecydowała się wreszcie na odzienie ze szczerzych skórek oraz wysokie, ciężkie buciory, jakie nosiły w kahrańskiej armii łuczniczki. Usiadła na skrzyni, walcząc ze sznurówkami. Gdy skończyła, Maghar stanął nad nią i podał jej ramię.

– Pani – powiedział oficjalnie.

Uśmiechnęła się i ujęła go pod rękę. Pominięty w tak bezczelny sposób Pies zaskrzeczał z oburzeniem. Po śnie jego sierść była najeżona tak, że przypominał włochaty pompon toczący się szybko po podłodze. Uczepił się ubrania Keytari i wspiął na jej ramię.

W sali, w której zwykle obradowali zastali całe towarzystwo: Khale, Luvika i SroAretha. Na stole parowało jakieś wykwintne danie nieznanne Magharowi, a także półmisek z tartymi ziemniakami oraz ozory gotowane w pachnącym pomidorami sosie.

– Jestem pełen podziwu – stwierdził Maghar, odsuwając Keytari krzesło. – Co to jest? – wskazał potrawę, której nie potrafił zidentyfikować.

– Jaja w koszulkach w sosie śmietanowym – powiedział SroAreth. – Luvik dostał w podzięcie od karczmarza, którego żonę wyleczył, kilka butelek i beczulek wina, stoją w kącie. Nie miał pojęcia, które należy podać.

Maghar skinął głową na znak, że rozumie, po czym zbliżył się do zastawionego małymi butelkami stolika. Zmarszczył brwi, odczytując napisy na wyblakłych etykietach. Wreszcie wziął cynowy dzbanek, stojący obok tej imponującej kolekcji oraz drewniany młotek. Odbił szpunt beczułki z półwytrawnym sammańskim. *Od sammańskiego zaczęło się to szaleństwo*, przypomniał sobie.

Napełnił dzbanek i postawił go na stole. Usiadł na wolnym miejscu obok Keytari.

Szczerza Pani nałożyła sobie jajko i odrobinę ziemniaków. Patrząc na maleńką porcję, Maghar miał ochotę dorzucić jeszcze kilka łyżek jednego i drugiego. Keytari zawsze jadła niewiele, ale ostatnio zaczęła niepokojąco chudnąć.

On sam skusił się na każdą potrawę, podobnie jak Khale. SroAreth jadł same

ozorki, a Maghar zauważył, że – jakby wbrew pokojowej naturze – zęby ma długie i ostre jak szpilki. Prawie nie żuł, tylko lekko odchyłał głowę w tył, przełykając kęsy pokarmu. Luvik również jadł chętnie, chociaż prawie równie niewiele, jak Keytari, w uśmiechu szczerząc zepsute zęby. Maghar musiał przyznać – wszystko smakowało świetnie.

– Skąd te ozorki? – spytał, bo mięso wydało mu się dziwne w smaku.

– Z konia – odrzekł SroAreth.

– Po co mają się szkapy marnować – mruknęła Khale i roześmiała się. – Słuchajcie, przyglądam się tej suce Tanegar i powiem wam, że jej nie ufam.

– Nie lubicie się, prawda? – zauważył Maghar.

– Tak, ale nie o to chodzi. – Khale machnęła ręką. – Ona krzywi się na ciebie, Keytari.

– Na mnie? – zdziwiła się Szczurza Pani.

– Nie szpiegujesz jej?

– Szpieguję, ale nie zauważyłam nic niepokojącego.

– Ostatnio chodzi ze swoimi łuczniczkami do jednej tawerny. Wiesz gdzie?

Keytari wsadziła do ust trochę ziemniaków. Przytaknęła.

– Tak. Jest tam bardzo czysto. Szczur nie ma się gdzie schować.

– Jedna z moich dziewczyn była tam przedwczoraj.

– Po co? – zdziwił się Maghar.

– Napić się piwa z takim Skalnym. – Khale prychnęła, jasno dając do zrozumienia, co o tym sądzi. – Zadurzyła się. Żałosne.

– To bardzo dobrze – stwierdził SroAreth. – Miłość jest... – Odchrząknął nerwowo, gdy Khale ostro na niego spojrzała i wrócił do jedzenia.

– W każdym razie siedzieli sobie w kącie, pierdolili tam coś do siebie, jak to zakochani. Nari podsłuchiwała, jak Tanegar gadała z jedną ze swoich łuczniczek, jakąś oficer czy kimś. – Wycelowwała nóż, którym kroić ozorek, w Keytari. – Ta Tanegar to suka powściągliwa jak jasna cholera, a jednak gadała o tobie jakbyś była dziwką.

– Tak? – W oczach Keytari zapalił się niebezpieczny błysk, a ton stał ostrzejszy. – Dlaczego?

Maghar nalał jej wina. Podziękowała mu skinieniem głowy.

– Wie, że się z nim pieprzysz. – Khale ruchem głowy wskazała Maghara. – Byliście nieostrożni Trzeba było trzymać to w tajemnicy. Ta jebana suka mówiła swojej ukochanej pani oficer, że to nie wypada, by królewska wdowa pierdoliła się z marszałkiem. Że na pewno masz zaburzony osąd. Że ten liza... że Maghar chce za twoim pośrednictwem zawłaszczyć sobie tron.

Keytari znów się napiła. Przygryzła wargi.

– To prawda, że byliśmy nieostrożni, ale jest już za późno, żeby to zmienić – powiedziała cicho.

– Możesz go... – SroAreth spojrzał na Maghara i umilkł.

Maghar odetchnął ciężko w duchu. Wiedział przecież, że ta chwila nadejdzie, prawda? Tylko było mu żal, tak okrutnie żal...

– Możesz mnie odsunąć.

Stało się: powiedział to. SroAreth spojrzał na niego ze współczuciem, ale skinął głową, jakby dziękował za zrozumienie.

– Nie da się ukryć, że to byłoby rozsądne – przytaknęła Khale.

Zamyślona Keytari wychyliła kielich. Kiedy Maghar sięgnął po dzban, by dolać jej trunku, obróciła naczynie do góry dnem.

– Wyjdźcie – powiedziała Szczurza Pani.

– Co? – zdumiała się z pełnymi ustami Khale.

– Wyjdźcie. Wszyscy. Ty nie, Ren – dodała, kiedy Maghar zaczął się podnosić.

Przez chwilę miał wrażenie, że nikt nawet nie drgnie, ale później SroAreth wstał i ruszył do drzwi. Khale poszła za nim. Luvik również podniósł się z miejsca. Klepnął Keytari przyjacielsko w ramię. Opuścił pomieszczenie jako ostatni, zamykając drzwi.

Szczurza Pani odwróciła się do Maghara.

– Wiesz, że tego nie zrobię?

Gdyby Maghar stał, teraz runąłby na ziemię, tak zmiękły mu kolana. Zalała go fala ulgi.

– Ja... – zaczął.

– Sądziłeś, że ich posłucham? – w głosie Keytari zabrzmiała nuta groźby.

– Tak.

Prychnęła kpiąco.

– Niemniej jest coś, o co muszę cię prosić, chociaż nie przychodzi mi to łatwo – dodała.

Bez trudu zrozumiał, że tak naprawdę zamierzała wydać mu rozkaz.

– Słucham.

Keytari przygryzła delikatnie kciuk.

– Rotmistrz Aladon stanie u naszych bram zapewne dziś wieczorem. Przywiezie twojego siostrzeńca. Wiem, że chcesz go zobaczyć i zobaczysz. Ale najpóźniej pojutrze weźmiesz najlepszego konia, Khale ci jakiegoś wybierze, zabierzesz żołnierzy rotmistrza i wyjedziesz. – Umilkła na chwilę. – Pamiętasz schematy, które pokazałam ci na varmondzkiej pustyni?

– Tak.

Szczurza Pani pokiwała głową.

– Broń od trędowatych przepadła, ale ciągle możemy je wykorzystać.

Maghar potarł czubek nosa.

– Czarnogród? – upewnił się.

– Tak – odrzekła. – Czarnogród. I to ty będziesz negocjował warunki.

– Na ile mi pozwalasz?

Machnęła ręką.

– Na wszystko – powiedziała. – Jesteś moim adiutantem. Sprzedaj cokolwiek, co możemy sprzedać. Nawet mnie, jeżeli możemy sobie na to pozwolić.

– Nie. – Maghar zmarszczył brwi w udawanym oburzeniu. – Bez przesady z tą drożyzną.

\*

Z Kahru uciekli galopem, prawie zajechawszy konie. Później, na Górzystym Pograniczu, zwolnili. U źródeł Strzelistej skręcili na południe i jechali z prądem rzeki jeszcze przez cztery dni, nim ponownie odbili na zachód.

Przez cały ten czas Dreszcz przypominał sobie jedno z kahańskich przysłów: Żołnierz musi mieć świętą cierpliwość i dupę ze stali. Jak się okazało, powiedzenie odnosiło się doskonale także do służących-intrygantów. Miał dość podróży już po jednym dniu. Bolały go mięśnie łydek, pośladki oraz wewnętrzna strona ud, otarta od dni spędzanych w siodle, nie wspominając o wybatożonych plecach. Mróz nie odpuszczał w dzień ani w nocy, a teren był niemal zupełnie bezdrzewny i ogniska palili zwykle bardzo nędzne.

Jakby wszystkiego było mało, to właśnie na Dreszczu spoczął obowiązek opieki nad małym Radirzjanem. Chłopiec był przytłoczony wszystkim, co widział – zniknięciem wujka, śmiercią ojca, aresztowaniem matki, pobytem w Baszcie jako zakładnik, nawet podróżą z rotą Aladona. Całymi nocami płakał. W czasie jazdy telepał się na łęku siodła przed Dreszczem, milczący i bezwładny. Nic nie mówił. Jego podkrążone oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń. Na każdy głośniejszy dźwięk podskakiwał i rozglądał się wkoło, jakby szukał drogi ucieczki.

*Nareszcie koniec udręki*, stwierdził Dreszcz, gdy dotarli do Gniazda. Miasto wzniesiono na szczycie wzgórza, niczym niewyróżniającego się spośród innych. Mur nie imponował wysokością, podobnie dwie kwadratowe baszty.

– Panie rotmistrzu – odezwał się Yanderon.

Dreszcz obejrzał się na niego. Porucznik wiercił się w siodle, a twarz miał czerwoną od mrozu.

– Słucham, Yanderon – mruknął rotmistrz Aladon, który patrzył na mury,

osłaniając dłonią oczy.

– Brama została niedawno dobudowana. Nie pasuje do murów. Wykonano ją z innego rodzaju kamienia.

Aladon zagwizdał cicho.

– Masz rację. – Opuścił rękę. – Kiedy Itonoka rzekomo splądrował to miasto?

– Wyliczyliśmy, że pod koniec miesiąca śniących drzew.

– Trochę ponad miesiąc temu – mruknął rotmistrz. – Powinien panować tu chaos. Zwalone fragmenty muru, rozpieprzona w pizdu brama, dymy nad płonącym miastem. Gdzie jest chaos, ja pytam?

– Panie rotmistrzu, co miałyby się palić po miesiącu?

– Nieważne. Ale czemu dali radę odbudować tę bramę w miesiąc? – Pokręcił głową, jakby zniesmaczony. – Za dobrze sobie radzą. – Odwrócił konia do Dreszcza. – Dawaj dzieciaka.

– Po co? – spytał podejrzliwie służący.

– Dawaj go!

Dreszcz wiedział, że w gruncie rzeczy ma niewielki wybór. Żołnierze dookoła już łypali na niego z niechęcią. Dlatego ujął Radirzjana pod ramiona, podniósł go i przesadził przed oficera.

– W porządku – mruknął Aladon. – Teraz możemy jechać.

Spiął konia do galopu. Runęli w dół wzgórza do miejskiej bramy. Dreszcz widział już sylwetki strzegących jej wartowników. Ku jego zdumieniu – drewniane wrota zaczęły się otwierać. Z wnętrza miasta wylała się gromada konnych. Kilkudziesięciu było odzianych w powyginane zbroje i wytarte opończe, ale reszta miała czarne pancerze i płaszcze kahrańskiej kawalerii.

– Zmiotą nas – ostrzegł Huwar, podjeżdżając do Aladona, który powściągnął konia, unosząc rękę, by także reszta oddziału zwolniła do lekkiego kłusu.

Dreszcz jechał kilka kroków za nimi. Na słowa porucznika zadrżał. Nie miał najmniejszej ochoty stracić głowy tutaj, już u kresu całej tej szalonej awantury.

– Wiem – warknął z niezadowoleniem rotmistrz. – W razie czego rozproszyc się i uciekać. Mieście oczy szeroko otwarte. Jeżeli zauważycie jakiegokolwiek oddziały z boków lub za nami, natychmiast bierzemy dupy w troki. – Odchrząknął nerwowo. – Ustawcie ludzi w szyku – rzucił do swoich oficerów. – Tamci stoją jak od linijki.

Porucznicy rozjechali się do swoich dziesiątek. Padły ostre komendy i po chwili bezładna zbieranina zdrożonych jeźdźców przegrupowała się, zmieniając w przyzwoicie ustawiony oddział. Na czele jechał Aladon.

– Oddział stać! – ryknął Aladon. – Sztab do mnie!

Zatrzymali się przed pierwszym szeregiem kawalerzystów. Teren im nie sprzyjał

– znajdowali się niżej niż tamci – ale taka odległość pozwalała jeszcze na reakcję, gdyby przeciwnik rozpoczął szarżę.

Psy Aladona skomlały i poszczekiwały nerwowo, kręcąc się przy nogach jego konia. Rotmistrz rozejrzył się niepewnie.

– Prezentuj broń! – krzyknął damski głos od strony kawalerzystów.

Zbrojni wyrwali z pochew miecze, unosząc je w salucie ku niebu. Koń Dreszcza zarżał nerwowo. Aladon ściągnął wodze swojego.

Między oddziałami przejechała ubrana w czarny płaszcz kobieta z futrzaną czapą na gęstych włosach, przy których bieli śnieg wydawał się szary. Była oszałamiająco piękna. Za nią podążała bardzo niewielka obstawa – zaledwie dwóch mężczyzn: jeden drobny, owinięty w opończę, drugi wynędzniały, ale znajomy, przybrany w złoty płaszcz. Zatrzymali się na chwilę przed szeregami. Kobieta rzuciła ciche „spocznij” i wszystkie miecze wróciły do pochew. Później obejrzała się na mury. Dreszcz dojrzał ukrytych za blankami łuczników. *Jest źle*, pomyślał.

Biała kobieta spięta siwą, drobną klacz i ruszyła w kierunku roty Aladona. Zatrzymała się mniej więcej w połowie drogi, wyraźnie dając znać, że bliżej już nie podjedzie.

– Rotmistrzu? – szepnął Yanderon.

– Yanderon, Dreszcz, jedziecie ze mną – powiedział cicho Aladon. – Reszta zostaje. Gdyby coś się wydarzyło, zostawcie nas. Wracajcie do Domu Pierwszych Zdobywców i donieście o miejscu przebywania zdrajców.

Dreszczowi ta decyzja niespecjalnie przypadła do gustu, ale przez lata służby nauczył się wykonywać rozkazy bez gadania. Ponieważ Yanderon zajął miejsce po prawicy rotmistrza, nieco z tyłu; Dreszcz zdecydował się na analogiczną pozycję po lewej.

Lekkim kłusem zbliżyli się do przybyłego z miasta pocztu. Psy Aladona pobiegły za nimi. *A jednak mamy przewagę liczebną*, uznał Dreszcz.

Rotmistrz zatrzymał wierzchowca kilka kroków przed białą kobietą. Z tej odległości Dreszcz wreszcie rozpoznał noszącego złoty płaszcz Maghara. Były komendant wyglądał zdecydowanie nędzniej niż za czasów Geshwanka – policzki miał zapadłe, oczy podkrążone, rysy twarzy ostrzejsze.

Radirzjan także go rozpoznał. Poruszył się na siodle Aladona tak gwałtownie, że spadłby, gdyby rotmistrz nie przytrzymał go za ramię. Jednocześnie oficer sięgnął do buta, wyciągnął z niego wojskowy nóż i przyłożył do szyi czterolatka, który gwałtownie złapał powietrze i znieruchomiał.

Maghar odruchowo spiął konia, który ruszał już z miejsca, gdy biała kobieta zerknęła na niego przez ramię. Mężczyzna uspokoił wierzchowca i zacisnął

gniewnie wargi.

– Niezbyt to grzeczne, grozić krewnym mojego adiutanta – stwierdziła łagodnie kobieta w bieli.

– Pani Geshwank, jak mniemam – warknął Aladon.

Uśmiechnęła się z uprzejmym zaskoczeniem.

– Owszem. Skąd pan...?

– Pracuję w milicji. Nie jestem głupcem – odrzekł. – Dała mi pani bardzo wyraźne wskazówki. Poza tym tylko żona Radirzjana Geshwanka miałyby jakiegokolwiek prawa do tronu, gdyby rzeczywiście istniała...

– Rozumiem pana wątpliwości, ale...

– Nie mam wątpliwości! – wpadł jej w słowo Aladon. – Przybyłem tu, narażając się na posądzenie o zdradę, nie po to, by wysłuchiwać bajek. Żądam wyjaśnień odnośnie wiadomości, które mi przesłano za pośrednictwem pierdolonej, tańczącej myszy. Jeżeli nie będą zadowalające, najpierw poderżnę gardło temu gówniarzowi, a później skrócę panią o głowę.

– Rotmistrzu, mówi pan do królowej – odezwał się Maghar głosem drżącym tłumioną furią. – Radzę uważać na słowa.

Aladon prychnął i zachichotał.

– Zawsze lojalny do granic przesady, prawda? Szkoda, że nie zawsze prawowitym władcom.

– Keytari Geshwank herbu Płonące Drzewo jest prawowitą władczynią Kahru.

Aladon skrzywił się.

– Kiedyś pewnie bym ci uwierzył...

– Nie ma potrzeby, by wierzyć komukolwiek na słowo – ucięła dyskusję królowa. Zdjęła z dłoni skórzaną rękawiczkę. Na kciuku nosiła pierścień z czarnym kamieniem, w którym wryto drzewo. Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni płaszcz zwiniony w rulon papier.

Rotmistrz przez chwilę się wahał. Wreszcie wziął z jej ręki papier i podał go Yanderonowi. Ten rozwinął go i czytał, przygryzając wargi.

– To kontrakt ślubny – stwierdził, nie kryjąc zaskoczenia. – Pieczęć i podpis wydają się być prawdziwe. Data się zgadza... – Obrócił papier na wszystkie strony.

– Trudno określić wiek, to całkiem nowy dokument. Użyto czarnego, nieblaknącego atramentu, więc... – Pokręcił bezradnie głową. – Wydaje mi się, że jest prawdziwy.

Oddał pismo Aladonowi.

– Dreszcz, czyj to podpis? – spytał, podając papier służącemu.

Dreszcz wziął akt z jego ręki. Pismo Keytari wydało mu się znajome. Natomiast



podpis Geshwanka...

– Autentyk – stwierdził. – Wszędzie poznałbym te pochyłe, rachityczne litery. Za cholerę nie dało się tego nigdy odczytać.

– Ślub bez kapłana? – spytał z powątpiewaniem Aladon.

– Jego Wysokość nie należał do pobożnych – odpowiedziała Keytari. – Ja też się do nich nie zaliczam. Zresztą, to mimo wszystko dość skandaliczny związek, prawda? – Umilkła. – Do pełnoprawnego zawarcia małżeństwa nie potrzeba w Kahrze kapłana.

Aladon oddał jej pismo. Odsunął nóż od szyi Radirzjana i schował do buta.

– Skończyły mi się kontrargumenty – stwierdził. – Chyba rzeczywiście jest pani królową.

Po czym postawił na ziemię Radirzjana. Chłopiec pobiegł do Maghara, który natychmiast zeskoczył z konia, rozłożył szeroko ramiona i chwycił go w objęcia.

\*

Wiedział, że Keytari nie będzie zadowolona – chciała spędzić tę noc z nim – ale zbyt długo zamartwiał się o rodzinę, by teraz odejść od leżanki, na której ułożył do snu Radirzjan. Spotkanie z wujem, jedyną znajomą osobą, jaką chłopiec widział od dawna, obudziło go z apatii. Cały dzień kleił się do nogi Maghara, zjadł z nim obiad i wczesną kolację, wykapał się z jego pomocą, a potem usnął, trzymając w małej rączce dłoń krewnego. Zanim oczy się mu zamknęły, opowiadał tak chaotycznie, jak tylko dziecko potrafi, co wydarzyło się od zniknięcia Maghara. Komendant wiedział o tym wszystkim, ponieważ Keytari informowała go na bieżąco, ale i tak serce się mu krajało.

– A później trzymali mnie w tej strasznej wieży i tam była straż, i cały czas ludzie krzyczeli, a w celi obok był taki pan, który wrzeszczał, że nienawidzi bogów, i że wszyscy są skurwysynami... – mamrotał jeszcze Radirzjan, kiedy powieki skleił mu sen.

Maghar siedział długo, trzymając rączkę dziecka i patrząc na jego twarz. *Rano muszę mu powiedzieć, że wyjeżdżam*, pomyślał z bólem. Dopiero co odzyskał spokój ducha, dopiero przekonał się, że jego rodzina jest bezpieczna i już musi opuścić Gniazdo, by wyruszyć na misję, z której może nie powrócić.

Drzwi otwarły się, a w progu stanęła Keytari owinięta kocem. *Jeżeli poprosi, będę musiał zostawić małego*, zdał sobie sprawę Maghar. *Skoro już biorę udział w tym szaleństwie, muszę spełniać jej życzenia, jakby rzeczywiście była królową.*

– Co z nim? – spytała cicho Keytari.

Popatrzył na jej piękną twarz. Zobaczył tam irytację i zazdrość, których się spodziewał, ale też zrozumienie. To ostatnie kompletnie go zaskoczyło. Zarazem

poczuł w żołądku ciepło, jakby łyknął dobrej, mocnej wódki w mroźny dzień.

– Zasnął – odpowiedział.

Szczurza Pani ruszyła w jego kierunku, jej bosa stopy zostawiała na grubym, czerwonym dywanie ciemne ślady. Przystanęła przy kominku, na którym rażno płonął ogień, przez chwilę grzała dłonie. Obeszła spory, mahoniowy stół, klęknięła przy krześle Maghara i położyła mu głowę na kolanach, obejmując jego nogi.

– Keytari...

– Musisz jechać – powiedziała ostro.

– Wiem o tym.

Uniosła na niego oczy, złote jeziora wypełnione smutkiem. Maghar pochylił się, pocałował ją delikatnie i ujął w dłonie jej twarz.

– Uważaj na Aladona – wyszeptwała. – Dzisiaj cały dzień węszył. Ten jego porucznik oglądał dokumenty chyba z kwadrans. Później jego ludzie wypytywali dziewczyny Khale i ludzi Tanegar.

– Będę ostrożny – obiecał Maghar. – Znam rotmistrza. Dam sobie radę.

– Weźmiesz też Dreszcza?

– Nie, chyba nie. On dla odmiany spędził cały dzień, narzekając na zmęczenie.

– Dobrze. Może mi się przydać. – Spojrzała na nakrytego kocem Radirzjana. – Powinieneś przenieść go do łóżka. I samemu też się wyspać.

– Mamy tylko jedno łóżko – przypomniał Maghar.

– Mały zasłużył na odpoczynek.

– Ty też, Keytari – powiedział łagodnie.

– Oczywiście, masz rację – przytaknęła. – Za bardzo się przejmuję. Układami z żywym trupem, który raz już mnie zamordował, walką o władzę, największym przekrętem w dziejach, tym, że ta cholerna wiedźma wybiła wszystkich moich szpiegów w Serpinie i w ogóle.

Uśmiechnęła się kpiąco. Maghara to ucieszyło. Dawno nie powiedziała mu już nic uszczypliwego. Gdy była zbyt miła, zaczynał się o nią martwić.

Teraz wstała.

– Weź go i idziemy – powiedziała cicho tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Maghar ostrożnie owinął śpiącego Radirzjana kocem i podniósł go z pośłania. Przeszedł przez drzwi jako pierwszy. Ruszyli do sypialni po drugiej stronie korytarza.

Maghar ułożył chłopca w łóżku. Później zdjął ubranie, zostając w samej koszuli i położył się przy dziecku, obejmując je. Keytari przykucnęła przy kominku, żeby pogłaskać wygrzewającego się tam Psa. Później, wciąż owinięta w koc, wcisnęła się pod kołdrę i przyłgnęła do pleców Rena.

– Zapomniałam o termoforze – wymruczała, wciskając zimne stopy między jego uda.

– Keytari?

– No?

– Zajmiesz się Radirzjanem, kiedy wyjadę, prawda? I jeżeli nie wrócę?

– Zajmę się nim, kiedy wyjedziesz – powiedziała cicho. – Ale masz wrócić. Twoja królowa tak ci rozkazuje.

Maghar zaśmiał się kpiąco.

– Wykonam rozkaz, Wasza Wysokość – zapewnił.

– Tak – potwierdziła szeptem. – Wykonasz go albo zginiesz, jak na Kahrańczyka przystało.

Odnalazł jej dłoń, opartą na swoim ramieniu i ścisnął mocno.

## VI

Kahr stał w ogniu.

Królewski rozkaz stracenia wszystkich dawnych stronników Radirzjana Geshwanka wywołał burzę. *Bo to najgłupsza rzecz, jaką w ogóle można było zrobić*, myślał Kasharp, siedząc nad stertą raportów, które napływały z całego kraju. Masowe bunty. Kahrańczycy mordujący Kahrańczyków. Dezercje całych oddziałów. Potyczki między zwolennikami króla i królowej. Tych drugich przybywało powoli, ale systematycznie. *Szczury uciekają z tonącego okrętu. A ja sam się do niego przykułem, traktując Rena Maghara tak, jak potraktowałem.*

Odchylił się na krześle i rozejrzał po gabinecie. Nie pozwalał wchodzić tu swoim służącym, by nie odczytali list z nazwiskami osób, których milicja miała aresztować w najbliższym czasie. *Siebie też mam powiesić?*, zastanawiał się często Kasharp. Królewski rozkaz był królewskim rozkazem, ale szlag go trafiał, gdy kolejni wierni ludzie znikali ze służby. Ich rodziny żyły w strachu.

Walki trwały wszędzie. Kahr ogarnęła wojna domowa. Niektóre stacje wymarły, inne stały się małymi twierdzami, do których nikt nie miał dostępu. Po traktach i bezdrożach grasowały bandy dawnych stronników Geshwanka, gotowe zasieć każdego, kto nie był po ich stronie. W Domu Pierwszych Zdobywców wybuchł bunt. Rodziny aresztowanych dobijały się do bram pałacu królewskiego i otoczyły siedzibę milicji. Wojsko – albo jego nędzne resztki – tłumili zamieszki.

Do Kasharpa raporty docierały coraz rzadziej. Zmieniały się nazwiska podpisujących je oficerów. Raporty od szpiegów z Królestwa Ognia w ogóle przestały się pojawiać. Ostatnią wiadomość z Państwa Sinych Wzgórz stanowiło lakoniczne: „Królowa przejęła Drugi Regiment Formacji Zagranicznej”. Było źle. Bardzo, bardzo źle.

*I co ja, do cholery, mam zrobić?*, zastanawiał się Kasharp. Czuł, że poci się, zgarbiony nad papierami. Nie widział dla siebie żadnej drogi ucieczki. Lekthry mógł kazać w każdej chwili pozbawić go głowy, a jeżeli Maghar rzeczywiście wspierał tę nową królową, to także ona nie udzieli mu schronienia. Jeżeli coś mogło zmusić dawnego zwierzchnika milicji do mszczenia się, to podniesienie ręki na rodzinę, co Kasharp w swej krótkowzroczności uczynił.

Z raportów, które otrzymywał na temat królowej, wynikało bardzo niewiele. Pojawiła się w Państwie Sinych Wzgórz w zasadzie znikąd, krótko po tym, jak Itonoka zdobył Gniazdo. Zabiła go w niewyjaśnionych okolicznościach i ogłosiła się prawowitą królową Kahru, opierając na tajemniczych oraz podejrzanych koligacjach z Geshwankami. Namiestniczka tych terenów, oberszter Tanegar, przeszła na jej stronę. Gdzieś w tym wszystkim pałętał się Ren Maghar. Chociaż Tartok twierdził, że wspiera on Itonokę, teraz opowiedział się po stronie królowej. Czy pomagał jej w morderstwie?

Kasharp westchnął ciężko. Z ostatnich wiernych garnizonów docierały do niego liściki, zapisane chwiejnym pismem. Ich treść była niepokojąca – rozkazy, by wszyscy wierni żołnierze Kahru przybyli do Gniazda, pod sztandar królowej; bezwartościowe opowieści o jakimś tajemniczym ślubie; nawoływanie do zdradzenia Lekthry'ego. *Powinniśmy byli ruszyć w pole, uderzyć na Gniazdo i zmieść tę dziwkę z powierzchni ziemi*, stwierdził Kasharp. *Kiedy jeszcze mieliśmy armię, rzecz jasna.*

Odłożył na bok raporty i potarł zapuchnięte z niewyspania oczy. Sięgnął po leżące na biurku fajkę oraz krzemyk. Rozpałał, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wymamrotał niewyraźne pozwolenie.

Do pomieszczenia wszedł gołowąs, którego Kasharp nie znał. Z odznaczeń na jego piersi wynikało, że jest rotmistrzem. Świat stanął na głowie, uznał komendant. Szedł o zakład, że młody nie służył dłużej niż dwa lata. *Wygląda jak ciota*. Brązowe włosy miał w nieładzie, zwilżone marznącym deszczem, który nadszedł wraz z roztopami. W tym roku zima, chociaż surowa, szybko oddawała pole. Wciąż trwał miesiąc pierwszej odwilży, ale śniegu prawie już nie było.

– Kurier przyniósł wiadomość, komendancie – powiedział. – Oznaczoną jako raport specjalnej wagi, tylko do pańskich rąk.

Wyrwał chłopakowi szarą teczkę.

– Możesz odejść – rzucił znacząco.

Młodzik strzelił obcasami i dosłownie wymaszerował z pomieszczenia. Kasharp przewrócił oczami. Spojrzał na teczkę. *Od obersztera Finranda, dowódcy garnizonu w Międzyziemiu. Sprzed czterech dni*. Kasharp westchnął ciężko. Międzyzemie leżało

na południu Wielkich Rozlewisk, przy Trakcie Królewskim. Ta droga łączyła ze sobą Dom Pierwszych Zdobywców i znajdujący się w Puszczy Ludojadów Gores, należący już do Królestwa Ognia. *Raport specjalnej wagi z takiego miejsca może oznaczać tylko jedno.* Kasharp otworzył teczkę z duszą na ramieniu.

Chwilę potem podrywał się już na nogi i krzykiem wzywał służących, by siodłali konia.

\*

Kasharp nie zawracał sobie głowy etykietą. Odepchnął na bok pałacowego służącego, który pukał cicho do drzwi królewskiej sypialni, i wpadł do wnętrza jak pocisk. Za nim natychmiast rzucili się przerażeni gwałtownością komendanta strażnicy.

Lekthry leżał w łóżku – wielka, tłusta góra mięcha ze służącą przy każdym boku i jedną śpiącą u jego stóp. Po podłodze walały się dzbany, z których wyciekały resztki wina. Na nocnym stoliku i gzymsie kominka, w którym wygasł ogień, stały brudne tace z resztkami sutej kolacji.

– Wasza Wysokość! – zawołał Kasharp.

Lekthry ocknął się z głośnym chrząknięciem. W tej samej chwili Kasharpa złapali pod ramiona gwardziści. Zaczął się szarpać.

Król uniósł się na łokciu.

– Czego? – wymamrotał, mrużąc oczy.

Pulchną dłonią zaczął pocierać twarz.

– Wasza Wysokość. – Kasharp dał sobie spokój z próżną szarpaniną. – Mam wiadomość z Międzyziemia. Traktem Królewskim nadciąga armia Królestwa Ognia, miasto jest oblężone.

Lekthry opadł na poduszki.

– Ależ boli mnie głowa... – wymamrotał.

– Wasza Wysokość! – zawołał rozpaczliwie komendant milicji.

– Dość – warknął gniewnie Lekthry. – Za kogo ty się uważasz, żeby tu tak wpadać? – Machnął ręką. – Znajdź marszałka, niech zwoła Radę. Macie zrobić z tym porządek. – Odwrócił się plecami do Kasharpa. – Zróbcie z tym wszystkim porządek. Zabrać go stąd.

Gwardziści wywlekli Kasharpa na korytarz. Zamknęli mu drzwi przed nosem i zagroździłi przejście. Popatrzył bezsilnie na ich kamienne twarze.

– Kurwa mać – warknął.

Ruszył w kierunku schodów na niższe piętro, na którym znajdowały się komnaty królewskiego adiutanta. W połowie stopni przystanął. Zawahał się. *A gdyby tak... Nie, nie, nie!* Myśl była szalona, ale niepozbawiona polotu. *Im dłużej tu jestem, w*

*tym większym niebezpieczeństwie się znajduję. Milicja przez te czystki skurczyła się o jakieś trzy czwarte, straciłem siostrzeńców Maghara... Spójrzmy prawdzie w oczy, czuję zapach stryczka. Król najwyraźniej zamierza zwalić obronę Kahru na nas, na komendantów, jak i cały ten chaos. To się nie może udać. Ktoś zapłaci głową i... nie oszukujmy się, to będę ja.*

Armia Królestwa Ognia, karna i uzbrojona w broń ognistą, maszerowała na Dom Pierwszych Zdobywców. Jej dowódcą był sam król. Jakie szanse miał targany wewnętrznymi walkami Kahr? Z tym, że to nie do końca była dla Kasharpa zła sytuacja.

*Na litość, to zdrada, pomyślał ze strachem, ale na dworze Lekthry'ego nic go już nie czekało, u królowej nie miał szans...*

Popatrzył na trzymaną w rękę teczkę. Serce waliło mu w gardle. *Wrócić do siebie, rzucić srebrny płaszcz komendanta, włożyć cywilne ubranie. Zostawić oddział, zostawić stanowisko, zostawić dokumenty.* To wydawało się takie proste. *Jeśli wezmę dobrego konia, może dotrę do Międzyziemia w trzy dni.*

Przygryzł mocno wargi. Zastanawiał się. Wreszcie powoli ruszył w dół schodów, przesuwając dłoń po gładkiej poręczy. Zajrzał w korytarz na piętrze i zobaczył służącą dźwigającą kosz z praniem.

– Hej! – zawołał.

Odwróciła się i prawie wypuściła z rąk kosz.

– Zanieś to do marszałka – rozkazał Kasharp, wyciągając przed siebie teczkę.

Dziewczyna odstawiła kosz, podeszła do niego i wzięła z jego rąk dokumenty.

– Oczywiście, panie – powiedziała cicho, ze spuszczonej pokornie oczami.

– Umiesz czytać?

– Nie, panie.

Kasharp skinął głową.

Zbiegł po schodach i wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi. – Przyrowadź mojego konia – rzucił do jednego z czekających w pobliżu służących. Wciągnął w płuca powietrze. Odpędził od siebie wątpliwości. Po raz pierwszy od dawna wiedział, co należy zrobić.

\*

Kara weszła do zagraconego gabinetu marszałka, odsunęła zalegające na biurku papiery i położyła pośrodku blatu teczkę. *Za czasów Jego Wysokości Geshwanka zawsze był tu porządek, przypominała sobie.* Kiedy był on jeszcze marszałkiem, we wszystkich komnatach panował pedantyczny ład. Obecny adiutant rzucał wszystko, gdzie popadnie.

Kara odwróciła się ku drzwiom i zawahała. Może powinna zanieść papiery

prosto do marszałka? Chociaż komendant Kasharp wyraził się dość jasno...

Chwyliła klamkę. *Zerknę*, powiedziała sobie. *Sprawdzę tylko, czy to na pewno nic wyjątkowo pilnego*. Dreszcz nauczył ją składać litery, chociaż miała z tym pewne trudności. Trzymała tę umiejętność w sekrecie. Kahrańscy woleli niedouczone służące.

Kara odwróciła się i zmartwiała.

Wiązanie teczki było przegryzione, ona sama otwarta. Na papierach rozsiadł się chudy, szary szczur. Przechylał niezdarnie główkę, kołysząc nią lekko, jakby próbował zogniskować wzrok na tekście.

*Nonsens*, pomyślała Kara. *Szczury nie czytają*.

Oparła się o drzwi, korzystając z zaaferowania gryzonia i ostrożnie zdjęła ze stopy pantofel. Wzięła zamach.

Szczur poderwał głowę, zaskrzeczał i przebiegł po biurku. Kara rzuciła w niego pantoflem, ale nie trafiła. But wylądował na teczce i ześlizgnął wraz z nią ze stołu. Gryzoń zeskoczył na krzesło, a potem pobiegł w kierunku regału z książkami, rozpląszczył na podłodze i wcisnął pod mebel.

– Ty mały... – zawołała Kara, dopadając do regału.

Położyła policzek na zimnej posadzce, próbując dojrzeć coś w szczelinie z nadzieją, że szczur nie ukąsi jej w nos. Pod meblem panowały ciemności, a szare, zimowe światło, sączące się przez okno, niewiele pomagało.

– Cóż za piękny widok.

Kara aż podskoczyła. Zdała sobie sprawę, że wypina pośladki w stronę drzwi i natychmiast się wyprostowała. W progu stał adiutant w luźnej, czarnej koszuli i wełnianych spodniach. Patrzył na służącą, uśmiechając się kpiąco.

– Mogę wiedzieć, co tu robisz? – spytał.

– Komendant Kasharp kazał mi przynieść tu teczkę, panie – powiedziała. – Gdy weszłam do pomieszczenia, zobaczyłam szczura na waszym biurku. *Nie powiem mu przecież, że był zajęty czytaniem tajnych dokumentów*. Próbowałam go zabić.

– Te rozwalone na podłodze papiery to zawartość tej teczki? – upewnił się mężczyzna.

Kara spojrzała na jego twarz. *Jaśnie pan Fekfor Resnir, z miną wiecznie zestrachanego gówniarza*, pomyślała pogardliwie.

– Już je zbieram, panie.

– I zabierz to pranie ze środka korytarza.

– Oczywiście, mój panie – odrzekła, pospiesznie zgarniając rozrzucone papiery.

Udawiała zajęętą robotą, ale w rzeczywistości chciwie pochłaniała treść pism – przynajmniej tyle, ile udało jej się odczytać. Będzie dziś miała na sprzedaż bardzo

wiele informacji.

\*

– Dawno cię tu nie widzieliśmy, kochanie – powiedział łagodnie Ślepiec.

W jego piwnicy panował ziąb, chociaż w palenisku płonął ogień. Ptaki obsiadły fotel starca i wszystkie zasrane meble, śpiąc w grupkach. Ogromna barwna papuga usadowiła się obok wykręconej ręki starucha, schowawszy głowę pod skrzydło. Wszystko spowijał łagodny półmrok.

Kara zsunęła z głowy kaptur. Wymykanie się z pałacu było po ostatnich wyczynach Dreszcza jeszcze bardziej ryzykowne niż zwykle. Zarządca dał już sobie spokój z chłostaniem służących przyłapanych na nocnych wycieczkach. Teraz od razu odsyłano ich do Baszty, na tortury kończące się śmiercią. Kara знаła jednak ukryte za krzakiem dzikiej róży przejście pod pałacowym murem, którego oprócz niej i Dreszcza nikt inny nie odkrył. Czuła się dzięki temu odrobinę bezpieczniej.

– Nie chcę już tam wracać – wyszeptwała dziewczyna, wyłamując palce.

– Było ci źle? – spytał zaskoczony Ślepiec.

Kara westchnęła cicho. Była córką imigrantów z Półwyspu Kupieckiego. Rodziców straciła w wieku sześciu lat, w pożarze, który strawił ich dom i majątek. Przeżyła tylko dlatego, że akurat bawiła się na podwórku, a jakiś uczynny przechodzień odciągnął ją od płonącego budynku. Umarłaby w rynsztoku, gdyby Ślepiec nie udzielił jej pomocy. Odkarmił ją, a potem sprzedał jak niewolnicę do pałacu, gdzie zaopiekował się nią Dreszcz. Z pewnością nie był to los, który wymarzyli dla Kary rodzice, ale przynajmniej miała dach nad głową i jedzenie, a w razie nagłej potrzeby mogła liczyć na mieszek monet od Ślepca w zamian za wiadomości z otoczenia króla.

– Nie – odrzekła. – Ale teraz już nikomu w Kahrze nie będzie wiodło się zbyt dobrze.

Stojący za fotelem Ślepca młodzi, potężni mężczyźni – jego wychowankowie przygarnięci z ulicy – popatrzyli po sobie. Mała Strzałka, siedząca na zydlu przy drzwiach, poruszyła się niespokojnie.

– Dlaczego, dziecko? – dociekał stary. – Wiesz, jak nie lubię pośpiechu, kochanie, ale przyznam, że mnie zaintrygowałaś. – Oparł chude dłonie na poręczach siedziska i poprawił pozycję. Papuga na jego ramieniu ocknęła się, zaskrzeczała gniewnie i wzbiła do lotu. – Mów.

Kara spojrzała w ślad za barwnym ptakiem, który wzleciał pod sufit i w ciemności tłukł o ściany, wrzeszcząc.

– Armia Królestwa Ognia wkroczyła na tereny Kahru – powiedziała głośno Kara, żeby nie zagłuszało jej ptaszysko. – Oblegają Międzyziemie...



Ślepiec machnął ręką. Strzałka podniosła opartą o ścianę kuszę, wstała z zydlu, wycelowała i ściągnęła spust. Papuga krzyknęła po raz ostatni i umilkła. Rozległ się cichy odgłos pacnięcia, gdy martwy ptak upadł na bok.

– Dalej, kochanie – zachęcił stary.

– Ja... – Kara umilkła na sekundę, wytrącona z równowagi tym nagłym mordem.

– Lekthry przez całe dni pije. Dzisiaj marszałek zwołał Wysoką Radę, a król nie brał udziału w obradach.

– Do jakich wniosków doszli? – spytał Starzec.

– Nie było mnie tam – powiedziała Kara. – Ale wyciągnęłam co nieco z chłopaka, który nalewał komendantom wino. – Pocierała zmarznięte dłonie, patrząc na łysą, pokraczną głowę Ślepca. – Radzili nad dwiema sprawami. Jakie działania podjąć, by wygrać z wojskami Królestwa i co zrobić z królową.

– I? – zainteresował się Ślepiec.

– Niestety, chłopak niewiele rozumiał ze strategii, którą omawiali. Ale postanowili usunąć królową. Zgodzili się, że muszą zaprzestać czystek nakazanych przez Jego Wysokość i że jedynym sposobem na odzyskanie tych żołnierzy, którzy uciekli, jest jej usunięcie. Wysłali Cienia.

Ślepiec uniósł wykrzywiony palec i potarł wargi.

– Ach, tak – mruknął. – Nareszcie Rada zaczyna działać. Najwyższa pora. – Umilkł. – Oczywiście, dziecko, pod moim dachem zawsze jest dla ciebie miejsce. Jeżeli nie chcesz wracać do pałacu, możesz zaszyć się tutaj.

Kara milczała przez chwilę, wykręcając palce.

– Boję się – powiedziała cicho. – Oni tu dotrą.

Ślepiec przez chwilę milczał. Potem zachichotał.

– Zawsze byłaś mądra, kochanie – stwierdził. – Masz rację. Zajmą Dom Pierwszych Zdobywców. Kahr jest bez szans.

Kara poczuła, że drży. *To z zimna*, pomyślała. *Nie, do cholery, wcale nie.*

– Boję się – powtórzyła szeptem.

– Tylko głupcy nie boją się wojny i śmierci, jaką ze sobą niesie – stwierdził sentencjonalnie Ślepiec. – Zostań tu, maleńka. Potraktuj to jako dobrą radę. Kiedy żołnierze Królestwa się tu wedrą, ukryjemy się w piwnicy jak szczury. Oni będą gwałcili, kradli, palili, a my tu poczekamy. Zdobędą pałac, zerzną tamtejsze służące, wyrzną elity. Później znów będzie jak dawniej, a my wychyniemy z cienia.

– Westchnął głęboko. – Jak szczury...

– Jak... – zaczęła Kara. Urwała. – Posłuchaj, ja widziałam dzisiaj szczura – wyrzuciła. – W gabinecie marszałka. Ja... przysięgłabym, że on otworzył teczkę z tajnymi dokumentami i że próbował je przeczytać. – Zaśmiała się bez przekonania.

– Wiem, że to brzmi jak bełkot szaleńca, ale...

– Nie – przerwał jej Ślepiec. Podrapał się po nosie i znów zaczął stukać w wargi czubkiem długiego palca. – Wręcz przeciwnie, to wszystko tłumaczy. – Jego ślepe oczy rozwarły się szeroko. – Rozkazy napisane drżącą łapką gryzonia. Mali szpiedzy na każdym kroku. Nintan Itonoka, Ren Maghar, Viseriya Shavok, wszyscy wciągnięci w pułapkę szczura. – Roześmiał się. – Karo, ze wszystkich tych pysznych wiadomości, które dziś mi przyniosłaś, ta może mieć największe znaczenie!

– Nic nie rozumiem – wyznała zagubiona Kara.

Ślepiec machnął ręką.

– Nieważne, kochanie – powiedział, szczerząc w uśmiechu spróchniałe zęby. – Grunt, że ja rozumiem już wszystko.

\*

Zatrzymali go przy bramie.

Nie spodziewał się kłopotów. Był, do kurwy nędzy, komendantem i miał swoje prawa. Podał strażnikowi dokumenty. Ten przejrzał je pobieżnie. Później wyrzucił je przez lewe ramię.

– Co to ma znaczyć? – spytał lodowato Kasharp.

– Prawdopodobnie, że jest pan aresztowany – odrzekł obojętnie strażnik. – Borgon!

Towarzysz strażnika skinął głową i wycelował ostrze halabardy w komendanta. Pierwszy z mężczyzn potarł nos.

– Dzisiaj z rozkazu marszałka wpisano pana na czarną listę – poinformował usłużnie. – Na bramie stoją kusznicy. Dlatego sprawdzamy podróżnych kilka kroków od brony, żeby mieli lepszy cel. Taka, kurwa, ciekawostka. Cholera, jestem przeziębiony. Niech pan odda broń, komendancie. Załatwmy to polubownie.

Noc Kasharp spędził w areszcie straży miejskiej, paląc fajkę, o którą poprosił. Wiedział, co go czeka. Siedział na drewnianej pryczy, wpatrywał się w świecę płonąca naprzeciwko wejścia do jego celi i czekał cierpliwie.

Przyszli pomiędzy szóstą a siódmą. Strażnicy w szarych płaszczach miejskiej straży podnieśli go na nogi i wyprowadzili z celi na wąski, ciemny korytarz. Wciąż trzymał w zębach fajkę.

– Wypadałoby dać mi chociaż śniadanie – warknął.

Głos mu drżał. Był żołnierzem, ale i tak bał się śmierci.

Wypchnęli go na ulicę. Było chłodno i szaro. Kasharpa wsadzono na wóz drabiniasty. Dwóch strażników wsiadło razem z nim, kolejny obok woźnicy, pięciu stanowiło pieszą obstawę. Z tyłu, konno, jechało trzech kolejnych. Ślimaczym

tempem ruszyli na główny plac.

Kasharp naciągnął na głowę kaptur czarnego płaszcza. Dopalił fajkę.

– Czyja? – spytał.

Siedzący na koźle strażnik odwrócił się. To był przeziębiony żartowniś spod bramy.

– Moja – powiedział, wyciągając wyczekująco rękę.

Kasharp uśmiechnął się i wyrzucił fajkę na ulicę. Nadepnął na nią koń jednego ze strażników.

– Pierdolony skurwysyn – warknął żartowniś.

Wyjechali na główną ulicę i wóz otoczyli gapie. Strażnicy dobyli batów i trzaskali rzemieniami nad głowami ludzi.

– Z drogi! – wrzeszczeli.

Kasharp myślał, że zebrała się hołota, ale w zbieraniu wściekłych ludzi dostrzegł bogato ubranych mieszczan i eleganckie kobiety. *Znów okupują pałac*, pomyślał Kasharp. *Pewnie podniesiono podatki.*

Na rynku też zebrało się sporo ludzi, jak na tak wczesną porę.

– Powrót mężów! Powrót mężów! – skandowała grupa kobiet.

– Złodzieje!

– Mordercy!

Jakiś chłopak dopadł do wozu.

– Powiesiłeś mi brata, skurwielu! Powiesiłeś mi brata!

Jeden ze strażników kopnął go w twarz. Chrupnęła kość i dzieciak zalał się krwią. To skutecznie ostudziło jego zapał.

Kasharp odwrócił głowę od tłumu i spojrział na wzniesiony pośrodku placu szafot. Kat – kapłan Saali, bogini śmierci, przybrany w czerwoną szatę – siedział na pieńku i ostrzył topór. Na twarzy nosił białą maskę, skrzywioną w irytująco radosnym uśmiechu. Czarne włosy miał splecione w opadający do pasa warkocz.

Wóz zatrzymał się przed szafotem.

– Dobra, idziemy – mruknął przeziębiony, pociągając nosem. – Miejmy to z głowy.

Strażnicy wstali na nogi. Wypchnęli Kasharpa z wozu, otoczyli go szczelnym kordonem i poprowadzili na szafot.

Kasharp wkroczył na krzywe schodki i powoli wszedł na szafot. Kolana miał miękkie. Czuł przyspieszone bicie własnego serca. Dudniło mu w uszach. Kat wstał, oparł topór na ramieniu i cofnął się kilka kroków.

Strażnicy pchnęli Kasharpa na kolana. Popatrzył na zgromadzonych. Nie widział innych komendantów, ani milicjantów, ani żadnej znajomej twarzy. Nawet

protestująca, wściekła, nic nierozumiejąca hołota, nie była nim szczególnie zainteresowana. Niektórzy spoglądali na szafot, ale inni wykrzykiwali swoje hasła albo obrzucali pałacowy mur zgniłymi warzywami.

– Ostatnie słowa? – spytał kat. *Dlaczego mi się nie udało? Skąd marszałek wiedział, że ucieknę? Czyżby odgadł, gdy nie oddałem mu dokumentów osobiście?*

– Głupiec ze mnie – powiedział cicho Kasharp.

Kat wzruszył ramionami.

Komendant położył głowę na pieńku i zamknął oczy.

Kat uniósł topór nad głowę, a później opuścił go ze świstem. Cięcie przeszło przez kręgi szyjne, rozpruło tętnicę i tchawicę. Strażnicy podeszli, by podnieść ciało.

– Nie – powiedział ostro kapłan.

Przymierzył się ponownie i uderzył. Ostrze zagłębiło się w przesiąknięty krwią pniak. Kat wyrwał je, otarł białą rękawiczką, po czym skinął przyzwalająco głową.

## VII

Aladon siedział na ławie i drapał pod brodą Złociutką, która przytuliła się do niego mokrym, cuchnącym cielskiem. Łapa i Kiel leżeli przy jego stopach.

Po drugiej stronie stołu piechociarz w czarnej przesywnicy osuszał już czwarty kufel mocnego, kahrańskiego piwa. Na ramionach nosił dwie belki i gwiazdę porucznika. Potarł zapuchnięte oczy.

– W młodości popierałem Itonokę – wymamrotał, przesuwając dłonią po krótkich, siwych włosach. – Dawno temu, więc chuj mnie w sumie obchodzi, co się z nim, kurwa, stało. Wtedy, co zamordował tę swoją pannę... ja nie wierzę, że to go niby wrobili w to, gównu, kurwa, prawda... to wtedy już wiedziałem, co to za typ. Dobrze, że nie żyje. – Beknął. – Panie rotmistrzu, panu powiem, znaczy się – poprawił.

– Mniejsza o formalności – powiedział z uśmiechem Aladon. – Napij się jeszcze, panie Ulrek.

Dolał do kufła piechura piwa z glinianego dzbanka.

– Dzięki wielkie, panie rotmistrzu – odrzekł ten i pociągnął ogromny łyk, aż piana pociekła po pokrytej szarym zarostem brodzie. – Jak usłyszałem o tych czystkach i że mojego rotmistrza, co też kiedyś, za starym Itonoką był, powiesili, to pomyślałem: „O nie, kurwa, tak nie będzie”. Wziąłem dziesiątkę i dupę w troki, bo co miałem zrobić? – Czknął głośno. Oparł ciężko głowę na ręce. – Boli mnie to jak cholera, panie rotmistrzu. Jak cholera. Bo ja jestem uczciwy żołnierz i całe, kurwa, życie... tyle mam blizn, że nawet nie policzę. – Popatrzył na swoje dłonie, zakrzywione w szpony. – To wszystko dla Kahru. A oni mnie chcieli powiesić.

Nawet nie głowę ściąć jak żołnierzowi. – Głos mu się załamał, twarz wykrzywił grymas, w oczach pojawiły się łzy. – Powiesić! – ryknął i walnął w stół.

Złociutka warknęła cicho, ale Aladon poklepał ją uspokajająco po żebrach.

– Ja pana rozumiem – zapewnił. – Też całe życie byłem wierny. Nienawidzę zdrady, zdrajców, ich wszystkich powinno się powywieszać. – Machnął ręką. – Ale później usłyszałem o królowej. I musiałem sprawdzić, czy to wszystko... te dziwne wiadomości, o których pewnie pan słyszał, te powiązania z Geshwankami i tak dalej, i tak dalej... chciałem zobaczyć na własne oczy, czy to prawda.

Porucznik Ulrek zwrócił na niego wilgotne, czerwone od alkoholu oczy.

– I? – spytał łakomie. – Czy to prawda, panie rotmistrzu? Niech mi pan powie, czy to prawda, czy może pozostało mi już tylko przebić się własnym mieczem?

Aladon potarł skronie. *Prawda? Skąd mam wiedzieć, do cholery?*, zastanawiał się. *Cała ta historia jest naciągana, nierzeczywista, poparta dowodami i słowem komendanta Maghara. Tylko czy cokolwiek z tego ma jakąś wartość?*

– Tak – powiedział cicho. – To prawda. *Służysz jej. Nie masz innego wyboru niż wiara w słuszność jej sprawy.* Dlaczego w takim razie czuł się jak kłamca?

– I jak to jest? – dociekał Ulrek. – W sensie, na służbie u tej, znaczy się, królowej? Rozumie pan rotmistrz, od lat nie mieliśmy żadnej...

*Skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?*, pomyślał kpiąco Aladon. *Byłem w tym cholernym mieście trochę ponad dobę, zanim Ren Maghar kazał zbierać mi się do drogi. Nawet otarcia na dupie mi się nie zdążyły wygoić.*

– Jest... – zaczął.

Nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się siedzący obok, nieźle nawalony Huwar:

– Jak weźmie cię, stary, w obroty, tak jak pana komendanta, to będziesz zadowolony!

Aladon, który też słyszał od oberszter Tanegar trochę interesujących plotek na temat Maghara i królowej, nie mógł się powstrzymać. Zaczął rechotać razem z Huwarem, którego własny żart rozbawił tak, że opluł stół. Yanderon, zajmujący miejsce obok Ulreka, uniósł lekko brwi i wskazał brodą coś za plecami Aladona.

– Panie rotmistrzu – mruknął.

Aladon obejrzał się, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha. Dwa kroki za nim stał na szeroko rozstawionych nogach Maghar. Na jego ramieniu siedział tłusty szczur z pogryzionymi uszami. Psy szczerzyły na komendanta zęby, wystawiając łby spod ławy.

– Cieszę się, że humor dopisuje – powiedział cierpko Maghar. – Ale radziłbym uważać na dobór żartów.

Aladon odchrząknął.

– Tak jest, panie komendancie – mruknął. – Przepraszamy.

Maghar odszedł do małego stolika, odgradzonego od reszty izby cienką, drewnianą ścianą.

– Mógłby kiedyś wyrzucić ten wielki, sztywny kij, który połknął w młodości – stwierdził pogardliwie Aladon.

Huwar znów ryknął śmiechem, plując na stół i Yanderona piwem. Ten zrobił taką minę, że rotmistrz nie mógł się powstrzymać. Zaczął rechotać.

Kiedy wyjeżdżał wraz z Magharem z miasta, nie spodziewał się tak łatwej i przyjemnej podróży do Czarnogrodu. Jechali traktem, biegnącym z Gniazda na południowy wschód i wiodącym prosto do celu. Za ledwie przekroczyli most na Strzelistej i granicę Państwa Sinych Wzgórz, spotkali zmierzającą w przeciwnym kierunku kompanię milicji. Zarówno Aladon, jak i Maghar, znali dowodzącego nią kapitana, który uciekał wraz z podwładnymi przed „czystką Lekthry’ego”. Później regularnie natrafiali na większe i mniejsze grupki złożone z żołnierzy najróżniejszych formacji. Najwięcej było milicjantów, ale nie brakowało też piechurów, a nawet kawalerzystów. Nie natknęli się chyba tylko na łuczniczki i marynarzy. Wszyscy walili do Gniazda, wypytywali, indagowali, machali świstkami papierów, opowiadali o piszących myszach. Cała ta hałastrą, pozbawiona nagle oparcia w naczelnym dowództwie, zagubiona, zaszczuta, rozpaczliwie szukała kogoś, kto zechciałby dostrzec w nich wojsko, dumę Kahru. Gotowi byłiby paść przed królową na twarze w zamian za kilka słów, które przypomniałyby im o żołnierskim honorze oraz wskazały nowy cel. *Mam tylko nadzieję, że królowa jest dość inteligentna, by dać im to wszystko*, myślał nieco niespokojnie Aladon. Ren Maghar wydawał się szczerze przekonany, że jego pani da sobie radę z tymi bandami, ale rotmistrz równie szczerze powątpiewał, czy komendant potrafi ocenić sytuację obiektywnie. Prawda była taka, że jeżeli masa uciekinierów ujrzy w Keytari swoją królową, wojna o tron będzie wygrana. W przeciwnym razie wojsko zrobi z Gniazdem i białą władczynią to, dzięki czemu zdobyło w świecie ponurą sławę.

Poza tym, że byli traktowani jako źródło interesujących i wiarygodnych informacji, spali w całkiem przyzwoitych warunkach. Ciągący traktem uciekinierzy przeciągnęli załogi przydrożnych stanic na swoją stronę albo wyróżnili te mniej przychylnie bandom o podejrzanym lojalności. Niektóre stały opuszczone, w innych nocowali dezertery, z reguły przyjaźnie nastawieni do ciągnącej z Gniazda roty. Prawie co wieczór mogli się napić i przekąsić coś w garkuchniach w towarzystwie żołnierzy, którzy traktowali ich jak swoich. Poza tym spali na siennikach lub nawet piętrowych pryczach, co było o wiele lepsze niż posłania z koców na wilgotnej ziemi.

Myśląc o tym wszystkim, Aladon przez chwilę nawet nie słyszał, że Yanderon go woła:

– Rotmistrzu! Panie rotmistrzu!

Aladon ocknął się z zamyślenia. Yanderon wskazał Złociutką, która śliniła się rotmistrzowi na czarną nogawkę munduru.

– Cholera jasna – warknął Aladon, odpychając psa. Dopił piwo z dna kufła i wstał z ławy. – Idę się położyć. Jutro o siódmej ruszamy.

– Rozumie się – zapewnił Yanderon.

Rotmistrz wstał, podniósł płaszcz rzucony niedbale na ławę i zarzucił go na ramiona. Psy pobiegły za nim, potrącając stół. Gdy Aladon dotarł do drzwi, zerknął w kąt zajęty przez Maghara. Komendant sączył piwo z kufła, wbijając wzrok prosto przed siebie, a szczur dojadł z jego talerza resztki odsmażanych ziemniaków.

Aladon wyszedł w chłodną noc i ruszył przez plac do piętrowego budynku naprzeciwko garkuchni. W ciemności majaczyła otaczająca stanicę palisada. Znajdowali się na nizinie, w dodatku dość daleko na południu, więc śnieg zdążył już tutaj stopnieć. Na wschodzie gromadziły się chmury *Za kilka dni zacznie się miesiąc powodzi, to już najwyższa pora na wiosenne wichury*, pomyślał Aladon.

– Rotmistrzu!

Odwrócił się. Ku niemu szedł Huwar.

– Słucham – rzucił Aladon.

Porucznik zatrzymał się przed nim i podrapał po porośniętej czarnej szczecina brodzie.

– Już dawno chciałem pana zapytać... Czy panu się nie wydaje, że ta kobieta opętała komendanta?

Aladon popatrzył na niego bez zrozumienia. Potrzebował chwili, by skojarzyć fakty.

– Mówisz o królowej? – upewnił się.

– Tak – potwierdził Huwar. – O królowej i komendancie Magharze. On zrobi wszystko, cokolwiek mu każe. Przepraszam, że tak powiem, ale komendant jest... zupełnie bezkrytyczny. Jak marionetka pozbawiona własnej woli. Nawet tutaj, tak daleko od Gniazda, on wciąż sprawia wrażenie, jakby królowa wisiała nad nim z batem.

– Myślę, Huwar, że to się nazywa „lojalność” – powiedział ze znużeniem Aladon.

– Tak, ale...

– Wiesz, to mnie nie interesuje. Czy z nią sypia, czy ją kocha, czy skoczy dla niej w ogień. Wszystko wskazuje na to, że ta kobieta naprawdę jest królową i w takim

razie my też musimy jej służyć. – Westchnął. – Zamknij usta. Wiesz, co sędzę o zdradzie.

– Tak – przyznał Huwar.

– Przyjechaliśmy aż do Gniazda, by przekonać się, czy ta królowa i jej powiązania z Geshwankami to prawda. Zdecydowałem się na to tym bardziej, że cała sprawa miała związek z komendantem Magharem, a on zawsze był niezachwianie lojalny. Dotarliśmy tam i przekonałem się, że podjąłem słuszną decyzję. Teraz muszę służyć prawowitej władczyni Kahru.

– Tak, rotmistrzu, ale mi zupełnie nie o to chodzi – powiedział cicho, niemal rozpaczliwie Huwar.

– Wiem. – Aladon potarł twarz. Poczul się bardzo zmęczony. – Mnie również nie podoba się ta absolutna zależność komendanta od królowej i jego poddańcza postawa, ale może to tylko nasze uprzedzenia? – Wyszczrzył zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu. – W końcu my, wojskowi, jesteśmy właśnie tacy: poddańczy i ślepo ofiarni wobec króla i wyższych oficerów, więc w czym ona jest gorsza? Poza faktem, że jest kobietą?

– Wydaje mi się, rotmistrzu, że jest jakiś powód, dla którego od wielu lat królowie nie zawierali małżeństw i dla którego w wyborach jeszcze nigdy nie wybrano na władczynię kobiety – stwierdził z powątpiewaniem Huwar.

– Ale ja widzę ten powód – zaprotestował Aladon. – Miałeś go przed nosem, Huwar.

– Nie rozumiem, rotmistrzu.

– Widziałeś Gniazdo. Widziałeś nową bramę, smoka, mieszczan, którzy nawet nie bekną o buncie, racjonowanie żywności, uporządkowane gruzы i domy w odbudowie. – Aladon zatoczył ręką łuk. – A teraz popatrz wokół siebie i powiedz mi, co widzisz. Bo ja widzę jeden wielki rozpierdol. A teraz powiedz mi, którego z władców bardziej się boisz i który będzie cię trzymał na krótszej smyczy. – Umilkł na chwilę. Gdy nie doczekał się odpowiedzi, ciągnął: – Zgadza się, że komendant Maghar jest zaślepiony uwielbieniem dla królowej, ale przynajmniej dobrze to uwielbienie ukierunkował.

\*

Wieczorny chłód dawał się we znaki, płaszcze nasiąkały siekącym okrutnie deszczem. Po pociemniałym niebie przebiegały zygzaki błyskawic. Gromy echem przetaczały się po nizinie, płosząc konie. Jezioro, na brzegu którego wzniesiono Czarnogród, dosłownie się wściekło. Zbudowany z drewna system rur, pobierających z niego wodę, trzeszczał i skrzypiał. Ciemne wody akwenu pieniały się, rosły, huczały. Rozlewały się po zielonych pastwiskach wokół, wdzierały przez



niską palisadę na ulice miasta.

Maghar, z trudem panujący nad przerażonym koniem, zatrzymał się przed zamkniętą na głucho bramą.

– Kurwa mać! – zaklął.

Smrodek wyjrzał trwożliwie spod jego płaszcza i zaraz wrócił do wewnętrznej kieszeni na piersi.

Do komendanta podjechał Aladon.

– Huwar, wal w furtę! – rozkazał, przekrzykując ryk wiatru i wszechobecny plusk deszczu.

– Tak jest! – odrzekł porucznik.

Zeskoczył z konia, pociągnął go pod łuk bramy i wielką kołatką zaczął rąbać w boczną furtę. Otworzyło się małe okienko, przez które wyjrzał strażnik.

– Wynosić się! – rozkazał ochryple. – Nie chcemy tu żadnych band dezerterów!

– Otwieraj w imieniu królowej! – polecił Huwar.

– Niech się pieprzy!

Strażnik zatrzasnął zasłonę.

– Kurwa mać – warknął Aladon. Odwrócił się do Maghara. – Co teraz?

Komendant westchnął i potarł czoło.

– Może po prostu sprawdźcie, jak mocna jest ta furtka? – zaproponował.

Aladon uśmiechnął się i spojrzał znacząco na Huwara.

– Reghar, Borven, do mnie! – zawołał porucznik.

Dwóch wielkich drabów zeskoczyło z koni. Jeden był niski, ze szkarłatnym, byczym karkiem. Drugi nosił włosy splecione w długi warkocz, a rękawy mundurów miał podwinięte na potężne bicepsy. Huwar usunął się im z drogi.

Ten z bicepsami pochylił się nad zamkiem, a później wyprostował i kopnął w odrzwia nogą w ciężkim buciorze. Rozległ się trzask drewna. Żołnierz poprawił jeszcze kilka razy, aż w końcu zasuwa furty puściła i drzwi odskoczyły z trzaskiem, ukazując przejście, w którym stało dwóch strażników. Nastawili halabardy, ale ludzie Maghara mieli przewagę liczebną. Jeden został zadraśnięty w policzek, drugiemu strażnik przebił ramię, zdołali jednak ich rozbroić. Pchnęli pokonanych w kierunku ścian, prawie wbijając ich twarze w kamienie i wykręcając ręce do tyłu.

Maghar zeskoczył z konia, podał wodze Aladonowi i sam wszedł przez furtę.

– Który z was obraził królową? – spytał rozbrojonych.

– On – wychrypiał jeden ze strażników, drżącym palcem wskazując towarzysza.

Maghar skinął głową.

– Poderżnijcie mu gardło – polecił.

Huwar wyszczerzył zęby i wyciągnął z buta nóż. Zerknął jeszcze na Aladona,

który wzruszył ramionami.

– Nie – jęknął strażnik. – Nie, błagam.

– Zmieniłem zdanie – powiedział nagle Maghar. – Przypilnujcie tego drugiego, niech otworzy bramę. Poruczniku, niech pan naszemu drogiemu przyjacielowi zostawi jakąś ładną pamiątkę.

– To nawet lepsze, panie komendancie – stwierdził Huwar z aprobatą.

Chwycił pewniej ostrze, odwrócił do siebie strażnika, ujął go pod brodę i przycisnął ostrze do czoła. Zaczął ryc w skórze znak. Krew ściekła do oczu okaleczonego mężczyzny, z jego gardła wydobył się piskliwy wrzask.

Huwar dokończył i cofnął się.

– Ładnie – pochwalił Aladon, zaglądając przez wywalone drzwi. – Bardzo pomysłowe. Nigdy nie wpadłbym na to, żeby wyryc komuś na czole kutasa.

Wrócili żołnierze, popychający przed sobą drugiego strażnika.

– Brama otwarta, komendancie – zameldował jeden z nich.

– Jedziemy – rzucił Maghar. – Rotmistrz, proszę wyznaczyć czterech ludzi do pilnowania bramy. Nasi drodzy przyjaciele pójdą z nami.

Wsiedli z powrotem na konie i wjechali na główną ulicę miasta. Kiedy przejeżdżali kłusem przez ulice, a tętent kopyt na mokrym bruku niósł się wśród plusku deszczu, huku jeziora i grzmotów, mieszczanie wyglądali z obawą przez okna. Czarnogród był małym, robotniczym miastem, zdominowanym przez wielką hutę stali, wznoszącą się nad nim jak ponure widmo. W nędznych, podłużnych domach zamieszkiwali robotnicy. Stacjonowały tu, z tego co wiedział Maghar, trzy kompanie.

Dotarli na rynek, gdzie stało wody po kostki, i zatrzymali wierzchowce. Mężczyzna skinięciem ręki wezwał do siebie przerażonych strażników.

– Gdzie tutejsze wojska? – spytał nieszczęśników otoczonych przez ostrza wykierowanych w nich mieczy. – I dowódca?

– Została jedna rota, panie komendancie – wymamrotał strażnik, który przedtem wsypał swojego kolegę. – Zaszyli się w hucie.

– I komu są wierni?

– Królowi – odrzekł okaleczony strażnik. – Żadnej brudnej kurwie.

– Może wyrwę mu język? – zaproponował Huwar.

– Nie – uciął Maghar. – Gdzie mieszka właściciel huty?

– W tym wielkim domu – odpowiedział kapuś, wyciągając rękę w kierunku trzypiętrowego budynku, który Maghar wziął za ratusz.

– To wierny człowiek króla – dodał okaleczony.

– Czy ty też jesteś wiernym człowiekiem króla? – spytał komendant, spoglądając

na niego.

Strażnik pobladł. Woda przykleiła mu włosy do twarzy, zmywała krew z czoła, ściekała po szarym płaszczu miejskiej straży, ale mimo to mężczyzna wyprostował się dumnie i odrzekł:

– Tak.

– Uwolnijcie go od naszego zdradzieckiego towarzystwa – polecił Maghar.

– Largan! – zawołał Huwar.

Jedna z nielicznych kobiet w rocie, z małą kuszą na plecach, zeskoczyła z konia i uniosła broń. Bełt ze świstem przeciął powietrze i wbił się w pokrwawione czoło piechura. Nogi ugięły się pod zabitym, okręcił się niezdarnie i upadł.

Maghar spojrział z góry na zwłoki. *On naprawdę był wierny, a to my jesteśmy zdrajcami*, zdał sobie sprawę. Zgubił się we własnych kłamstwach do tego stopnia, że zapominał czasami, co jest fikcją, a co faktem. *Jeśli zwyciężymy, historia stwierdzi inaczej, ale prawda przecież jest jedna. A ja nie walczę po jej stronie.*

– Komendancie? – spytał Aladon, a w jego głosie zabrzmiała nutka podejrzenia. *Roseulus i Geshwank. Stałem się zdrajcą już dawno. Trzeba się ogarnąć, albo wszyscy zginiemy*, skarcił się ostro Maghar.

Kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał martwo i cynicznie:

– Złożmy wizytę najbogatszemu człowiekowi w Kahrze.

Aladon znów się uśmiechnął. Podjechali całą rotą do drzwi kamienicy. Maghar zeskoczył z konia, a rotmistrz i jego porucznicy poszli w jego ślady. Gdy stanęli pod daszkiem nad drzwiami, Smrodek wyszedł wreszcie spod płaszcza komendanta i usiadł na ramieniu.

Maghar zastukał kołatką w pokryte złotą emalią drzwi. Odczekał chwilę i zapukał ponownie. Dopiero za trzecim razem klamka poruszyła się, a odrzwia uchyliły, na ile pozwalał założony na nie łańcuch. W szparze błysnęło wielkie, zielone oko, z pewnością należące do kobiety.

– Tak? – rozległ się cichutki głosik.

– Ren Maghar herbu Wściekły Pies, adiutant Jej Wysokości Królowej Keytari Geshwank herbu Płonące Drzewo – przedstawił się Maghar. – Przyjeżdżam z daleka i chciałbym porozmawiać z właścicielem tego domu.

– Nie... – zaczął ocalały strażnik, ale jeden z pilnujących go ludzi pokazał mu wielki nóż.

– Ja... zapytam – powiedziała cicho kobieta. – Proszę, raczcie zaczekać, panie.

– Tylko szybko.

Drzwi znów się zamknęły. Maghar cofnął się spod wiaty, by spojrzeć w górę. W jednym z pomieszczeń zapalono świecę, której blask przesączał się przez szpary w

grubych kotarach. Deszcz zelżał nieco. Ostatni, odległy grom przetoczył się po niebie.

Po kilkunastu minutach drzwi otworzyły się na pełną szerokość. Właścicielką zielonych oczu okazała się dziewczyna o charakterystycznej, niebieskiej skórze Rybnych i drobnym ciele, okrytym jedwabnym, brązowym szlafrokiem. *W tym domu nawet służący noszą jedwabie*, pomyślał Maghar, gdy Rybna rzuciła nieśmiało:

- Proszę, panie, wejdźcie.
- Idę sam – rzucił Maghar. – Uważajcie na wszystko.
- Jest pan pewien, komendancie? – zaniepokoił się Aladon.
- Tak sędzę – odrzekł Maghar.

Wszedł w ciemny korytarz. Służąca zamknęła drzwi. Ujęła go delikatnie za rękę. Skórę miała gładką i miękką.

- Proszę za mną – szepnęła. – Przepraszam, nie wzięłam lampy.

Pociągnęła go przez pachnący naftaliną oraz kurzem mrok i otworzyła drzwi. Dla odmiany to pomieszczenie oświetlono czterema olejnymi lampami, stojącymi na masywnym, misternie rzeźbionym stole. Na wielkim krześle u jego szczytu rozparł się podstarzały Kahrańczyk. Mimo posiwiałych skroni prezentował się dobrze – szczupły, w wyszywanym złotem i srebrem szlafroku, ze złotymi pierścieniami na palcach, krótko obciętymi włosami oraz lekkim zarostem na twarzy. Stłumił ziewnięcie i wstał na powitanie gościa. Był o głowę niższy od Maghara. Wyciągnął do niego rękę.

- Pan komendant? – domyślił się. – Jestem Terrarin Furwar.
- Owszem – odrzekł Maghar, ściskając jego dziwnie delikatną dłoń.
- Spodziewałem się, że wpadnie pan tutaj razem z oddziałem, który zacznie wywracać mój dom do góry nogami.

Smrodek węszył zajadle w powietrzu. Przebiegł na drugie ramię Maghara i ugryzł go lekko w ucho. Komendant zerknął przelotnie na gryzonia, który wyciągnął się na jego ramieniu, kołysząc głową w stronę długiej kotary, zasłaniającej okno.

- Miałem nadzieję na rozmowę o interesach, przebiegającą w przyjaznej atmosferze – odrzekł Maghar, znacząco wbijając wzrok we wskazaną kotarę.

Furwar patrzył na Smrodka z lekkim uśmiechem.

- Cóż za zmyślne stworzenie – powiedział łagodnie. – El, możesz odejść – rzucił przez ramię.

Zza zasłony wyszedł potężny mężczyzna z gołą, naoliwioną klatką piersiową. W rękę trzymał brzeszczot. Skłonił się i bez słowa opuścił pomieszczenie.

- Panie... – przemówiła cicho Rybna.

– Zamknij te swoje niewyparzone usteczka, Nila – polecił łagodnie Furwar. – Przyniesz nam lepiej coś do picia. Może sammańskie?

– Nie sammańskie, jeśli można prosić – rzucił ostro Maghar.

Furwar wydawał się zaskoczony jego niegrzecznym tonem, ale skinął głową.

– Mogę zaproponować jeszcze aromatyczne z Krav albo północny miód pitny.

– To pierwsze – poprosił Maghar, który nie miał pojęcia, gdzie leży Krav.

Furwar dał Nili znak i wskazał gościowi krzesło naprzeciwko swojego. Maghar powiesił ociekający wodą płaszcz na oparciu, odpiął pas z mieczem, położył broń na stół i usiadł. Smrodek natychmiast ulokował się na jego kolanach.

– Słucham – powiedział Furwar. – W czym rzecz?

– Królowa potrzebuje pańskiej pomocy.

Mężczyzna uniósł smukłą dłoń o długich palcach.

– Nie udzielam pomocy politykom – powiedział. – Jestem przedsiębiorcą, nie fundatorem.

Maghar uśmiechnął się blado.

– Powiem panu wprost – rzucił. – Nie mamy pieniędzy. Jedyne, czym mogę tu kupić, to obietnice, które zostaną spełnione, kiedy zwyciężymy.

– O ile zwyciężycie, co wobec najazdu Dzieci Ognia nie jest takie pewne – odrzekł z szerokim, bardzo nieszczerym uśmiechem Furwar.

Nila przyniosła dzban wina i tacę z dwoma kielichami. Postawiła jeden przed gospodarzem, napełniła go po brzeg, po czym podeszła do Maghara. Kiedy naczynie było w połowie pełne, dał jej znak, że wystarczy. Nila odeszła w ciemny kąt, gdzie usiadła na niskim zydłu. Opadła poła jej szlafroka, obnażając smukłą nogę z nożem przytroczonym do uda. Dziewczyna pospiesznie poprawiła ubranie.

– Armia Dzieci Ognia jest gorzej wyszkolona niż kahrańska – odrzekł Maghar, który nie dał poznać, że cokolwiek zauważył.

– Ale lepiej uzbrojona – odpowiedział Furwar. – Może brzmi to dziwnie w moich ustach, zważywszy, że to ja dostarczam wam pancerze i broń – przyznał. – Za czasów Jego Wysokości Geshwanka moi inżynierowie zaczęli prace nad skonstruowaniem czegoś podobnego do broni ognistej, ale niestety król szybko zginął, a tym samym ustały jego hojne datki. – Popatrzył znacząco na Maghara. – Lekthry nie inwestuje w podobne rzeczy. – Przekrzywił głowę. – Czy pańska królowa chce dać mi pieniądze na opracowywanie lepszej broni? To nawet mogłoby mnie przekonać.

– Nie – odrzekł Maghar.

Gospodarz upił łyk wina.

– Szkoda – przyznał z żalem.

Maghar wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcz pomięte schematy i pchnął je po gładkim blacie do Furwara. Ten z zaskoczeniem ujął papier, rozprostował go i spojrział. Odstawił gwałtownie kielich i zbliżył kartkę do światła.

– Bogowie – szepnął.

– Moja królowa oferuje panu to samo, co poprzedni władcy. Wyłącznie na dostawy broni dla kahrańskiego wojska. Głównie tej broni – zaznaczył Maghar. – Ale na pierwszą partię musi nam pan dać kredyt zaufania.

Furwar znów siorbnął wina i Maghar uznał, że może się już bezpiecznie napić. Czuł niezwykle napięcie. Mógł z łatwością wyobrazić sobie jak siedzący przed nim człowiek zastanawia się, rachuje – wydatki na ludzi, zawieszenie innych zamówień, zużycie rudy z magazynów kontra potencjalne, ale przecież ogromne zyski z uzbrojenia całej kahrańskiej armii w nową broń.

– Ile? – spytał wreszcie ochryłym głosem Fuwar.

– Około pół tysiąca sztuk i to jak najszybciej, najlepiej w przeciągu trzech miesięcy.

– To będzie trudne – stwierdził Furwar z namysłem. – Ale jak dla mnie, umowa stoi – powiedział, rzucając schematy na stół. – Jest jednak tylko jeden mały problem. – Uśmiechnął się smętnie. – Co prawda większość miejskiego garnizonu zdezerterowała, ale został tu pewien irytujący rotmistrz, który zajął moją hutę. Dowódcą straży miejskiej jest mój brat, niemniej to ledwie pięćset osób, w dodatku kiepsko wyszkolonych.

– Myślę, że poradzimy sobie z tym problemem – odrzekł matowym głosem Maghar. *Zabijając jeszcze trochę wiernych żołnierzy Kahru*, dodał w myślach.

## VIII

Gdy przyjemny, melodyjny głos SroAretha ucichł, nic już nie zakłócało spokoju nocy. Radirzjan Maghar spoczywał na leżance w ciemnym pokoju, śpiąc z obślinioną piąstką w ustach. Siedząca na krześle przy kominku Keytari też zdawała się drzemać. SroAreth wstał, podszedł do kobiety i położył dłoń na jej ramieniu.

Szczurza Pani ocknęła się gwałtownie.

– Powinnaś więcej spać – wyszeptał Mówca.

– Nie mam czasu spać – odrzekła oschle kobieta. Westchnęła ciężko i wstała z krzesła. – Opowiadasz strasznie nudne bajki.

– Wątpię, aby Rad chciał słuchać o rozlewie krwi – powiedział z rozbawieniem SroAreth. – Naoglądał się dosyć okropieństw.

– Dajmy mu spokój – mruknęła Keytari i ruszyła do drzwi.

SroAreth poszedł za nią. Gdy znaleźli się na korytarzu, spytał:

– Co z Khale?

Keytari ziewnęła.

– Nie wiem, szczerze mówiąc. Właśnie miałam iść do Luvika i zapytać.

– Jest już ciemno, Keytari, a całe miasto roi się teraz od obcych ludzi – przypomniał SroAreth, gdy wyszli na krużganek.

– Tak. – Szczurza Pani oparła się ciężko o poręcz. – Masz rację. Wyślę szpiega. Co tam? – rzuciła w dół.

SroAreth podszedł do barierki. Dojrzał w holu oberszter – a właściwie teraz już komendant, jeśli brać pod uwagę tytuły nadawane przez Keytari – Tanegar w ociekającym zimnym deszczem płaszczu.

– Przynoszę dzisiejszy raport – odrzekła oficer. – W miesiąc przybyło nam jakieś dziesięć tysięcy żołnierzy, nie mamy gdzie ich kwaterować, a wciąż napływają nowi.

– Nawet nie marzyłam o tak dobrej wiadomości – stwierdziła Keytari. – Kontroluje to pani jakoś?

– Mamy masę oficerów, lepszych i gorszych – odpowiedziała Tanegar. Weszła na schody. – Wstępnie podzieliłam wszystkich na trzy regimenty. Jednym dowodzę ja, drugim oberszter Fingard z piechoty. To człowiek godny zaufania.

– Świetnie – stwierdziła Keytari. – Kto dowodzi trzecim?

– Oberszter Velendi z milicji.

– A co z pozostałymi pani siłami? Tymi, które stacjonują w Podgrzybkach?

Tanegar dotarła już na krużganek. Stała przed królową. Spod płaszcza wyzierał jej czarny mundur.

– Według polecenia Waszej Wysokości posłałam do nich kuriera. Moja zastępczyni przejęła nad nimi dowodzenie i oddelegowała oddziały w różne miejsca kraju, by utrzymywały porządek.

– Wspaniale – powiedziała Keytari. – Teraz muszę was przeprosić. Naprawdę potrzebuję odpoczynku.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – zapewniła Tanegar.

SroAreth skłonił głowę. Patrzył, jak Szczurza Pani odchodzi do sypialni.

– Dobrze, że niektórzy przywieźli własne zapasy – mruknęła Tanegar. – Kurwa, jeżeli się nie pospieszymy, będzie źle. Nie mamy na żołąd ani wyżywienie.

*Jacy oni są zaślepieni własnym pragmatyzmem*, pomyślał z irytacją SroAreth.

– Ci wszyscy żołnierze nie przyszli tu po żołąd i wyżywienie – powiedział łagodnie. – Przepraszam. – I skierował się do swojej ciemnej, zakurzonej samotni.

\*

Keytari leżała na łóżku wpatrzona w sufit, z Psem zwiniętym w kłębek na brzuchu. Jej rozszczepiona między setki szczurzych szpiegów jaźń pełna była myśli, widoków, odczuć, wspomnień z przeszłości i teraźniejszości. Masa danych spływała

z tysięcy źródeł do niej, do ogniska złożonej sieci, jej władczyni i rządcy. Tylko Pies był jak zawsze mroczną, pozbawioną dna studnią; gniewną, ale cierpliwą.

W mieście żołnierze zajęli domy i korzystali pełnymi garściami z „dobrowolnej” gościny Skalniaków, którzy przyjęli ich pod dachy. Gospodarze chronili ze wszystkich sił córki i żony, obecnie także swój cały dobytek. Jedyne, co mogli zaoferować gościom, to kawałek podłogi do spania. Miejsca w mieście, tak czy inaczej, szybko zabrakło, więc pod murami rozłożyło się ogromne obozowisko uchodźców.

Żywność wciąż była racjonowana. Zapasy przybyłych oddziałów zarekwirovano do miejskiego spichlerza. Pod nowo zbudowaną świątynią Pierzastego Węża codziennie wydzielano głodowe racje zarówno mieszczanom, jak i żołnierzom.

Jeden ze szcurów obserwował właśnie scenę w mieszczańskim domu, siedząc na zewnętrznym parapecie małego okienka. W środku, w małej izbie ze ściętym dachem, Kahrańczyk i dziewczyna Skalniaków kłębili się na sienniku, nadzy, zajęci sobą. Gwałt? Eksplozja chwilowej miłości za cichą aprobatą gospodarza, którego pozostałe córki i żona mają spokój? Skrywana napiętność, jedna z tych, jakie często wybuchają w zarekwirovaniach dla wojska domach i owocują zwykle wysypem bachorów? Trudno powiedzieć, ale ważne, że dziewczyna wydawała się chętna. Każdy zasługuje na chwilę nierozsądnej przyjemności.

Inna scena. Luvik siedzący z pościańcem na kolanach. Szcur wyciągnął się pod pieszczotą jego ręki i słuchał słów. Nie rozumiał ich, ale zapamiętywał brzmienie poszczególnych dźwięków, znacznie dokładniej niż człowiek.

– Jest z nią źle, Keytari – mówił Luvik. – Jestem praktycznie pewien, że to śpiączka, zwana kryształowym snem. Musiała przywlec ją jeszcze z Varmondii, tam ta choroba się szerzy, zwłaszcza wśród podróżnych z północy, którzy są pozbawieni naturalnej odporności. Jeżeli mam rację, a obawiam się, że mam, Khale już się nie obudzi. Znaczący... – Zachnął się gwałtownie. – Ech, Keytari, powiem wprost. Będzie umierała powoli, z głodu i braku płynów, a to, co z niej zostanie, gdy obudzi się krótko przed końcem, nie będzie już Khale. Rozbije sobie głowę o mur albo sami będziemy musieli z nią skończyć, gdy zacznie nas atakować. – Umilkł i podrapał szcure pod brodą. – Powiedziałem to jej dziewczynom i zasugerowałem, że mogę... no, zabić ją, zanim choroba to zrobi. Bezboleśnie. Jedno ukłucie w ramię, trucizna w żyłach i po minucie jest po wszystkim. – Westchnął ciężko. – Stwierdziły, że to dobry pomysł. Ale Khale była też twoją przyjaciółką. Przyjdź jutro, proszę. Trzeba podjąć jakąś decyzję. Zostanę tu na noc – dodał. – Poobserwuję jeszcze Khale, czy nie pospieszyłem się z diagnozą. Dobranoc, Keytari.



Po czym przegonił szczura z kolan.

Trzecia cudza świadomość. Ren Maghar wreszcie zdołał odbić hutę z rąk zamkniętych w niej żołnierzy. Zabawił w Czarnogrodzie dłużej niż zamierzał, dopiero teraz mógł myśleć o powrocie. W tej chwili leżał na pryczy w koszarach miejskiego garnizonu. Aladon smacznie chrapał. Złociutka spała w nogach jego łóżka, Łata i Kieł przy drzwiach. Porucznicy opijali zwycięstwo razem z żołnierzami, przez ścianę słychać było ich wrzaski. Smrodek zwinął się na piersi Maghara, który nie mógł usnąć. Keytari wiedziała, dlaczego. Gdy jego podwładni wdarli się do huty, urządzili krwawą rzeź zwolennikom Lekthry'ego. A Ren wiedział, że to właśnie on grał w tym wszystkim rolę oprawcy i zdrajcy, a tamci byli wierni prawowitemu władcy kraju. Ten zawsze lojalny, oddany Kahrowi żołnierz został zmuszony do robienia rzeczy niezgodnych z własną naturą i teraz, kiedy sam wpatrywał się w ciemność, a Keytari była daleko, zaczynał wątpić w słuszność swoich czynów.

*To wszystko nie ma znaczenia, zdała sobie sprawę Keytari. Okryła się narzutą, przewróciła na bok i zwinęła do pozycji embrionalnej. Nie możemy się już cofnąć.*

\*

Strzygi zajęły opuszczony kupiecki skład przy stajni. Wśród rozrzuconych na podłodze sienników, stołów zastawionych pustymi dzbankami i talerzami, na jedynej w pomieszczeniu pryczy leżała Khale. Luvik siedział na krześle przy jej pośłaniu, obok małego stolika z pustym dzbanem i pełnym kielichem. Medyk był niewyspany i podпиты. Zwrócił na Keytari zapuchnięte, czerwone oczy, po czym chwiejnie wstał. Kiwnął jej lekko głową.

– Obawiam się, że miałem rację – powiedział w języku Cesarstwa.

Keytari obejrzała się na kilku piechurów oberszter Tanegar, którzy pełnili rolę jej obstawy. Mężczyźni zatrzymali się przy drzwiach. Cała piątka bardzo starała się unikać nieprzyjaznych spojrzeń strzyg.

Szczurza Pani wyciągnęła rękę, by pogłaskać Psa, który niechętnie wyslizgnął się z jej uchwytu. Węszył śmierć, a fale jego podniecenia rozlewały się po całej sieci jaźni, przez co większość połączonych z nią szczurów zamarła. Gdy Pies na chwilę tracił spokój, emanując żarłocznością, stawał się naprawdę potworny.

Keytari przyjrzała się Khale. Jej brzydka twarz była blada, policzki zapadłe, oczy podpuchnięte i podkrążone. *Zupełnie, jakby już umarła*, pomyślała kobieta.

– Kryształowy sen? – powiedziała cicho. – Na pewno?

– Tak – potwierdził Luvik zdecydowanie.

Keytari potarła ze znużeniem czoło.

– Nie chciałyby tak umierać. Daj jej ten zastrzyk.

Luvik skinął głową. Wyciągnął spod krzesła drewnianą skrzynkę, w której nosił lekarskie przybory.

- Wasza Wysokość – odezwała się Gamia.
- Słucham? – spytała Keytari po kahrańsku.
- Khale powinna zginąć inaczej.

Szczurza Pani spojrzała na strzygę. Gamia wystąpiła przed pozostałe dziewczyny, które zgodnie skinęły głowami.

- To znaczy?
- Zawsze chciała umrzeć od miecza. Uważam, że ma takie prawo.

Keytari zastanawiała się przez chwilę. Pies bombardował ją własnymi pragnieniami, co nie było przyjemne. Szczerze mówiąc, bała się tego połączonego z nią stworzenia. Miała nadzieję, że jest od niego silniejsza, ale nadzieja to nie pewność.

- Masz rację – powiedziała do Gamii.

Strzyga skinęła głową i podeszła do posłania. Wyciągnęła rękę. Jedna z dziewczyn przyniosła jej ciekłą poduszkę, którą następnie Gamia położyła na piersi Khale. Dobyła broni, nie miecza, ale długiego sztyletu. Uniosła go w powietrze i opuściła z okrzykiem.

Na ułamek sekundy przed tym, jak nóż zagłębił się w piersi Khale, Keytari przesłała Psu pozwolenie. Przez całą jaźń przetoczyło się jego zadowolenie. Keytari poczuła się przez chwilę tak, jakby to jej umysł zamierzał wyssać, ale Pies ukierunkował swój głód. W ciemności jego „ja” zapłonęła na ułamek chwili inna jaźń, sama istota Khale. Później znikła w bezdennej czeluści, pochłonięta przez bestię starszą od bogów i obrócona w nicość.

Gamia zaskowyczała rozpaczliwie. Wyrwała z piersi Khale okrwawiony nóż, osunęła się na kolana przy jej pryczy i zaczęła płakać. Luvik zwiesił głowę. Keytari uniosła dłoń do policzka. Poczuła wilgoć łez, które spływały z jej oczu. Syty i zadowolony Pies zsunął się po jej dekolcie, tak że musiała go złapać, aby nie spadł. Przytulił się do stanika jej sukni.

Niektórzy ludzie wierzyli, że gdy jaźń człowieka nie jest już zespolona z jego ciałem, wyrusza w świat w poszukiwaniu nowego. Inni, że jednoczy się ona z bogiem, w którego człowiek wierzył i którego czcił za życia. Keytari spodziewała się jednak, że taki umysł po prostu znika. Po własnej śmierci, gdy ukryła się w ciele jednego ze swych szcurek, i później, kiedy przekonała się, że może istnieć bez jakiegokolwiek ciała, szukała po całym świecie sobie podobnych istot, przenikając z człowieka do człowieka. Nie spotkała żadnych. Świat nie był pełen jaźni, uwolnionych z okowów cielesności. Był pusty, zimny, niegościnnie. Nie zalewała go

boża łaska ani nie przemierzały nadprzyrodzone istoty. Ona – Keytari – była jedyna. Nikt, żaden ze zwykłych ludzi, magów, wiedźm, czarodziejów, czy choćby zmiennoskórych, nie wybrał tej szaleńczej drogi, którą podążała.

*Umysł Khale już nie istnieje, pomyślała. Skończyłabym tak samo, gdyby nie moja arogancja.* Otarła oczy, dotknęła dłonią stygnącego policzka Khale, a potem odwróciła się i odeszła, by dalej być królową.

\*

Radirzjan wyglądał przez okno komnaty, kiedy królowa weszła do środka. Znudzony Dreszcz rozparł się wygodnie w fotelu. Na widok kobiety wstał niechętnie i zgiął się w ukłonie.

– Daj sobie z tym spokój – powiedziała.

– Robię jedynie to, co przystoi służącemu, pani – odrzekł cicho.

– Nie jesteś służącym.

Popatrzył spod oka na kobietę. Radirzjan odsunął się od okna i podbiegł do niej. Królowa przykucnęła, by go przytulić. Jej górski szczur zeskoczył na podłogę, przebiegł zygzakiem przez pokój i przysiadł przy palenisku. Dreszcz mógłby przysiąc, że zwierzę jest zniesmaczone. Uznał, że może się już wyprostować bez naruszenia etykiety.

– Kiedy wróci wujek? – spytał Radirzjan. – Miał być za dwa tygodnie, a minęły już prawie trzy.

– Wujka zatrzymały ważne sprawy, mały – odrzekła łagodnie królowa. – Wróci za tydzień. Obiecuję ci, nic mu nie jest.

– A mama?

– Jest cała i zdrowa.

– Chcę do niej wrócić.

– Wrócisz, ale jeszcze nie teraz.

Dreszcz westchnął w duchu. Rozumiał, że królowa chce pocieszyć dzieciaka, ale nie był pewien, czy jest sens robić mu nadzieję. Sefren wywiozła co prawda panią Maghar z miasta, niemniej ich podróż przypadła na niespokojny okres i ciężko było powiedzieć, czy zdołały dotrzeć na Błotne Ziemie. A nawet jeśli, tam też wybuchały bunty.

– Mam dla ciebie propozycję, Rad – mówiła tymczasem królowa. – Zjemy razem pyszny obiad, co ty na to? – Odgarnęła z czoła chłopca czarne włosy. – Jadłeś coś dzisiaj, tak w ogóle?

– Zupę cebulową na śniadanie – odrzekł chłopiec. – Była ohydna.

– To było dawno. Chodźmy, jestem głodna jak wilk.

Gdy królowa wstała, dziecko uwiesiło się jej ręki. Kobieta spojrzała na Dreszcza.

– Idziesz z nami? – zagadnęła.

– Jeśli sobie życzycie, pani.

Zmarszczyła ze złością gęste, jasne brwi. Dreszcz usunął się jej z oczu i usłużnie otworzył drzwi. Wysłała przez nie, ciągnąc Radirzjana. Służący poszedł za kobietą, ale gdy chciał zamknąć komnatę, odwróciła się gwałtownie i przytrzymała drzwi nogą. Przez szparę przebiegł Pies, stanął słupka, po czym ruszył korytarzem w kierunku sypialni królowej.

– Nie chcesz odzyskać wolności? – spytała Keytari, wciąż patrząc za zwierzęciem. Dreszcz dopiero po chwili zrozumiał, że to pytanie do niego.

– Po tylu latach nie wiedziałbym, co z nią zrobić – odpowiedział. – Ale chciałbym być traktowany jak człowiek, nawet będąc służącym – dodał.

Królowa spojrzała na niego. Uśmiechnęła się kpiąco.

– W takim razie chodź ze mną na obiad i zabaw mnie rozmową – poleciła.

\*

Tego wieczoru Radirzjan nie chciał zasnąć. Płakał za wujkiem, jakby Ren był martwy. SroAreth opowiedział mu trzy bajki pod rząd głosem ochryplym po kazaniu wygłoszonym dla mieszczan w nowej świątyni, zanim chłopiec usnął. Pies dawno już drzemał, zwinięty przed kominkiem. Gdy Keytari wstała z krzesła, ocknął się, ale kazała mu zostać. Przynajmniej mogła dzięki temu mieć oko na dziecko.

Wyszli ze SroArethem przed sypialnię chłopca.

– Martwisz się? – spytał Sarethan.

Keytari wzruszyła ramionami.

– Wiem, co się z nim dzieje, więc... nie. – Było to wierutne kłamstwo. Obawiała się tego, co mogło przydarzyć się Renowi w hucie i po drodze. Kiedy wchodził do domu tego całego Furwara, pełnego uzbrojonych służących, Keytari właśnie się kąpała. Znieruchomiła w balii i oddychała ciężko, za pomocą Smrodka z napięciem węsząc, słuchając i obserwując kątem oka siedzącą na zydlu dziewczynę.

– Dlaczego tak uważasz?

*Nie mogę pozwolić, by moje słabości mi przeszkodziły, powiedziała sobie. A to cholerne uczucie to najgorsza z nich. Powinnam poderżnąć Renowi gardło, zanim wkopię się w to jeszcze bardziej.*

– Jestem zaskoczony tym, jak traktujesz jego siostrzeńca – odrzekł zażenowany nagle SroAreth. – Ja... nie spodziewałem się po tobie miłości do kogokolwiek, Keytari. Wasza Wysokość – poprawił. Podrapał się po karku. – Przepraszam. Nie myślałem o tobie pochlebnie, ale chyba się pomyliłem.

– Ja go wcale nie kocham – powiedziała matowym głosem Keytari.

SroAreth ujął w swoje sześciopalczaste dłonie jej ręce.

– Marzyłaś kiedyś o wielkiej, prawdziwej miłości?

– Chyba jak każdy.

Kiwnął lekko głową.

– Jakie to uczucie, znaleźć taką miłość?

Patrzyła na niego. Uniósł wielkie, bursztynowe oczy i uśmiechnął się blado.

Keytari wyszarpała się mu gwałtownie.

– Straszne – odrzekła ostro. – Coś jeszcze?

Oddychała płytko, jak w poczuciu wielkiego zagrożenia, ale SroAreth tylko skłonił lekko głowę.

– Pozwól, że wrócę do siebie, Wasza Wysokość.

– Oczywiście.

Odwrócił się i odszedł korytarzem.

Keytari stała przez chwilę w ciemności. Później sprawdziła, czy drzwi do sypialni Radirzjana na pewno są zamknięte. Gdyby okazało się, że chłopiec podsłuchiwał, chyba by go zabiła. Czuła buzującą w sobie wściekłość. *Jak on śmiał? Jak ten gadzi skurwysyn, oślizgły jaszczur, w ogóle śmiał pytać mnie o takie rzeczy?*, myślała gniewnie. *Wymarzona miłość, też coś!*

Może powinna się zastanowić nad usunięciem Rena. Był bez wątpienia przydatny, a jego oddanie całkiem skutecznie zapewniło jej przyjemny romans. Tyle że wobec Geshwanka Ren też był niezachwianie lojalny, choć potajemnie sypiał z jego córką. Nie brakowało mu ambicji – w przeciwnym razie nie ciągnęłoby go tak bardzo do tych, którzy zdobyli władzę.

Mógłby zdradzić, ale w tej chwili nie bardzo istniał ktoś oferujący mu więcej niż Keytari. Przy niej naprawdę miał szansę odzyskać wysoką pozycję, co stanowiło lepszą gwarancję wierności niż uczucie. Musiała na tym polegać.

Usłyszała szelest ubrania za plecami i odwróciła się gwałtownie. Nie zdążyła krzyknąć ani się osłonić. Odziany w czerń zabójca, z twarzą ukrytą za chustą, wychynął z ciemności. W jego dłoni błysnęło wygięte ostrze noża, którym przesunął sprawnie po gardle Keytari.

Otworzyła usta, chcąc wrzasnąć z bólu. Krew z rozprutej tętnicy chlapnęła w jej otwartą krtani. Dusząc się i plując, oparła się o ścianę, ześlizgnęła po niej, unosząc ręce, by zatamować krwotok. Wszystkie szczury w ratuszu przebudziły się, wypadły ze swoich kryjówek i ruszyły jej na pomoc. Pies wściekle atakował drzwi sypialni Radirzjana, piszcząc tak głośno, że chłopiec obudził się i zaczął płakać.

Keytari krztusiła się, dusiła i wykrwawiała. Najbardziej przerażało ją to drugie.

Cień przyglądał się jej, kucając o trzy kroki dalej. Usłyszał szmer szczurzych łap

na podłodze. Zmarszczył brwi, obrócił w palcach nóż i zbliżył się do kobiety, by dokończyć dzieła.

Niespodziewanie Keytari zdołała złapać oddech w obolałe gardło.

– Straż! – ryknęła ile sił w płucach, głosem zgrzytliwym i ochrypłym, w makabryczny sposób podobnym do głosu Geshwanka.

Pierwsze nadbiegły szczury i dopadły z wojowniczymi skrzekami mężczyzny, z niedowierzaniem wpatrującego się w Keytari. Wgryzały się w jego ubranie i ciało, wspinały ku twarzy, kęsając i drapiąc. Skrytobójca upuścił nóż. Usiłował strząsnąć z siebie gryzonie; oderwał jednego ręką i rozdeptał go na miazgę.

Pojawił się niosący lampę Dreszcz, a za nim SroAreth, łopocząc białą szatą. Mówca uniósł rękę, magia poderwała skrytobójcę w powietrze, wykonał kolejny gest i z ogromną siłą rzucił zabójcę głową w dół, aż chrupnął kark. Bezwładne ciało spoczęło na podłodze, a szczury rozbiegły się.

Keytari wciąż przyciskała dłoń do gardła. Przed oczami robiło jej się coraz ciemniej. Zobaczyła jeszcze pochylającego się nad nią Dreszcza, którego twarz z czarnej zrobiła się brudnobiała. SroAreth coś do niej mówił, ale nie mogła rozpoznać słów. Sarethan próbował podnieść ją na nogi. To było ostatnie, co zapamiętała. Później straciła przytomność.

## IX

Wiedźma siedziała w wąskim, strzelistym okienku. Zimny wiatr pieścił przez materiał sukni jej ciało. Bandażem owijała łydki, które krwawiły od licznych, wyciętych w skórze magicznych znaków, stanowiących część przygotowań do tego, co planowała dziś zrobić. Widziała stąd – z jakże romantycznej najwyższej komnaty w najwyższej wieży – całe miasto, opustoszałe, spokojne i wolne od szurzących szpiegów. Mogła też dojrzeć długą kolumnę ludzi zmierzającą ku bramie. Nad nimi, po błękitnym jak lazur niebie, kołował czarny ptak.

– Radirzjan, mój ukochany – wyszeptwała wiedźma. – Tak dobrze się spisałeś.

Dzieliło ich wiele kłótni, uraz i gniewu wzbierającego przez lata i Wiedźma była pewna, że kiedy poprosi, by Radirzjan w testamencie zapisał jej swoje ciało, on odmówi. Rzeczywiście, nie odpowiedział na jej krótki, oschły list. Była niepomiernie zdziwiona, kiedy przed jej chatką w górach stanęła grupa żołnierzy wiozących na saniach ciało zmarłego króla w drewnianej trumnie. Zdążyło już nadgnić, ale wciąż było w stanie używalności. Wiedźma, chociaż zaskoczona, nie wahała się. Ledwie Kahrańczycy odjechali, wywlekła ukochanego z trumny, nacięła nożem podeszwy stóp i krwią wyrysowała na śniegu magiczne symbole, z których zrodziła się nowa dusza, zależna od Wiedźmy. Zajęła ciało Radirzjana Geshwanka i chociaż nowy twór nie był tak naprawdę nim, posiadał jego wspomnienia,

odruchy, nawet niektóre cechy charakteru. Żył i w pełni należał do Wiedźmy. Podarowała mu Płaszcz Zmiennokształtnego, który sama uszyła z piór kruków. Przez pewien czas mieszkali razem, później wyruszyli uratować Rekhe. Na samą myśl o córce oczy Wiedźmy wypełniały łzy. Otarła je gniewnie. *Moje kochane dziecko, cała moja moc nie wystarczyła, by cię obronić*, pomyślała. Odetchnęła głęboko. Musiała być spokojna i opanowana na przybycie Viseriyi Shavoka. Wygładziła starannie czarną suknię, a później przykucnęła, by sięgnąć do buta, w którym nosiła kościany nóż. Broń była na miejscu. *Dobrze*.

Wyszła z komnaty i ruszyła w dół spiralnych schodów do drzwi wiodących na dziedziniec. Chłód przeniknął ją do szpiku kości, a mimo to szła bez płaszcza. Lubiła lodowate pocałunki zimy wyczuwalne przez cienki materiał ubrania. Kochała śnieg i ciszę skutego mrozem świata. W tym wszystkim trwała dzika, pierwotna magia krwi, której poświęciła życie.

Przystanąła pośrodku placu i rozejrzała się uważnie. Na murach stali uzbrojeni w karabiny żołnierze, kilkudziesięciu zgodnie z jej rozkazem uformowało szpaler na dziedzińcu. Do wiedźmy podbiegł młody służący o pызatej twarzy.

– Wszystko gotowe, pani – oznajmił. – Przystroiliśmy tron i...

– Dobrze – pochwaliła wiedźma. – Korona?

– Już przygotowana.

– Ilu ludzi zmieści się w sali tronowej?

– Myślę, że trzystu, pani.

Kobieta skinęła głową i ruchem dłoni odprawiła chłopca. Odszukała wzrokiem dowódcę oddziału, który uformował szpaler. Podeszła do niego.

– Ilu masz ludzi? – spytała.

Siwiejący mężczyzna, z paskudną blizną i odciętym czubkiem nosa, popatrzył na nią bystrymi, zielonymi oczami.

– Szpaler zrobiło stu – powiedział. – Ci na murach to też moi podwładni. I są jeszcze ci w sali tronowej. Razem będzie ze trzystu.

– Viseriyą Shavok będzie musiał zostawić na dziedzińcu dwustu-dwustu pięćdziesięciu ludzi – oznajmiła Wiedźma. – Dacie sobie z nimi radę?

– Pewnie – rzucił mężczyzna, wyraźnie oburzony jej powątpiewaniem.

– Dobrze – odpowiedziała.

Teraz skierowała kroki do sali tronowej, mieszczącej się w środkowej części ogromnego palatium. Pchnęła dwuskrzydłowe drzwi, by dostać się do wnętrza. Ogromna, wyłożona kamieniem sala została przystrojona czerwonymi szarfami podwieszonymi pod sufitem. Gruby, szkarłatny dywan wiódł od drzwi na podwyższenie, na którym stał pozłacany tron z oparciem wyrzeźbionym tak, by

przypominał płomienie. Na niskim stoliku przy nim leżała gruba poduszka ze wspianą zdobioną rubinami koroną. Pod sufitem kołysały się gigantyczne żyrandole, każdy na sto świec. Wszystkie płonęły jasnym ogniem. Tutaj również żołnierze – około pięćdziesięciu – utworzyli szpaler. *Wszystko gotowe*, uznała wiedźma. Później popatrzyła na swoją wytartą suknię i uśmiechnęła się kpiąco. *Powinnam ubrać coś odpowiedniejszego.*

\*

Zgodnie z rozkazem wiedźmy, otwarto przed nimi miejskie bramy, a także potężną bramę zamkową.

– Prezentuj broń! – ryknął oficer.

Stojący w szpalerze żołnierze unieśli karabiny. Na ten widok Viseriya Shavok uśmiechnął się szeroko. Przejechał przez szpaler jako pierwszy. Za nim ciągnęli jego wierni stronnicy – młoda kobieta, mężczyzna z jednym okiem i banda uzbrojonych w karabiny rozbójników, którzy byli z nim od lat. Następnie jechali Varmondczycy, z których część miała karabiny. Na przestronnym dziedzińcu zrobiło się nagle tłoczno.

Wiedźma czekała na Viseriyę przed salą tronową, przybrana w białą jak śnieg suknię, z diamentowymi kolczykami w uszach i włosami upiętymi w wysoki kok. Dygnęła zgrabnie, nisko skłaniając głowę.

– Witaj, Wasza Wysokość – powiedziała.

Oczy Viseriyi błyszczały niecierpliwie, gdy wodził wokół wzrokiem.

– Koronacja? – spytał ochryplym głosem.

– Teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko, Wasza Wysokość – odpowiedziała wiedźma.

Zeskoczył z konia.

– Riva, weź ludzi – polecił.

– Obawiam się, że sala nie pomieści wszystkich – powiedziała łagodnie wiedźma.

Viseriya spojrział na nią podejrzliwie. Kobieta uśmiechnęła się przeproszająco.

– Ilu? – spytał Czerwona Żmija.

– Trzystu powinno się zmieścić.

– Wystarczy mi setka najwierniejszych. Varmondczycy zostaną.

*Nie za dobrze*, uznała Wiedźma, ale odwróciła się i poprowadziła Viseriyę do drzwi sali tronowej. Otworzyła je przed nim.

Ustawieni w kolejny szpaler żołnierze unieśli karabiny w salucie. Wiedźma podała ramię Viseriyi. Razem ruszyli po czerwonym dywanie do tronu. Za nimi szła Riva, rozglądając się czujnie, oraz pozostali rozbójnicy, wszyscy w podniszczonych, skórzanych strojach, które zupełnie nie pasowały do przepychu



sali. Zanim dwaj służący zatrzasnęli drzwi za plecami ostatniego wchodzącego, do sali wleciał ogromny kruk, okrążył żyrandol i sfrunął na poręcz tronu.

Wiedźma spojrzała na Viserię.

– Wybacz, Wasza Wysokość – powiedziała.

Weszła na podwyższenie jako pierwsza i przegoniła ptaka. Zeskoczył na podłogę za tronem. Jego oczy, dwie złote grudki, błysnęły, odbijając blask świec.

Viseriya wszedł wreszcie na podwyższenie. Na jego twarz wpływał coraz szerszy uśmiech. Stał przed tronem i obrócił się do stłoczonych w sali ludzi. Zdjął z pleców karabin, odpiął pas z mieczem. Usiadł, kładąc sobie broń na kolanach. W znoszonym stroju wyglądał na tym wspaniałym siedzisku jak zwykła przybłęda.

– Wasza Wysokość. – Wiedźma przyklękła, sięgnęła do buta i wyrwała z niego nóż. Wyprostowała się. – Chcę, zgodnie z północnym obyczajem, naznaczyć krwią twą koronę, by moi bogowie zechcieli strzec cię podczas twego panowania.

Viseriya, który w pierwszej chwili wyraźnie się przestraszył, teraz uśmiechnął się pobłaźliwie i skinął przyzwalająco głową.

Wiedźma popatrzyła na swoją lewą dłoń, pokrytą siateczką blizn. Przyłożyła do jej wnętrza czubek kościanego ostrza i pchnęła mocno, tak że przeszło przez rękę na wylot. Viseriya obserwował to z fascynacją.

– Cóż za bolesny obyczaj – mruknął i oblizał wargi, trawiony nagle rozpaloną żądzą.

Wiedźma wyrwała ostrze. Zacisnęła pulsująca bólem dłoń w pięść i podeszła do stolika z koroną. Odłożyła nóż obok poduszki. Gdy ujęła złotą obręcz, chłód metalu przyniósł jej trochę ulgi. *Tym właśnie jest magia wiedźm. Cierpieniem i krwią. Nie można otrzymać mocy za darmo.*

Stała z tyłu tronu, płosząc kruka, który przesunął się w kilku niezdarnych susach.

– Zgodnie z pradawnym prawem krwi koronuję cię jako najstarszego żyjącego potomka prawowitych królów, na jedyne i absolutne władce Królestwa Ognia! – powiedziała donośnym głosem.

Później powoli nałożyła koronę na skronie Viseriyi. Mężczyzna zamknął oczy, szeroki uśmiech wykrzywił jego twarz. Wiedźma patrzyła na to z góry. *Jest obydny.*

Wyciągnęła przed siebie przebitą rękę. Krew z głębokiej rany spływała po jej nadgarstku, plamiąc rękaw sukni.

Moc morderczego zaklęcia przetoczyła się po sali. Tłum ludzi runął na ziemię. Wszyscy bez wyjątku – rozbójnicy Viseriyi, żołnierze Królestwa Ognia, służący – padli jak podcięci z rozwartymi szeroko oczami. Z ust niektórych bryzgnęła krew.

– Co...? – krzyknął Viseriya.

Poderwał się na nogi, dobywając miecza. Czarny kruk przeszedł błyskawiczną przemianę w człowieka i owinął szyję Viseriyi potężnym ramieniem. Zacisnął je, aż Czerwona Żmija zsiniał na twarzy i broń wypadła mu z rąk.

– Naprawdę myślałeś, że ci wybaczymy zamordowanie Rekhe? – szepnął Radirzjan Geshwank w jego ucho ochryplym, zgrzytliwym głosem. Jego smrodliwy oddech owiewał twarz Viseriyi. – Zmarli nie wybaczą, Zmijo. Nie zapominają. Gdy powstają z grobu, pełni są nienawiści. – Zachichotał. – Dlatego nikt nie zsyła tego losu na ludzi, których naprawdę kocha. *Jak ja Rekhe*, pomyślała Wiedźma. Musiała chwycić się poręczy tronu, by nie upaść, osłabiona użyciem potężnego zaklęcia. To prawda, że nigdy w życiu nie ośmieliłaby się ożywić własnej córki. *To nie byłaby już Rekhe*, napomniała się. *Tak jak Kruk nie jest Geshwankiem. Może posiadać jego wspomnienia, ale w rzeczywistości to obca dusza, przywiązana do podniszczonego ciała.*

– Dlaczego? – wystękał Viseriyą. – Po co... to?

Wiedźma uśmiechnęła się łagodnie.

– Zemsta, mój drogi morderco, jest słodka, kiedy ofiarę dopadasz w dniu jej tryumfu, błogo szczęśliwą i wolną od podejrzeń – odrzekła. – Spadasz na nią jak sokół, kiedy jest zajęta własną zdobyczą i uświadamiasz jej, że jedynym celem, dla którego ją wspierałeś, jest sprawienie jej jeszcze większego bólu. – Dotknęła okrwawioną dłońią policzka Viseriyi i jednocześnie poleciła: – Kończ.

Geshwank błyskawicznym ruchem rąk skręcił kark Czerwonej Żmii. Bezwładne ciało Syna Ognia upadło na posadzkę. Wiedźma uśmiechnęła się blado.

– To nie przywróci nam córki – stwierdziła. – Ale przynajmniej ukoi trochę cierpienie.

Geshwank podał jej ramię. Przyjęła je i pozwoliła sprowadzić się z podwyższenia. Kluczyli między trupami.

– Myślisz, że Kerosh będzie zadowolony? – spytał Geshwank. – Zabiłaś także jego ludzi.

– Nie dowie się, jak zginęli – odrzekła Wiedźma. – Sądzę, że będzie zadowolony. Powiedziałam mu o naszym planie zemsty i przyklasnął mi. – Oblizła wargi. – Podoba mi się ten młodzieniec. Zaufał mi tak absolutnie... a przecież nie jest głupi. Twierdził, że Rekhe bardzo ciepło o mnie mówiła. Z tego, co opowiadał, nie byli sobie zbyt bliscy, a jednak uważał na to, co mu opowiadała. I też pragnął się zemścić.

Dotarli do drzwi.

– Uważaj, pani – poprosił Geshwank. – Nie wiemy, co tam zastaniemy.

– Muszę wydać rozkaz – powiedziała wiedźma.

Geshwank kiwnął głową i otworzył jedno skrzydło drzwi.

Głowy zgromadzonych na dziedzińcu Varmondczyków i żołnierzy obróciły się w jej stronę. Wiedźma dojrzała dowódcę oddziału stojącego na bramie. Uniosła okrwawioną rękę.

Stojący na murach żołnierze zasypali nagle tłum w dole gradem kul. Tworzący szpaler dobyli mieczy. Uzbrojeni w karabiny Varmondczycy strzelali na oślep, co zaszkodziło raczej ich towarzyszą i koniom, a nie Dzieciom Ognia. Później odrzucili broń ognistą, dobywając szabli.

Jeden z Varmondczyków, wyjął dziko, zaszarżował na wiedźmę. Geshwank zastąpił mu drogę. Złapał wojownika za pas i ściągnął go z grzbietu wierzchowca na brukowany dziedziniec.

– Jestem Kil-Laram! – wył Varmondczyk. – Wielki Kil-Laram!

Geshwank skręcił mu kark. Podniósł się na nogi i dobiegł do wiedźmy.

– Pani, proszę – powiedział, wpychając ją z powrotem do sali tronowej. – Jakaś zabłąkana kula...

Jedna trafiła Geshwanka w skroń. Ożywieniec zachwiał się, ale nie upadł. Zatrzasnął ciężkie, drewniane drzwi, osłaniając ich przed kolejnymi pociskami.

– Zszyję ci to po wszystkim – obiecała wiedźma.

– Będę bardzo wdzięczny, pani – zapewnił niewzruszony Geshwank.

\*

Noc zapadała nad Serpiną. W wieży królewskiego zamku, w komnatach wiedźmy, paliło się światło. Radirzjan Geshwank – a raczej jego ciało, w którym mieszkał bezimienny, stworzony czarami wiedźmy umysł – siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Wiedźma zajęła niski taboret przy oknie i kończyła łątać jego skroń. Ostatni raz wbiła i przeciągnęła igłę, zbiegając do środka poszarpane brzegi rany. Zakończyła zgrabną pętelką. Zdjęła z kamiennego parapetu nożyce, pochyliła się i ostrożnie przycięła sterczącą resztkę nici i mało estetyczne strzępki skóry.

– Lepiej nie będzie – oświadczyła.

Geshwank uniosł rękę do rany. W miejscu, gdzie kula rozpruła czaszkę, ciało lekko się zapadło.

– Co z moją zemstą, pani? – spytał.

Wiedźma wyjrzała przez okienko na jasno oświetlony dziedziniec pełen trupów. Wciąż sprzątało. Przez rozwartą na oścież bramę wyjeżdżały wozy z ładunkiem zarżniętych Varmondczyków i rozbójników Viseriyi, których zakopywano za miastem w zbiorowych, bezimiennych mogiłach. Martwych żołnierzy Królestwa złożono w parcianych workach pod zamkowymi murami. Nad ranem mieli wrócić

do rodzin, a następnie trafić do krypt pod świątynią Saali, bogini krwi i śmierci.

– Twoją zemstą? – powtórzyła cicho, z namysłem. – Dokonamy jej wspólnie, mój drogi, tak samo jak zemsty na Viseriyi Shavoku. Poczekamy, aż nasze ofiary zatryumfują i pogrążą się w radości a wtedy za jednym zamachem odbierzemy im wszystko. – Uśmiechnęła się szeroko. – Teraz zgaś świecę. Pora odpocząć.

Geshwank wstał i zgasił świecę na stoliku przy łóżku. Wiedźma po omacku dotarła do łoża. Wsunęła się pod kołdrę. Usłyszała, jak skrzypią deski, gdy Geshwank położył się przy niej. Do jej nozdrzy dotarł jego ohydny, trupi odór. Objął ją ramionami, a ona zamruczała z zadowolenia i zamknęła oczy.

Usnęła niemal natychmiast.

## X

Zatrzymali konie na wzgórzu, z którego kiedyś Itonoka spoglądał na Gniazdo jako na swój przyszły łup. Maghar popatrzył na Aladona. Rotmistrz miał minę pewnie równie głupią, jak on sam.

– Wszyscy bogowie tego świata – powiedział. – Jak?

Dolina w dole zmieniła się w wielkie obozowisko. Dym z tysięcy ognisk, masa namiotów, zamknięte w prymitywnych zagrodach tabuny koni i unoszący się w powietrzu smród ludzkiego zbiorowiska – Maghar nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stłoczone ciasno namioty obsiadły Gniazdo ze wszystkich stron. Na wzgórzach stali wartownicy. Przez otwarte bramy wjeżdżali i wyjeżdżali konni posłańcy.

– Przypuszczam, że wyglądamy dość idiotycznie, stojąc tu z rozdziawionymi gębami – stwierdził Aladon.

Maghar ocknął się jak z głębokiego snu. Skinął głową.

– Jedźmy – mruknął i wbił pięty w końskie boki.

Zjechali z powrotem na trakt, biegnący między dwoma wzgórzami i kłusem ruszyli w kierunku ogromnego obozowiska. Przejazd blokowało czterech wartowników w czarnych uniformach milicji. Towarzyszył im Luvik dosiadający narowistego karosza. Wyszczerył w uśmiechu zepsute zęby.

– Nasi – rzucił do wartowników. – Za mną.

Zawrócił konia. Żołnierze rozstąpili się posłusznie, by przepuścić Maghara i jego oddział. Komendant pognał konia za Luvikiem, który stępa zmierzał ku miejskim bramom.

Za ich rotą obracały się głowy żołnierzy różnych formacji. Minęli zbity z kilku niedopasowanych desek stół, który obsiadła grupa podoficerów, zaciekle grających w wojnę. Dalej, niemal pod samą bramą, rozbito wielki namiot z czarnego płótna. Wyszła z niego oberszter Tanegar w mundurze łuczniczki.

– Rotmistrz Aladon? – krzyknęła.

Aladon zerknął na jej oficerskie oznaczenia. Spojrzał na Maghara, który zatrzymał konia i przyzwalajaco skinął głową.

– Tak jest, pani oberszter – odrzekł Aladon, ruszając w kierunku kobiety.

– Jest pan w moim pułku. Proszę wejść, pokażę panu kwatery pańskiej roty.

– Jedziesz? – zainteresował się Luvik.

Maghar znów przytaknął i wraz z Luvikiem pokłusowali w kierunku bramy.

Wartownicy byli Skalniakami uzbrojonymi we włócznie i odzianymi w prymitywne szyszaki oraz kolczugi. Przepuścili dwójkę jeźdźców bez sprzeciwu.

Gniazdo odżyło.

Przede wszystkim, było pełne żołnierzy. Chodzili ulicami, rozstępowali się przed konnymi posłańcami, wystawiali w kolejkach do garkuchni. Na rynku zgromadził się tłum mieszczan. Ze świątyni Pierzastego Węża dobiegały śpiewy, najwyraźniej trwało właśnie nabożeństwo. Assina Xaotl wylegiwała się na płaskim dachu, grzejąc brzuch w promieniach wiosennego słońca.

Zsiedli z koni przed ratuszem. Luvik wziął z ręki Maghara wodze konia i pociągnął go do stajni, wskazując komendantowi wejście.

– Dzięki! – rzucił mężczyzna.

Skierował kroki do drzwi, zignorował podejrzliwe spojrzenia pełniących straż piechurów i znalazł się w znajomym holu. Ruszył po schodach w górę, na krużganek.

– Wujek!

Obejrzał się. Korytarzem nadbiegł ku niemu Radirzjan. Maghar chwycił go w ramiona i przytulił mocno.

– Stęskniłem się, mały – powiedział cicho. – Biegasz tu tak całkiem sam?

Chłopiec pokazał na poręcz. Siedział tam Pies, myjąc zajadle pyszczek. Gryzoń zeskoczył na dywan i pobiegł w kierunku komnaty obrad. Wuj wziął na ręce siostrzeńca, po czym poszedł za gryzoniem.

Przed drzwiami komnaty stało na baczność dwóch milicjantów. Pies stanął przed nimi słupka, potem podbiegł do swego opiekuna i po jego płaszczu wspiał się na ramię.

– Można? – spytał komendant jednego z wartowników.

– W jakiej sprawie? – padło pytanie.

– Chciałbym zobaczyć królową. Jestem komendant Maghar.

– Zapytam – odrzekł żołnierz, po czym wślizgnął się do pomieszczenia.

Przybysz czekał krótką chwilę, zanim mężczyzna wyszedł i przytrzymał mu otwarte drzwi. Wszedł do komnaty.

W pomieszczeniu zmieniło się wszystko, łącznie z umeblowaniem. Przede wszystkim pośrodku wstawiono wielki stół. U jego szczytu siedziała Keytari. Białe włosy zaplotła w ciasny warkocz, a wokół szyi zapięła wielką kryzę. Do tego nosiła luźną, mundurową bluzę oraz spodnie, których nogawki wcisnęła w wysokie wojskowe buty. Wyglądała w tym niedopasowanym stroju zaskakująco uroczo, niczym marzenie jakiegoś zwariowanego fetyszysty. *Którym niewątpliwie jestem*, uznał Maghar, bo na sam jej widok zrobiło się mu gorąco.

– Nie chcę ich w mieście – mówiła właśnie królowa, gestykułując dłonią z rodowym pierścieniem Geshwanków. – Żadnych żołnierzy. Robią tylko burdel. Ilu przybyło dzisiaj?

– Znów koło pięciuset osób, Wasza Wysokość – odrzekł usłużnie Dreszcz siedzący po lewej stronie Szczurzej Pani.

Komendanta zaskoczyła nie tylko obecność służącego, ale też pozostałych osób. Dwa miejsca po prawej stronie Keytari pozostały puste. Trzech oficerów, którzy zajęli pozostałe, nie widział nigdy na oczy.

– Czyli wciąż nieprzerwany strumień – stwierdziła Szczurza Pani. – Dobrze. Witaj, Ren – dodała i uśmiechnęła się lekko.

– Wasza Wysokość – skłonił głowę.

– Uwolnij siostrzeńca, zanim zanudzi się na śmierć, i siadaj.

Maghar postawił chłopca na ziemi, a kiedy ten wyszedł, zajął krzesło po prawej stronie królowej.

– Masz? – spytała Keytari.

Wyciągnął z kieszeni bluzy zwiniętą w rulon umowę. Szczurza Pani zerknęła na nią i skinęła głową.

– Bardzo dobrze. Co prawda te pięćset pierwszych sztuk nie jest nam już tak bardzo potrzebne, jak jeszcze trzy tygodnie temu, ale... – uśmiechnęła się. – Dobrze, że się zgodził.

– Obiecał mi tysiąc do końca miesiąca kwiatów – sprostował Maghar. – I drugie tyle do końca miesiąca zielonej trawy. Stwierdził, że będą pracowali szybko jak nigdy. *I dobrze o tym wiesz, kochanie, ale zgoda, pokażemy twojej nowej radzie, jakie z nas szczwane lisy.*

– Doskonale – przyznała Keytari, czytając zachłannie umowę. – Wstępnie zaplanowaliśmy, że nie ruszymy się, dopóki Kerosh Karey nie zacznie oblężenia Domu Pierwszych Zdobywców. Co o tym sądzisz?

– Chcesz rozbić Dzieci Ognia pod miejskimi murami i oswobodzić miasto, Wasza Wysokość?

– Tak. Albo zacząć je oblegać, jeżeli nie otworzą mi bram.

– Jakimi siłami dysponuje Kerosh?

Keytari skrzywiła się.

– Ma około trzydziestu tysięcy ludzi. W tej chwili oblega Międzyziemie, ale miasto lada dzień padnie. – Podrapała się za uchem. – Ogólnie rzecz ujmując, nie spieszy mu się za bardzo. Zresztą, Kahr jest rozbity i raczej już taki pozostanie. – Uśmiechnęła się. – Trzy dni temu w Domu Pierwszych Zdobywców zmarł król.

– Szczury? – zainteresował się Maghar.

Keytari skinęła głową.

– Dreszcz, zreferuj komendantowi sytuację – dodała. – Nam wszystkim przyda się drobne odświeżenie pamięci.

Służący uniósł lekko brwi, ale zaczął:

– W wyniku czystek w wojsku wybuchły bunty. Część żołnierzy uciekła z kraju, wiele stanic zmieniło się w małe twierdze, trwają walki wewnętrzne. Pozostali lojalni są zdeorganizowani, muszą walczyć zarówno z dawnymi towarzyszami broni, jak i zrywami wolnościowymi, na razie niezbyt wielkiej wagi, na Błotnych Ziemiach oraz w Varmondii. Dla nas sytuacja okazała się jak najbardziej korzystna, gdyż wiadomości przesyłane przez Jej Wysokość na teren Kahru dały wielu oficerom do myślenia. W tej chwili mamy około dwunastu tysięcy ludzi, niestety w większości z milicji. Nic nie ujmując tej formacji, nie nadaje się szczególnie do toczenia bitew – zaznaczył, patrząc na Maghara. – Jeśli chodzi o sytuację Dzieci Ognia, wiemy, że Viseriya Shavok dotarł do Serpiny i... nic więcej. Kerosh Karey albo o tym nie wie, albo wie, że nie ma się czym martwić, ponieważ dalej spokojnie oblega Międzyziemie. Później prawdopodobnie pomaszeruje Traktem Królewskim na Dom Pierwszych Zdobywców i wątpliwe, że zdeorganizowanej kahrańskiej armii uda się go powstrzymać.

– Co mówią nasi szpiegowie z Serpiny? – spytał Maghar.

– Nie mamy tam szpiegów. Co dalej? – odrzekła kwaśno Keytari.

– Planujemy w dalszym ciągu przyjmować na służbę dezertersów z Kahru – powiedział jeden z oficerów. – Dostawy broni palnej to kolejna dobra wiadomość, nawet biorąc pod uwagę jej niewielką ilość. Planujemy ruszyć, kiedy Kerosh dotrze do Domu Pierwszych Zdobywców, ale, moim zdaniem, możemy równie dobrze pozwolić mu przez jakiś czas oblegać miasto.

– Kahrańczycy może otworzą bramy, kiedy przyjdziemy im z pomocą. Kerosh Karey na pewno tego nie zrobi, a nie mam ochoty obracać w gruz własnej stolicy – powiedziała Keytari, bębniąc palcami po stole.

– Wasza Wysokość, Dom Pierwszych Zdobywców jest doskonale przygotowany do oblężenia – stwierdził Maghar. – Nawet ci nieudacznicy, którzy rządzą teraz

Kahrem, utrzymają go przez kilka miesięcy. A wygłodniali i przerażeni Kahrańcy otworzą ci bramy chętniej niż ci, którzy wiedzą, że mogą jeszcze bronić się tygodniami.

Przez chwilę Keytari milczała z taką miną, że gdyby Maghar jej nie znał, zaczęłby bać się o własną głowę.

– Masz rację – mruknęła wreszcie. – Zakładam, że lepiej niż ja znasz systemy obronne miasta. – Potarła ze znużeniem nasadę nosa. – Czy jest jeszcze coś, co musimy omówić?

– Nie, Wasza Wysokość – zaprzeczył Dreszcz. – Chyba że ktoś zgłasza jakiś wniosek?

Po chwili ciszy Keytari skinęła głową.

– Dziękuję, panowie – powiedziała i wstała.

Wszyscy podnieśli się z miejsc. Królowa wyszła jako pierwsza, a za nią Dreszcz. Maghara otoczyli oficerowie, którzy zaczęli przedstawiać się jeden przez drugiego. Pospiesznie uściskał im dłonie, nie zapamiętując ani jednego nazwiska, i wypadł na korytarz.

Keytari odchodziła z dwoma żołnierzami jako obstawą. Maghar pobiegł za nimi.

– Key... – zaczął i ugryzł się w język. – Wasza Wysokość?

– Chodź, Ren – rzuciła, nawet się nie oglądając.

Rozepchnął na boki strzegących jej funkcjonariuszy i zrównał swój krok z Keytari, idąc po jej prawej.

– Czemu ci dwaj ciągle za tobą łażą? – spytał.

– Królowa musi mieć obstawę – oznajmił Dreszcz. – Jeżeli Jej Wysokość pozwoli, pójdę po Radirzjana.

– Jest w bawialni – podpowiedziała Keytari.

Skręciła wraz z Magharem do sypialni, a Dreszcz poszedł dalej prosto. Maghar przepuścił w progu królową, następnie sam wszedł do komnaty i zatrzasnął drzwi przed nosem strażników. Był wyczerpany podróżą i wątpliwościami, które nawiedzały go bez przerwy przez ostatnie trzy tygodnie, ale teraz znalazł się sam na sam z Keytari. *Nareszcie, po tak długim czasie.* Jego oddech błyskawicznie przyspieszył, usta wypełniła mu ślina, ręce zaczęły drżeć. Rozpalony tym głodem, złapał Szczurzą Panią w pól. Pisnęła zaskoczona, kiedy uniósł ją w powietrze, przydusił do ściany i pocałował. Oparła dłonie o jego ramiona i gwałtownie szarpnęła głową, by uwolnić się od jego ust.

– Ren, czekaj – wyszeptwała. – Jest tyle rzeczy, które muszę ci powiedzieć...

– Później mi powiesz – szepnął ochryple, rozpinając guziki jej bluzy.

– To ważne.



– Pospieszę się – obiecał, wyciągając ze spodni jej koszulę.

Obnażona do pasa Keytari oplotła go mocno nogami. Cofnął się kilka kroków i upadli na łóżko, spleceni w jedno. Teraz to ona zdzierała z niego ubranie. Rozwiązał sznurówki jej spodni. Ściągnęła je do kolan.

– Cholerne buty – zakląła.

Magharowi było, szczerze mówiąc, wszystko jedno, czy jest całkiem naga, czy tylko trochę. Uwolnił się ze spodni, a później przewrócił Keytari na plecy i znalazł się na niej. Pocałował ją, wduszając jej oddech w gardło. Jęknęła głucho i wbiła mu paznokcie w plecy, na przemian jęcząc i łapiąc chrapliwie powietrze. Przewrócił ją gwałtownie na brzuch. Wgryzła się w poduszkę. Dyszała, jęczała i szarpała głową. Gdyby Maghar mógł myśleć, zastanowiłby się, czy przypadkiem nie robi jej krzywdy, tak dziko się pod nim rzucała.

Padli wreszcie obok siebie, zdyszani i spoceni. Maghar przewrócił się na piekące bólem plecy i wpatrzył w baldachim.

Keytari poprawiła spodnie i położyła głowę na jego piersi. Na jej twarzy igrał uśmiech, jednocześnie drapieżny i niewinny.

– Stęskniłem się – rzucił cicho Maghar, obejmując ją. – Więc? Co mi chciałaś powiedzieć?

– Och. – Usiadła. – To ci się nie spodoba.

Jej palce powędrowały do kryzy. Maghar ze zmarszczonymi brwiami patrzył, jak ją ściąga, odsłaniając świeżą bliznę na szyi, biegnącą od ucha do ucha.

– Bogowie – wyszeptał.

– Lekthry przysłał do mnie Cienia – powiedziała. – Prawdopodobnie dostał się do ratusza przez rozbity witraż, ten na szczycie budynku. Później zszedł ze strychu i dopadł mnie, gdy samotnie wracałam do sypialni.

Maghar nie mógł w to uwierzyć. Dotknął delikatnie jej gardła i przeciągnął palcami po zgrubieniu blizny.

– Jak? – wyszeptał.

– Jestem narzędziem boga – wyjaśniła cicho. – To ciało nie jest ludzkie, Ren. Pod żadnym względem. Rana zasklepiła się tuż po tym, jak mi ją zadano.

Pokręcił głową.

– Bogowie, Keytari... chciał cię zamordować...

– To ostatecznie przekonało mnie do posłania szcurów.

– A mnie tutaj nie było – jęknął Maghar. Usiadł, wczepił palce w jej włosy i pocałował ją mocno. – Straciłbym cię, gdybyś była kimkolwiek innym. – Przytulił ją do piersi. – Gdybym znalazł tego skurwysyna, gdybym go dopadł... Kto go zabił?

– SroAreth – wymruczała Keytari, obejmując go w pasie. – Jestem tu, Ren. To

prawda, że brzydka, ale...

Roześmiał się kpiąco i odsunął ją od siebie.

– Brzydka? – prychnął. – Jesteś najpiękniejszą kobietą świata.

Na myśl, że mógł ją stracić, cały drżał. Ujęła delikatnie jego dłoń.

– Nic mi nie jest – wyszeptała łagodnie. – Wiem, że to cię mogło zszokować, Ren, ale naprawdę, już dobrze. Odkąd wróciłeś, jest już dobrze. Powinieneś się teraz wykapać, bo strasznie cuchniesz – dodała, uśmiechając się. – Później pewnie siostrzeniec zajmie cię na jakiś czas.

– Jak się sprawował?

– To cudowne dziecko. Był bardzo grzeczny. Ale tęsknił za tobą i trochę płakał za matką.

– Co z Barią? – spytał Maghar.

– Mam na nią oko. Jest z Sefren, cała, zdrowa i bezpieczna. – Przygryzła wargi. – Każę przynieść dla ciebie balię, a kiedy będziesz w niej siedział i zmywał z siebie te kilka paliczków brudu...

– Nie jestem aż tak brudny – zaprotestował. – Goszcząc u Furwara, myłem się codziennie.

– W każdym razie w międzyczasie opowiem ci, co się wydarzyło pod twoją nieobecność, bo trochę tego jest. Może zauważyłeś brak Khale na obradach?

– I Tanegar, i SroAretha, i tego Varmondczyka... – przyznał Maghar, który dotąd w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

– Ach, tak. Vaja-Aad nie chce uczestniczyć w naszych posiedzeniach. Wystarczą mu rozkazy przekazywane przez SroAretha, który akurat jest zajęty, tak jak komendant Tanegar i Luvik. Z Khale to inna sprawa. – Na jej twarzy pojawił się cień smutku. Wstała, podniosła z podłogi zmiętą koszulę i wciągnęła ją przez głowę. – Pójdę powiedzieć wartownikom, żeby załatwili tę balię.

\*

Do sypialni zajrzał milicjant.

– Wasza Wysokość? – rzucił.

Keytari westchnęła. Zaledwie kilka chwil wcześniej położyła się na łóżku i chciała spokojnie przeczytać zwój z kahrzańską poezją, który Luvik kupił dla niej u miejscowego skryby dwa tygodnie wcześniej.

– Słucham – powiedziała niechętnie.

– Poślaniec od oberszter Tanegar.

Chociaż Tanegar miała już tytuł komendanta, większość osób wciąż mówiła o niej per „oberszter”, głównie ze względu na funkcję, którą sprawowała.

– Niech wejdzie.

Do sypialni wpadła młoda, rozczochrana dziewczyna w mundurze łuczniczki. Stała na baczność i zasalutowała zamasyście.

– Wasza Wysokość! – krzyknęła tak głośno, że obudziła śpiącego w swojej klatce Psa. – Porucznik Joshana z Drugiej Dziesiątki Pierwszej Roty Łuczniczek Drugiej Kompanii Mieszanego Pierwszego Regimentu Formacji Królowej melduje się z wiadomością od pani komendant Tanegar!

Keytari patrzyła na dziewczynę, mając nadzieję, że nie ma zbyt głupiej miny. Z trudem tłumiała chichot.

– Słucham – powiedziała, a potem wessała mocno policzki, by nie ryknąć śmiechem.

– Do miasta przybyła grupa Skalnych z zapasami żywności, po które Wasza Wysokość posłała tydzień temu. Towarzyszą im dygnitarze, którzy chcą z Waszą Wysokością rozmawiać.

– Szlag – warknęła Keytari. – Przekaż pani komendant, że ich przyjmę. Komendant Maghar też niech tu przyjdzie. No, jazda!

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Dziewczyna stanęła na baczność, a potem odwróciła się i wyszła.

Keytari opadła na poduszki, klnąc pod nosem.

\*

Takiej królowej nikt jeszcze nigdy nie widział.

Włożyła suknię, którą podarował jej Maghar – wspaniałe dzieło krawieckiej sztuki, wykonane z ciężkiego, białego brokatu. Ciasny, wyszywany perłami gorset opinał wąską talię Keytari i wybrzuszał jej drobne piersi w powabne półkule. Obcisłe rękawy kończyły się okrągłymi, sztywnymi mankietami. Spódnice, oparte na stelażu wokół bioder, układały się w kształt klosza sięgającego aż do podłogi. Całość dopełniał imponujący, wachlarzowaty kołnierz wznoszący się z ramion za głowę królowej. Keytari wyglądała w niej potężnie, jak prawdziwa monarchini. Za namową Maghara nie założyła na szyję kryzy. Przerazająca blizna, w połączeniu ze starszą i bledszą szramą na oku, nadawały wizerunkowi królowej dwuznacznego wydźwięku. Kahrańcy zawsze cenili odwagę oraz waleczność, a ślady po dawnych ranach były ich najdoskonalszym potwierdzeniem.

Tym razem zjawiała się cała świta Keytari, bez żadnych wyjątków. Gości przyjęto nie w komnacie, gdzie zwykle się spotykali, lecz w dawnej sali obrad rady miejskiej. Wielki stół przepchnięto pod ścianę. Keytari usiadła na najładniejszym krześle, jakie znaleźli, a pozostali stanęli wokół niej – przybrany w złoty płaszcz Maghar na zaszczytnym miejscu u prawego boku królowej, SroAreth po lewej w charakterze tłumacza, Luvik tuż za oparciem, a oficerowie i Tanegar o krok z tyłu. Pod

ścianami i drzwiami prężyli się na baczność żołnierze i milicjanci wśród nich na wszelki wypadek znalazły się cztery łuczniczki. *To dwóch magów, a jakby co – zastonię ją własnym ciałem*, pomyślał Maghar, który szczególnie uparcie domagał się zastosowania wszelkich środków ostrożności.

– Ci ludzie to niegdysiejsi członkowie Rady Państwowej, która rządziła Państwem Sinych Wzgórz przed przejściem przez Kahrańczyków – tłumaczyła Tanegar. – Nie mam pojęcia, czego chcą. Ilość zapasów, jakie przywieźli, jest znacznie większa, niż się spodziewaliśmy...

– Czyli nie przyjechali tu po byle co – mruknął posiwiały oberszter nazwiskiem Velendi.

Maghar miał niejasne wrażenie, że zna skądś jego nazwisko. *Zapewne z jakiegoś raportu, uznał. Jeżeli uda nam się dostać do Domu Pierwszych Zdobywców, muszę przetrząsnąć akta i sprawdzić tego człowieka. Może nadałby się na komendanta milicji?* To przypomniało mu o Kasharpie, który według Keytari został ścięty za próbę dezercji. *Skurwysyn, nie poczekał na moją zemstę.*

Do sali wszedł Dreszcz i wszystkie głosy umilkły.

– Wasza Wysokość – zaanonsował donośnie służący, ubrany w czystą, wełnianą tunikę i skórzane nogawice. – Pan Kar, syn Cerusa, były przewodniczący Rady Państwowej. Pan Jerisz, syn Cerusa, jego brat i zastępca. Pan Nardor, syn Farki. Pani Hesza, córka Belony. Pan...

Służący wymienił co najmniej dwadzieścia osób, z których Maghar zapamiętał pierwsze cztery. Gdzieś w połowie listy, Keytari szepnęła:

– Zrobię go zarządcą całego dworu.

– Świetny pomysł – syknął Maghar. – Chociaż z taką pamięcią mógłby przydać się w milicji. – Keytari uśmiechnęła się lekko. – Jak zrozumiał, co do niego mówią?

– Arszyk, wiesz, jeden ze Skalnych, którzy pełnią rolę służących w ratuszu, nauczył się trochę kahrańskiego. Zapewne Dreszcz poprosił go o pomoc.

Dreszcz skończył wreszcie, skłonił się i otworzył najpierw jedno, a potem drugie skrzydło drzwi. Do sali weszła ściśnięta grupka dygnitarzy w uroczystych strojach Skalniaków – długich, wzorzystych szatach i okrągłych czapkach z jedwabiu, przyozdobionych drogimi kamieniami oraz piórami. Stanęli kilkanaście kroków przed tronem. Prowadzący ich mężczyzna o pomarszczonej twarzy i wystającej dolnej szczęce zawahał się, patrząc na Keytari szeroko rozwartymi oczami. Później opadł na kolana, a pozostali poszli w jego ślady.

Mężczyzna – jak się domyślał Maghar, Kar, syn Cerusa – zaczął bardzo szybko mówić. Maghar rozumiał piąte przez dziesiąte, ale SroAreth przetłumaczył wszystko starannie:

– Witamy cię, Wasza Wysokość, światło nadziei dla tego świata. Słyszeliśmy plotki o twej wielkiej urodzie i majestacie, widzimy jednak, że przyćmiewasz wspaniałą osobą wszystkie gwiazdy, księżyc, a nawet słońce.

Keytari odpowiedziała skromniej:

– Witajcie, przyjaciele. Prosimy, powstańcie.

Maghar poczuł za plecami poruszenie, gdy oberszterzy spojładali po siebie. Jeden czy dwóch wymruczało coś pod nosem. Kiedy królowie wysłuchiowali hołoty, ta zwykle musiała klęczeć. *Poproszenie tych petentów o powstanie poważnie ubodło dumę twojego sztabu, Keytari*, pomyślał Maghar. *Nie wiem, czy słusznie robisz.*

SroAreth spokojnie przełożył słowa władczyni, zachowując uroczystą liczbę mnogą. Dygnitarze podnieśli się na nogi.

– Dziękujemy Waszej Wysokości za łaskę – powiedział bez cienia ironii Kar.

– Mówcie, przyjaciele, z czym przybywacie – zachęciła Keytari.

– Przybyliśmy z dostawami zapasów ze spichrzy w Podgrzybkach, które z ogromną chęcią przekazujemy dla armii Waszej Wysokości. Nie będę jednak ukrywał, że przyszlśmy do Waszej Wysokości jako błagalnicy, a nie równi stanem – ciągnął Kar, pochylając głowę, jakby obawiał się nawet patrzeć na twarz Keytari. Maghar nie był pewien, czy to słuszny wybór, bo w ten sposób Skalniak cały czas wpatrywał się w leżącego na kolanach kobiety Psa, który może nie był tak groźny jak ona, ale z pewnością dużo brzydszy i wredniejszy. – Odkąd lud Waszej Wysokości, zwany Ob... – Skalniak urwał gwałtownie i rumieniec wypłynął na jego twarz – zwany Kahrańczykami – poprawił z paskudnym akcentem. – Odkąd lud Waszej Wysokości wziął pod opiekę nasze ziemie...

Nieoczekiwanie Skalniak będący młodszą o kilka lat, ale poza tym niemal doskonałą kopią Kara, wtrącił kilka gniewnych słów.

– Mówi, że ma dość wysłuchiwania tych bzdur – wyjaśnił SroAreth. – To chyba ten cały Jerisz.

Maghar spał się, gdy Jeirsz wystąpił przed szereg. Zauważył, że jedna z łuczniczek nałożyła na cięciwę strzałę i również uważnie wpatrywała się w Skalniaka. Ten jednak uklonił się nad wyraz dwornie i całkiem spokojnie zaczął mówić, SroAreth zaś tłumaczył, tym razem na bieżąco:

– Niech Wasza Wysokość wybaczy bezpośredniość, ale lubię nazywać rzeczy wprost. Kahrańczycy najechali nasz kraj, nie pod wodzą Waszej Wysokości co prawda, niemniej fakt ten pozostaje faktem. Podzielili go między siebie i swoich sojuszników, Dzieci Ognia, co jest naturalnym prawem zdobywców. Ale ciąży nam jarzmo tej niewoli – dodał. – Szczególnie, kiedy docierają do nas wiadomości ze wszystkich stron świata. Inne kraje buntują się przeciw Kahrowi, a także przeciw

Waszej Wysokości, gdyż, zgodnie z ideologią Kahrańczyków, władca i państwo stanowią jedność. Dobry jest – wtrącił w tym momencie SroAreth, a Maghar w głębi ducha się z nim zgodził. – Państwo Sinych Wzgórz pozostało Waszej Wysokości wierne. To miasto, w którym obecnie przebywamy, gości Waszą Wysokość najlepiej jak potrafi i uznaje jej zwierzchnictwo. Nasi rodacy pokornie odstępują domy, zapasy, ulice, sklepy, tawerny dla żołnierzy Waszej Wysokości. Przywozimy Waszej Wysokości zapasy i jeżeli Wasza Wysokość tego zażąda, dostarczymy ich jeszcze więcej, a sami będziemy głodowali. – Umilkł na chwilę. – Nie jesteśmy głupcami, by buntować się przeciwko potędze Waszej Wysokości lub próbować narzucić jej naszą wolę, ale błagamy i uważamy za słuszne, aby nasze oddanie zostało nagrodzone. Nagrodzone wolnością.

Rozbrzmiało ostatnie wymówione przez SroAretha słowo i zapadła doskonała cisza. Kar wydawał się przerażony. Jerisz spoglądał wyczekująco na królową. Keytari uniosła rękę do ust i przygryzła lekko kciuk.

– Wasza Wysokość – powiedziała cicho Tanegar. – Przezoimy tych szmaciarzy na cztery wiatry.

– A jeśli wywołamy tym bunt? – zaniepokoił się Velendi. – Musimy patrzeć na nich jak na przedstawicieli zbiorowości. To ludzie, którzy na pewno mają wśród swoich autorytet.

– Mamy smoka, na litość bogów – warknął gniewnie oberszter Leghard. – Smoka, magię, mnóstwo wojsk. Damy sobie radę ze Skalniakami. Już raz daliśmy.

– Panowie – powiedział Maghar, nawet się nie odwracając. – I pani – dodał. – Proszę państwa o spokój, królowa rozważa sprawę.

– Jesteśmy tu po to, by służyć Jej Wysokości radą, komendancie. – Ostatnie słowo Leghard niemal wypluł. – Jeżeli królowa sobie tego zażyczy, umilknę.

– Głos komendanta Maghara jest moim głosem – powiedziała w przestrzeń Keytari. – SroAreth?

– Wasza Wysokość? – Sarethan spojrział wyczekująco na Szczurzą Panią.

– Tłumacz – poleciła. – Jak pan zauważył, władamy Państwem Sinych Wzgórz zgodnie z naturalnym prawem zdobywców. Niemożliwym jest, aby odzyskało ono niepodległość. Podlega, i zawsze już będzie podlegało, Kahrowi. – Poczekała, aż Mówca przełoży ten fragment. Później ciągnęła: – Rozumiemy jednak, co zmotywowało was do złożenia na nasze ręce tej prośby i uznajemy słuszność waszej argumentacji. Wyrażamy zgodę i gotowi jesteśmy zobowiązać się na piśmie, by Państwo Sinych Wzgórz odzyskało ograniczoną autonomię.

Teraz wśród Skalniaków zapanowało poruszenie. Jerisz nie brał udziału w dyskusji.

– Na jakich zasadach? – spytał.

– Wasza Wysokość, błagam... – zaczęła Tanegar.

Ale Keytari w ogóle nie zwróciła na nią uwagi.

– Zezwalamy, by władzę nad waszym krajem przejęła ponownie Rada Państwowa, w dowolnym składzie dobranym zgodnie z prawem Państwa Sinych Wzgórz. Zastrzegamy jednak, że zostanie ona zobowiązana do absolutnej lojalności wobec Kahru, regularnego płacenia trybutu oraz w razie konieczności, udzielenia Kahrowi wszelkiej niezbędnej pomocy, w tym zbrojnej. Nad wypełnieniem tych zobowiązań czuwać będą kahrańscy żołnierze, stacjonujący na terenie Państwa Sinych Wzgórz. Dotyczy to oczywiście tylko części kraju podległej Kahrowi.

Leghard jęknął głośno. Maghar szybko rozważył zaproponowane przez Keytari warunki. Były rozsądne, chyba nawet rozsądniejsze od tych, na jakich Kahr funkcjonował obecnie. Już nie brutalna okupacja i całkowita władza namiestnika na danym terenie, ale jedynie kontrola pierwotnej władzy. *To dobra koncepcja*, uznał. O ile dobrze pamiętał, o czymś podobnym wspominał Itonoka.

Skalniacy rozmawiali cicho. Wreszcie ponownie przemówił Kar:

– Dziękujemy z całego serca Waszej Wysokości. Przyjmujemy te wspaniałomyślne warunki.

\*

Datę podpisania dekretu wyznaczono na następny dzień. Skalniacy opuścili ratusz, by znaleźć wygodne kwatery w mieście. Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, sztab Keytari zalał ją potokiem zwymyślań.

– Wasza Wysokość, to czyste szaleństwo...

– Jak w ogóle można pozwolić się w ten sposób urobić?

– To Skalniacy, hołota, Wasza Wysokość popełniła błąd, już prosząc ich o powstanie.

– Naprawdę, rozsądniejsze byłoby wypędzenie ich na cztery wiatry!

Jedynie Valandi stał nieco z tyłu, zajadle gryząc wargi. Maghar też trzymał się na uboczu, dopóki Keytari nie warknęła:

– Podjęłam decyzję. Dajcie mi wszyscy spokój, do jasnej cholery.

Wtedy uznał za stosowne wesprzeć królową:

– Jej Wysokość ma rację. Warunki, które zaproponowała, są wspaniałomyślne, ale nazwanie ich nierozsądnymi to spore nadużycie.

Leghard zmierzył go lodowatym spojrzeniem pomarańczowych oczu.

– Nie ma co dziwić się, że na tym dworze zapadają takie szalone decyzje, skoro Jej Wysokość powierzyła złoty płaszcz zabójcy własnego męża.

Mięśnie w szczęce Maghara zadrgały ze złości, ale nie zareagował. Za to Keytari

tak.

– Ren Maghar jest i zawsze był najwierniejszym stronnikiem mojego zmarłego męża i mnie! – oznajmiła gniewnie. – Jedynym powodem, dla którego oskarżono go o królobójstwo, była chęć obniżenia jego wiarygodności i zlikwidowanie zagrożenia, jakie mógłby stworzyć dla bezprawnych wyborów. Jeżeli kiedykolwiek popełnił błąd, to zbyt wcześnie ujawniając przed pozostałymi członkami Wysokiej Rady fakt poślubienia mnie przez Jego Wysokość Geshwanka.

– Zabawne, Wasza Wysokość – wycodził Valandi. – Ale jakie w zasadzie mamy dowody na to, że to nie komendant Maghar zamordował króla?

Keytari wzięła na ręce Psa i wstała z krzesła.

– Zdolność odróżnienia prawdy od kłamstwa i prawdziwej wierności od tej zmotywowanej strachem przed śmiercią – wycodziła. – Skalniacy zobowiążą się jutro do udzielenia nam pomocy wojskowej, także w kampanii, którą prowadzę przeciwko zdrajcom lojalnym wobec fałszywego króla. Czy tak proste rzeczy wymagają w tym gronie wyjaśnień? Nazywacie głupotą zdobycie następnych dziesięciu tysięcy ludzi?

– Wasza Wysokość, to banda półdzikich obdartusów. Czym oni walczą? Dziirydami? – zakpił Leghard.

Tanegar milczała, spoglądając na Keytari. Ostatni z oberszterów, zwykle cichy Fingard, wzruszył ramionami.

– W czasie wojny sprzedawano już za mniejsze armie ważniejsze rzeczy niż pozory wolności – stwierdził.

– Nie mówiliśmy o tym – zachnął się Leghard. – Tylko o lojalności komendanta Maghara.

– Która nie podlega wątpliwości – warknęła Keytari i odwróciła się, by odejść.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Leghard złapał królową za smukłe ramię, ona odwinęła się, by go uderzyć, Maghar rzucił naprzód, SroAreth unosił rękę. Żadne z nich nie było dość szybkie. Leghar pofrunął w powietrzu, prosto na stojących pod ścianą żołnierzy, którzy rozbiegli się w popłochu. Grzmotnął o mur i głucho stęknął, a potem upadł na podłogę i zwinął się z bólu.

Luvik podrapał się po wielkim nosie noszącym ślady wielu złamań. SroAreth klepnął go w ramię. Oficerowie podbiegli do Leghara.

– Zabierzesz ją stąd? – zwrócił się SroAreth do Maghara, używając języka Skalniaków. – Nie chcę, żeby wylewali na nią jad, jeżeli Luvik przypadkiem połamał temu człowiekowi kilka kości.

Maghar skinął głową.

– Chodź, Keytari – powiedział łagodnie, podając kobiecie ramię.



Skinęła głową.

Wyprowadził ją z sali. Ruszyli korytarzem.

– On mnie przeraża – powiedział Maghar.

– Luvik? – spytała Keytari, która jedną dłonią tuliła do siebie Psa.

– Jest mały, chuderlawy i świetny z niego medyk, tymczasem gdy przychodzi co do czego, reaguje szybciej od SroAretha, a Mówca jest przecież sługą boga magii, do cholery. Pamiętasz, jak rozerwał na strzępy tego żołnierza, który zaatakował Itonokę?

Keytari przechyliła głowę i popatrzyła uważnie na Maghara.

– Wiem już, co go zmieniło – powiedziała cicho. – Po bitwie pod Spławną rozpił się, pozaciągał długi i musiał sprzedać się w niewolę. Trafił do zamku, którym rządził wyjątkowo okrutny pan. Zabił tam zarządcę służących, którego ulubionym zajęciem było gwałcenie małych dziewczynek i kilku innych skurwysynów o podobnych zamiłowaniach. – Uśmiechnęła się. – Później wywołał bunt, rozerwał pana zamku na strzępy i uciekł. – Westchnęła głęboko. – Jest jaki jest, ale to w głębi serca dobry człowiek. W odróżnieniu ode mnie.

– Ty też jesteś w głębi serca dobrą kobietą – zaprzeczył Maghar. Obejrzał się na idących za nimi dwóch milicjantów, a po krótkiej chwili wahania objął Keytari w talii. – Może trochę okrutną, ale dobrą. Pokazałaś to dzisiaj.

– Co przypomina mi, jak cholernie wkurwił mnie sztab. Chodźmy do sypialni. Koniecznie muszę zapalić.

\*

Maghar prawie już spał, kiedy Keytari nieoczekiwanie obróciła się do niego i spytała cicho:

– Opowiesz mi o Barii?

– Ale co o Barii? – zdziwił się.

– Radirzjan bardzo za nią tęskni. Chyba jest dobrą matką, co?

– Tak – przyznał. Przewrócił się na plecy i zagapił w ciemność. – Bardzo dobrą. Czują, troskliwą, zaangażowaną... kiedyś była zupełnie inna, ale zmieniła się po... – urwał.

– Opowiedz mi – poprosiła łagodnie Keytari.

– Właśnie to poróżniło mnie i Nintana Itonokę – wyjaśnił Maghar. – W młodości moja siostra była taka, jak inne zamożne dziewczęta z dobrych domów. Troszkę frywolna, gotowa podbić świat, zabawowa i próżna. Zresztą, natura nie poskapiła jej urody, więc wcale mnie to nie dziwi. Była osiemnastoletnią trzpiotką, kiedy zabrałem ją na bal organizowany z okazji urodzin kogoś tam. Jakiegoś wysokiego rangą oficera. – Wykonał ręką nieokreślony ruch w powietrzu. – Baria i

Itonoka poznali się na tym balu, a krótko potem zjawił się pod domem ojca, gdzie mieszkała. Zabrał ją od rodziców i zrobił swoją faworytą. – Podłożył ramiona pod głowę i przygryzł na chwilę wargi. – Wiesz, że nie ma w tym nic haniebnego, być kochanką komendanta. Ojciec się cieszył. Ale rok później Itonoka oskarżył Barię o zdradę, a ponieważ według niego miała się jej dopuścić, uprawiając stosunek oralny z innym mężczyzną, kazał wyrwać jej język rozpalonymi szczypcami. To było bezprawie, ale on miał wysoką pozycję. Z wielkiego rodu, adiutant, marszałek. Tamte wspomnienia napłynęły falą, podkradły się w ciemności i przez chwilę znów poczuł cień dawnej bezsilnej nienawiści do Itonoki. – Baria wróciła pohańbiona i niema, ojciec ją wyklął. Pamiętam, jak przyszła do mnie, opuchnięta, obolała, zalana łzami. Przyjąłem ją do siebie. Kilka dni później ojciec kazał mi ją wypędzić, ale nie zrobiłem tego. Twierdziła, że jest niewinna, a ja jej uwierzyłem. Zresztą, nawet gdyby faktycznie zdradziła Itonokę, pozostała przecież moją siostrą.

– Jak się z nią porozumiewasz? – spytała Keytari.

– Potrafi pisać – mruknął Maghar. – Dwa miesiące później ojciec zginął na morzu. Służył we flocie. A matka krótko potem popełniła samobójstwo. – Przełknął ślinę. – Nie szukałem dla Barii męża, bo bała się mężczyzn, ale później zjawił się Poderyn. Zwyczajny stolarz, bez herbu, za to straszliwie zakochany. Zabiegał o względy Barii bardzo uparcie, chociaż starałem się go spławić. W końcu zdybał ją kiedyś w domu pod moją nieobecność, a później dobre pół roku spotykali się w tajemnicy, zanim Baria odważyła się spytać mnie o pozwolenie na ślub. Zapłaciłem za niego, ale warto było, żeby zobaczyć ją szczęśliwą. Poderyn przyjął nasze nazwisko i... i było dobrze, przynajmniej jakiś czas.

Keytari długo milczała. Myślał już, że zasnęła, gdy nieoczekiwanie rzuciła:

– Nie wiedziałam, że ty i Itonoka aż tak bardzo...

– Spłaciłem ten dług – zapewnił Maghar. – Nie mówmy o tym, dobrze? To bardzo bolesne wspomnienia.

– W porządku.

Wtuliła się w niego. Maghar przez chwilę nic nie mówił.

– Polubiłaś Radirzjana? – spytał.

– Bardzo. Już ci mówiłam.

– A chciałabyś kiedyś mieć własne dzieci?

Keytari spięła się cała. To od razu zaniepokoiło Maghara. Zrozumiał, że wkroczył na grząski teren.

– A ty? – spytała wreszcie ostrożnie.

– Tak. Z tobą.

Pociągnęła nosem. *Doprowadziłem ją do tego, zdał sobie sprawę Maghar. Dureń,*

*dureń, dureń.* Chociaż tak naprawdę nie miał pojęcia, co powiedział nie tak. Był szczery. W pewnych kwestiach nie można kłamać.

– Keytari, posłuchaj, to nie... – spróbował wyjaśnić.

Ujęła jego twarz w dłoń.

– Nigdy nie chciałam mieć dzieci – wyszeptła, spoglądając na niego lśnącymi w ciemnościach oczami. – Nigdy. Z nikim. Ale odkąd jesteśmy razem, nie mogę przestać o tym myśleć. Urodziłabym ci całą gromadkę. Tyle, ile byś chciał. Ale nie mogę, Ren. Już jako Kerin byłam bezpłodna, chociaż nie wiedziałam o tym dość długo, a teraz...

Opadła bezsilnie na plecy i zaczęła szlochać. Maghar przytulił ją do siebie.

– Keytari – wyszeptał. – Keytari, nie płacz.

– To ciało jest kompletnie spieprzone!

– Daj spokój – powiedział łagodnie, chociaż też czuł żal. Naprawdę liczył, że może jednak... – Już, cicho. Cicho.

Tulił ją do siebie, dopóki nie wypłakała wszystkich łez i nie usnęła z głową na jego piersi.

\*

Po tej rozmowie zaczęli się od siebie oddalać i Maghar nie był pewien, czy nie zawinił. Potrzebował jednak czasu, by sobie wszystko poukładać. Miał nadzieję, że Keytari to zrozumie. Zresztą, była zabiegana i zajęta własnymi sprawami. Podczas narad ze sztabem, obiadami z dygnitarzami Państwa Sinych Wzgórz, planami kampanii, nie było w życiu królowej miejsca dla kochanka. Potrzebowała adiutanta i zaufanego stronnika. Maghar wypełniał te role najlepiej jak potrafił. Wieczorami natomiast padali obok siebie na łoża i chociaż wciąż sypiali razem, namiętność zdawała się między nimi wygasnąć. Keytari była zawstydzona zarówno swoją słabością, jak i przyznaniem się do bezpłodności, a Maghar...

Jak chyba każdy mężczyzna pragnął pozostawić po sobie potomków. Nie chciał żadnych półśrodków, nie zadowoliliby go spółdzenie dzieci ze służącą albo faworytą. Cierpliwie czekał na kobietę swojego życia, a kiedy już ją znalazł, los okrutnie obszedł się z jego marzeniami. W tej sytuacji Maghar mógł zrobić tylko dwie rzeczy. Zdusić uczucie do Keytari i szukać dalej albo pogodzić się z myślą, że umrze bezdzietnie.

*Tak naprawdę to nie jest trudny wybór,* stwierdził pewnej wilgotnej nocy, gdy o okna walił deszcz, a Keytari spała obok niego na brzuchu otulona kołdrą. *Mam trzydzieści pięć lat i już dawno doszedłem do wniosku, że nie ma na świecie odpowiedniej kobiety. Okazało się, że jednak jest... Już za to powinienem być wdzięczny.* Koniec końców, miał siostrzenicę i siostrzeńca. Oboje mogli wyrosnąć na

wspaniałych ludzi. *Ród nie jest zagrożony, uznał. Kurwa, zaczynam myśleć jak Radirzjan Geshwank.*

To wywołało lawinę nieprzyjemnych myśli. *Gdzie on teraz jest? Co planuje? W czyste intencje ożywionego trupa Maghar nie wierzył. Za dobrze pamiętał sen, w którym jego zimne ręce chwyciły go za gardło. Powrócił z całą nienawiścią, jaką czuł umierając.*

Usiadł i odrzucił kołdrę. Spuścił stopy na zimną posadzkę. *Potrzebuję wina. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się dokładnie tak, jak po wyjściu z więzienia, kiedy musiał co wieczór zapijać wspomnienia, by zasnąć. A tuż obok mam znacznie lepszą używkę.* Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem klęknął na łóżku, ostrożnie odwinął Keytari z kołdry i przetoczył ją na plecy.

– Co robisz? – wymamrotała sennie.

– Możesz zgadywać trzy razy – zezwolił wspaniałomyślnie, zadzierając jej halkę.

Zamruczała, objęła go ramionami i pocałowała łagodnie. Przestał się spieszyć. Rozebrał ją powoli, ona ściągnęła mu koszulę. Kochali się w gorącej pościeli. Maghar rozpaczliwie pragnął ukojenia, Keytari zdawała się na wpół spać, łagodniejsza niż zwykle, miękka i rozleniwiona. Gdy skończyli, jakby nigdy nic przetoczyła się na brzuch i zaraz usnęła ponownie. Maghar, który zupełnie zapomniał o Radirzjanie Geshwanku, położył dłoń między jej łopatkami. Zamknął na chwilę oczy.

Nie otworzył ich aż do rana, kiedy obudziło go grzeczne pukanie do drzwi. Początkowo nie wiedział nawet, co się dzieje. Zwykle, gdy ktoś chciał dostać się do Keytari, jeden z wartowników bezceremonialnie wpadał do sypialni i go anonsował.

– Proszę – rzucił Maghar, unosząc się na łóżku. – Jak tu wszedłeś bez...? – Na widok SroAretha wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Podobnie jak ty, mam dostęp do królowej o każdej porze dnia i nocy – wyjaśnił Mówca. – Luvik też. Rozumiesz, stara gwardia, te klimaty.

Usiadł na łóżku i zmierzwił włosy Keytari, która ocknęła się z gniewnym prychnięciem. Maghar zjeżył się na taką poufałość.

– Co? – spytała królowa.

– Przylecieli – odrzekł SroAreth.

Uniosła się gwałtownie, przytrzymując opadające z piersi okrycie. Rozejrzała się w panice.

– Ale... – jęknęła. – Gdzie są?

– Na razie nad miastem. Za jakieś dziesięć psalmów wylądują.

– Bogowie.

Nie zważając na swój strój, a raczej jego brak, Keytari wyskoczyła z łóżka.

SroAreth wykazał się taktem i odwrócił wzrok. Maghar natomiast przyglądał się kobiecie z przyjemnością. Wciągnęła przez głowę miękką koszulę.

– Ren, wstawaj i zakładaj mundur – napomniała go, wciągając spodnie.

– To moja bluza – stwierdził, gdy ubierała się dalej.

– Pieprzę to – warknęła Keytari, podwijając opadające rękawy.

– Uczesz się przynajmniej – powiedział SroAreth.

Złapał Keytari, gdy biegła do drzwi i posadził ją przed lustrem, a potem zaczął szarpać szczotką jej długie, splątane włosy. Maghar był mu za to wdzięczny, bo przynajmniej sam miał dość czasu, by się ubrać.

– Nie pod włos! – wrzasnęła piskliwie Keytari. – Daj mi to!

Wyrwała z ręki Mówcy szczotkę i sama zaczęła rozczesywać włosy. Ubrany już Maghar przechylił się nad jej ramieniem, by przyjrzeć się swojej twarzy.

– Wyglądasz jak gówno – podpowiedziała Keytari.

– Wiem – stwierdził. – Ale lepszy jednodniowy meszek niż twarz poharatana brzytwą w czasie pospiesznego golenia.

– Meszek to mają dzieci – warknęła królowa. – Ty jesteś równie miękki jak jeź. – Rzuciła szczotkę na łóżko i pospiesznie wciągnęła buty do konnej jazdy. – Chodźmy.

Maghar zarzucił na ramiona płaszcz, SroAreth okrył Keytari jej własnym. Gdy zbiegali po schodach do holu, Maghar wciąż próbował związać zbyt długie i zbyt rozczochrane włosy w cywilizowany kucyk.

Przy drzwiach czekał na nich Luvik, zgarbiony i zmarznięty, odziany w opończę z grubej wełny. SroAreth wciągnął kaptur i otworzył drzwi. Na zewnątrz lało. Wyszli na deszcz.

Assina Xaotl stała na rynku i zadzierała w górę pysk. Rozłożyła ogromne skrzydło, pod którym skryła się królowa i jej świta.

– Mam nadzieję, że wylądują bez szwanku – mruknął SroAreth. – Pogoda jest kiepska na latanie.

Maghar wychylił się spod skrzydła i spojrzał w niebo. Krople deszczu wpadły mu do oczu i spływały po twarzy, ale dostrzegł na niebie ciemną chmurę jakby setek ptaków.

– To smoki? – spytał z przerażeniem.

– Nie – zaprzeczył SroAreth. – Smoki zwykle nie pozwalają się dosiadać, Assina Xaotl jest wyjątkowa. – Oparł rękę na ciepłym boku gada. – To lotnicy na wiwernach.

Maghar znów się wychylił.

Czarne sylwetki runęły z nieba, wszystkie naraz, spadając na miasto wraz z

deszczem. Dwunogie gady o ogromnych skrzydłach i uzębionych pyskach obsiadły dachy, ulice, zapewne także miejskie mury oraz baszty, niczym plaga wyjątkowo wielkich wron. Na grzbiecie każdego siedziało dwóch jeźdźców – jeden w siodle i drugi za nim. Wszyscy byli Sarethanami.

Największa wiwerna, z pięknie zdobioną uprzężą oraz małym palankinem na grzbiecie, wylądowała na dachu świątyni. Jeździec ściągnął jej wodze, a z grzbietu zwierzęcia zsunął się wysoki Sarethan odziany w płaszcz z białych piór. Magharowi strój paskudnie kojarzył się z Geshwankiem. Nie miał czasu nad tym pomyśleć, bo tuż za plecami usłyszał wściekły syk, jakby zagotował się czajnik.

– Kurwa mać!

Trzy oddechy zajęło mu zrozumienie, że te słowa padły z ust SroAretha. Zanim opanował zdziwienie, Mówca – spokojny, opanowany, łagodny, głoszący miłosiernie SroAreth – wybiegł na deszcz, zapominając o kapturze. Język Sarethan miał to do siebie, że ze względu na duże natężenie przeciągłych syków ciężko było w nim krzyczeć, ale SroAreth dał sobie radę. Darł się tak, że przekrzyczał walący o wszystko deszcz. Patrzył przy tym wprost na mężczyznę w piórach. Tymczasem jeździec dosiadający wiwerny miał taką minę, jakby SroAreth zaczął rzucać gnojem w świątynię, na której wylądował.

Sarethan w płaszczu z piór podszedł na sam skraj dachu i spojrzał z góry na plującego się SroAretha. Później, szeroko uśmiechnięty, zeskoczył z dachu i wylądował tuż przed Mówcą. Zamknął go w niedźwiedzim uścisku. SroAreth z miejsca zamilkł. Kiedy Sarethan wypuścił go i ruszył w kierunku królowej, Mówca powłókł się za nim z miną wyrażającą absolutną bezsilność.

Maghar zerknął na Keytari i przeraził się. Jej twarz ściągnął gniew, oczy błyszczały dziko. Kiedy Sarethan w piórach wyciągnął do niej ręce w powitalnym geście, wycedziła:

– Co ty tu robisz?

– SroAreth zadał mi to pytanie jakieś siedem razy w czasie swojej tyrady – odpowiedział w nienagannym kahrańskim mężczyzna.

– On robi to z troski – warknęła Keytari. – Ja dlatego, że znam odpowiedź.

– W takim razie po co to pytanie?

– Chcę, żebyś przyznał, że mi nie ufasz.

– Oczywiście, że ci nie ufam – powiedział Sarethan. – Omotałaś nawet pożeracza dusz, którego więziłem w swoim umyśle od wieków, pozbawiłaś już życia kilkoro sojuszników...

– Tylko Itonokę – sprostowała Keytari.

– ...jesteś bardziej arogancka niż mój Mówca, niebezpieczna, nienawidzisz mnie

i, jak widzę, twoje plany uległy drastycznym zmianom, gdyż to ty, a nie pokorna marionetka, stoisz tu jako przyszła władczyni Kahru, mam rację? – Nie czekał na odpowiedź. – Powitasz mnie wreszcie?

Niechętnie uściśnęła jego dłonie. Gdy to się stało, twarz Sarethana uległa gwałtownym zmianom. Nos wyrzucił się, oczy zmniejszyły i zbiegły, wokół ust pojawiły się wargi, róg sterczący z czaszki zapadł, łuski rozmyły i zmiękły, z głowy wyrosły włosy. Po chwili naprzeciwko Keytari stała jej doskonała kopia, tyle że w męskiej wersji i pozbawiona blizn. Ubranie z piór także się przekształciło, zmieniając w szatę identyczną z tą, jaką nosił SroAreth.

– Tania sztuczka – stwierdziła gniewnie Szczurza Pani, wrywając ręce z uchwytu mężczyzny. – Mogłeś to zrobić w każdej chwili. – Obrzuciła go taksującym spojrzeniem. – I co zrobiłeś ze swoim płaszczem?

– Chyba nie przypadł do gustu temu Kahrańczykowi po twojej prawej stronie. Może ta forma będzie dla niego miłsza. *Mówi o mnie*, zdał sobie sprawę Maghar. *Kurwa mać*.

– Jesteś bogiem – stwierdził, trochę głupawo.

– Tak jakby – odrzekł Pierzasty Wąż, szczerząc białe zęby. – Mam dziesięć tysięcy ludzi, połowę lotników i połowę piechoty, oraz zapasy żywności na jakieś pół roku – powiedział. – Uda się gdzieś ich upchnąć?

– Może omówimy to przy śniadaniu? – zaproponował Luvik, równie płynnie jak SroAreth i Pierzasty Wąż, niemal bez akcentu.

Maghar i Keytari zagapili się na niego. Mag wyszczerzył zęby.

– Niespodzianka – powiedział radośnie. – Chyba mogę już się ujawnić, skoro on chce sam sprawować nad tobą kontrolę. – Wskazał boga ruchem głowy.

– Oszukałeś mnie – jęknęła Keytari, chyba najbardziej przejęta faktem, że nie zdołała tego odkryć.

Maghar uznał, że jeżeli nie zareaguje, będą stali na deszczu jeszcze co najmniej kwadrans.

– Śniadanie to świetny pomysł! – oznajmił odrobinę za głośno. – W międzyczasie zastanowimy się nad zakwaterowaniem Sarethanów i wyjaśnimy sobie wszystkie niesnaski, dobrze? Nie zrozumcie mnie źle, ale tu jest cholernie zimno.

# Część trzecia

## BIAŁY

### I

Pod dachem ogromnego namiotu z żółtego jedwabiu było niewyobrażalnie gorąco. Kerosh Karey, ubrany w luźną kamizelkę z czerwonego atlasu oraz obcisłe, skórzane spodnie, zasiadał na krześle przy prostym stole, wyciągając nogi przed siebie. Białe włosy nosił dość krótko obcięte. Delikatny wzór na jego twarzy, pod wpływem ognia migoczący barwami płomieni, wyglądał jak nieznaczone przebarwienie skóry.

– Czyli przyjeżdżasz od królowej? – upewnił się, nalewając sobie wina do kryształowego kielicha. – Ciekawe. – Oparł łokieć na blacie i napił się. – Czy zupełnie postradała zmysły, że przysłała tu do mnie kogoś, kto najwyraźniej nigdy nie trzymał miecza?

Stojący w wejściu do namiotu Dreszcz uśmiechnął się lekko. Był świadom, że o krok za nim żołnierze, którzy go tu przywlekli, trzymają dłonie na rękojeściach mieczy. Jemu samemu odebrano broń, nim jeszcze został wpuszczony do obozowiska.

– Zapewniam, że kiedy ostatnio widziałem Jej Wysokość, wszystko było z nią w porządku – odrzekł Dreszcz.

Kerosh pokiwał głową i odgarnął klejące się do spoconej twarzy włosy.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co się zjawiłeś – wyznał. – Do głowy przychodzą mi dwie rzeczy. Królowa chce mnie zamordować i to ty jesteś zabójcą, chociaż nie wyglądasz na niego. Albo chce mnie upokorzyć.

– Nie, Wasza Wysokość – zaprzeczył spokojnie służący. – Jej Królewska Mość przysłała mnie w charakterze posła. Okazałem zresztą jej wstęgę...

– Tak, mam ją. – Kerosh podniósł skrawek materiału leżący obok jego kielicha. Przyjrzał się pieczęci. – To Płonące Drzewo, prawda?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Z tego co wiem, Radirzjan Geshwank nie żyje.

– Jego żona nosi ten sam herb – sprostował Dreszcz.

– Jego żona? – powtórzył Kerosh. Dopił wino. – To zdumiewające. Nie wiedziałem, że Radirzjan Geshwank miał żonę. A skoro nie przejęła po nim tronu, domyślałem się, że Kahrańczycy również o tym nie wiedzieli. Nic nie mów! – dodał ostro, gdy Dreszcz otworzył usta. – Powiem ci, jak to widzę. Uzurpatorka, która



nie ma praw do tronu, nie ma armii, nie ma niczego poza ambicją, przysłała do mnie jakiegoś łachmytę, chcąc mnie upokorzyć, zapewne jakąś wielce kuszącą propozycją. Zastanawiam się tylko: jaką?

Dreszcz westchnął w duchu. *Pewnie warto było spróbować, Wasza Wysokość, ale to się nie uda*, pomyślał. *To pewny siebie, młody zdobywca i trudno się mu dziwić.*

– Wycofaj się, Wasza Wysokość – powiedział bez większych nadziei. – Zabierz wojska i opuść Dom Pierwszych Zdobywców oraz Kahr. Pozwól Jej Królewskiej Mości walczyć z ludźmi, którzy odebrali jej tron, a kiedy przejmie władzę, zapomni o zerwaniu sojuszu.

Kerosh przez chwilę patrzył na niego. Później ryknął śmiechem. Łzy pociekły mu z oczu i otarł je gwałtownie.

– Rozbawiłeś mnie – przyznał. Klasnął kilka razy w dłoń. – Wspaniały z ciebie błazen. Jak sądzisz, czy powinienem obciąć ci głowę, jak to robią Kahrańcy w przypadku równie bezczelnych propozycji?

Dreszcz zmusił się do kolejnego lekkiego uśmiechu, chociaż zimne ostrze strachu przesunęło się wzdłuż jego kręgosłupa. *To szybka, czysta i godna śmierć. No, chyba że posram się ze strachu.*

– Sądzę, że nie, Wasza Wysokość, jednak mogę nie być do końca obiektywny – powiedział.

Kerosh znów parsknął śmiechem, ale kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiała irytacja:

– Królowa chyba naprawdę liczyła, że odetnę ci łeb. Masz za długi jęzor. – Zmarszczył brwi. – Bierz swojego konia i broń, i wynoś się stąd. Powiedz swojej królowej, żeby postąpiła rozsądnie i wpełzła z powrotem do nory, z której wychynęła – poradził. – Mam tutaj trzydzieści pięć tysięcy ludzi uzbrojonych w nowoczesną broń. Mury Domu wkrótce padną i zostanę królem dwóch wielkich państw. – Pokiwał głową. – Niech odejdzie mierzyć się z kimś na swoim poziomie.

Rzucił Dreszczowi wstęgę z pieczęcią. Służący złapał ją, uklonił się, odwrócił i wyszedł przed namiot. Żołnierze poszli za nim. Jeden został przed wejściem, drugi poprowadził go w bok, gdzie pilnowano jego konia i broni.

Wkrótce Dreszcz wyjechał poza ogromny, śmierzdzący pierścień oblężenia. Spiał wierzchowca do galopu i ruszył traktem na południe. Gdy oddalił się o spory kawałek, zwolnił. Rozpiął kaftan. Z jego wewnętrznej kieszeni natychmiast wybiegła mysz, spocona i zdyszana.

– Biedne stworzenie – uśmiechnął się Dreszcz, gładząc zwierzątko po grzbiecie. – W tym upale nawet ja się duszę. Miesiąc łagodnego słońca, cholera jasna. – Posadził zwierzę na ramieniu. – Wasza Wysokość słyszała jego odpowiedź – dodał.

– Przy okazji powiedział nam, ile przywłókł wojsk. To miłe z jego strony.

\*

Aby z Czarnogrodu dotrzeć do stolicy, należało przejechać traktem ciągnącym się wzdłuż Pustyni Żywych Piasków aż do miejsca, w którym łączył się on z największą kakrańską drogą, wiodącą od Spalonego Miasta do Domu Pierwszych Zdobywców. Następnie wędrowca czekała przeprawa przez pierwszy dopływ Zimnicy, wielkiej rzeki mającej źródła w Górach Białoszczytu, nad którą wzniesiono Dom. Dotąd biegnący po płaskim terenie trakt zaczynał teraz więc się przez wyżynę u stóp Gór Białoszczytu. Przed ogromnym mostem nad drugim dopływem Zimnicy łączył się ze szlakiem do Pocałunku Słońca.

W tym miejscu, na wzniesieniu terenu pomiędzy dwoma traktami, zbudowano największą w okolicy stanicę, której załoga opowiadała się właśnie po stronie królowej.

– Kiedy przyszły te chore rozkazy i zaczęły się burdy, zaszyliśmy się tutaj – powiedział rotmistrz Tertal, dowodzący garnizonem, rozpierając się wygodnie na ławie. – Nikogo nie wpuszczałem. No i nie zamierzałem wieszać własnych ludzi. Nie, żebym miał szczególnie dużo stronników Itonoki albo Jego Wysokości Geshwanka, ale... wiadomo. Był taki poczet piechurów, którzy trochę za głośno krzyczeli o swoim poparciu, gdy Itonoka uciekł z Lochów Trolli. No i miałem tu szpiega z milicji. – Pociągnął łyk piwa z wielkiego kufla. – Sama stolica mi go przysłała w ramach zapobiegania samowoli. Przyniósł rozkaz, gnida, a jak mu go przeczytałem, to zrobił się biały jak ściana. – Otarł usta. – Jakbym ich miał powiesić, to przecież cała załoga by się zbuntowała. – Popatrzył na wielki stół, zastawiony zaledwie kilkoma półmiskami. – Czy to nie za mało? Mamy bardzo niewiele zapasów. Tylko piwa, wina i wódki pod dostatkiem, bo ja swoim nie pozwalam zwykle pić.

Sala jadalna, chociaż znacznie większa niż w pomniejszych stanicach, była zatłoczona. Stoły obsiedli oficerowie armii królowej oraz ludzie rotmistrza. Panował harmider. Chociaż jedzenie rzeczywiście było skromne – bo czym jest trochę klusek z grzybami, pieczonych buraków i zupy ziemniaczanej dla żołnierza po całym dniu marszu? – wszystkim dopisywał dobry humor.

Przy jednym stole z Tertalem, który występował w roli gospodarza, siedzieli królowa, Maghar, Luvik, SroAreth, Pierzasty Wąż w postaci Sarethana, oficerowie z Tanegar na czele oraz dwóch dowódców Skalniaków, to znaczy Jerisz i Arszik. Wybranie na dowódcę prawie pięciu tysięcy wojowników właśnie Arszika początkowo wydawało się Magharowi dziwne, dopóki nie wyszło na jaw, że pozornie łagodny Skalniak jest bohaterem wojen z Varmondczykami.

*To szalone towarzystwo, stwierdził Maghar. A ja jestem wodzem tego bałaganu. Ja, który w życiu nie dowodziłem wojskiem w polu.*

– To nie ma znaczenia – powiedziała do Tertala Keytari, ubrana w czarny mundur, czyli zwężony odpowiednio do jej szczupłutkiej sylwetki mundur Maghara. – Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za przyjęcie i gościnę. Rozumiem, że czasy są ciężkie.

– Były, dopóki Wasza Wysokość się nie zjawiała – zapewnił Tertal, próbując trochę niezgrabnie ukłonić się na siedząco, przez co wyglądał jak okaleczony żuraw. – Słyszałem plotki o Waszej Wysokości, ale nie spodziewałem się... – Umilkł zawstydzony.

*Nie spodziewałeś się morza uzbrojonych po zęby ludzi, którzy rozłożyli się obozem wokół twojej stancy, domyślił się Maghar. Nikt się nie spodziewał, a z tego, co Keytari napomknęła o misji Dreszcza, złapaliśmy wszystkich szpiegów Kerosha, którzy zapuścili się w te rejony. Chyba że młokos rżnie głupa.*

Rozejrzał się po sali. Ludzie Aladona, uzbrojeni w karabiny i pobieżnie przeszkoleni w Czarnogrodzie jak ich używać, obstawili wszystkie drzwi i okna. Chociaż rota łuczniczek, podległa Tanegar, radziła sobie zdecydowanie lepiej w posługiwaniu się nową bronią, Maghar nie ufał jej dziewczynom na tyle, by powierzyć im ochronę Keytari.

Pierzasty Wąż nachylił się do niego.

– Niepokoisz się? – zagadnął szeptem.

– Bardzo widać? – mruknął Maghar.

– Nie. Myślę jednak, że odrobinę przesadzasz.

Niewątpliwie była to prawda. *Siedzę przy jednym stole z dwoma magami i bogiem, pomyślał Maghar. Pierzasty Wąż znowu się wyprostował i wrócił do rozmowy ze SroArethem, toczonej w ich języku. Sądząc po wyrazie twarzy Mówcy, bez zapału dźgającego nożem kluski, omawiana kwestia była średnio interesująca.*

Maghar musiał przyznać, że Pierzasty Wąż był mistrzem, jeżeli chodziło o kontakty ze śmiertelnikami. Uparł się dowodzić pieszymi Sarethanami tworzącymi Szósty Regiment armii królowej, nie wtrącał się w żadne decyzje, a wobec wszystkich zachowywał się swobodnie i przyjacielsko. Nie reagował na skrywaną wrogość Keytari, której jego obecność wyraźnie nie była w smak. *Jest jej przyjacielem tylko tak długo, jak długo ona spełnia jego wolę, przypominał sobie. O tym nie wolno mi zapominać.*

Zerknął z ukosa na kobietę, zajęta jedzeniem i uprzejmą rozmową z Tertalem. Wyglądała skromnie i uroczo. *Bardzo dobrze. Nie powinna wyróżniać się z tłumu w czasie podróży.*

Otworzyły się drzwi sali i do środka wszedł Dreszcz ubrany w zakurzony kaftan. Przedostał się przez roześmiany tłum. Dopadł wreszcie stołu, obszedł go i stanął za krzesłem królowej. Nachylił się do niej od strony Maghara.

– Co teraz? – spytał.

Keytari urwała kawałek kluski i podała myszy siedzącej na ramieniu służącego.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – zapewniła cicho. – Mam szpiegów w mieście. Ludzie są przerażeni. Otwarcie mówią o tym, że Dom Pierwszych Zdobywców wkrótce padnie.

– Ludzie może tak – stwierdził Maghar, odkładając nóż. Apetyt mu nie dopisywał. – Ale pamiętajmy, że na tronie zasiada Resnir i pokazał, że nie jest głupcem pokroju Lekthry. Trzyma zapasy dla wojska. Może siedzieć za tymi murami jeszcze długo.

– Mury miejskie są w tragicznym stanie – zaprzeczył Dreszcz. – Pokruszone, popękane, miejscami kule wybiły dziury na wylot, tylko pobieżnie załatane drewnem. – Urwał na chwilę. – Ten gołowąs jest arogancki i nieostrożny, ale niezupełnie głupi.

Keytari skinęła głową.

– Dziękuję ci, Dreszczu. Zjesz z nami?

– Jeżeli Wasza Wysokość pozwoli, chciałbym wrócić do namiotu i odpocząć. Od trzech dni nie widziałem siennika. – Gdy Szczurza Pani skinęła głową, zwrócił się do Maghara: – Je pan komendant te kluski?

Maghar w milczeniu podał mu cynowy talerz. Dreszcz podziękował, zabrał naczynie i ruszył z powrotem do drzwi.

Przy stole nikt nie zainteresował się wiadomościami od Dreszcza. Wszyscy oficerowie wiedzieli o szczurzym wywiadzie – wbrew nadziejom Maghara nie tak łatwo było ukrywać źródło licznych informacji spływających do Keytari – i zdążyli już przedyskutować odrzucenie propozycji układów. Jedynie Tertal odprowadził odchodzącego wzrokiem.

– Co to za bezczelny służący? – spytał w przestrzeń.

– Jeden z ulubionych poddanych Jej Wysokości – powiedział cierpko Leghard.

Po krótkiej chwili potrzebnej na wypowiedzenie tych słów wrócił do swojego zwykłego zajęcia, czyli przewiercania złym wzrokiem Luvika, który niespecjalnie się nim przejmował.

– To mój kanclerz dworu – sprostowała Keytari.

– Nie jest służącym? – zdumiał się Tertal.

– Ależ jest – odrzekła królowa, unosząc brwi. – Chociaż bardziej interesuje mnie jego lojalność niż status społeczny.

Zdumiony rotmistrz nie znalazł żadnej grzecznej odpowiedzi. Po chwili niezręcznej ciszy chrząknął i wrócił do jedzenia.

\*

Armia królowej została podzielona na osiem regimentów, z których tylko trzy były w pełni złożone z Kahrańczyków, głównie tych przybyłych do Gniazda w czasie niepokojów wywołanych czystkami. W kolejnym, dowodzonym przez Tanegar, znalazła się mieszanka jej oddziałów, zebranych po drodze z Gniazda do Domu Pierwszych Zdobywców ochotników, strzyg, wojowników Vaja-Aada oraz roty Aladona. Dwa regimenty – jeden dowodzony przez SroAretha, drugi osobiście przez Pierzastego Węża – tworzyli Sarethanie, następne dwa Skalniacy.

*A jeszcze osiem miesięcy temu tkwiliśmy na środku pustyni i nie mieliśmy nawet setki ludzi, pomyślał Maghar. To chyba najszybsza rebelia przeciw władzy, jaka kiedykolwiek miała miejsce w Kabrze. Chociaż nie, nie powinien tak tego nazywać, nawet w myślach. Zdobywamy tron, który prawnie należy się Keytari. Może kiedyś, gdy powtórzy to kłamstwo odpowiednio wiele razy, zapomni, że jest zdrajcą. Reszta jest w zasadzie niewinna, może poza Pierzastym Wężem, ale on jest bogiem. Ja wiem, że to my jesteśmy w tym starciu czarnymi charakterami, a jednak stoję twardo za Keytari. Często zastanawiał się, co aż tak go zaślepiło. Miłość? Ambicja, której istnienia nigdy nie podejrzewał? Podrażniona przez oskarżenie o królobójstwo duma? Oddanie Kahrowi? Tak, na pewno to ostatnie, pomyślał ironicznie.*

– Ren!

Leżał na posłaniu w namiocie Keytari, ze wzrokiem wbitym bezmyślnie w płócienny sufit. Teraz uniósł się na łokciu i spojrzał na królową. Siedziała w nogach posłania, obejmując ramionami kolana. Wbijała w niego złote oczy, w których tak łatwo można było utonąć.

– Mówię do ciebie – warknęła. – Słuchałeś mnie w ogóle?

– Kocham cię – powiedział.

– Ren, kurwa mać, jaja sobie robisz?

Pokręcił głową i usiadł. Potarł oczy kłykciami.

– Powtórz, proszę.

– Zastanawiam się, kto powinien nieść chorągiew – wyjaśniła. – Będzie przy mnie Luvik, ale musi mieć wolne ręce, Dreszcz jest tylko służącym, a ty moim adiutantem i nie chcę, żeby...

– Co? – zdziwił się.

– Żebyś znowu odstawił szaleńczą szarżę bez broni tylko dlatego, że ktoś mi zagraża.

– Nikt nie będzie ci zagrażał – zapewnił szybko Maghar. – Wokół nas będą

ludzie Aladona. Zanim ktokolwiek się przez nich przedrze, rzucę tę cholerną chorągiew i wyciągnę miecz. – Oblizął wargi. – Bardzo niepokoi mnie, że nie masz zbroi.

– Luvik ma stworzyć wokół nas ochronną kopułę magii – przypomniała Keytari.  
– Nic mi się nie stanie, Ren.

– Jestem najodpowiedniejszym człowiekiem, żeby nieść twoją chorągiew – stwierdził i wzruszył ramionami. – Wiesz, że ci nie pomogę, prawda? Bardzo niewiele wiem o bitwach. Nie do tego mnie szkolono.

– Powinam dać sobie radę – powiedziała Keytari. – No i mam doświadczonych oficerów.

– Chociaż raz zamierzasz ich wysłuchać?

Uśmiechnęła się leciutko.

– Zawsze ich słucham – odrzekła. Maghar z powrotem opadł na plecy. *Oczywiście, że tak.* Wiedział o tym. Keytari zawsze wysłuchiwała wszystkich, a później i tak robiła po swojemu. *Nieprawda. Liczy się z moim zdaniem.*

– Mamy jeszcze szansę się wycofać – wypowiedział na głos to, co zaprzętało jego myśli od paru ładnych dni.

– Co? – zdziwiła się.

– Jest ciemno. Weźmiemy rączego konia, naciągniemy na głowy kaptury i wyjedziemy poza obóz. Ruszymy cwałem na wschód, a rano będziemy daleko. Kupimy gdzieś mały kawałek ziemi. Będziemy żyli spokojnie z dala od tego wszystkiego.

– Dopóki nie rozpadnę się w pył z woli Pierzastego Węża – powiedziała cynicznie Keytari i odwróciła wzrok. – To piękne marzenie, Ren. Dlaczego go nie zrealizujesz?

Usiadł.

– Ty jesteś piękniejsza – wyjaśnił. Przesunął dłonią po jej splecionych w warkocz włosach. – Poza tym to tylko głupia mrzonka człowieka, który boi się jutra.

Pocałowała go gwałtownie. Przymknął oczy. Poczł, jak Keytari wciska mu w rękę wojskowy nóż, wyciągnięty z jego własnego buta.

– Nie bój się jutra – wyszeptła, przerywając pocałunek. – Zawsze mamy wybór – dodała ze smutnym uśmiechem.

Wbił nóż obok postania i pokręcił powoli głową.

– Jakiegokolwiek dokonasz, wiedz, że wybrałaś za nas oboje – ostrzegł.

Patrzyła na niego długą chwilę, a potem uśmiechnęła się krzywo.

– Teraz weź ten nóż – poleciła – i obetnij mi włosy. Idę na wojnę. Chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

## II

Osiem dni spokojnego, niezbyt forsownego marszu. Tyle dzieliło ich od celu.

Dzień drogi od Domu Pierwszych Zdobywców, w szarym świetle świtu, odbyli najważniejszą, chociaż bardzo krótką naradę. Zasiedli wokół prostego, drewnianego stołu, ustawionego we wnętrzu królewskiego namiotu, nad mapą terenu.

– Najwięcej wojsk Dzieci Ognia skupiło się pod południową bramą – referował spokojnie służący. – To zapewne wynik niedoświadczenia Kerosha. Gdyby atakował z równą zaciekłością którykolwiek odcinek murów, dawno by się przez nie przedarł.

– Murów nie rozwalisz taranem – stwierdziła Tanegar.

– Bramy też nie rozwalił – odparował Dreszcz. – Jest potężna i doskonale broniona.

– Taran? – prychnęła Keytari zasiadająca u szczytu stołu z fajką w zębach. Włosy, skrócone do ramion, związała w niedbały, sterczący kucyk jak kahańscy żołnierze. Kilka kosmyków opadało jej na twarz. – Ma spiżowe działa. Skoncentrowany ogień na jeden odcinek murów i byłoby po sprawie.

Wszyscy spojrzeli na nią z lekkim niedowierzaniem poza Pierzastym Wężem, który odchylił się na krześle i uśmiechnął tryumfująco. *To moja dziewczynka*, zdawał się mówić ten grymas. Magharowi bardzo się nie podobał. Taktyka zasugerowana przez Keytari wydawała się najprostszą i najbardziej logiczną z możliwych... a jednak nikt dotąd na to nie wpadł.

– Jakie są szanse, że wychyciliśmy wszystkich szpiegów Kerosha? – spytał Velendi.

– Bardzo nikłe – odpowiedział Maghar. – Tylko młodości i bucie Kerosha możemy zawdzięczać fakt, że pozostaliśmy nieodkryci tak długo. Tak blisko Domu musi mieć już masę zwiadowców i wystarczy, żeby jeden z nich wspiął się na pobliski pagórek.

– Należy założyć, że spodziewa się naszego przybycia – potwierdziła Tanegar. – Proponuję okrążyć Dom Pierwszych Zdobywców i zamknąć pierścień wokół...

– Nonsens – przerwał Leghard. – Tak ogromny okrąg to zbyt małe zagęszczenie naszych żołnierzy. Trzeba wbić klin w jedno miejsce ich armii i przerwać pierścień.

– Gdzie? – spytał Fingard.

– Pod bramą – odpowiedział Luvik, siedzący z głową podpartą ramieniem.

Maghar spojrział na niego. Odkąd Luvik ujawnił się jako szpieg, czuł do niego rodzaj niechęci. Koniec końców on też dał się nabrać. Jednocześnie zaczął trochę bardziej mu ufać. Tym bardziej, że wreszcie poznał w całości jego historię, bo Luvik opowiedział mu o ucieczce z Cesarstwa po rzezi w zamku południowego

możnowładcy. Tak jak Kerin udała się na zachód po rozstaniu z Salvą, on wybrał przeciwny kierunek i zawędrował do Kraju Wschodzącego Słońca, gdzie schwytali go Sarethanie. Jako mag znienawidzony przez własny lud, był niemal jednym z nich. Został przyjęty do ich społeczności. Tym samym stał się sługą Pierzastego Węża, który wysłał go ze SroArethem na zachód, wiedząc, że Keytari mu zaufa. Co ważniejsze, Luvik chyba nie miał pojęcia, że Szczurza Pani jest Kerin Zmienioskórą – a przynajmniej nie był tego całkowicie pewien.

– Nie słuchałeś czarnucha? – spytał opryskliwie Fingard. – Tam jest najwięcej wojsk.

Dreszcz i Luvik niemal identycznym ruchem unieśli brwi.

– Zważywszy na kolor naszych mundurów, ta obelga nie należy do najtrafniejszych – zauważyła Keytari, przesuwając czubkiem palca po brzegu kielicha opróżnionego z wina. – Tak, uderzymy na nich pod bramą. – Odchyliła się na krześle. – Tam przebywa Kerosh ze sztabem. To ich centrum dowodzenia i największe skupisko sił. Jeżeli rozbijemy oddziały pod bramą, bitwa będzie wygrana.

– Albo przegrana – mruknął Velendi.

– Nie – zaprzeczył nieoczekiwanie Arszyk, mówiący powoli i z bardzo silnym akcentem. – My mamy gdzie uciekać. Oni nie mają.

– Dokładnie – potwierdziła Keytari. – Przygnieciemy ich do murów. Za nami zostanie otwarta przestrzeń.

– To brzmi dobrze – przyznał ochoczo Leghard.

– Kto weźmie na siebie pierwsze uderzenie? – spytała Keytari.

– Ja – odpowiedział Pierzasty Wąż, siedzący z rękami skrzyżowanymi na piersi.

SroAreth aż się zachnął, ale bóg posłał mu przeciągłe spojrzenie. Mówca zwiesił głowę z miną obrażonego dziecka.

– Z tymi śmiesznymi jaszczurkami w przepaskach biodrowych? – zakpił Leghard.

– Zgoda – odpowiedziała Keytari. – Jeżeli to nie wystarczy, jako drugi uderzy Jerisz. SroAreth, przetłumaczysz? – Mówca skinął głową i przełożył dowódcy Skalniaków jej słowa. – Ktoś musi odciąć tę grupę wojsk od pozostałych. – Wskazała zaznaczone na mapie, zgromadzone przed bramą oddziały. – Panie Fingard, panie Leghard? – Oboje skinęli głowami. – Kiedy wojska wroga ogarnie już panika, chaos większy SroAreth.

– Mam ich spopielić? – spytał cierpko Mówca.

– Nastraszyć nalotem – sprostowała Keytari. – Na zachodzie nigdy nie widziano wiwern, a smoki znajdują tu tylko z legend. Jeżeli po naszych działaniach armia



Kerosha zachowa choćby pozory ładu, ty dopilnujesz, aby i one znikły.

SroAreth miał twarz ściągniętą żalem. Jego bursztynowe oczy błyszcząły jednak ponurą determinacją. Być może, podobnie jak Maghar, chciał już, by wszystko się skończyło.

– Rozumiem – zapewnił.

– Pani Tanegar, panie Velendi, panie Arszik – ciągnęła Keytari. – Wam pozostawiam resztę armii. Podczas gdy pozostali skupią się na oddziałach pod bramą, wy dopilnujecie, by nikt nie przybył im z odsieczą. – Zaciągnęła się dymem i wydmuchała go z płuc. – Każdy z was zostawi setkę ludzi do ochrony taborów. Czy wszystko jasne?

Rozległ się zbiorowy pomruk. Królowa skinęła głową i wstała. Wszyscy inni również, kłaniając się głęboko. Keytari wyszła z namiotu. Maghar podążył tuż za nią, jak zwykle.

\*

Ranek szesnastego dnia miesiąca łagodnego słońca w roku osiemset trzydziestym siódmym kahańskiego kalendarza był nieznośnie upalny. Na wschodzie gromadziły się ciemne chmury, zwiastujące długo wyczekiwany deszcz. Pozbawieni nadziei na odsiecz obrońcy Domu Pierwszych Zdobywców trwali na murach niczym kamienne figury. W zdumieniu patrzyli, jak pierwsze szeregi armii królowej wstępują na sąsiadujące z miastem wzgórze. Jako pierwsza jechała królowa w czarnym mundurze, otoczona świtą – Luvikiem skupionym na utrzymaniu wokół nich magicznej osłony, Dreszczem, Aladonem i jego psami, oraz, oczywiście, Renem Magharem. Ten ostatni niósł chorągiew. Ciepły, wschodni wiatr rozwijał czarny jedwab, na którym wyhaftowano białe drzewo z koroną stojącą w płomieniach. Wokół nielicznego sztabu rota Aladona utworzyła zwarty pierścień ochronny.

W ślad za królową pojawili się Sarethanie. Na ich czele szedł swobodnym krokiem Pierzasty Wąż. Wojownicy przybrani w gadzie skóry nieśli na ramionach topory z kości lub obsydianu. Osłaniali się wysokimi, skórzanymi tarczami. Nie trzymali szyku, a na ich płaskich twarzach nie było strachu. Maszerowali za swoim bogiem. Nie mieli powodów, by się bać.

Nieco z tyłu na lewym skrzydle ustawił swoje oddziały Fingard. W pierwszym szeregu jechała kawaleria; trzystu zbrojnych na ogromnych, opancerzonych koniach. Za nimi kroczyły równe szeregi zakutej w stal piechoty, a dalej milicjanci, dwie kompanie ludzi, którzy nigdy nie widzieli bitwy. Jeszcze w Gnieździe przeszli pod okiem Tanegar pospieszne szkolenie, ale nie byli warci dużo więcej niż rekruci po treningu.

Na prawej flance znalazł się Leghard. Za pierwszym rzędem piechoty ukrył kompanię łuczniczek.

W odróżnieniu od Sarethanów, czarne szeregi kahrańskich żołnierzy kroczyły równo, noga w nogę, linia przy linii, wzbijając tumany kurzu. Wydawało się, że nic, nawet mur wrogów, nie powstrzyma ich marszu.

Zaraz za Sarethanami szedł Jerisz ze Skalniakami podzielonymi na setki i dziesiątki. Dwa tysiące kawalerzystów w skórzanych zbrojach i kolczugach, dosiadających małych, włochatych koników. Trzy tysiące piechoty o bardzo podobnym arsenale.

Jeszcze dalej z tyłu, ramię w ramię, ustawiły się oddziały Tanegar, Arszyka i Velendi. Strzygi wymieszane z Varmondczykami, uzbrojone w karabiny łuczniczki, kahrańscy kawalerzyści, piechota, milicja oraz pochodzący z Państwa Sinych Wzgórz piesi wojownicy.

Nad armią kołowały wiwerny podobne do ogromnych ptaków. Wielka sylwetka Assiny Xaotl wyraźnie wyróżniała się pośród nich.

Keytari zatrzymała konia. Maghar zrobił to samo i chorągwią dał oddziałom znak.

– Nasza strategia ignoruje wszystkie prawa sztuki wojennej – stwierdziła Keytari cicho.

– Mówisz o „najpierw strzelamy do siebie, potem kawaleria, a na koniec piechota dobija tych, co jeszcze stoją”? – zainteresował się Luvik.

– Tak.

– To bezużyteczne, kiedy ma się po swojej stronie boga.

Na zboczu sąsiedniego wzniesienia, pod murami Domu, ustawiały się już równe linie uzbrojonych w karabiny piechurów Królestwa Ognia.

– Wygramy? – spytał z niepokojem Maghar, patrząc na przeciwników.

Dłonie pocily mu się na drewnianym uchwycie chorągwi. Być może to właśnie strach powodował, że wydawała się ciężka jak ołów.

– Wie pan, komendancie, gdyby tak prosto było odpowiedzieć na to pytanie, przegrany zawsze uciekałby, nim wszystko się zacznie – mruknął Aladon i zachichotał z własnego żartu.

– Myślisz, że Kerosh wyjedzie przed szeregi, by dodać swoim animuszu? – spytał Luvik.

– Nie, myślę, że nie – odpowiedziała Keytari. Spojrzała na Maghara. – Niech Pierzasty Wąż rusza.

Maghar zakołysał ciężką chorągwią, dając Sarethanom znak. Puścili się lekkim truchtem w dół zbocza i zbiegli w zagłębienie terenu. Gdy byli mniej więcej w

połowie drogi, rozległ się ogłuszający huk, a nad szeregami Dzieci Ognia poniósł się dym.

– Pierwsza linia – mruknął Aladon.

Jakby w odpowiedzi nowy huk oznajmił światu kolejną salwę. I jeszcze jeden.

– Mam nadzieję, że zdążą, zanim tamci przeładują – powiedział z niepokojem Luvik.

Magharowi żołądek zwijał się z nerwów. Pot spływał mu po czole na brwi i kapał z nosa. Zobaczył kątem oka, że Keytari najspokojniej w świecie nabija fajkę, nie odrywając oczu od pola bitwy. Spośród kłębow kurzu wzniesionych przez biegnących Sarethanów wyłoniło się coś ogromnego i białego. Chyba wężowy splot.

– O kurwa – powiedział Aladon. – O kurwa, kurwa, kurwa.

– Następni – burknęła niewyraźnie Keytari, bardziej skupiona na rozpalaniu fajki niż na wydawaniu rozkazów.

Maghar dał znak. Załopotąła czarna tkanina, a Płonące Drzewo zatańczyło w suchym, drżącym z gorąca powietrzu. Ren zastanawiał się rozpaczliwie, jaki w tym sens? Czy nie powinni poczekać aż stanie się jasne, co wydarzyło się na polu przed nimi? A może nadeszła już pora, by rzucić do boju lotnictwo? Keytari zdawała się stawiać wszystko na jedną kartę, a jednocześnie nie chciała wykorzystać sił powietrznych, których wartość bojowa także dla Maghara stanowiła zagadkę.

Ruszyły oddziały Fingarda i Legharda, niespiesznym, ale zdecydowanym marszem. Przez tumany pyłu nad polem bitwy Maghar nie widział prawie nic.

Później dowiedział się, że regiment Sarethanów, osłonięty od kul przez magię Pierzastego Węża, dotarł nienaruszony do szeregów Dzieci Ognia. Bóstwo w przerażającej postaci monstrualnego gada wpadło między wrogów, siejąc postrach. Szczelny kokon magii zabezpieczył jego ciało przed ciosami. Wąż nie próbował nikogo kąsać, jedynie wił się i miażdżył splotami nieszczęśników, którzy ośmielili się zbliżyć. Sarethanie wpadli między przeciwników, a Dzieci Ognia, chociaż przerażone, utworzyły małe, zwarte grupki, najeżone bagnetami i lufami karabinów.

Z obu flank nadciągała już odsiecz w postaci reszty armii Królestwa Ognia. Fingard nie był głupcem i wiedział, że jego trzystu kawalerzystów to za mało do skutecznej szarży, postanowił więc zadać przeciwnikom tyle strat, ile to tylko możliwe. Utrzymał oddział w szyku, korzystając z chwilowej dezorganizacji przemieszczających się oddziałów wroga. Dzieci Ognia zdążyły oddać tylko jedną salwę, która co prawda przetrzebiła szeregi Kahrańczyków, ale nie powstrzymała ich. Kawaleria wbiła się klinem między przeciwników. Okuci w stal piechurzy

dotarli do wroga jako drudzy. Nawiązała się chaotyczna walka. Nie wystarczyło to, aby rozbić szeregi Dzieci Ognia, ale nie pozwoliło im udzielić pomocy swoim oddziałom zaangażowanym w walkę pod bramą.

Na lewej flance rzecz miała się inaczej. Leghard miał łuczniczki. Zanim Dzieci Ognia zdążyły zewrzeć szeregi, zasypał ich deszcz strzał. Kahrańskie damskie oddziały słynęły ze skuteczności i nie bez kozery bano się ich na całym zachodzie. Natomiast od strony wrogiej piechoty huknęła w odpowiedzi potężna salwa, która zdołała spowolnić marsz Legharda.

Wobec natarcia przeciwników, Leghard zmuszony był ulec. Każdy krok wstecz okupywały strumienie krwi, zmieniając ziemię w rdzawe błoto. Ten odwrót otworzył drogę pozostałym oddziałom Królestwa, które ruszyły na odsiecz walczącym przy bramie.

\*

– Jerisz – mruknęła Keytari, zaciągając się głęboko dymem. – Poślij go na prawą flankę. I SroAretha też. Niech Tanegar, Arszyk i Velendi pomogą Sarethanom. Muszą związać walką pozostałe oddziały Królestwa.

Maghar wywijał chorągwią, mając nadzieję, że niczego nie pomiesza.

Teraz ruszyła szarża konnych Skalniaków prosto na Dzieci Ognia, które wyrwały się ze szponów Legharda. Pierwsza salwa żołnierzy Królestwa, chociaż szeregi ustawiały się w szyku obronnym w pośpiechu i niestranie, dosłownie ścięła lekką jazdę Skalniaków z nóg. Konni, szarżujący przed chwilą ochoczo na wroga, rzucili się do szaleńczej ucieczki. Zauważyła to reszta oddziału i poszła w ślady jazdy szybciej, niż nakazywała zwykła przyzwoitość.

Opór Kahrańczyków na prawej flance załamał się pod naporem Dzieci Ognia. Na lewej oddział Fingarda znikł, zmieciony przez przeważające siły wroga.

– Dopiero teraz jest źle – stwierdziła na ten widok Keytari. – Co robi SroAreth?

Wszyscy spojrzeli w niebo. Wiwerny wciąż kołowały nad armią, ślepe na sygnały dawane chorągwią. Tymczasem piechota Sarethanów, przyciśnięta pod bramą przez oddziały Dzieci Ognia nadchodzące z lewej flanki, przeszła od ataku do rozpaczliwej obrony.

Z odsieczą nadciągały pozostałe regimenty armii królowej. Ściągnięte z oblężenia oddziały wroga stawiały im opór, nie dopuszczając do złączenia się z Sarethanami pod bramą. Po obu stronach huczały strzały i padały trupy.

\*

Wysoko na niebie SroAreth dostrzegł, że padł sygnał do ataku. Po krótkiej chwili także Assina uznała za stosowne mu o tym przypomnieć:

– Powinniśmy ruszać.

– Chyba powinniśmy – zgodził się z nią SroAreth.

– W takim razie? – zagadnął smok, nerwowo uderzając na boki ogonem zakończonym delikatnym, złocistym pędzlem.

– Nic – odrzekł Mówca. – Daj mi chwilę.

– Areth, nie ma czasu – powiedział łagodnie gad.

SroAreth nie zareagował. Przechylił się na grzbiecie swojego wierzchowca i spoglądał w dół. Sytuacja przedstawiała się tragicznie. Na lewej flance i w centrum oddziały były związane krwawą walką, której szala powoli przechylała się na korzyść Dzieci Ognia. Trzy regimenty powstrzymywały oblegające miasto oddziały od włączenia się do boju.

– O co chodzi? – spytała Assina Xaotl.

SroAreth widział straszliwą bestię, która była jego bogiem, miotającą się wśród Dzieci Ognia, siejącą zamęt i śmierć. Jej ogon siekł powietrze i powalał tak wrogów, jak i Sarethanów. *Gdzie twoje miłosierdzie, o którym tyle słyszałem?*, zastanawiał się Mówca.

Podjął wreszcie decyzję.

– Resath, leciecie za mną! – zawołał do dowodzącego jeźdźcami pobratymcy. A potem, znacznie ciszej, dodał: – W dół, Assino Xaotlu.

Smok warknął głucho.

– Rozumiem – zapewnił.

\*

Kiedy wielki cień Płomienia Boga przemknął nad ich pagórkiem, Keytari otarła spocone czoło i nerwowo rzuciła:

– Wycofaj wszystkich.

– Keytari! – Maghar zapomniał o jej tytule. – Co ty...?

– Królowa panu rozkazuje.

Spojrzała na niego nieustępliwie.

Dał znak chorągwią, chociaż przez jego mięśnie przebiegało drzenie. To już? Przegrali? Nadeszła pora, by uciekać?

Patrzył, jak cały regiment Fingarda, chyba jedyny zwarty oddział na polu bitwy, zaczyna się cofać. Oddziały Tanegar, Arszika oraz Velendi znajdowały się zbyt daleko, by cokolwiek dostrzec. Sarethanie w centrum nie mogli przedrzeć się przez mur wrogów.

Maghar obserwował smoka, wokół którego powietrze drgało, poruszane magiczną barierą stworzoną przez SroAretha. Za nim podążał klucz wiwern z jeźdźcami na grzbietach. Nie była to zwykła dywersja mająca „zwiększyć chaos”, raczej skoncentrowany, celowy atak.

Smok znalazł się nad oddziałami Królestwa Ognia, a otaczająca go bariera opadła. Dosięgło go kilka strzałów, które wyrwały krwawe dziury w jego gigantycznych skrzydłach.

Assina Xaotl plunęła płomieniem.

Maghar nigdy nie spodziewałby się, że w smoku mieści się tyle ognia. Dym buchnął z jego pyska i nozdrzy. Łakomy, żółty płomień wystrzelił jak gejzer. Nieposkromiony strumień obmył jednakowo Dzieci Ognia i Sarethanów. Było to piękne, przynajmniej dopóki nad polem bitwy nie poniosły się opętańcze wrzaski, żywe pochodnie nie rozbiegły na wszystkie strony, a wiatr nie przywiał swędu palonego mięsa.

Wciąż rzygający ogniem smok odbił w prawo. Płomienne wodospady zalewały wrogą armię. W ślad za smokiem podążały wiwerny, spadając z nieba na niedobitki, które pozostały po przejściu ogromnego gada. Dym przesłonił widok. Płonące, biegnące, spopielone ciała pokryły równinę. Prysły resztki ładu. Armia królowej uciekała ku swej pani jak banda przerażonych dzieciaków pod matczyną spódnicę. Dzieci Ognia rozbiegły się na wszystkie strony. Ścigały ich wiwerny, wypatrujące ofiar na polu popiołu.

Keytari z zadowoleniem wydmuchała z ust kółko dymu.

– Pięknie – powiedziała.

– Złamał rozkaz – stwierdził matowym głosem Aladon.

– Zrobił, co należało – odrzekła spokojnie kobieta.

Luvik wyraźnie się wzdrygnął.

– Swoich własnych... – jęknął. – Gdzie zniknął Pierzasty Wąż?

– Tam. – Wskazał Maghar. – Idzie.

Rzeczywiście, dostrzegli go. Osmalonego Sarethana w okopconym płaszczu z białych piór, który spokojnym, niespiesznym krokiem zmierzał w ich kierunku. Za nim dreptała gromadka najwyżej kilkudziesięciu ocalałych Sarethanów. Kluczyli wśród trupów, depcząc stopami w skórzanych sandałach zrytą kopytami koni ziemię.

Powrócił SroAreth. Ogromny cień smoka przesunął się po ziemi, gdy Mówca zniżył lot. Assina Xaotl wylądowała ciężko na pagórku, kilka kroków od pierścienia roty Aladona. SroAreth, w brudnej od dymu szacie, zeskoczył z grzbietu smoka.

– Wpuście go tu – powiedziała Keytari.

Żołnierze się rozstąpili, a Luvik opuścił na chwilę barierę magii. SroAreth zbliżył się do Keytari. Po jego twarzy płynęły łzy, żłobiąc korytarze w pokrywającym ją brudzie.

– Złamałem rozkaz – stwierdził matowym głosem.

– W Kahrze grozi za to śmierć – mruknął Aladon.

Przez kordon jego żołnierzy przedarł się Pierzasty Wąż. Przeszedł przez ścianę mocy Luvika, jakby ta zaporą nie istniała. Krzyknął coś do SroAretha.

– Co mówi? – spytał Maghar.

– Potępia go na zawsze, karci jego samowolę i obarcza winą za okrutną śmierć tysięcy swych dzieci – przetłumaczył Luvik raczej znudzonym tonem. – Mówi, że nie jest godzien nazywać się jego sługą.

– Jestem sługą królowej – odpowiedział SroAreth po kahrzańsku. – A wina za śmierć tych wszystkich ludzi spoczywa na twoich barkach, mój panie – dodał, oglądając się na bóstwo.

Pierzasty Wąż otworzył usta, ale nic nie powiedział. Jego twarz ściągnął gniew, rysy stały się woskowe i rozmyte. Przez chwilę Maghar był pewien, że bóg znów przyjmie formę monstrualnego gada, po czym zabije ich wszystkich, ale Pierzasty Wąż zdołał się opanować.

– Dałem ci szansę, Areth – powiedział, również przerzucając się na kahrzański. – Wiedz, że dziś ją zmarnowałeś.

– Układy między wami niespecjalnie mnie interesują – powiedziała ostro Keytari.

– Czy nasza umowa jest dalej aktualna, Pierzasty Wężu?

– Owszem – odpowiedział bóg. – Podpisałem ją własną krwią.

– W takim razie pozwól, że będę dalej czyniła to, co niezbędne, by się z niej wywiązać.

– Oczywiście – zapewnił, posłał ostatnie gniewne spojrzenie SroArethowi i odszedł do resztek swoich ludzi.

– Ren, wszystkie oddziały, które powróciły, na flanki i z tyłu. Wjeżdżamy do miasta. Luviku, utrzymuj osłonę. SroAretcie, będę wdzięczna za powietrzną eskortę. – Keytari umilkła na moment. – A jeśli nie otworzą mi bramy, rozpiardol ją w cholerę.

Mówca krótko skinął głową i odszedł, by dosiąść Assiny Xaotl. Smok znowu wzbił się w powietrze.

Keytari spięła konia. Stępa ruszyli w kierunku bramy. Pierścień żołnierzy Aladona przesuwał się wraz z nimi. Maghar dał znak pozostałym oddziałom. Miały dość czasu, by się przegrupować. Regimenty dowodzone przez Fingarda oraz Legharda, a także Skalniacy Jerisza podążyli za królową w kierunku miasta. Pozostałe oddziały albo wdały się w pogoń za uciekającą przed smokiem armią Królestwa, albo dopiero powracały z placu boju.

*Trzy tysiące ludzi, aby przejąć miasto, które oni oblegali tak długo, pomyślał z przerażeniem Maghar, patrząc w niebo, na kołujące nad polem bitwy wiwerny.*

*Bogowie, miejcie nas w opiece, jeżeli żołnierze tam, za murami, nie opowiedzą się po naszej stronie. W miarę jak brama rosła w oczach, a ziemia pod kopytami koni ustępowała popiołom, wszystkie te myśli wyparła inna: Nie otworzą.*

Rozległ się zgrzyt ogromnych sztab i łańcuchów. Żelazne, powyginane od ciosów taranem i salw z dział wrota otwarły się boleśnie powoli, skrzypiąc straszliwie. Podniosła się brona. Ostatnie wrota, z masywnej dębiny nie wydały żadnego dźwięku, jeśli nie liczyć szelestu ziemi.

– Nie wierzę – odezwał się po raz pierwszy Dreszcz.

Maghar również nie wierzył. Zobaczył jak Keytari, siedząca sztywno w siodle, przełyka ślinę, aż zadrżała jej grdyka. Luvik strzelał oczami na wszystkie strony. *Wjeżdżamy w paszczę lwa. Nawet magia nie jest w stanie osłonić jej ze wszystkich stron.*

Strażnicy przy bramie skłonili się głęboko. Keytari zdecydowanym ruchem spięła konia i wjechała między żołnierzy zgromadzonych za bramą. Przerażony Maghar ruszył w ślad za nią. Dalej podążała reszta świty. *A zanim reszta oddziałów przejdzie przez bramę...*

Te myśli zmroziły go do szpiku kości. Rozglądał się na wszystkie strony. Dostrzegł żołnierzy Aladona, którzy przepychali się przez tłum, próbując utrzymać ochronną formację. Nie było to możliwe. Obrońcy miasta w czarnych pancerzach, trwożliwie wylęgający z domów mieszczanie, miejscy strażnicy, wszyscy parli ku Keytari. Kobieta nie zgarbiła ramion. Nie oglądała się. Jechała prosto przed siebie, a falujący tłum rozstępował się przed nią, odpychany siłą magii. Maghar widział las pochylonych głów, słyszał szmer na placu. Wszyscy w mieście znali plotki o królowej. Teraz patrzyli wprost na nią, a chorągiew rodu Geshwanków powiewała za jej plecami.

Później ktoś krzyknął. Zawołanie podjęli inni. Wrzask przetoczył się przez ulice jak grom, wywabił z domów ostatnich przerażonych mieszczan. Początkowo nierówny i spontaniczny, szybko zmienił się w regularne hasło, wykrzykiwane jednym głosem:

– Chwała królowej!

Maghar nie mógł uwierzyć własnym uszom i oczom. Ludzie witali Szczurzą Panią – obcą na tej ziemi, znaną tylko z powtarzanych cichcem plotek uzurpatorkę – niczym zbawczynię.

A Keytari, jego królowa i kochanka, która tak często wyplakiwała mu się w ramię, zatrzymała konia wśród oszalałego z radości tłumy, uśmiechnęła się i uniosła rękę. Wciąż trzymała w niej fajkę. Pozdrowiała motłoch spontanicznym, szczerym gestem. Żaden polityk, przyuczony od małego, nie rozegrałby tego lepiej,



pomyślał Maghar, gdy ten gest wzmógł ryk zgromadzonych. *Miasto należy do niej.*

\*

Przemarsz ulicami Domu Pierwszych Zdobywców był dla Keytari i jej świty chwilą chwały. Ludzie Aladona zdołali znów otoczyć królową oraz jej sztab zwartym kordonem. Widoczna ponad ich głowami, dosiadająca siwka kobieta, witana była wszędzie tym samym okrzykiem. Wiadomość o tym, że władczyni ocaliła miasto, obiegła Dom lotem błyskawicy. Mieszczanie przyprowadzali dzieci, by mogły uczestniczyć w tej historycznej chwili. Za królową parł tłum, w którym dawno utonęły jej nieliczne oddziały. Przyłączali się do niego żołnierze, strażnicy, prości ludzie, bogaci i biedni. *Dziś wszyscy są po naszej stronie, prawdziwych sojuszników poznamy dopiero, gdy opadną z nich resztki strachu,* pomyślał Maghar.

Czterech strażników przed bramą królewskiego pałacu na widok pracującego przez główny plac tabunu ludzi tylko wybałuszyło oczy. Wydawało się, że żaden z nich się nie poruszy, ale jeden w końcu przyskoczył do bramy i otworzył ją. Chyba po raz pierwszy w historii hołota wdarła się do pałacowych ogrodów. Keytari jechała po prostej, zwirowej alejce, ale tłum deptał beczelnie trawniki. Każdy chciał koniecznie, przez cały czas, widzieć królową, upewniać się, że ocalenie, które przyniosła, nie zniknie.

Ogromny cień padł na wszystkich. Rozległy się wrzaski i płacz dzieci. Ludzie rozbiegli się, gdy SroAreth na grzbiecie Assiny sfrunął łagodnie między klomby barwnych kwiatów. Smok sapnął, a z jego nozdrzy buchnął dym. Keytari nawet na niego nie spojrzała, a gad wygodnie ułożył się na trawie, co chyba nieco uspokoiło ludzi. *Dobrze,* uznał Maghar. *Ostatnie, czego nam trzeba, to zamieszki.*

Keytari zeskoczyła z konia przed schodami wiodącymi do pałacu. Maghar, Luvik, Aladon i Dreszcz natychmiast zrobili to samo. Keytari skinęła Dreszczowi dłonią. Służący jako pierwszy ruszył po schodach.

– Otwórzcie drzwi dla królowej! – rozkazał kolejnym gwardzistom.

Spełnili polecenie, nie rzucając ani jednego komentarza na temat statusu społecznego Dreszcza. Gdy Keytari przekroczyła próg, skłonili się.

*Dawno mnie tu nie było,* pomyślał Maghar, rozglądając się po ogromnym holu.

Nie zatrzymując się, Dreszcz rzucił do służącego przy schodach:

– Gdzie Fekfor Resnir?

– W sali tronowej – pisnął chłopak i umknął.

Za ich plecami tłum próbował dostać się do pałacu, powstrzymywany jedynie autorytetem tego miejsca i halabardami gwardzistów.

– Nie dajcie tu wejść tej tłuszczy – polecił Maghar. – Ale bez żadnego rozlewu krwi.

Słyszał, jak Aladon wykrzykuje rozkazy, oddelegowując do zadania część swoich ludzi. Utworzyli kordon, pomagając gwardzistom utrzymać lud na zewnątrz. Masywne drzwi zawarły się w końcu. Keytari została ze swoją świtą i rotą Aladona.

– Zabić każdego, kto stanie nam na drodze – rozkazał ten ostatni. – Dzisiaj nie możemy pozwolić sobie na łaskę.

Ruszyli za Dreszczem w górę schodów. *Nie wolno nam się zatrzymać, zastanawiać nad naszymi czynami ani dać czas na pomyślenie innym*, uznał Maghar. Przyniosła ich tu wezbraną falą szczerą radość i ulga ludzi, którzy dotąd żyli w strachu oraz beznadziei.

Dotarli do sali tronowej w nieco uszczuplonym składzie, bo Aladon rozsyłał swoich ludzi, by zabezpieczyli resztę pałacu. Dwóch strzegących drzwi gwardzistów wymierzyło halabardy w Dreszcza. Padły dwa strzały. Krew bryzgnęła na ściany, mężczyźni runęli martwi.

Dreszcz pchnął wspaniałe drzwi sali tronowej i wkroczył do niej jako pierwszy.

– Jej Królewska Mość Keytari Geshwank herbu Płonące Drzewo! – ryknął z głębi płuc. – Marszałek Rady Stanu i adiutant królowej, Ren Maghar herbu Wściekły Pies! Rotmistrz Regar Aladon herbu Złoty Wilk! Szlachetny Luvik z Cesarstwa!

Keytari weszła do sali. Ruszyła po czerwonym dywanie między dwoma rzędami prostych, surowych kolumn. Na podwyższeniu przy końcu sali, na skromnym tronie, zasiadał Fekfor Resnir. Mały, szczupły, ruchliwy człowieczek o wybałuszonych oczach, przybrany w biały strój królewski. Na jego skroniach błyszcząca prosta korona Kahru z polerowanej stali. Wokół zgromadzili się komendanci. Za kolumnami, w mrocznych galeriach, stali gwardziści. Żaden się nie poruszył. *Też bym nie drgnął, gdyby pół setki ludzi celowało do mnie z karabinów*, pomyślał Maghar.

Keytari weszła na podwyższenie. Maghar cały czas szedł o krok za nią.

Szczurza Pani stanęła przed Resnirem, wsadziła na chwilę fajkę do ust i wypuściła dym nosem. Później skrzyżowała ramiona na piersi i powiedziała ochryple:

– Siedzi pan na moim miejscu. Resnir podskoczył jak oparzony. Maghar ze stoickim spokojem rozpiął zaciski, przytrzymujące jego chorągiew z Białą Mewą przy oparciu tronu. *Ciekawe, czy znał Khale*, zastanowił się. *Pewnie nigdy nie zdąży mi tego powiedzieć*. Cisnął chorągiew z ptakiem na ziemię, później zerwał z głowy Resnira koronę.

Dopiero wtedy mężczyzna jęknął, wstał z tronu i się wycofał, kłaniając z każdym krokiem.

Keytari odpięła pas z mieczem i pistoletem. Usiadła na tronie, przewieszając broń przez poręcz. Wyciągnęła rękę, a Maghar podał jej koronę, którą położyła sobie na kolanach.

– Wyjść – rozkazała. – Mówimy do pana Resnira i jego komendantów.

Oczy Luvika błysnęły dziko, gdy omiatał wzrokiem całe pomieszczenie. Błyszczały również lufy karabinów, trzymany przez ludzi Aladona. W każdego potencjalnego wroga królowej na sali celowało przynajmniej kilka sztuk broni ognistej. Nawet przez grube mury i szklane szyby z ogrodów dobiegał ryk tłumów, chwalać swą nową władczynię.

Resnir ruszył jako pierwszy. Za nim poszli komendanci.

Największy przewrót w historii Kahru zakończył się tak prosto i nieprawdopodobnie, że Maghar nigdy by w to nie uwierzył, gdyby nie ujrzał tego na własne oczy.

### III

Ta noc obfitowała w wypadki. Najbardziej nieszczęśliwe, niespodziewane i smutne przytrafiły się Resnirowi oraz jego komendantom. Wszyscy, z wyjątkiem samego Resnira, wyjechali z domów samotnie lub z niewielką obstawą. Do miejskich bram dotarł tylko jeden. Zaraz po tym, jak wyjechał za obręb murów, coś – strażnicy mówili o skrzydlatym gadzie trochę większym od konia – spadło z nieba i porwało go z grzbietu wierzchowca. Dwóch innych oficerów znaleziono w rynsztokach z poderżniętymi gardłami, czwartego utopiono w Zimnicy, piątego powieszono w ciemnym zaułku, szóstego i siódmego rozerwały wściekłe psy. Sam Resnir umarł we własnej piwniczce, gdzie zapił się winem do nieprzytomności. Gdy leżał na podłodze, chrapiąc głośno, szczury zjadły mu twarz i rozdarły gardło.

Królowa nie odniosła się publicznie do tych wydarzeń. Nowy komendant milicji, pan Velendi, rozpoczął śledztwo. Prawda była prosta, zważywszy na fakt, że rotmistrz Aladon, świeżo upieczony dowódca Gwardii Królowej, dokładnie poinformował go, kto, kiedy, jak i przez którego z jego ludzi został zamordowany. Oficjalnie jednak śledztwo nic nie wykazało.

Rozwiązali jeden problem, ale były jeszcze setki innych. Przede wszystkim wojna z Królestwem Ognia, która się nie zakończyła. Rozproszona armia Kerosha, pozbawiona dowództwa, wycofała się do Międzyziemia i tam reorganizowała.

Wciąż trwały niepokoje społeczne. Chociaż południe Kahru należało do królowej, na północy wciąż szerzyła się samowola po czystkach Lekthry'ego. Wojsko na Błotnych Ziemiach i w Varmondii zdołało utrzymać względny ład, ale oba kraje były zagrożone powstaniami.

Nie wspominając już o fakcie, że cały Kahr, sąsiedzi, garnizony na ziemiach

podległych, dosłownie wszyscy musieli dowiedzieć się o wstąpieniu na tron królowej. I zaakceptować jej władzę.

Tak naprawdę gra dopiero się rozpoczęła.

\*

Dawno, dawno temu był sobie potwór. Istniał, nim jeszcze z Niebytu wyłonili się bogowie, nim przyoblekli się w ciała i przystąpili do tworzenia śmiertelników. Przemierzał nieskończone, puste przestrzenie, w których unosiły się światy pełne życia i umysłów. Zatrzymywał się w nich czasem, by zapolować.

Podczas gdy podróż tego stworzenia trwała, śmiertelni ludzie zbuntowali się przeciwko bogom. Było ich więcej i mimo że ciała bogów mogły zregenerować straszliwe rany, istniał sposób, aby ich zabić. Wystarczyło oderznąć im głowy.

Każdy lud miał swego boga. Każdy lud zbuntował się przeciw niemu. Każdy go zabił. Z wyjątkiem Sarethanów, których pan i władca obdarzył prawdziwą miłością ojca do dzieci. Strzegli go i służyli mu, nawet kiedy łagodny Pierzasty Wąż zaczynał rozumieć, że nie może już dłużej być tylko bogiem. Musiał stać się władcą, który chroni lud przed przyziemnymi niebezpieczeństwami, takimi jak inwazja innych narodów. A ziemscy władcy mają to do siebie, że nigdy nie są w stanie zachować czystych rąk. Miłosierdzie, pokój i dobro stworzone zostały dla maluczkich. Król podporządkowuje się tylko jednemu prawu: *Cel uświęca środki*.

W miarę, jak ta świadomość docierała do Pierzastego Węża, oddalał się od własnego przesłania miłości. Przesławał patrzeć na Sarethan jak na dzieci. To byłoby zbyt bolesne. Łatwiej rządzić poddanymi. Wtedy los jednostki nic nie znaczy wobec dobra ogółu. W rodzinie każdy człowiek jest ważny; w państwie tylko niektórzy.

Tymczasem potwór dotarł do świata dawniej należącego do bogów. Zwabiła go tu obecność umysłu, jakiego jeszcze nie spotkał. Umysłu posiadającego moc, co odróżniało go od prostych jaźni, których jedynym celem było istnienie. Tak jak potwór niszczył i pożerał, tak bóg tworzył i dawał.

Dlatego umysł Pierzastego Węża był dla potwora niezwykle kuszącym kąskiem.

Ale tym razem potwór popełnił błąd. Bogowie są potężni, a ich zdolność kreacji sprawia, że nie mogą zostać pochłonięci przez żarłocznego stwora, który tego pragnie. Potwór musiał stanąć do pojedynku umysłów, na który nie był przygotowany. Jego wola nie wystarczyła, by przełamać opór Pierzastego Węża. Przegrał. Został uwięziony w ciemnym kącie przepastnej, boskiej jaźni. Tkwił tam przez wieki, głodny, upokorzony, pusty. Pielęgnował gniew, by być gotowym, gdyby nadarzyła się okazja do rewanzu.

Nareszcie pojawiła się Ona. Kolejny umysł: elastyczny, zmienny, zdolny do

rozcłótkowania i połączenia z obcymi. Również tkwiła uwięziona w złożonej jaźni Pierzastego Węża. Początkowo potwór sądził, że jest jeńcem, takim jak on. Szybko jednak zrozumiał, że Ona paktowała z bogiem. Dostała możliwość kupienia wolności za cenę tysięcy umysłów nawróconych na wiarę w Pierzastego Węża, wznoszących do niego modlitwy, które napełniłyby jego jaźń siłą.

Bogowie żyją tak długo, jak długo ktoś się do nich modli. W przeciwnym razie ich umysły kurczą się i nikną.

Potwór zrozumiał, że także w Niej nie znajdzie sojusznika. Ale pewnego razu Jej myśli sięgnęły ku niemu. Więc zadzierzgnęli tylko na chwilę, która wystarczyła, by wyczuli w sobie ten sam gniew, tak samo ukierunkowaną nienawiść.

Krótko potem znów się połączyli. Gdy Pierzasty Wąż tchnął Jej jaźń w nowe ciało, zabrała potwora ze sobą. Przekonała boga, że będzie potrzebowała obrońcy. Wyruszyli na zachód razem. Po drodze potwór pożarł umysł małego, włochatego stworzenia i zajął jego ciało. Fizyczne istnienie dawało mu poczucie ograniczonej autonomii, ponieważ duchowo pozostał więźniem połączonym z Nią więzią, którą kontrolowała i poprzez którą sprawowała nad nim władzę. Mógłby spróbować walki i może nawet zwyciężyłby, gdyby nie Jej obietnica.

Obietnica zemsty. Obietnica wolności.

Potwór leżał w klatce, wśród siana, niesiony surowym korytarzem pałacu przez człowieka-gada, jednego ze sługusów boga. Najeżył sierść i zgrzytał głośno zębami. W sześciopalczystą dłoń człowieka przekazała go Ona. Czuł, że obietnica wkrótce się wypełni.

\*

Po wyjściu SroAretha, Keytari usiadła na wielkim królewskim łożu, zasłanym świeżą pościelą. Kazała służącym uprzątnąć straszny bałagan, jaki tu panował, ale i tak musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim przyzwyczai się do nowej sypialni. *Spędziłam w tym łożu sporo czasu u boku Gesbwanka*, przypomniała sobie. Westchnęła, wstała i podeszła do kominka, gdzie na gzymsie leżał jej pistolet. Wzięła go w dłoń, zważyła. *Ta walka się dla mnie skończyła*, pomyślała. *Teraz czas na nową.*

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała.

Do komnaty wszedł Ren. Zamknął drzwi.

– Wiesz, że w twoim haremie wszyscy dobrze się bawią? – spytał.

– Wiem – odrzekła z lekkim uśmiechem Keytari.

Obserwowała królewski harem oczami myszy Dreszcza. Jej oficerowie tej nocy chcieli zapomnieć o poległych. Napięcie wywołane bitwą musiało zostać

rozładowane. Podczas gdy podwładni Aladona ścigali w mieście wrogich Keytari oficerów, w królewskim haremie trwała uczta. Mięso, owoce, wino, piękne nałożnice...

– Dlaczego cię tam nie ma? – spytał Ren. – Piją głównie twoje zdrowie.

– Chcę odpocząć – odrzekła. – A ty? Czemu się nie bawisz?

– Spełniałem obowiązki wuja – wyjaśnił. – Będę musiał posłać list na Błotne Ziemie. Najwyższa pora, by Rad odzyskał matkę. – Uśmiechnął się blado. – A co do zabawy, bez ciebie nie ma tam na czym oka zaczepić.

Keytari uśmiechnęła się.

– Jest tam tyle obnażonych piersi i kusych spódnic, że nikt by nie uwierzył w twoje kłamstwo – uznała z łobuzerskim błyskiem w oku. – Chcę ci coś pokazać.

– Chyba nawet wiem, co – stwierdził Ren. – Mam zamknąć drzwi na klucz?

– Nic z tych rzeczy, świntuchu – odrzekła. Odwróciła się do niego i wyjęła z kieszeni mundurowej bluzy złożony kilkakrotnie arkusz papieru. – Pierzasty Wąż zaakceptował to jako odpowiadające jego wymaganiom. Chcę, żebyś powiedział mi, co ty sądzisz.

Ren wziął papier z jej rąk. Rozejrzał się za lampą. Stała na stoliku nocnym, więc usiadł na łóżku i zbliżył litery do światła.

Ren wstał. Oddał jej papier i unióśł wysoko brwi.

– Wiem, że to twoja przepustka do wolności – stwierdził. – Wiem, że nie masz wyboru. Ale to szaleństwo. W Domu Pierwszych Zdobywców widzą w tobie królową, która ich ocaliła i jeżeli uda ci się ich przekonać, że mają rację, sprawić, że cię pokochają, tylko wtedy możesz czuć się na tronie w miarę pewnie. – Urwał. – Twoja władza opiera się na bardzo kruchych podstawach, Keytari – ciągnął po chwili pełnym napięcia głosem. – Jeśli teraz zaczniemy zwalać świątynie bogów, których ludzie czczą w Kahrze od dawna, a w zamian damy nowego, spowodujemy rebelię i chaos większe od tych, które już wywołaliśmy. Kahr nie jest może wybitnie religijnym państwem, ale tu ceni się wolność wyznania jako jeden z nielicznych przywilejów każdego człowieka. – Westchnął. – Zresztą, dobrze o tym wiesz.

– Wiem – zapewniła. Wzięła z jego rąk dekret. – Przyniesiesz mi lampę?

Zdziwiony, wzruszył ramionami i zrobił, co kazała. Keytari otworzyła drzwiczki, zmięła w garści dekret, po czym wcisnęła go w płomień. Obserwowali, jak kartka czernieje i zwija się.

Ren popatrzył na Keytari.

– Wciąż tu jesteś.

Skinęła głową.

– Wciąż tu jestem.

– Dlaczego? Zdradziłaś go, prawda? Mówiłaś, że może obrócić cię w każdej chwili w pył.

Znów kiwnęła głową.

– Jestem okropna, prawda? – spytała i uśmiechnęła się. – Zdrada za zdradą. Trucizna na przemian ze sztyletem.

– Szkoła Geshwanka – stwierdził Ren. – W końcu to twój mąż – dodał nerwowo.

Aż podskoczył, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Odstawił lampę i sięgnął po pistolet. Keytari spojrzała na niego drwiąco i rzuciła:

– Wejść.

\*

Komnatę SroAretha dzieliło od sypialni Keytari jedno piętro. Wspiął się po schodach, przeszedł kilkanaście kroków korytarzem i pchnął drzwi.

W środku czekał już na niego Pierzasty Wąż, siedzący na łóżku w swoim płaszczu z piór.

SroAreth zamknął drzwi. Przekreślił klucz w zamku. Postawił klatkę z Psem na okrągłym stole przy wygaszonym palenisku.

– Zrobiłem to, co należało zrobić – powiedział.

– Zgodnie z kahrańską moralnością – warknął bóg.

– Chciałeś zdobyć Kahr, panie – powiedział Mówca ze znużeniem. *Mówca? Mogę się jeszcze nim nazywać?* – Wiedziałaś, że Sarethanie, których tu przyprowadzisz, mogą zginąć.

– Wiedziałem – potwierdził Pierzasty Wąż – ale nie sądziłem, że ty i twój szalony smok wpadniecie na to, by plunąć ogniem we mnie. – Wstał z łoża. – Mogłeś mnie zabić lub poważnie zranić, Areth. Nie jestem nawet pewien, czy nie taki był twój cel. – W jego złotych oczach błyszczała podejrzliwość. – Nie musisz rozumieć moich decyzji, takich jak podbicie Kahru z pomocą Keytari. Chcę jedynie, abyś zaakceptował fakt, że beze mnie, bez mojej opieki, Sarethanie jako naród muszą przestać istnieć. Tymczasem jesteś tak samo niepokorny teraz, jak i wcześniej.

– Uczono mnie miłosierdzia – powiedział cicho SroAreth, kładąc dłoń na klatce Psa. Zwierzątko stanęło na tylne nogi, by powąchać jego rękę. – Drogi pokoju, łaski, opiekuńczości.

– Uczono cię także posłuszeństwa i pokory, ale tego sobie nie przyswoiłeś – stwierdził Pierzasty Wąż z nagłą złością. – Wolałeś zaczytywać się starożytnymi opowieściami o dobroczynnych kapłanach Pierzastego Węża, którzy pielęgnowali wrogów, otaczali opieką ich rodziny, robili podobne... bzdury. – Westchnął ciężko.

– Ja wiem, że to trudne, Areth, ale czy naprawdę nie widzisz swojej drogi? Jesteś jeźdźcem smoka. I bardzo potężnym magiem. Gdybyś potrafił bardziej się podporządkować, unikał samowoli...

– Pokazałem ci, panie, co to znaczy być jeźdźcem smoka – odrzekł gniewnie SroAreth. – Karcisz mnie najpierw za to. Później za moje miłosierdzie, chociaż dzisiaj go nie okazałem. – Odetchnął głęboko. – Wiem, że wolałbyś kolejną pustą marionetkę, ale ja tak nie potrafię. Nie tego mnie nauczono, przysposabiając do służby tobie.

– Nie. – Na twarzy Pierzastego Węża pojawił się drapieżny uśmiech. – Nauczono cię wielkiej świątobliwości, pod która kryjesz prawdę o sobie. O tym, co w tobie tkwi. *Ty mi to dałeś, ty! Mój stwórca*, pomyślał gniewnie SroAreth, ale tylko odwrócił wzrok. *Jak śmiesz mi to wypominać?*

Po chwili ciszy, Pierzasty Wąż zapytał:

– Po co go tutaj przyniosłeś?

SroAreth spojrzał na Psa.

– Byłem u Keytari – wyjaśnił. – Prosiła, żebym ci go oddał. Rośnie w siłę. Nie może już nad nim zapanować, a woli uniknąć sytuacji, w której nagle wyrwie się spod kontroli.

– Mówiłem jej – westchnął Pierzasty Wąż. – Ale jest równie uparta, jak...

Pies zaskrzeczał groźnie, jego oczy zalśniły niczym rozżarzone węgle. Pierzasty Wąż skupił na nim wzrok. Obaj zamarli nieruchomo, zwarci w walce, której SroAreth nie mógł prześledzić. Bóg zapomniał się do tego stopnia, że jego twarz zaczęła tracić ludzkie rysy. Skrzek Psa stał się bardziej bolesny, przepełniony rozpaczą.

SroAreth wyrwał noszony za pasem nóż i wbił kościane ostrze w bok szyi Pierzastego Węża.

Podniecony Pies rzucił się na kraty klatki. Bóg chciał wstać z łoża. Uniósł ręce do głowy, ucisnął skronie. Krótkie rozproszenie uwagi, wywołane atakiem fizycznym wystarczyło, by odwróciła się sytuacja na polu umysłowej walki.

SroAreth wyrwał ostrze i przeciągnął nim po gardle Pierzastego Węża, który padł na kolana. Kapłan chwycił za jego kostny róg i zaczął ciąć mięśnie i skórę. Oczy boga rozwarły się szeroko. Pies umilkł, od czasu do czasu mlaszcząc, jakby zażerał się słodkim jabłkiem.

Krew spływała po rękach SroAretha i wspaniałym płaszczu Pierzastego Węża na podłogę.

– Bracia i siostry – powiedział na próbę Mówca, patrząc w oczy swojego boga, w których gasła świadomość. – Pierzasty Wąż opuścił nas tej nocy, by powrócić do



naszych bliskich w Kraju Wschodzącego Słońca. Pozostawił was pod moim dowództwem, byśmy wspierali Jej Wysokość w misji zdobycia Kahru i byśmy na tych nowych terenach zanieśli ludowi jego posłanie miłości. – Nóż zazgrzytał na kości. – Planował początkowo wprowadzić prawdziwą religię mieczem, jednak jego łagodność nie pozwoliła mu zrealizować tego planu. Słowo, nie przemoc, oraz miłość w miejsce śmierci i nienawiści, to jedyna droga, jaką wolno nam obrać w szerzeniu wiary Pierzastego Węża. Prawda zwycięży tak czy inaczej. – Udało mu się odciąć do końca głowę boga. Uniósł ją i spojrzał w martwą twarz. – A po drodze do domu, cóż, wiele nieszczęśliwych wypadków może przydarzyć się bóstwu – stwierdził cicho. – To smutne, że nasz ukochany Pierzasty Wąż przeniósł się do Niebytu. Pamiętajmy jednak, że obserwuje nas i wspierajmy go modlitwami. – Popatrzył na Psa. – Nie ma obaw, że kiedyś powróci, bo, szczerze powiedziawszy, już nie istnieje.

Odrzucił głowę, która plasnęła o podłogę jak kawał mięcha. Usiadł na łóżku. Musiał poczekać na gwardzistów, których Keytari obiecała przysłać, by wynieśli ciało boga.

Pies zaskrzeczał nerwowo i zakręcił się w klatce.

\*

W drzwiach stanęła służąca. Spuszczała wzrok, a jasne, rozpuszczone włosy opadały jej na twarz. Trzymała srebrną tacę, na której stały karafka z winem i szklany kielich. Dygnęła głęboko.

– Wasza Wysokość – powiedziała cicho. – Zarządca dworu kazał mi przynieść wino.

– Postaw tam – poleciła Keytari, wskazując stół. – Przynies jeszcze jeden kielich.

Służąca weszła do pomieszczenia. Potknęła się o skraj własnej, nieco przydługiej sukni. Keytari zrobiła krok w tył, gdy karafka i kielich roztrzaskały się u jej stóp.

– Posprzątaj to – warknęła.

– Przepraszam, Wasza Wysokość – szepnęła dziewczyna, klękając.

Maghar spojrzał na Keytari, która z irytacją marszczyła brwi. Tylko dzięki temu dostrzegł za nią, na zewnętrznym parapecie okna, czarnego kruka ze złotymi grudkami zamiast ślepi.

Kobieta z jasnymi włosami zasłaniającymi wyłupione oko, sięgnęła po wielki odłamek karafki, pewnie zaciskając na nim palce. Maghar dostrzegł zimny błysk błękitnej tęczęwki i wyszczerzone zęby. Wiedźma wbiła grube szkło we własną dłoń.

Keytari wrzasnęła, gdy Maghar odciągnął kurek pistoletu. Już się nie zastanawiał, wypalił z bliska w kark wiedźmy. Bryzgnęła krew i odłamki kości.

Poczuł w piersi ból, jakby niewidoczne szpony zacisnęły się na jego sercu: nie wiedział, czy kobieta zdążyła rzucić zaklęcie, czy też sama jej śmierć wiązała się z wyzwoleniem mocy.

W eksplozji szkła do komnaty dostał się Geshwank w ludzkiej postaci. Keytari, dotąd wpatrująca się w Maghara, jakby to do niej mierzył, obróciła się ku ożywieńcowi, który wyciągał ręce do jej szyi. Krzyk zamarł w gardle, cofnęła się, potknęła o trupa wiedźmy i wylądowała w ramionach Maghara, który upuścił pistolet i podtrzymał królową. Wolną ręką sięgnął po lampę i cisnął nią w Geshwanka.

Płaszcz z czarnych piór zajął się błyskawicznie, ale ożywiony trup nie przejął się bólem. Jego twarz wyrażała czystą nienawiść.

Maghar powlókł Keytari do drzwi, które gwałtownie otworzył jeden ze strażników.

Zdażył jeszcze zobaczyć, jak ciało Radirzjana Geshwanka trawi klątwa dziewiczej krwi. Razem z kośćmi, mięśniami, włosami i ubraniem zmienił się w figurę z czerwonej cieczy, która z chlupotem rozlała się po podłodze.

Maghar wydostał się na korytarz, posadził skołowaną Keytari pod ścianą i opadł na kolana obok niej. Ból w jego klatce piersiowej ustąpił, ale serce tukało jak szalone.

– Wszystko dobrze? – spytał.

Dotknęła mostka, a później gardła. Chwilę tarła szyję palcami, jakby chciała się upewnić, że nie miażdży jej żaden morderczy chwyt. Wreszcie powoli skinęła głową.

– W porządku – zapewniła i gwałtownie złapała dłoń kochanka.

Korytarzem nadbiegali już służący z wiadrami wody prowadzeni przez Shara.

\*

Kerosh Karey ocknął się w łóżu, czując dotyk chłodnej szmatki na czole. Leżał nieruchomo, nie otwierając oczu. Próbował przypomnieć sobie, gdzie jest i dlaczego tak cholernie boli go cała prawa strona ciała, ale nie był w stanie.

Powoli rozchylił powieki.

Nad nim pochylał się mężczyzna o skórze brązowej jak orzech, żółtych oczach, kędzierzawej brodzie i najbrzydszych zębach, jakie Karey kiedykolwiek widział. Krzywych, żółtych, pokrytych szarym nalotem przy dziąsłach.

– Ostatnie, co Wasza Wysokość pamięta? – zagadnął człowiek z akcentem równie paskudnym, jak użębienie.

– Bitwa – odrzekł tępo Karey. – Wielki, dwunogi gad spadający z nieba. – Znow zamknął oczy.

Zrozumiał, co się stało. Przypomniawszy sobie przerażenie sztabu i żołnierzy, którzy wyrwali go spośród smoczycich płomieni. Galopowali przez otwartą przestrzeń, jak najdalej od straszliwego gada, bez chorągwi, by nie zwracać na siebie uwagi. Wtedy z nieba spadł inny, mniejszy potwór. Uderzył konia Kareya w bok i chyba przewrócił zwierzę. Młody król nie był pewien. Nastąpiły eksplozja bólu oraz ciemność trwająca aż do teraz.

Usłyszał, jak mężczyzna o ciemnej skórze wychodzi na korytarz i mówi coś, zapewne do strażników. Później wrócił, a wraz z nim energiczna, krępa służąca. Wspólnie dźwignęli Kerosha do pozycji siedzącej i oparli go o poduszki.

– Ma Wasza Wysokość złamaną rękę i nogę oraz poobijane, ale całe żebra – poinformował rzeczowo ciemnoskóry.

– Ile spałem? – jęknął Kerosh.

– Dwie doby.

\*

Nazywają mnie Luvik. – Uniósł talerz stojący na stoliku przy wezgielciu łóżka. – Jest Wasza Wysokość w stanie posilić się sam?

– Co to? – spytał podejrzliwie Kerosh.

– Pasztet w kruchym cieście – odrzekł Luvik. Kerosh chciał sięgnąć prawą ręką. Syknął z bólu i wyciągnął drugą. Położył sobie talerz na podolku, nożem odkroił kawałek pasztetu. Przez chwilę się wahał, nim wsadził go do ust. *Gdyby chcieli mnie zabić, zrobiliby to już dawno*, stwierdził.

Jedzenie było zimne, ale smaczne. Żując, Karey rozejrzył się po pomieszczeniu. Ze wszystkich sił starał się ignorować ból trawiący jego ciało.

Niewielka komnata sypialna z wygodnym łóżkiem, stolikiem, paroma krzesłami i paleniskiem. Na stole pod ścianą leżała drewniana skrzynka, z której wnętrza błyskały szklane ampułki, metalowe strzykawki i ostrza skalpelów. Równie dobrze mogła należeć do medyka jak i do mistrza tortur. *Nie ośmielą się*, stwierdził Kerosh. Wcale nie był tego taki pewien.

W głowie czuł pustkę. Dopiero gdy był w połowie pasztetu, pomyślał o tym, by zerknąć na własne ciało. Usztywniona w łubkach ręka wyglądała w porządku, bok zakrywał bandaż, a nogę – pościel. *Nogę, którą przywalił koń*, pomyślał ze zgrozą Kerosh. Przełknął ogromny kęs jedzenia i zapytał:

– Czy będę mógł chodzić?

Luvik, siedzący na krześle przy jego łóżku, z roztargnieniem zawijał końcówkę swojej długiej brody.

– Tak – stwierdził po chwili ciszy. – Ale nie mogę obiecać, że dosiądzie Wasza Wysokość konia. To możliwe, ale wiele zależy od tego, czy kolano dobrze się zagoi.

Jego stan nie jest tragiczny – zaznaczył.

Jeszcze przez chwilę Karey jadł. Gdy zaspokoił pierwszy głód, odezwał się znowu:

– Mogę dostać wina? Przeraziła go własna uległość. *Nie tak powinien zachowywać się król w niewoli*, pomyślał, ale wszelkie butne słowa dusił mu w gardle strach. Ten chuderlawy człowieczek przy łożu najwyraźniej miał się nim opiekować. Gdyby okazał się mściwy, mógłby odmawiać mu jedzenia, picia albo jeszcze pogorszyć stan uszkodzonej nogi. *Jestem więźniem. Co z tego, że szlachetnie urodzonym*. Kerosh prawie wylał na siebie wino z podanego mu kielicha. Kilka czerwonych kropli spadło na pościel, nim zdołał trafić naczyniem do ust. Wypił kilka wielkich łyków. Trunek był smaczny. *Każda trucizna smakuje słodyczą*, pomyślał Kerosh i zaraz odpędził od siebie podejrzenia. *Mogą mnie torturować, ale jestem potrzebny im żywy*. Nie żeby szczególnie go ta myśl pocieszyła.

Drzwi otworzyły się, a Luvik raptownie wstał z krzesła. Do wnętrza weszła kobieta w czarnej sukni z koronkowymi rękawami. *Albinoska*, pomyślał Karey. *Bardzo piękna*. Biała twarz wchodzącej wydawała się wykuta w marmurze przez artystę będącego mistrzem harmonii. Krótko, po żołniersku obcięte włosy zdobiło kilka sznurków złota wplecionych w prostą fryzurę. Okolone czarnymi rzęsami oczy lśniły nieugiętością. Jedno z nich przecinała stara blizna. Inna, świeższa, szpeciła gardło od ucha do ucha. *Czy to jest...?* Podejrzenie zmieniło się w pewność, gdy Luvik zgiął się w ukłonie, a za kobietą do pomieszczenia wszedł wysoki Kahrańczyk ubrany w złoty płaszcz.

– Wyprostuj się, Luvik – poleciała królowa. – Jak się pan czuje? – zwróciła się bezpośrednio do Kerosha.

Nie był pewien, co odpowiedzieć. W końcu zdobył się na ciche, nieszczerze „dobrze”.

– Jestem Keytari Geshwank herbu Płonące Drzewo. Królowa Kahru – przedstawiła się kobieta, rozwiewając ostatnie wątpliwości. – Mój adiutant, Ren Maghar herbu Wściekły Pies. Jak rozumiem, Luvika z Cesarstwa już pan zna.

– Tak – odpowiedział Karey i tym razem jego głos zabrzmiał pewniej. – Czy mam rozumieć, że jestem jeńcem?

– Niewątpliwie – przytaknęła królowa. Uśmiechnęła się ironicznie. – Podziwiam pańską spostrzegawczość. Czy pozwoli pan, że będę mówiła wprost?

Karey napił się wina, chcąc pozbyć się nagłej suchości w gardle.

– Proszę – zachęcił.

– Pańskie wojska zostały rozbite, a ja dysponuję w tej chwili kilkakrotnie większymi siłami niż te, które gromadzą się w Międzyziemi. Cały pański sztab

został zabity. Oszczędziliśmy jedynie pana – mówiła tak spokojnie, jakby zarżnięcie wszystkich wysoko urodzonych jeńców było najnormalniejszą w świecie praktyką. – Jednak jeżeli nie spełni pan pokładanych w panu nadziei, dołączy pan do swoich dowódców.

Kerosh gwałtownie rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby odstawić kielich, bo ręka zaczęła mu drżeć. Z pomocą pospieszył mu Luvik, odbierając naczynie. Karey mocno zacisnął dłoń w pięść i ukrył ją pod kołdrą.

– Nie zdradzę własnych ludzi – powiedział.

W jego uszach te słowa zabrzmiały jak jęk przestraszonego dziecka.

Królowa usiadła na łóżku. Sądząc po wyglądzie, była najwyżej siedemnastoletnią młódką, ale jej oczy należały do zimnej, dojrzałej kobiety. Nie pachniała drogimi perfumami, tylko delikatnym aromatem mydła i niezbyt silnych olejków do kąpieli.

– Chcę tylko, aby pańscy ludzie wrócili do domów – powiedziała. – Żeby podpisał pan rozkaz wycofania się z moich ziem, który dostarczy mój kurier. Kiedy rozkaz zostanie wykonany, uznam, że sprawy nie było – dodała. – Nie zerwę sojuszu ani nie wezmę na Królestwie Ognia odwetu.

*Potrzebuję tego sojuszu i nie może wziąć odwetu, odezwał się w Kareyu jego polityczny zmysł. Kahr jest za słaby. Imperium, które zaczęli budować nasi poprzednicy, stoi na skraju zagłady.*

– Czy wtedy odzyskam wolność? – spytał Kerosh.

– Nie – zaprzeczyła królowa. – Wolność odzyska pan dopiero, gdy wróci pan do zdrowia. I tylko pod warunkiem, że podpisze pan ten rozkaz. *Odzyskam wolność, gdy ona umocni władzę w Kahrze, zrozumiał Karey. Opór nic tu nie da. Odmówię podpisania rozkazu, a ona i tak przepędzi stąd moją armię. A ja skończę w mogile. Przełknął ślinę. Tak czy inaczej, mogę tam skończyć. Kiedy wycofam wojska, co zagwarantuje mi bezpieczeństwo?*

I tak nie miał wyboru. Skinął powoli głową.

– Zgadzam się – powiedział cicho.

Wcale nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś powróci żywy do Królestwa Ognia.

Pomylił się. Ponad pół roku później, gdy nikt już nie kwestionował władzy królowej nad Kahrem, Kerosh Karey odzyskał wolność i został odesłany do Serpiny.

\*

Koronacja Jej Wysokości Keytari Geshwank herbu Płonące Drzewo odbyła się w dwa tygodnie po przejściu przez nią władzy. Władczyni, przybrana w białą suknię z długim trenem, przeszła przez salę pełną najwyższych oficerów, kapłanów, urzędników i handlowych magnatów. Zasiadła na tronie, a Maghar uniósł nad jej

głową koronę. Kanclerz dworu Dreszcz, zgodnie z nakazaną pradawnym rytuałem rolą, stanął u stóp podwyższenia.

– Czy przysięgasz ochraniać ziemię i lud Kahru? – spytał donośnym głosem.

– Przysięgam – odrzekła Keytari z niemal nieruchomą twarzą pokrytą białym pudrem, czarnymi kreskami wokół oczu pociągniętymi aż na skronie, umalowanymi czarną pomadą ustami i włosami ozdobionymi wstęgami złota, srebra oraz platyny.

– Czy przysięgasz stać na straży praw, pisanych i niepisanych?

– Przysięgam.

– Czy przyjmujesz koronę Kahru i wszelkie obowiązki, ciężary oraz niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z tą decyzją?

– Przyjmuję.

Przy dźwięku fanfar, Maghar nałożył koronę na skronie Keytari. Obszedł tron, klęknął przed nim i pocałował dłoń kochanki.

– Chwała królowej! – krzyknął Dreszcz, po czym opadł na kolana i dotknął czołem ziemi.

– Chwała królowej! – odpowiedzieli chórem zebrani.

Klękali wszyscy i zniżali czoła do podłogi, by oddać Keytari uroczysty hołd.

*Kerin Zmiennoskórej*, pomyślał Maghar. *Cudzoziemce. Uzurpatorce.* Najgorsze, że wciąż żyli ludzie, którzy zdawali sobie z tego sprawę.

Po uroczystości wszyscy przenieśli się do ogromnej balowej sali. Goście siedzieli przy suto zastawionych stołach, rozmawiali, śmiali się. Tańczono do skocznej muzyki. Do Keytari nikt nie podchodził, po tym jak zbyła kilku pierwszych chętnych. *Ona nie zna naszych tańców*, zdał sobie sprawę Maghar. *Przeoczyliśmy to przy wymyślaniu historyjki o miłości jej i Geshwanka.*

Wypatrzył w tłumie SroAretha w białych szatach. Sarethan wyszedł na balkon. Maghar przeprosił królową i wszystkich oficerów zasiadających z nią przy stole na podwyższeniu, po czym ruszył przez salę. Tłum wokół niego się zagęścił, każdy koniecznie chciał mu się przedstawić z nadzieją na zostanie zapamiętanym, niektórzy próbowali nawiązać rozmowę. Maghar znosił to cierpliwie, prac w kierunku balkonowych drzwi, otwartych szeroko na letnią, ciepłą noc.

SroAreth stał przegięty przez balustradę, patrząc na pałacowe ogrody. Maghar stanął obok niego. W dole zobaczył cielsko Assiny Xaotl, wyciągniętej wygodnie w blasku padającym z sali balowej.

– SroArethu – powiedział cicho.

– Nie nazywaj mnie tak – wyszeptał Sarethan. – Nie jestem już Mówcą. Ten przedrostek... nie jest potrzebny.

– Wciąż głosisz wiarę w Pierzastego Węża.

SroAreth westchnął ciężko.

– On został unicestwiony – odrzekł. – Nie ma już w co wierzyć. Jest jednym z wielu kłamstw, które stworzyliśmy. – Zastukał długimi, twardymi paznokciami o balustradę. – Historia pewnie nas rozgrzeszy, ale czy my sami jesteśmy w stanie to zrobić? – Umilkł na chwilę. – Przyszedłeś zapytać po raz kolejny, dlaczego to właśnie mnie przysłał Pierzasty Wąż, prawda? Sługę, który potrafił w czasie obrad otwarcie sprzeciwiać się jego woli i który był zbyt słaby, by zabijać z zimną krwią.

– To też – przyznał Maghar. – Najpierw chcę wiedzieć, czemu zdecydowałeś się zostać.

– Mówiłem już królowej. Tu będę mógł przestać zabijać. Nie tak zupełnie, wiem o tym... Smok z pewnością będzie przez nią niejednokrotnie wykorzystany, ale poza tym nie będę brał udziału w wojnach. Mogę robić to, do czego od początku został stworzony mój lud. Głosić wiarę w miłosierdzie. – Urwał na chwilę. – Pierzasty Wąż chciał nas ocalić za cenę zapomnienia o miłości, która zawsze otulała Sarethanów. Ale jeżeli mamy zginąć, to powinniśmy przynajmniej zginąć nieskalani okrucieństwem. Tak myślę. – Westchnął. – Jest też drugi powód związany z czynem, za który mnie wygnano.

– Mów – powiedział ostro Maghar.

Na twarzy SroAretha pojawił się ból.

– Skrzywdziłem dziecko – powiedział szybko. – Dokładnie w taki sposób, o jakim myślisz.

Maghar nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Popatrzył w niebo, rozjarzone okrucieństwami gwiazd, a później znowu na SroAretha, pozornie łagodnego człowieka. Wobec tego, co wyznał, nawet zabicie własnego boga wydało się Magharowi niegodne potępienia.

– W naszym społeczeństwie grozi za to śmierć – ciągnął matowym głosem SroAreth. – Błagałem o nią. Naprawdę. Nigdy przedtem nie spodziewałem się, że... – W jego bursztynowych oczach zabłyśły łzy. – Przysłano mnie tutaj, bym odkupił grzech, dając Pierzastemu Wężowi Kahr. Luvik śledził nie tylko Keytari – dodał ze smętnym uśmiechem. – Przedtem sprzeciwiałem się pomysłowi oddania Zmienności nowego ciała i przysłaniem jej tutaj. Teraz nie dano mi wyboru, prawa głosu, niczego. – Umilkł. – Rozkaz Pierzastego Węża brzmiał: „Odkup swoje winy”. Nie obchodziło go, że wcale nie chcę ich odkupić.

Maghar oparł się o barierkę i spojrzał na Sarethana, który przyglądał mu się bursztynowymi oczami, najwyraźniej w oczekiwaniu na reakcję. Kahrańczyk pierwszy odwrócił wzrok.

– Sarethanie nie czują pożądania wobec innych ras – dodał beznamyślnie SroAreth. – To trzeci powód mojego pozostania tutaj. Nigdy nie tknąłem twojego siostrzeńca.

– Wiesz, że mogę nakłonić Keytari, by się ciebie pozbyła? – spytał Maghar.

– Wiem – przytaknął SroAreth. – Ona też była... wzburzona.

*Ona rzeczywiście mogła być zaledwie wzburzona, uznał Maghar. Popętniła wiele podłych czynów... i ja w gruncie rzeczy też.*

– Żadne z nas nie będzie spało spokojnie do końca swoich dni – powiedział. – I żadne z nas nie ma czystych rąk, Arethu, SroArethu, czy jak tam mam cię nazywać.

Sarethan milczał przez chwilę. Wreszcie skinął głową.

– Dziękuję – powiedział. – Postoję tu jeszcze chwilę, jeśli pozwolisz.

Maghar wrócił na salę. Dostrzegł Dreszcza, który machał mu od drzwi. Znow zaczął przepychać się przez tłum, dziękując, przeprasząc i odpowiadając na pozdrowienia. Dotarł do kanclerza dworu.

– Tak?

– Do pałacu wróciła Kara, służąca, która uciekła stąd za panowania Lekthry'ego. Nowy zarządca pytał mnie, czy może przyjąć ją z powrotem. Zgodziłem się.

– Wspaniale, ale to chyba nie sprawa...

– Przeprowadziła tę dziewczynkę. – Położył dłoń na ramieniu małej blondynki w ubrudzonej sukni. – Mała twierdzi, że pana zna.

– Strzałka – powiedział cicho Maghar, rozpoznawszy kruszynę.

Strzałka dygnęła.

– Panie komendancie – powiedziała nieśmiało.

– A Ślepiec?

– Nie żyje. Rozchorował się w czasie oblężenia.

– Rozumiem. Przykro mi – zapewnił Maghar.

– Możesz już odejść – powiedział do dziewczynki Dreszcz. Dygnęła i wyszła z sali. – Ją też przyjąłem. – Chwilę milczał. – Szczerze mówiąc, panie komendancie, to królowa kazała mi ją panu pokazać. Chyba chciała dać do zrozumienia, że śledziła pana dłużej, niż pan sądził.

Maghar uśmiechnął się lekko.

– Nigdy nie wątpiłem w to, że królowa jest zawsze o krok przede mną – powiedział głośno.

Z kieszonki na piersi kaftana Dreszcza wyjrzała mała, bura mysz i obrzuciła Maghara bystrym spojrzeniem czarnych oczek.

Maghar zawrócił do stołu królowej. Zobaczył, że znudzona władczyni wymienia nic nieznaczące uprzejmości z jakimś kapłanem w czerwieni. Na stole przed nią



siedział Pies i sprzątał okruszki z talerza. *Pies. Pożeracz dusz*, pomyślał Maghar. *Stworzenie, które wygrało z bogiem, ale kiedy Keytari podarowała mu wolność, nie zechciało skorzystać.* Królowa popatrzyła na Maghara. Nawet z tej odległości zobaczył jej uśmiech. *To pocieszające, że nawet bezlitosny potwór nie był w stanie się jej oprzeć. Ten fakt stawia mnie w korzystniejszym świetle.*

Tym razem ruszył przez salę prosto pewnym, żołnierskim krokiem. Ludzie rozstępowali się przed nim. Nie odpowiadał na przymilne, nic nieznaczące nagabywania. Zmierzał do swojej władczyni, swojej kobiety, dla której kłamał i zabijał, u której boku szedł, gdy deptała wrogów na drodze do zwycięstwa. Wiedział, że jeśli Keytari go o to poprosi, zapomni o honorze, dopuści się najgorszych okropieństw. I że do końca swoich dni będzie kłamał, kłamał, kłamał.

*Jakie to ma znaczenie?*, pomyślał, wchodząc na podwyższenie. *Historia nas rozgrzeszy. Z całą pewnością.*